



Juliette Benzoni

*Katarzyna*

TOM I

# Prolog



# Rozdział pierwszy

## Więzień

Dwudziestu silnych mężczyzn dźwignęło potężną dębową belkę przywleczoną z pobliskiej budowy. Cofnęli się o kilka kroków, po czym z całą mocą natarli na żelazną bramę, która zadudniła jak gigantyczny bęben. Ataki powtarzały się, wspomagane rytmicznym i ciężkim „I raz... i dwa”... Pod silnymi uderzeniami rozwścieczonego tłumu wrota pałacu królewskiego stękały. Wkrótce dało się słyszeć ich pękanie mimo olbrzymich żelaznych okuć, które wzmacniały skrzydła.

Wysokiej, podwójnej bramy zwieńczonej kamiennym łukiem strzegły dwa klęczące anioły ze złożonymi dłońmi. Pośrodku znajdował się herb królewski Francji - złoczone lilie burbońskie na błękitnym polu - który błyszczał nieśmiało w kwietniowym słońcu. Wyżej, ponad otworami strzelniczymi, skąd łucznicy mierzyli do tłumu, rozpościerała się gęstwina dachów, fantastyczna koronka ażurowych okien pałacu Saint-Pol, widniały pióropusze drzew i niebo, na którego tle łopotały na wietrze duże chorągwie z haftowanego jedwabiu. Tam wysoko był łagodny wiosenny dzień z ciepłym słońcem, którego promienie tańczyły na przypominających stronicę mszału murach, był szybki lot jaskółek... Na dole panowało wzburzenie, płynęła krew, setki stóp wzbijały duszące tumany kurzu.

Powietrze przeszła strzała. W pobliżu miejsca, gdzie stali Landry i Katarzyna, upadł ciężko człowiek z przebitym gardłem, wydając przeraźliwy, charczący krzyk; po chwili było już słychać tylko ciche rżenie. Dziewczyna ukryła pośpiesznie twarz w dłoniach, żeby nie widzieć

umierającego, i przytuliła się do swego towarzysza, który otoczył ją opiekuńczo ramieniem.

- Zamknij oczy - rzekł Landry. - Niepotrzebnie cię tu przyprowadziłem. Z pewnością to nie ostatni z zabitych.

Obydwoje wspięli się na kamienną ławę stojącą przy wlocie wąskiej, obskurnej i wilgotnej uliczki, przy której mieścił się kram piekarza i zamknięta na kłódkę apteka. Stamtąd można było wszystko lepiej widzieć. Nie uszło ich uwagi żadne posunięcie szturmujących brameę. Z otworów strzelniczych łucznicy mierzyli z coraz większą wściekłością. Śmiercionośny grad strzał i pocisków z kuszy spadał na zbuntowany tłum, który rozstępował się przed nim na krótko, po czym masa ludzka z powrotem napływała na upatrzone miejsca. Landry przezornie ściągnął Katarzynę z ławki i zanurzył się z nią w tłumie.

Zmęczenie i strach doskwierały obojgu. Opuścili swoje domy przy Pont-au-Change wczesnym rankiem, korzystając z nieobecności rodziców. Gorączka, która ogarnęła Paryż poprzedniego dnia, wyrwała jednego z opiekunów do domu Pod Kolumnami, drugiego do sąsiadki w połogu, jeszcze innego do miejskich oddziałów straży obywatelskiej. Dzieci nie poznawały swego miasta rozpalonego do białości, w którym z byle powodu pojawiały się na każdym kroku rozbój i rzeź. Ich światem były okolice mostu Pont-au-Change z ciasną zabudową domów o spiczastych dachach, między pałacem a Grand Chatelet. Ojciec Katarzyny, Gaucher Legoix, miał tam swój kram złotniczy pod szyldem Arki Przymierza. Ojciec Landry'ego, Denis Pigasse, także był złotnikiem. Sklepiki obu rzemieślników sąsiadowały ze sobą, stały na wprost kramów lichwiarzy, Lombardczyków i Normandczyków, zajmujących przeciwną stronę mostu.

Aż do tego dnia Katarzyna nie zapuszczała się z przyjacielem poza okolice placu przed katedrą Notre Dame, posępne uliczki Wielkiej Rzeźni

czy zwodzone mosty Luwru. Ale piętnastoletni Landry zdążył już zwiedzić różne tajemnicze miejsca w Paryżu i znał każdy zakątek stolicy jak własną kieszeń. To on wpadł na pomysł, aby przyprowadzić Katarzynę na plac przed pałacem Saint-Pol tego piątkowego poranka, 27 kwietnia 1413 roku.

- Chodź ze mną - powiedział. - Caboche przysiągł, że wejdzie dzisiaj do pałacu króla, ażeby wyciągnąć złych doradców delfina. Może uda nam się wejść za nim i zobaczyć te wszystkie wspaniałości.

Caboche, czyli Szymon Nożownik, oprawca z Wielkiej Rzeźni, syn handlarki flakami z rynku przy Notre Dame, podburzył lud Paryża przeciwko pozornej władzy nieszczęsnego Karola VI, króla pomyleńca, i rzeczywistej, lecz zgubnej władzy Izabeli Bawarskiej.

Istotnie, źle się działo w Królestwie Francji w tych niespokojnych czasach. W kraju rządzonym przez obłąkanego króla, rozpustną i nieodpowiedzialną królową, od sześciu lat, od chwili zamordowania księcia Orleanu przez księcia Burgundii, Jana bez Trwogi, panowała anarchia. Walczący ze sobą Armaniacy i Burgundczycy, nie bacząc na Anglików stale gotowych do ataku, oddawali się wyniszczającym Francję walkom. W tym czasie Armaniacy otoczyli Paryż, zawładnięty przez sprytnego i demagogicznego Jana z Burgundii. Organizował on zamieszki, posługując się bogatym cechem rzeźników oddanym mu bez reszty. Oficjalnie władza należała do delfina, Ludwika z Gujenny\*, szesnastoletniego chłopca, który najwyraźniej nie rozumiał powagi sytuacji. W rzeczywistości władcą Paryża był oprawca Caboche, z przyzwoleniem uniwersytetu i jego porywczego rektora Piotra Cauchona.

*\* Gujenna - historyczna nazwa Akwitanii, w posiadaniu Anglików w latach 1154-1453 (przyp. tłum.).*

To właśnie oni dwaj, Caboche i Cauchon, przewodzili zgrai oblegającej pałac królewski. Stali przed rozbrojonymi i związanymi strażami, pilnowanymi przez pomocników rzeźnickich odzianych w skórzane fartuchy poplamione zakrzepłą krwią; Caboche wydawał rozkazy w rytm zacieklego kołysania belki. Katarzyna, ciągnięta silną dłonią Landry'ego, przemykała wzdłuż murów w poszukiwaniu schronienia przed strzałami; ponad kłębowiskiem głów zobaczyła potężną sylwetkę walczącego przywódcy w zielonej opończy z białym krzyżem świętego Andrzeja. W ręku dzierżył białą chorągiew, godło Paryża, którą wymachiwał zaciekle, a jego wykrzywiona wściekłością, purpurowa twarz ociekała potem.

- Mocniej! - krzyczał. - Walcie mocniej! Zniszczymy to gniazdo sępów! Do kata! Zaraz puści!...

W istocie, brama jęknęła głucho, co zwiastowało jej rychłe wyważenie. Szturmujący nabrali rozpędu, cofając się głęboko w stronę tłumu, i natarli z daleka z jeszcze większą siłą. Landry ledwo zdążył pchnąć Katarzynę za kapliczkę, gdyż niewiele brakowało, a rozszalały tłum przygniótłby ją do muru. Nie stawiała oporu, zahipnotyzowana widokiem oprawcy, którego coraz bardziej gwałtowne okrzyki stawały się niezrozumiałe. Jednym ruchem rozerwał swój kaftan, odsłaniając naprężone mięśnie, podwinął rękawy i zatknął chorągiew głęboko w ziemi.

- Dalej! - krzyczał Caboche, stanąwszy z belką na czele szturmujących.  
- Dalej! Razem! Z pomocą świętego Jakuba!...

- Niech żyje święty Jakub! Niech żyje Wielka Rzeźnia! - krzyknął Landry, porwany jego zapalem.

Katarzyna spojrzała na niego z niezadowoleniem.

- Tylko nie krzycz: „Wiwat Caboche!”, bo sobie pójdę.

- Dlaczego? - zapytał Landry, nie kryjąc zdziwienia. - To naprawdę wielki przywódca!

- Nie! To bydlę! Ojciec nienawidzi go, moja siostra Luiza, z którą to zwierzę chce się żenić, także, a ja panicznie się go boję. Jest taki wstrętny!

- Wstrętny? - Landry wytrzeszczył oczy ze zdumienia. - Jakie to może mieć znaczenie? Wielki człowiek nie musi być piękny. Uważam, że Caboche jest wspaniały.

Rozzłoszczona dziewczyna tupnęła nogą.

- A ja nie! Gdybyś go widział u nas wczoraj, jak krzyczał i wygrażał mojemu ojcu, nie wydałby ci się taki nadzwyczajny.

- Groził mistrzowi Legoix'owi? Dlaczego? - Landry instynktownie zniżył głos, chociaż w tym strasznym zgiełku nikt nie zwracał na nich uwagi.

Katarzyna, także ścisząc głos, opowiedziała przyjacielowi, jak to poprzedniego dnia, późnym wieczorem, Caboche przyszedł do nich wraz z Piotrem Cauchonem i kuzynem Wilhelmem Legoix, bogatym rzeźnikiem z ulicy Piekielnej.



Przekraczając próg domu złotnika, trzech przywódcy mieli sprecyzowany plan: namówić Gauchera Legoix'a, aby się do nich przyłączył. Gaucher, dowódca oddziału straży obywatelskiej Paryża, cieszył się ogólnym szacunkiem i miał największy posłuch wśród mieszkańców. Być może dlatego, że był człowiekiem rozważnym, miłującym pokój i nade wszystko nieznoszącym wszelkiej przemocy. Ten syn rzeźnika nie cierpiał widoku krwi, dlatego opuścił cech oraz dom ojcowski, aby wstąpić na praktykę do zakładu złotniczego mistrza Andrzeja d'Epernona. Zerwał w ten sposób całkowicie z dumną rodziną Legoix, która nie mogła nadziwić się jego decyzji.

Z czasem, dzięki zdolnościom Gauchera, do jego domu zawitał

dobrobyt. Coraz to znamienitsi klienci zamawiali w jego skromnej pracowni zdobione naczynia, solniczki, nautilusy, nakrycia kościelne, rękojeści mieczy lub sztyletów. Rosła sława Gauchera Legoix na placu Paryża i trzej przywódcy powstania potrzebowali jego poparcia.

Spotkali się jednak ze zdecydowaną odmową mistrza. Bez wielkich słów złotnik powiadomił ich o swoim zamiarze dochowania wierności królowi i burmistrzowi Paryża, którym był Andrzej d'Epernon.

- Otrzymałem moją godność od króla i od jaśnie pana burmistrza. Nigdy nie pošlę swoich ludzi na siedzibę mego władcy.

- Twój władca postradał zmysły, a w dodatku otoczony jest zdrajcami - wybuchnął Wilhelm Legoix. - Prawdziwym władcą jest Jego Wysokość książę Burgundii. Tylko w nim cała nasza nadzieja!...

- Kiedy książę Burgundii otrzyma święte namaszczenie, wtedy ugnę przed nim kolano i nazwę go swoim królem. Lecz do tej pory uznaję za władcę jedynie Karola VI, oby Bóg wrócił mu zdrowie i rozsądek!

Te proste słowa wywołały wściekłość gości. Wszyscy zaczęli krzyczeć jak opętani, ku przerażeniu kobiet, które skuliły się przy palenisku, czekając na wynik sporu. Jakże odrażający wydali się Katarzynie ci trzej wysocy i silni mężczyźni otaczający drobną postać jej ojca. Ale właśnie niepozorny Legoix był najsilniejszy, gdyż tylko on nie krzyczał i zachował spokojną twarz.

Rozzłoszczony Caboche zaciśniętą pięścią zaczął wymachiwać złotnikowi przed nosem.

- Mistrzu Legoix, dajemy ci czas do jutra wieczór. Jeśli nie przyłączysz się do nas, będziesz przeciwko nam i poniesiesz tego konsekwencje. Wiesz przecie, co przytrafia się poplecznikom Armaniaków?

- Jeżeli macie zamiar spalić mój dom, nie potrafię wam w tym przeszkodzić. Ale nie przekonacie mnie, bym działał wbrew własnemu



sumieniu. Nie trzymam z Armaniakami ani z Burgundczykami. Chcę być tylko dobrym Francuzem, bogobojnym i wiernym królowi. Nigdy nie podniosę na niego ręki!

Pozostawiwszy upartego złotnika w rękach swoich kompanów, Caboche podszedł do Luizy. Katarzyna poczuła, jak ciało przytulonej do niej siostry zeszywniało, kiedy oprawca zatrzymał się przed nią. W czasach, kiedy bogate rodziny często wydawały za mąż ledwie dojrzałe dziewczynki, mała Luiza przeczuwała najgorsze.

Caboche wcale nie ukrywał, że ma słabość do Luizy. Nigdy nie przegapił okazji podążania za nią, gdy ją przypadkiem spotkał. Nie było to zresztą łatwe, gdyż praktycznie Luiza raczej nie opuszczała domu. Wychodziła jedynie, aby udać się na mszę do pobliskiego kościoła Świętego Leufroya lub pospieszyć z pomocą do pustelni Sainte-Opportune. Była to dziewczyna cicha i skromna, zbyt poważna na swoje szesnaście lat i dojrzała od niejednej dorosłej kobiety. Chodziła po domu cicho jak myszka, ze spuszczonej oczami, w lnianym czepku zawsze ściśle przylegającym do jasnoblond warkoczy, prowadząc pośród bliskich życie klasztorne, o którym marzyła od najmłodszych lat.

Katarzyna podziwiała swoją siostrę, lecz bała się jej trochę i nie rozumiała wcale jej postępowania. Luiza byłaby ładną dziewczyną, gdyby tak się nie umartwiała i potrafiła się uśmiechać. Miała szczupłe, giętkie ciało, delikatne rysy twarzy, jasną, prawie przezroczystą cerę. Tryskająca życiem Katarzyna, gustująca w hałaśliwych zabawach i wesołych piosenkach, lubiąca ruch, nie mogła pojąć, co w tej przyszłej zakonnicy mogło pociągać olbrzymiego, jowialnego Caboche'a, sybarytę i materialistę. W Luizie, która widziała w nim uosobienie diabła, wzbudzał odrazę. Toteż kiedy Caboche podszedł do niej, pospiesznie uczyniła znak krzyża. Widząc to, Caboche skrzywił się z niesmakiem.

- Nie jestem Lucyferem, moja śliczna, żeby witać mnie w ten sposób. Wiedz o tym, że miałabyś weselsze życie, gdybyś przekonała swego ojca, aby przyłączył się do nas.

Wbijając wzrok w czubki bucików, Luiza wyszeptała nieśmiało:

- Nie potrafiłabym... Nie przystoi córce doradzać swemu ojcu... To, co robi, jest słuszne...

Widać było jej ręce szukające nerwowo różańca w kieszeni fartucha. Kiedy wreszcie go znalazła, kurczowo zacisnęła na nim palce, po czym odwróciła się, aby poprawić polana w palenisku, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszej rozmowy. W bladych oczach oprawcy błysnęła złość.

- Jutro o tej samej porze nasza Luiza nie będzie już taka dumna, kiedy moi ludzie wyciągną ją z łóżka, aby się z nią trochę zabawić! Ale nie obawiaj się, ja będę pierwszy!...

Nie skończył, bo Gaucher Legoix chwycił go za kołnierz i wypchnął przed dom. Złotnik poczerwieniał z gniewu, który spotęgował jego siły. Tarmoszony jego mocną ręką, Caboche się zachwiał.

- Precz z moich oczu! - krzyknął Gaucher głosem drżącym z oburzenia.  
- Precz, podły wieprzu! Nie waż mi się więcej kręcić koło mojej córki!

- Jak nie będziesz rozsądny - zaśmiał się szyderczo oprawca - twoją córkę będę miał jutro, a po mnie wielu innych!

Ku wielkiemu przerażeniu Katarzyny ojciec, oszalały z gniewu, doskoczył do oprawcy, lecz Cauchon stanął pomiędzy nimi, rozdzielając ich swoimi długimi ramionami.

- Dostyc tego - rzekł spokojnie. - Nie czas na takie dysputy. Caboche jest zbyt brutalny, a Legoix zbyt porywczy i uparty. Chodźmy już. Noc z pewnością przyniesie każdemu dobrą radę. A tobie, Legoix, radzę, abyś posłuchał głosu rozsądku.

\* \* \*

Landry, siedząc na kamieniu, wysłuchał opowieści Katarzyny, nie przerywając jej. Ta historia dała mu do myślenia i zakłóciła bieg jego myśli. Czuł podziw dla Caboche'a, ale też liczył się ze zdaniem Gauchera Legoix'a. Poza tym nie podobały mu się pogrożki rzucane pod adresem mieszkańców domu Pod Arką Przymierza.

Głuchy łomot i nasilająca się po nim wrzawa przerwały tok jego myśli: brama pałacu Saint-Pol została wyłamana. Tłum z okrzykami zwycięstwa ruszył przed siebie jak strumień nienapotykalący przeszkody dla swego wartkiego nurtu. Tam, gdzie przed chwilą kłębiła się zwarta tłuszcza, nagle otwarła się pusta przestrzeń. Na ziemi leżeli ranni i martwi, wygłodzone psy zlizywały kałuże krwi i tylko trzepotała na wietrze chorągiew, którą Caboche zatknął przed bramą. Reszta tłumu zniknęła w ogrodach królewskiego pałacu. Landry ujął rękę sztywnej z przerażenia Katarzyny.

- Idziesz? Oni już tam weszli...

Dziewczyna cofnęła się odruchowo. Jej ciemne oczy wpatrywały się z przestachem w otwór po bramie.

- Nie mam już na to ochoty - odparła bardzo słabym głosem.

- Nie bądź niemądra! Czego się boisz? Już nigdy nie ujrysz niczego takiego. Chodźże!

Landry zaczerwienił się z podniecenia. Spieszyło mu się, aby pójść za tamtymi i zagarnąć swoją część łupu. Jego niepoohamowana ciekawość paryskiego chłopca połączona z gwałtownym charakterem nie pozwalała mu stać spokojnie. Katarzyna zrozumiała, że zostawiłby ją samą pośrodku ulicy, gdyby nie chciała mu towarzyszyć. Zdecydowała się pójść razem z nim.

Tymczasem trochę dalej, za pałacem Saint-Pol, między bramą

Świętego Antoniego a murami Bastylli, w której zamknął się poprzedni burmistrz Paryża Piotr des Essarts, zebrał się tłum buntowników, gromadząc broń, zdecydowany zburzyć Bastylię, kamień po kamieniu, ażeby pojmać burmistrza oskarżonego o zdradę. Oblężenie fortecy trwało.

W pałacu królewskim otworzyło się okno. Wyleciał przez nie kredens i roztrzaskał się na ziemi z brzękiem metalowych naczyń. Ten widok zachęcił Katarzynę, której ciekawość przewyciężyła strach. Chwyciwszy Landry'ego za rękę, minęła bramę wiszącą na potężnych zawiasach. Dziewczyna otwierała szeroko oczy, zachwycona samą myślą o wspaniałościach, jakie czekają na nią w środku. Oczom ich jednak ukazał się przygnębiający widok: zdewastowany ogród, obrzeżone niskimi krzewinkami trawniki, na których z pewnością rosły lilie, róże i fiołki, teraz wdeptane w ziemię; połamane kwiaty ze zmiażdżonymi łodygami i porozsypywanymi wokół płatkami leżały w błocie.

Dalej Katarzyna odkryła świat w miniaturze, jakim był pałac Saint-Pol. Miasto w mieście. Wśród ogrodów, winnic i zagajników poprzecinanych alejami i ażurowymi galeriami wyrastały pałace, kaplice, folwarki, stajnie i czworaki zamieszkałe przez armię służących. Mieściły się tam menażerie pełne lwów, lampartów, niedźwiedzi i innych dzikich zwierząt, a także klatki z egzotycznymi ptakami. Rezydencja królewska składała się z trzech oddzielnych budynków: pałacu królewskiego stojącego nad Sekwaną, pałacu królowej przy małej uliczce Saint-Pol i pałacu delfina, zwanego także pałacem Gujenny, przylegającego do ulicy Świętego Antoniego.

Główny atak tłumy skierowany był teraz na ten budynek. W ogrodach rozciągających się pomiędzy pałacem Gujenny i innymi gmachami uzbrojone straże broniły dostępu do króla i królowej. Tłum jednak nie zwracał na nie uwagi, zbyt pochłonięty grabieżą.

Na dziedzińcu i schodach pałacu Gujenny kłębili się ludzie.

Ogłuszający zgiełk odbijał się głośnym echem od kamiennych sklepień olbrzymich sal. Katarzyna zatkała uszy rękami. Trupy służących w tunikach z fioletowego jedwabiu słały się gęsto, cenne witraże fruwały w kawałkach. Na ścianach, wzdłuż schodów z białego kamienia, wisały poszarpane gobeliny, a freski rozbijano uderzeniami siekiery lub żelaznym narzędziem służącym w rzeźni do zabijania wołów. W obszernej sali, gdzie stał stół przygotowany do uczy, tarzano się w kałużach wina i krwi, w tłustych sosach i konfiturach, wyrywano sobie pasztety i kawałki pieczystego, potykano się o broń i nakrycia rzucone na podłogę, jeżeli nie były ze złota czy srebra. Ludzie tratowali się wzajemnie. Ale Landry'emu i Katarzynie udało się dotrzeć na pierwsze piętro bez większego uszczerbku. Dziewczyna wyszła z tego z zadrapaniem na twarzy i kilkoma wyrwanymi włosami. Chłopcu udało się nawet zgarnąć ze stołu biesiadnego kilka ciastek z kremem migdałowym, którymi podzielił się sprawiedliwie ze swą towarzyszką. Wzięła je chętnie, gdyż dosłownie umierała z głodu.

W trakcie pochłaniania tego nieoczekiwanego posiłku zostali wepchnięci przez tłum do przestronnej komnaty, z której dobiegały krzyk i odgłosy bijatyki. Pomieszczenie to wydało się dziewczynie szczytem przepychu. Nigdy jeszcze nie oglądała takich olbrzymich gobelinów z kolorowego jedwabiu przetykanego złotą nicią, jakie tutaj wisały na ścianach. Widać było na nich piękne damy w połyskujących sukniach, spacerujące wśród łąk usianych kwiatami w otoczeniu dużych, białych psów lub też słuchające muzyki i usadowione pod baldachimami o złotonych frędzlach. W głębi stał olbrzymi ażurowy kominek z białego marmuru, a na podwyższeniu z trzema schodkami duże łoże z baldachimem, przykryte fioletowym aksamitem ze złotymi frędzlami. U wezglowia były wyhaftowane herby Gujenny i Burgundii. Pod ścianami stały kredensy wypełnione wazami, cyzelowanymi pucharami lśniącego od drogich kamieni, a także

naczyniami o fantastycznych kształtach. Oczy Katarzyny rozbłysnęły jak gwiazdy, kiedy zobaczyła te wszystkie wspaniałości, ale nie miała czasu, aby nasycić się ich widokiem. Scena, której ta piękna komnata służyła za dekorację, była wystarczająco dramatyczna.

Przed kominkiem stały dwie osoby. Dziewczyna rozpoznała księcia Burgundii i jego syna Filipa de Charolais, którego często widywała przechodzącego przed domem jej rodziców. Nigdy dotąd nie widziała z tak bliska groźnego Jana bez Trwogi. Wydało się jej, że ów człowiek, stojący mocno na krótkich, rozstawionych nogach i patrzący wylupiastymi oczami, zajmuje główne miejsce w tej scenie. W jego wyglądzie było coś tak niezłomnego jak przeznaczenie.

Hrabia Filip de Charolais prezentował się całkiem inaczej niż jego ojciec. Był wyrosniętym, jak na swoje szesnaście lat, szczupłym blondynem o dumnym spojrzeniu i dostojnej postawie. Miał delikatne rysy i subtelne usta, które musiały często się uśmiechać. Pozostawał w tyle za ojcem, w postawie pełnej szacunku. Obok nich stał gruby, szesnasto- lub siedemnastoletni chłopiec w przepysznym stroju w połowie szkarłatnym, w połowie czarno-białym, przepasanym złotym pendentem. Przemawiał do księcia głosem drżącym od gniewu, lecz na jego miękkiej twarzy malowały się niemoc i przerażenie. Był to delfin, Ludwik z Gujenny.

Wokół tych trzech osób toczyły się główne wydarzenia; buntownicy usiłowali zdobyć przewagę nad rannymi, lecz broniącymi się zaciekle rycerzami. Na posadzce z czarno-białego marmuru leżało przebite sztyletem ciało, z którego powoli upływała krew. Uderzający był kontrast pomiędzy widoczną obojętnością obydwu Burgundczyków, zjadłością buntowników i łzami, które wylewał delfin, wznoszący błagalnie ręce. W pierwszych szeregach buntowników Katarzyna zauważyła Caboche'a, szalejącego w przekrzywionej czapce i koszuli mokrej od potu, wyróżniającego się na tle

czarnej opończy, przemyślanych gestów i chłodnej postawy Piotra Cauchona. Ten ostatni, choć taki spokojny, wydał jej się straszny.

Harmider ciągle się wzmagał. Buntownicy zdołali pojmać kilku rycerzy, których mocno związali i wywlekli na ulicę. Dwaj osobnicy zaatakowali delfina. Młoda kobieta próbowała osłonić go swoim ciałem, mimo że starał się ją odepchnąć. Była czarującą brunetką, prawie dzieckiem, ubraną w za ciężką dla niej suknię ze złotobrazowego adamaszku. Na głowie nosiła wysoki czepek z dwoma półksiężycami, z których spływał biały jak mgła woal z muślinu. Płakała, próbując zatrzymać młodego człowieka i prosząc, aby go jej zostawiono. Kiedy buntownicy rzucili się na nią, delfin zawrzał z gniewu. Wyciągnąwszy miecz z pochwy, ruszył na napastników jak błyskawica, przebijając dwoma ostrymi pchnięciami tych, którzy śmieli tknąć jego małżonkę, po czym skierował zakrwawione ostrze w stronę Jana bez Trwogi.

- Jakimże nędznikiem jesteś, mój kuzynie, jeśli pozwalasz poniewierać w swojej obecności moją żonę, a twoją córkę. Zamieszki wybuchły za twoją radą, nie możesz się tego wyprzeć, gdyż widzę wśród buntowników także twoich ludzi! Bądź pewny, że zapamiętam to sobie, i nie wyjdzie ci to na dobre.

Filip de Charolais, chcąc także pomóc siostrze, wyciągnął odruchowo miecz i przycisnął spiczaste ostrze do piersi ojca. Książę nawet nie drgnął. Wzruszył tylko ramionami.

- Cokolwiek myślisz, Ludwiku, nie mogę nic zrobić w obecnej sytuacji. Muszę przyznać, że wydarzenia przerastają mnie i nie panuję nad tymi bydlakami. W przeciwnym razie uratowałbym przynajmniej poddanych mojej córki...

Ku bezsilnej złości przejętej Katarzyny młody człowiek, którego tak zajadle broniła delfina, został w końcu pojmany przez dwóch zbirów. Kiedy

ci padli od cięć Ludwika z Gujeny, podbiegł do okna, aby wyskoczyć do ogrodu, lecz w tej samej chwili rzuciła się na niego zgraja oprawców wspomaganych przez dwie rozczochrane wiedźmy. One to uczepliwszy się jego opończy, udaremniły mu ucieczkę. Mała księżniczka upadła na łożę cała we łzach.

- Ratuj go, ratuj, mój ojczy! Błagam cię! Niech go nie zabierają! Nie jego... nie Michała, to mój przyjaciel!...

Księżę uczynił gest bezsilności, który wyrwał z ust Katarzyny krzyk oburzenia. Delfina podobała się jej bardzo i chciała jej pomóc. Księżę przyzwalający, aby jego córka płakała, musiał być bardzo złym człowiekiem... Hrabia de Charolais był blady jak papier. Jako małżonkowi siostry delfina, księżniczki Michaliny, było mu przykro na widok rozpaczki Małgorzaty. Lecz nie mógł nic uczynić. Caboche i jego kompan Denisot de Chaumont chwycili za gardło młodego więźnia. Trzymali go między sobą, podczas gdy inni wiązali mu ręce na plecach. Nagle, jednym uderzeniem, młody człowiek roztrącił napastników. Katarzyna zamarła w oczekiwaniu. Michał de Montsalvy był młodzieńcem niezwykle roslym i odważnym jak na swój wiek. Roztrąciwszy rzeźników, podbiegł do księcia Burgundii. Mimo ogólnej wrzawy jego wzburzony głos zabrzmiał donośnie.

- Jesteś tchórzem, księżę, tchórzem i wiarołomnym zdrajcą swojego króla, pozwalającym bezcześcić jego siedzibę. Oświadczam, iż nie jesteś godzien nosić rycerskich ostróg...

Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, Caboche i Denisot w brutalny sposób ponownie pojмали Michała de Montsalvy, chcąc zmusić go, aby się ukorzył przed tym, którego przed chwilą obraził. Młodzieniec pomimo więzów rzucał się jak szalony, kopiąc na lewo i prawo, tak że oprawcy znowu odskoczyli od niego. Ten zbliżył się do Jana bez Trwogi, jakby chciał mu jeszcze coś powiedzieć. Księżę otworzył usta, żeby się odezwać, lecz nie



zdażył. Nagle pobladł i podniósł rękę do twarzy, którą Michał właśnie opluł...

Katarzyna poczuła instynktownie, że młody człowiek podpisał na siebie wyrok śmierci.

- Zabrać go! - rozkazał księżę gardłowym głosem. - Możecie zrobić z nim, co chcecie! Pozostali zostaną zaprowadzeni do mego pałacu, gdzie dzisiejszej nocy będą moimi gośćmi. Odpowiadam za to, mój zięciu!

Ludwik odwrócił się bez słowa i oparł głowę o okap kominka. Mała księżniczka nadal szlochała, nie słuchając pocieszeń brata.

- Nigdy panu nie przebaczę!... Nigdy! - zawołała przez łzy.

Tymczasem Caboche i Denisot odzyskali zimną krew, przy pomocy kilku kamratów złapali więźnia i powlekli go w kierunku schodów.

Katarzyna wsunęła drżącą dłoń do dłoni Landry'ego i spytała przerażona:

- Co oni z nim teraz zrobią?

- Powieszą go, i to szybko, mam nadzieję! Ten podły Armaniak zasłużył na to. Widziałaś? Ośmielił się plunąć w twarz naszemu księciu!

Po tych słowach Landry przyłączył się do rozwścieczonego tłumu, krzyczącego: „Na śmierć! Na śmierć!”. Katarzyna jednym szarpnięciem wyrwała rękę z jego uścisku; jej twarz spłonęła rumieńcem.

- Och! Wzbudzasz we mnie wstręt, Landry Pigasse!

Zanim zaskoczony Landry zdażył się zorientować, odwróciła się na pięcie i zniknęła w tłumie, który na chwilę rozstał się, by przepuścić orszak skazańca. Katarzyna rzuciła się jego śladem.

W żaden sposób nie potrafiłaby wyjaśnić, co się działo w jej dziecięcej duszy. Nigdy przedtem nie spotkała Michała de Montsalvy'ego, nawet nie wiedziała o jego istnieniu, a mimo to wydało się jej, że zna go od lat i że jest jej tak bliski jak ojciec czy siostra. Jakby nagle tajemnicze i niewidzialne więzy zadzierzgnęły się między młodym szlachcicem a córką złotnika.

Więzy, które mocno czuła w sobie i które mogły ją zranić... Katarzyna wiedziała tylko jedno: musi iść za więźniem, za wszelką cenę dowiedzieć się, jaki los go czeka. W momencie gdy oprawcy wiazali Michała i potem, kiedy obraził księcia, widziała go całkiem blisko, w pełnym świetle witraży. Doznała dziwnego wrażenia, przed oczami zawirowały jej duże, czerwone plamy, tak jak pewnego dnia, gdy dla zabawy próbowała spojrzeć prosto w słońce. Czy to możliwe, aby chłopiec był aż tak urodziwy? Z pewnością był piękny, zbyt piękny, z jasną twarzą i czystymi, delikatnymi rysami, które można by uznać za kobiece, gdyby nie silny podbródek, zaciśnięte usta i dumne, błękitne oczy o śmiałym wejrzeniu. Jego płowe włosy, krótko obcięte nad karkiem i uszami, tworzyły błyszczącą aureolę, modną i pozwalającą na wygodne noszenie hełmu. Pod opończą z fioletowego jedwabiu z naszywanymi srebrnymi liśćmi rysowały się mocne ramiona, a obcisłe, popielatosrebrne getry przylegały ściśle do muskularnych ud kawalera. Z rękami związanymi na plecach, z dumnie uniesioną głową, zimnym spojrzeniem i pogardą na ustach, wyglądał między dwoma rzeźnikami jak archanioł w rękach złych mocy. Katarzynie przypomniał się obrazek z modlitewnika, do którego ojciec dorobił złotą, cyzelowaną okładkę. Przedstawiał on młodego rycerza w srebrnej zbroi, z jasnymi włosami, depczącego smoka przebitego lancą. Gaucher powiedział córce, że to święty Michał pokonujący szatana. To do niego podobny był młodzieniec... i też miał na imię Michał... Myśl ta zelektryzowała Katarzynę, umacniając w niej głębokie pragnienie uczynienia czegoś dla Michała lub przynajmniej pozostania przy nim jak najdłużej.

Zwarta gromada żądnych krwi mężczyzn i kobiet posuwała się krok w krok za więźniem i Katarzyna, zewsząd potrącana i szarpana, z trudnością dotrzymywała im kroku. W pewnej chwili udało jej się przecisnąć za szerokie plecy Caboche'a i ucześcić jego paska pomimo strachu, jaki przed

nim czuła. Oprawca, oszołomiony zwycięstwem, nawet tego nie zauważył. Dziewczyna nie czuła w tej ciżbie otrzymywanych razów ani nóg deptających jej stopy. Już dawno zgubiła czepek, szarpano ją więc za rozpuszczone włosy. Wydawało się, że wszystkie jej siły płynęły do jasnowłosego chłopca, którego przed nią wleczono.

Inni więźniowie stłoczeni byli obok Michała: książę de Bar - kuzyn delfina, Jean de Vailly - kanclerz Gujenny, Jean de La Riviere - szambelan delfina, dwóch braci de Giresmes, w sumie około dwudziestu mężczyzn spętanych łańcuchami i poganianych jak złoczyńcy wśród obelg i splunień. W połowie schodów Katarzyna rozpoznała czarną opończę i długą, ponurą twarz mistrza Piotra Cauchona. Zapierał się z całych sił w futrynie drzwi, aby czereda nie uniosła go ze sobą. Zauważyła dziwne spojrzenie, które rektor rzucił na przechodzącego więźnia. Jego małe, niebieskozielone oczy, zazwyczaj pozbawione wyrazu, nagle zabłysnęły, jakby widok szlachetnego młodzieńca wiedzonego na kaźń był dla Cauchona chwilą rozkoszy, rodzajem cichej zemsty... Katarzynie zrobiło się niedobrze; nie lubiła Cauchona, a teraz wzbudził w niej obrzydzenie.

Przy bramie pałacu napór gawiedzi był jeszcze silniejszy. Katarzynę oderwano od Caboche'a i zepchnięto do tyłu. Po chwili poczuła na twarzy promienie słońca, pojmując, że wydostała się na świeże powietrze. Tutaj tłum rozrzedzał się nieco, rozbiegając się po ogrodach, po czym na nowo zbił się gęsto, próbując przedrzeć się przez wyrwaną bramę. Katarzyna, jak żołnierz gotujący się do ataku, zaczerpnęła powietrza, lecz więzień i jego straż zdążyli już przekroczyć bramę i jasna głowa Michała zniknęła, otoczona błyszczącymi ostrzami halabard i hełmami z błękitnej stali. Po chwili straciła go z oczu i już chciała rzucić się za nim, kiedy na jej ramieniu spoczęła silna ręka i osadziła ją w miejscu.

- Nareszcie cię odnalazłem! - krzyknął Landry. - Ależ się o ciebie

martwiłem! Ostatni raz zabrałem cię ze sobą. Masz chyba diabła za skórą...

Widać było, że Landry z trudem wydostał się z zamętu koło pałacu Gujeny; miał podbite oko, rozerwany rękaw i krwawiące kolano. Jego piękna, zielona opończa z białym krzyżem pośrodku, z której był taki dumny tego ranka, teraz przedstawiała żalosny obraz wysłużonego okrycia. Na dodatek Landry zgubił czapkę: włosy sterczały mu na wszystkie strony. Katarzyna nie zwróciła uwagi na jego wygląd. Wycierając rąbkiem rozerwanej sukienki łzy, które zalewały jej drobną twarz, podniosła smutne oczy na przyjaciela.

- Pomóż mi, Landry, błagam cię. Pomóż mi go uratować! Landry spojrzał na dziewczynę ze szczerym zdziwieniem.

- Kogo? Jakiegoś Armaniaka, którego Caboche ma zamiar powiesić? Ależ to istne szaleństwo! Dlaczego tak ci na tym zależy? Przecież nawet go nie znasz.

- Nie, nie znam go, to prawda. Ale nie chcę, żeby zginął. Powieszają go... Czy wiesz, co to znaczy? Powieszają go tam wysoko, w Montfaucon, na tych okropnych, zardzewiałych łańcuchach, między grubymi słupami...

- No i cóż z tego? Kimże on jest dla nas?

Katarzyna potrząsnęła głową, odrzucając do tyłu długie, rozpuszczone włosy ruchem pełnym naturalnego wdzięku, który zachwyił chłopaka. Jej włosy i oczy były bardzo piękne. To niezwykle, żeby włosy dziewczyny przypominały żywe złoto, przesywane błyskami promieni słonecznych. Rozpuszczone włosy Katarzyny tworzyły coś w rodzaju fantastycznego płaszcza, miękkiego i jedwabistego, którym mogła owinać się aż do kolan.

Co do koloru oczu Katarzyny jej rodzina nie była zgodna. Kiedy dziewczyna była spokojna, oczy miały barwę ciemnoniebieską z purpurowymi błyskami, miękkimi jak płatki fiołków. W chwilach wesołości błyszcząły w nich setki złotych ogników jak w plastrze miodu na słońcu.

Gdy jednak wpadała w złość, jej źrenice czarne jak otchłań budziły przestraszonych.

A przecież była zwykłą dorastającą dziewczyną, wyrosniętą jak na swój wiek, z kanciastymi kończynami, niezręcznymi ruchami młodego koźlęcia trzymającego się niepewnie na nogach, z chłopięcymi, trochę za grubymi i wiecznie podrapanymi kolanami. Miała śmieszny trójkątny nos, za duże usta i krótki nosek, który nadawał jej wygląd kota. Jej jasna skóra o odcieniu bursztynu usiana była piegami. Całość ta miała dużo wdzięku, któremu Landry zaczął ulegać. Coraz częściej poddawał się jej kaprysom i najdziwniejszym zachciankom. Lecz to, czego żądała teraz, przekraczało wszelkie granice!

- Dlaczego tak ci zależy na jego życiu? - powtórzył ciszej z nutą zazdrości w głosie.

- Nie wiem - przyznała Katarzyna z prostotą. - Jeżeli go zabiją, będę bardzo cierpieć. Myślę, że będę płakać dużo... i długo.

Wypowiedziała te słowa cichym, spokojnym głosem, lecz z takim przekonaniem, że Landry już nie starał się zrozumieć. Wiedział, że zrobi wszystko, czego ona zażąda, chociaż była to pigułka gorzka do przełknięcia. Trzeba było wiedzieć, co oznaczały w rzeczywistości te dwa proste słowa, z taką łatwością wypowiedziane ustami przyjaciółki: „Ocalić więźnia”. Znaczyło to wyrwać go z rąk strzelców, otaczających go od chwili, gdy przekroczył bramy pałacu, z rąk niechętnego tłumu, z rąk Caboche'a i jego kamrata Denisota, zdolnych zabić jednym ciosem. Gdyby nawet zamach się powiódł, trzeba będzie jeszcze ukryć młodzieńca w zbuntowanym mieście urządzającym polowania na jemu podobnych, a potem wywieźć go z Paryża, przejść przez rozciągnięte łańcuchy, sforsować zamknięte bramy, minąć zbrojnych ludzi na wałach, uniknąć patroli i... zdrady. Landry pomyślał, że to zbyt wiele, nawet dla takiego sprytnego chłopaka jak on.

- Zabierają go do Montfaucon - myślał głośno. - Droga jest daleka, lecz nie trwa wiecznie. Nie mamy zbyt wiele czasu. Jak zdołamy go odbić, zanim dotrą do Wielkiej Szubienicy? Jest nas tylko dwoje, a wokół niego cała armia!

- Pomimo to chodźmy za nim! - upierała się Katarzyna. - Może coś da się zrobić!

- No już dobrze - westchnął Landry, ujmując dłoń przyjaciółki. - Ale nie miej mi za złe, jeśli się nie powiedzie.

- Chcesz spróbować? Naprawdę chcesz spróbować?

- No, trudno - niechętnie zgodził się chłopiec. - Już nigdy nie zabiorę cię ze sobą. Następnym razem zażadasz, abym sam jeden zdobył dla ciebie Bastylię...

Co sił w nogach ruszyli, aby dogonić ponury orszak, który na szczęście nie posuwał się zbyt szybko.



Kiedy Landry i Katarzyna, ledwo dysząc, dobiegli na ulicę Saint-Denis, stwierdzili z zadowoleniem, że konwój skazańców nie dotarł daleko, gdyż kilkakrotnie zatrzymywały go bandy wygrażających, rozochoconych buntowników. Niektóre szły na Bastylię, aby przyłączyć się do oblężenia, inne kierowały się w stronę siedziby księcia Burgundii, pałacu d'Artois przy ulicy Mauconseil.

Orszak ponownie się zatrzymał. Kat Capeluche zauważywszy przechodzącego mnicha augustyna postanowił zabrać go ze sobą, by skazaniec przed śmiercią mógł pojednać się z Bogiem. Mnich początkowo opierał się, ale strach zwyciężył i kiedy orszak ruszył w dalszą drogę, zakonnik stąpił obok skazańca, półgłosem odmawiając różaniec.

- Jest pewna szansa - szepnął Landry - ponieważ idzie pieszo. Gdyby przyszło im do głowy, aby ciągnąć go na pleciance lub wieźć na wozie, nie moglibyśmy niczego zdziałać.

- Masz jakiś pomysł?

- Być może. Za chwilę zapadnie noc i jeżeli znajdę to, czego potrzebujemy, powinno nam się udać. Potem trzeba będzie go ukryć.

Tymczasem dogoniła ich banda rozwrzeszczanych sprzedajnych dziewczek i studentów, którzy powzięli zamiar towarzyszenia skazańcowi w jego ostatniej drodze. Landry zamilkł przez ostrożność. Niepotrzebnie, gdyż zgraja ta wypadła właśnie przed chwilą z gospody i wszyscy byli kompletnie pijani; zataczali się od ściany do ściany, drąc się wniebogłosy.

- Najlepiej byłoby - szepnęła Katarzyna - schować go u nas pod domem w skrytce z małym okienkiem od strony Sekwany. Oczywiście, nie będzie mógł długo w niej pozostać, ale...

Landry podchwycił pomysł Katarzyny. Dalszy ciąg przedsięwzięcia wydał mu się dosyć prosty.

- ...w nocy ukradnę barkę i podpłynę pod twój dom. Po sznurze więzień zejdzie do łodzi i popłynie w górę rzeki, do Corbeil, gdzie obozuje książę Bernard d'Armagnac. Oczywiście będzie musiał się przedostać przez łańcuchy rozciągnięte między la Tournelle a wyspą Louviaux, ale noce teraz są bezgwiezdne. W końcu... to naprawdę wszystko, co możemy dla niego uczynić. Gdyby chociaż to nam się udało, będzie nieźle...

W odpowiedzi dziewczyna uścisnęła rękę przyjaciela, podniecona i ogarnięta nową nadzieją.

Noc zapadła szybko, tu i ówdzie zapalały się łuczywa; ich odblaski tańczyły na wykuszach domów, na malowanych i złoconych szyldach, na małych, oprawionych w ołów okienkach i na czerwonych twarzach przechodniów. Zgiełk stawał się ogłuszający i uwłaczał ostatnim chwilom

człowieka idącego na śmierć. Nagle Landry, zauważywszy to, czego szukał, uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Znalazłem! - krzyknął. - Spodziewałem się, że w tym zamieszaniu będą jeszcze na zewnątrz...

Przyczyną radości chłopca była tłusta świnia, która pojawiła się na rogu ulicy Kaznodziejów z głąbem kapusty w pysku, jedna z trzody hodowanej w klasztorze Świętego Antoniego. Przez cały dzień te godne szacunku zwierzęta biegały po ulicach Paryża, pożerając wszelkie odpadki i stanowiąc niejako jedyne służby oczyszczania miasta. Jak wszystkie świnie należące do klasztoru, ta również miała na szyi blaszkę pokrytą niebieską emalią, emblemat świętego. W celu schrupania swojej kapusty świnia zatrzymała się u stóp wielkiej drewnianej rzeźby zdobiącej narożny dom, która przedstawiała drzewo Jessego. Landry puścił dłoń Katarzyny.

- Druga świnia powinna być gdzieś blisko. Idź dalej sama, spotkamy się przy klasztorze Sióstr Miłosierdzia. Tam zawsze zatrzymują się ze skazańcem w drodze do Montfaucon, aby dodać mu trochę otuchy. Siostry podają mu kielich wina, trzy kawałki chleba i krucyfiks do ucałowania, ten, który znajduje się przy bramie klasztoru. Straże wtedy zawsze są mniej czujne. Spróbuję wykorzystać ten moment. Bądź gotowa na mój znak!...

Mówiąc to, cały czas nie spuszczał oczu ze świni, która po skończonym posiłku wpadła w uliczkę Kaznodziejów, gdzie powinna znajdować się jej towarzyska oraz ich pastuszek. Katarzyna zobaczyła, że Landry rzucił się w ślad za zwierzęciem i oboje zniknęli w ciemnej uliczce. Ruszyła za nimi. Jednak, pozbawiona towarzystwa Landry'ego i jego opiekuńczości, poczuła zmęczenie. Bolały ją stopy, mięśnie nóg miała napięte od wysiłku. Nagle w świetle łuczywa zauważyła jasne włosy Michała i poczuła, jak szybko wracają jej siły. Zmusiła się nawet, aby przyspieszyć i zdecydowanie wmieszała się w ostatnie szeregi tłumu.



Dostanie się do środka nie było jednak łatwe ani przyjemne, gdyż wszyscy w nadmiernym podnieceniu potracali się i tratowali nawzajem, broniąc upatrzonych pozycji. Ale dziewczynę pchało do przodu coś silniejszego niż strach przed ciosami. W końcu udało jej się dogonić łuczników z eskorty; w odległości kilku metrów zauważyła wysoką postać więźnia ściśniętego pomiędzy żelaznymi kolczugami dwóch zbrojnych mężów. Szedł dumnie wyprostowany, z wysoko uniesioną głową. Był tak piękny, że Katarzyna patrzyła jak urzeczona. Idąc z tyłu, odmawiała żarliwie wszystkie modlitwy, jakie była w stanie sobie przypomnieć, ubolewając, że brakuje jej religijnej erudycji Luizy, która знаła odpowiednie modły na każdą okoliczność do wszystkich świętych w niebie.

Niebawem orszak dotarł do bram klasztoru Sióstr Miłosierdzia. Zakonnice zostały już uprzedzone i oczekiwały skazańca. Około dziesięciu czarno-białych postaci ze spuszczoneymi oczami zgromadziło się na schodach kaplicy wokół matki przełożonej z pastorałem w ręku. Jedna z nich trzymała cynową tacę, na której ułożono kawałki chleba, druga niosła pękaty dzbanuszek i kubek. Łucznicy zatrzymali się przed nią. Serce Katarzyny trzepotało jak oszalałe. Moment był odpowiedni, lecz nie dostrzegła nigdzie ani śladu Landry'ego...

Capeluche chwycił koniec sznura, którym związany był Michał, i owinał go sobie wokół dłoni, aby poprowadzić skazańca do kościoła.

Kiedy eskorta rozstąpiła się, robiąc dla nich przejście, powietrze przeszyło przeraźliwe wycie. Z ciasnej uliczki wybiegły jak oszalałe dwie świny, które z przeraźliwym kwikiem natarły na żołnierzy, przewracając kilku z nich. Nieszczęsne zwierzęta miały przyczepione do ogonów zapalone lonty armatnie, co było przyczyną ich szału i kwików. Łuczywa zostały przewrócone, parząc kilka osób, podczas gdy zwierzęta, nieprzytomne z bólu, tratowały, kogo popadło. Przez dłuższą chwilę trwało zamieszanie.

Nikt nie zauważył, jak Landry z nożem w ręku wślizgnął się za świniami dobrego świętego Antoniego, przeciął sznur trzymany przez kata i pchnął skazańca w stronę wąskiego zaułka biegnącego wzdłuż klasztornej muru. Poturbowani powoli przychodzili do siebie, licząc kontuzje, podczas gdy kilku śmiałków usiłowało schwytać zwierzęta. Jedyne Katarzyna śledziła całą tę błyskawiczną akcję, której powodzenie zależało od szybkiej decyzji i odwagi Landry'ego. Ona również rzuciła się w wąski zaułek tonący w ciemnościach i ugrzęzła w lepkim błocie, potykając się o kamienie i odpadki.

Nagle dobiegi do jej uszu zduszony głos Landry'ego.

- To ty, Katarzyno? Prędeż... Musimy się pospieszyć!

Mrok był tak gęsty, że raczej zgadywała, niż mogła widzieć dwie postaci, jedną wysoką, drugą niższą. Zaułek wił się bez końca, jakby miał się wkrótce wtopić we wnętrze ziemi. Upiorne kształty na wpół powalonych domów majaczyły z obydwu stron, jak złe duchy. W głębi tych nieznanych uliczek nie rozbliskiwało nawet najślabsze światełko. Rozlatujące się drzwi domów były pozamykane, okna z wyrwanymi okiennicami straszyły ciemnością. Katarzyna była już tak zmęczona, że prawie nie mogła biec. Z oddali dały się słyszeć okrzyki tłumu, który odkrył ucieczkę. Troje młodych ludzi przyspieszyło kroku.

W ciemności Katarzyna potknęła się o kamień i upadła z okrzykiem bólu, lecz natychmiast silna ręka Landry'ego podniosła ją i zmusiła do dalszego biegu.

Uliczki mnożyły się i krzyżowały, przerywane ciemnymi i lepкими schodami, które prowadziły do mrocznych otchłani, tworząc rodzaj labiryntu, z którego nie widać było wyjścia. Nagle otworzył się przed nimi błotnisty i śmierdzący plac, otoczony bezkształtnymi ruderami, walącymi się jedna na drugą. Ich spiczaste, popękane dachy tworzyły rozpadliny i wyglądały jak olbrzymie wyszczerbione zęby. Mury z krzywo ociosanych

kamieni, zlepionych błotem, napeężniały jak dojrzewający wrzód pod ciężarem konstrukcji przesączonej wodą. Spadło kilka kropel deszczu.

- Jeżeli będzie padać, to dla nas bardzo dobrze - powiedział Landry, zatrzymując się i dając znak pozostałym, aby uczynili to samo. Wyczerpani i zziębnięci oparli się o jakiś mur, aby odpocząć. Wydawało się, że serca wyskoczą im z piersi. W tej dzielnicy panowała głęboka cisza, która aż dzwoniła w uszach. Katarzyna, cała rozdygotana, wyszeptała:

- Nie słyszeć ich. Myślisz, że już nie biegną za nami?

- Biegną, lecz noc jest zbyt ciemna i nie uda im się tu dotrzeć. Na razie nic nam nie grozi.

Oczy dziewczyny przywykły już do ciemności. Zaczęła rozróżniać obskurne, trędowate rudery, jedyną dekorację tego miejsca. Z drugiej strony placu dojrzała słabe światełko ogarka w żelaznej klatce z wykrzywionymi prętami; jego płomień kładł się nisko, smagany siekącym deszczem. Po czarnym niebie gnały pierzaste chmury przykrywające tę oazę ciszy, wokół której huczało miasto. Landry szerokim gestem wskazał plac.

- To Wielki Dziedziniec Cudów. W Paryżu jest takich kilka. Lecz ten jest najważniejszy, należy do króla żebraków.

- Ależ - przerwała zaskoczona i przerażona Katarzyna - tutaj nie ma nikogo!

- Jeszcze jest za wcześnie. Żebracy powracają do swoich kryjówek dopiero wtedy, gdy inni udadzą się do własnych domów... i to nie zawsze.

Mówiąc te słowa, Landry starał się uwolnić z więzów Michała. Młodzieniec, nieruchomo oparty o mur, poddawał się tym próbom, ciężko dysząc. Był wyczerpany, gdyż nie jest łatwo uciekać ze związanymi rękami. Kiedy Landry wykonał ostatnie cięcie i zerwał pęta więźnia, ten zaczerpnął głęboko powietrza i potarł bolące nadgarstki.

- Dlaczego to uczyniliście? - spytał zmęczonym głosem. - Dlaczego

uratowaliście mi życie? Kim jesteście, że tak narażacie się dla mnie? Czyż nie wiecie, że grozi wam szubienica?

- Och! - bąknął Landry od niechcienia. - Zrobiliśmy to ot tak sobie... ponieważ uznaliśmy, że jesteś, panie, zbyt młody, aby zawisnąć. Ja nazywam się Landry Pigasse, a to Katarzyna Legoix. Obydwoje mieszkamy przy Pont-au-Change, a nasi ojcowie są złotnikami.

Ręka Michała spoczęła łagodnie na głowie Katarzyny.

- Dziewczyna o złotych włosach!... Zauważyłem cię wcześniej, gdy mnie wiązali. Nigdy jeszcze nie widziałem takich włosów... - wyszeptał głosem, który poruszył Katarzynę bardziej niż dotyk jego dłoni.

Podczas gdy delikatnie pieścił jedwabiste sploty, dziewczyna wykrzyknęła:

- Chcemy cię ocalić, panie! Opuścisz Paryż jeszcze tej nocy. Ale najpierw ukryjemy cię w małym schowku, w domu mego ojca. Wydostaniesz się później przez okienko, opuścisz się po sznurze do łodzi, którą o północy przypływie Landry. Potem popłyniesz w górę rzeki, do Corbeil, gdzie biwakuje ze swym wojskiem książę d'Armagnac...

Wyrzuciła z siebie te słowa jednym tchem, pragnąc, by młodzieniec okazał im swoje zaufanie. Czuła niejasno, że otarłszy się tak blisko o czarne skrzydło śmierci, nie pozbył się jeszcze jej złowieszczonego cienia. Ponadto ta akcja mogła wydać się chaotyczna i bezsensowna na pierwszy rzut oka... W ciemności błysnęły w uśmiechu białe zęby młodego szlachcica.

- Wasz plan jest dobrze pomyślany i widzę, że mam prawdziwą szansę ucieczki. Czy jednak pomyśleliście, na jakie niebezpieczeństwo narażacie swoje rodziny i siebie samych, jeżeli wasz zamiar zostanie odkryty?

- Zamiast trawić czas na rozważania, zacznijmy działać. Teraz, gdy wszystko już postanowione, nie cofniemy się przed niczym.

- Mądre słowa! - usłyszeli nagle kpiący głos, dobiegający jakby z

zaświatów. - Lecz pamiętajcie, że okoliczności muszą być sprzyjające. No, dalej, nie bójcie się, nie mam zamiaru was skrzywdzić.

Twarz, która ukazała się ponad głowami trojga młodych spiskowców w okienku zasnutym pajęczynami, nie miała jednak w sobie, mimo zapewnienia, niczego uspokajającego. W migotliwym blasku świecy zobaczyli długą, opaloną twarz usianą zmarszczkami, której główną ozdobą był wydatny nos zakończony wielką brodawką oraz dwoje małych, niezwykle żywych oczu pod ostro zarysowanymi brwiami. Długie, czarne kępki włosów, wystające spod niechlujnego kaptura, uzupełniały obraz nieznanego, który w słabym, rozdygotanym świetle świecy wyglądał jak kamienny gargulec z katedry Notre Dame. Jego twarz, choć tak niepokojąca, wydawała się sympatyczna, gdyż rozjaśniał ją szeroki uśmiech ukazujący nieoczekiwanie śnieżnobiałe zęby. Landry wydał okrzyk zdziwienia.

- Barnabo, czy to ty? Już wróciłeś?...

- Jak widać, mój synu. Dzisiaj boli mnie trochę gardło, dlatego moja wymowa była niezbyt piękna. Poczekajcie, zaraz schodzę...

Światło ogarka, które rozbłysnęło przy tych słowach, zaraz zniknęło. Po chwili dało się słyszeć skrzypnięcie nienaoliwionych drzwi zamykanych przez Barnabę.

- Znasz go? - spytała zdziwiona Katarzyna.

- Oczywiście! Zresztą ty także! To żebrak Barnaba znany z tego, że nosi stary płaszcz naszywany muszlami świętego Jakuba. Żebrze codziennie pod bramą Sainte-Opportune. Podaje się za pielgrzyma powracającego z Santiago de Compostella i sprzedaje relikwie.

Katarzyna dobrze знаła tę postać: zawsze uśmiechał się do niej, kiedy szła na nieszpory lub na komplety w Sainte-Opportune, czy też niosła stawę dla Agnieszki Pustelnicy.

Tymczasem Barnaba wyszedł z domu, zamykając starannie drzwi jak

porządny mieszczanin. Był wysoki i chudy, więc lekko się garbił. Długie jak u pająka ręce i nogi skrywał pod obszerną, wystrzępioną opończę z grubego, wełnianego materiału, na której było naszyte około dwudziestu dużych muszli świętego Jakuba. Po zamknięciu drzwi pozdrowił Landry'ego i Katarzynę, następnie uniósł ogarek, aby się lepiej przyjrzeć twarzy Michała.

- Daleko nie ujdiesz, mój panie - zadrwił po chwili - jeżeli będziesz paradował taki wystrojony. Do licha! Srebrne liście i barwy delfina! Wyjdiesz z królestwa żebraków i zaraz cię schwytają. To bardzo ładnie z twojej strony, że umykasz przed sprawiedliwością i chcesz oszukać kata. Plan dzieciaków uważam za dość dobry, lecz, zanim dotrzecie do Pont-au-Change, jest co najmniej dziewięć szans na dziesięć, że dacie się schwytać!

Długimi, kościstymi i zwinnymi palcami uniósł z pogardą poły opończy misternie uszytej z fioletowego i srebrnego jedwabiu, w którą odziany był Michał.

- Zdejmę ją - zdecydował młodzieniec, chcąc natychmiast wykonać swój zamiar.

Żebrek wzruszył na to ramionami.

- Musiałbyś jeszcze zmienić twarz: na sto kroków widać twe szlachetne urodzenie. Tych dwoje chyba powariowało, pakując się w taką historię!

- Zwariowało czy nie, uratujemy go! - rozzłościła się Katarzyna.

- ...a poza tym - przerwał zniecierpliwiony Landry - tracimy czas! Do dzieła! Trzeba dojść do domu. Noc jest ciemna. Pomożesz nam wydostać się stąd, Barnabo?

Najwidoczniej Landry zaczął się obawiać, jakie powitanie czeka ich w domu. Ponadto należało zaprowadzić Michała do schowka w domu Katarzyny. Barnaba tymczasem wyjął spod pachy zawiniątko, z którego wyciągnął szarą opończę podobną do tej, którą miał na sobie, z tą różnicą, że

była trochę mniej powalana. Zarzucił ją Michałowi na ramiona.

- Pożyczam ci mój paradny strój - zachichotał. - Zdziwiłoby mnie, gdyby ktoś odgadł, kto się pod nim ukrywa. Co do pludrów, to są już tak wysmarowane, że nie widać ich koloru.

Michał z widocznym obrzydzeniem wciągnął rękawy oponce, pobrząkując naszytymi nań muszlami, i narzucił na głowę kaptur, pod którym całkiem zniknął.

- Jaki piękny pielgrzym świętego Jakuba - drwiąco zaśmiał się Barnaba, po czym, zmieniawszy ton, dorzucił: - W drogę! Idźcie za mną, ja zgaszę Ogarek.

Stanąwszy na czele spiskowców, ściskając w swej olbrzymiej dłoni rączkę Katarzyny, ruszył przez błotnisty plac. Tu i ówdzie zapalały się drzące światełka zwiastujące rychłe przebudzenie tej niebezpiecznej i osobliwej dzielnicy. Niewyraźne cienie zaczęły przemykać wzdłuż wilgotnych murów. Wydłużając krok, Barnaba zagłębił się w kolejny zaułek, podobny do setki innych. Wszystkie drogi królestwa żebraków były do siebie podobne, jedne ukryte pod łukami sklepień, inne przerzucone nad śmierdzącym potokiem. Trzęsące się, bliżej nieokreślone postaci, wyglądające w ciemnościach jak zjawy, przemykały chyłkiem, mijając spiskowców. Od czasu do czasu Barnaba rzucał któremuś hasło, kilka niezrozumiałych słów, jakie na tę noc wymyślił Ragot, król żebraków. O tej porze wracali na spoczynek do swych ponurych kryjówek żebracy i złodzieje, fałszywe kaleki i fałszywi pielgrzymi. Niebawem zarysowała się przed spiskowcami sylwetka starego muru obronnego zamku Filipa Augusta z charakterystyczną wałącą się wieżą strażniczą. Wreszcie Barnaba się zatrzymał.

- Teraz musicie uważać - wyszeptał. - Znajdujemy się na granicy terytorium żebraków. Czy macie jeszcze dosyć sił, żeby biec?

Landry i Michał potwierdzili jednocześnie swą gotowość, ale Katarzyna czuła, że siły ją opuszczają. Nieprzewyciężone zmęczenie opadało na jej powieki i czyniło trudnym każdy krok. Jej dłoń skurczyła się w dłoni żebraka, a po policzku spłynęła łza.

- Ona już nie ma sił - rzekł zatroskany Michał. - Wezmę ją na ręce. Nie jest z pewnością zbyt ciężka. - Uniósł lekko dziewczynę w swych ramionach. - Chwyć mnie za szyję i trzymaj mocno - powiedział, uśmiechnąwszy się.

Z westchnieniem ulgi dziewczyna otoczyła ramieniem szyję młodzieńca, opierając głowę na jego ramieniu. Miejsce zmęczenia zajęła głęboka radość połączona ze słodkim odrętwieniem. Mogła teraz widzieć z bliska profil Michała, czuć ciepły zapach jego skóry lekko przesycony ambrawą. Tego wykwintnego zapachu zadbanego młodzieńca nie zabiła przykra woń przyodziewku, jaki zarzucono mu na ramiona. Nikt ze znajomych Katarzyny nie pachniał tak ładnie! Landry miał zbyt pogardliwy stosunek do mydła i zalatywały od niego dosyć mocne zapachy. Caboche cuchnął krwią i potem, a Cauchon - zjełczałym kurzem, gruba Marion, służąca rodziny Legoix, była przesiąknięta dymem i zapachem gotowanych potraw, a pobożna Luiza pachniała zastygłym woskiem i święconą wodą. Nawet Gaucher i jego żona nie pachnieli tak ładnie jak Michał. Lecz on należał do innego świata, zamkniętego i tajemniczego, gdzie wszystko było łagodne, wykwintne i łatwe. Świata, o którym często marzyła, będąc dzieckiem, kiedy to przyglądała się damom błyszczącym od brokatów, klejnotów, unoszonym w lektykach obitych wewnątrz jedwabiami.

Trójka zbiegów przemierzała szybko ulice i place, nie ściągając na siebie niczyjej uwagi. W mieście wrzało coraz gwałtowniej. Bastylia obleżona, pałac Saint-Pol wzięty, przyjaciele delfina schwytni. Lud radował się, urządzając szalone pochody wśród opętańczych śpiewów i tańców przy fontannach i na skrzyżowaniach ulic. Nikt więc nie zwrócił uwagi na postaci



przemykające wśród tej ogólnej wrzawy. Sprawy przybrały inny obrót, gdy (po okrążeniu Grand Chatelet) znaleźli się naprzeciwko mostu Pont-au-Change. Łuczywa zatknięte w murze pod sklepieniem fortecy oświetlały uzbrojonych łuczników, pilnujących wejścia na most. Jeden z nich zabrał się właśnie do wciągnięcia ciężkiego łańcucha, ażeby zamknąć most na noc i oddzielić w ten sposób wyspę La Cite od reszty Paryża. Żaden ze spiskowców nie przewidział, że tego wieczoru most będzie pilnowany przez strażę. Obydwaj żołnierze nosili mundury żandarmerii polowej Paryża, co oznaczało, że trzymają z buntownikami.

Michał postawił Katarzynę na ziemi i spojrzał na swych towarzyszy. Barnaba się skrzywił.

- Dalej nie mogę iść z wami, moje dzieci. Widzę tam ludzi, których wolę unikać. Wycofuję się, tak będzie ostrożniej. Beze mnie poradzicie sobie lepiej ze strażami. A ty, panie, dbaj o mój odświętny strój - rzucił z poważną miną w stronę Michała.

Spiskowcy, po przejściu pod sklepieniem Chatelet, zatrzymali się przy murach kościoła Świętego Leufroya, który tworzył równą linię z domami przy moście. Na deszczowym niebie, w miejscach, gdzie zapalono łuczywa, pojawiły się czerwone błyski. Nad ich głowami wisiały ciężkie, ołowiane chmury. Deszcz znowu zaczął padać. Barnaba otrząsnął się z wody jak kundel.

- Tym razem będzie łać na dobre! Ja wracam! Dobrej nocy wszystkim i powodzenia!...

I zanim któreś z młodych powiedziało słowo, zniknął w ciemnościach jak zjawa, nie wiadomo jak i którędy. Katarzyna usiadła na murku, czekając, co zostanie postanowione. Pierwszy odezwał się Michał:

- Już dosyć narażaliście się oboje. Wracajcie do domu. Niedaleko jest Sekwana, zejść na nadbrzeże i ukradnąć łódź. Poradzę sobie, jestem tego

pewien...

Landry przerwał mu:

- Nie uda ci się to, panie. Jest jeszcze za wcześnie, a oprócz tego trzeba wiedzieć, gdzie najłatwiej można ukraść łódź.

- A ty wiesz, czyż nie? - uśmiechnął się Michał.

- Zgadza się. Znam dobrze nadbrzeże i całą rzekę. Stale tam krążę. Na razie i tak nie możesz zejść, zbyt dużo ludzi jeszcze się tu kręci.

Jakby na potwierdzenie tych słów, zza Chatelet dobiegły odgłosy wrzawy i na skarpie, w pobliżu mostu, ukazały się sylwetki biegnące z łuczywami. Chwilę później ze zgiełku wydobył się mocny, donośny głos:

- Słuchajcie, to Caboche przemawia do tłumu - rzekła Katarzyna. - Jeżeli nas tutaj znajdą, będziemy zgubieni.

Michał de Montsalvy zawahał się. W porównaniu z groźnym głosem, ze słowami, których sensu nie rozumiał, lecz czuł ich niebezpieczną siłę, ciemny most strzeżony tylko przez dwóch ludzi wydał się dziecinną przeszkodą. W oknach przyległych do niego domów przebłyskiwały tylko nieliczne światła: prawie wszyscy mieszkańcy brali udział w rozruchach; inni, przestraszeni, poszli spać. Landry chwycił Michała za rękę.

- Chodźmy już, panie, nie traćmy czasu! Musimy spróbować, to twoja jedyna szansa! Pozwól mi działać, gdyż wiem, jak zagadać do żołnierzy. A ty się nie odzywaj, twój sposób mówienia zdradza cię na milę.

Nie pozostawało nic innego. Tłum gęstniał za Chatelet. Ciągłe nadchodzili nowi ludzie. Rzuciwszy smutne spojrzenie na ciemny nurt rzeki, Michał usłuchał rad. Troje młodych ludzi przeżegnało się jednocześnie, Michał chwycił dłoń Katarzyny, naciągnął kaptur na głowę i podążył za Landrym, który odważnie zmierzał w stronę strażników.

- Będę modlić się gorąco do Matki Boskiej, gdy Landry zacznie mówić - wyszeptała Katarzyna. - Musi mnie wysłuchać!

Katarzyna nade wszystko pragnęła uratować Michała. Nic poza tym jej nie obchodziło.

Gdy zbliżyli się do łańcuchów służących do podnoszenia mostu, deszcz, który kroił od godziny, lunął jak z cebra. Kurz natychmiast przemienił się w błoto. Obydwaj strażnicy pobiegli schronić się pod okapem najbliższego domu.

- Hej, wy tam! - krzyknął Landry. - Chcieliśmy przejść!

Jeden ze strażników zbliżył się do nich, rozzłoszczony, że musi wychodzić na ulewę.

- Kim jesteście? Czego chcecie?

- Przejść przez most. Mieszkamy tu niedaleko. Ja nazywam się Landry Pigasse, a moja przyjaciółka jest córką mistrza Legoix, złotnika. Pospieszcie się, deszcz przemoczy nas do suchej nitki, nie mówiąc o tym, co powiedzą rodzice na to, że tak późno wracamy.

- A ten tam? Kim jest? - spytał strażnik, wskazując na Michała stojącego nieruchomo, z rękami schowanymi w szerokich rękawach opończy i z twarzą prawie niewidoczną pod spuszczonej kapturem.

Landry nie zmieszał się, gdyż odpowiedź miał już przygotowaną.

- To mój kuzyn, Perrinet Pigasse. Właśnie powrócił z Galicji, gdzie modlił się do świętego Jakuba za spokój swojej grzesznej duszy, a ja odprowadzam go do domu.

- Dlaczego sam nie mówi? Niemowa, czy co?

- Prawie! Uczynił śluby, przemierzając Nawarre, gdzie rozbójnicy chcieli go poturbować. Przysiągł sobie, że przez cały rok nie wypowie słowa, jeżeli dane mu będzie wrócić do ojczyzny.

Ten rodzaj ślubów nie był rzadkością, więc żołnierz wcale się nie zdziwił. Miał już dość dyskusji w strugach deszczu, który ciągle się wzmacniał. Podniósł ciężki łańcuch i rzekł:

- Dobrze, przechodźcie!

Czując pod nogami kamienistą nawierzchnię mostu, Landry i Katarzyna mieli ochotę tańczyć pomimo kropel deszczu spływających im po szyi. Prawie biegnąc, przywieśli Michała do domu rodziny Legoix.

\* \* \*

Przy palenisku w kuchni, która służyła także jako wspólna izba i stanowiła przedłużenie pracowni złotnika, uwijała się Luiza, mieszając smakowity gulasz bulgocący w wielkim, żelaznym garze zawieszonym nad ogniem. Na jej czole lśniły krople potu. Odwróciwszy się bez słowa, spojrzała na Katarzynę, tak jakby siostra wróciła z innego świata. W swej potarganej, pokrytej błotem sukience, przemoczona od stóp do głów, wyglądała jak wyciągnięta z kanałów. Widząc, że Luiza jest sama, Katarzyna odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się do niej najnaturalniej na świecie.

- Jesteś sama? Gdzie rodzice?

- Czy powiesz mi w końcu, skąd wracasz w takim stanie? - spytała Luiza, otrząsając się z pierwszego wrażenia. - Szukamy cię od wielu godzin!

Chcąc dowiedzieć się, jak wielkie zarzuty na nią spadną, osądzić, jak wygląda sytuacja, i odwrócić uwagę od skrzywienia klapy, którą w pracowni otwierał Landry, ażeby wpuścić Michała do kryjówki, Katarzyna odpowiedziała pytaniem na pytanie, podnosząc lekko głos:

- Kto mnie szuka? Ojciec czy matka?

- Ależ nie, to Marion! Posłałam ją, aby zasięgnęła języka. Ojciec nie wróci na noc. Matka poszła do jejmości Pigasse, która źle się czuje. Nie chcąc jej martwić, Marion powiedziała, że poszłaś do wuja.

Katarzyna westchnęła z ulgą, gdyż sprawy nie miały się tak źle, jak się tego obawiała. Podeszła do paleniska i wyciągnęła przed siebie mokre

dłonie. Cała drżała w przemoczonym ubraniu. Luiza krzątała się bez przerwy.

- Rozbierz się, zamiast tak się trząść! Popatrz, jak ty wyglądasz! Twoja sukienka jest już do wyrzucenia. Zupełnie jakbyś włóczyła się po wszystkich rynsztokach w mieście!

- Chciałam tylko zobaczyć, co się dzieje, ot i wszystko, więc trochę się przechadzałam...

Nie wiedzieć dlaczego, Katarzyna wybuchnęła śmiechem; nie obawiała się Luizy, która miała dobre serce i za nic w świecie nie doniosłaby o jej nocnej eskapadzie. Można by rzec, że nie śmiała się od lat, śmiech wydał jej się czymś tak nowym i odprężającym. Tyle okropności widziała już tego dnia... Odwróciła się i zaczęła zdejmować sukienkę. Luiza, ciągle gderając, otworzyła kuferek stojący niedaleko paleniska i wyjęła z niego najpierw czystą koszulę, potem sukienkę z zielonego płótna, po czym podała je siostrze.

- Wiesz dobrze, Katarzyno, że nie pisnę ani słowa, lecz żeby to było naprawdę ostatni raz! Bardzo się o ciebie bałam. Tyle się słyszy o różnych potwornościach.

Troska młodej dziewczyny była szczerą. Katarzyna poczuła nagle wyrzuty sumienia. Luiza, tego wieczoru bledsza niż zazwyczaj, miała podkrążone oczy, a w kącikach jej ust czaił się smutek. Musiała przez cały dzień przeżywać katusze z powodu pogrózek Caboche'a. Katarzyna spontanicznie rzuciła się siostrze na szyję i pocałowała ją.

- Wybacz mi, Luizo! To już nigdy się nie powtórzy!... Luiza uśmiechnęła się do niej bez urazy, po czym, zarzuciwszy sobie na ramiona grubą mantylkę, rzekła:

- Idę do Pigasse'ów zobaczyć, jak się czuje pani Magdalena. Do tej chwili sprawy miały się nie najlepiej. Przy okazji powiem matce, że wróciłaś

do domu... od wuja. Nie zabawię długo. Zjedz coś i połów się.

Katarzyna miała ochotę zatrzymać Luizę, lecz do jej czujnych uszu nie dobiegały już z pracowni żadne podejrzone odgłosy. Landry miał dosyć czasu, aby sprowadzić Michała do piwnicy, zamknąć włącz i wrócić do domu. Luiza wyszła.

Po wyjściu siostry Katarzyna rzuciła się do skrzyni na chleb, odkroiła spory kawałek, po czym napełniła miszkę gorącym baranym gulaszem przyprawionym szafranem. Następnie wyjęła z kufra słoik miodu, napełniła pękaty dzbanek świeżą wodą. Musiała szybko się uwinąć, aby dać coś do zjedzenia Michałowi: tej nocy będzie potrzebował dużo siły!

Świadomość, że był blisko, dosłownie pod jej stopami, napełniała Katarzynę niewysłowioną słodyczą. Jej rodzinny dom stał się jakby rodzajem Anioła Stróża osłaniającego swymi skrzydłami jednocześnie ją i Michała. Nic złego nie mogło się przytrafić zbiegowi, dopóki pozostawał pod egidą tej Arki Przymierza.

Stanąła przed lustrem i spojrzała uważnie na swoją szczupłą twarz. Tego wieczoru po raz pierwszy w życiu pragnęła być piękna, tak piękna, jak te dziewczęta, za którymi sunęli ulicami studenci i zaczepiali je z figlarnym uśmiechem. Westchnąwszy, Katarzyna dotknęła koszuli, pod którą dopiero zaczynały się zaznaczać kobiece kształty. Jej szanse na oczarowanie Michała były nikłe. Zabrawszy zgromadzone wiktuały, skierowała się do piwnicy. W pracowni ojca było pusto i cicho: stoły i taborety stały równo wzdłuż ścian, uporządkowane narzędzia wisiały na gwoździach. Wielkie szafy z żelaznymi okuciami, skrywające cenne przedmioty złotnicze, które otwierało się w ciągu dnia do wglądu klientom, były szczelnie pozamykane. Na ladzie stała jedynie mała waga, służąca Gaucherowi do ważenia szlachetnych kamieni. Okna zasłonięte były ciężkimi, dębowymi okiennicami.

W podłodze znajdowała się kłapa z wielkim uchwytem. Katarzyna,

niosąc zapaloną świecę i szeroką tacę z jedzeniem, z trudem podniosła wieko, po czym ostrożnie, aby nie spaść z drabiny, zeszła do piwnicy. Z początku nie dojrzała Michała, gdyż schowek urządzony w filarze mostu był bardzo zagracony. Składało się w nim drewno, wodę, jarzyny, marynaty z całych wieprzy, a także narzędzia i drabiny. Pomieszczenie miało kształt długiej, wąskiej i niskiej kiszki oświetlonej w głębi małym okienkiem, przez które mógłby przejść jedynie bardzo szczupły chłopiec.

- To ja, Katarzyna - wyszeptała cicho, nie chcąc przestraszyć Michała. Coś poruszyło się za stertą drewna.

- Jestem tutaj, za wiązkami chrustu - usłyszała równie cichy głos chłopca i wtedy ujrzała go w blasku świecy.

Pozbył się już pielgrzymich łachów i leżał teraz na nich, opierając się plecami o wiązki chrustu. Srebrne liście jego opończy słabo lśniły w ciemności, a płomień świecy odbijał się w nich złotymi punkcikami. Chciał wstać, lecz dziewczyna dała mu znak, by pozostał na miejscu. Uklękła obok niego, kładąc na ziemi ciężką tacę: gorący gulasz pachniał znakomicie.

- Na pewno jesteś głodny, panie - rzekła cicho. - Będziesz potrzebował dużo sił. Skorzystałam z tego, że siostra wyszła do sąsiadki, żeby do ciebie zejść. Na razie nikogo nie ma w mieszkaniu. Ojciec jest w domu Pod Kolumnami, matka u Pigasse'ów, a służąca gdzieś się włóczy. Jeżeli tak dalej pójdzie, nie będziesz miał trudności z opuszczeniem Paryża jeszcze tej nocy. Teraz jest dziesiąta, Landry przyplynie o północy.

- Jak to jedzenie ładnie pachnie - powiedział Michał z uśmiechem, który nappełnił Katarzynę radością. - Jestem rzeczywiście bardzo głodny... - Mówiąc to, rzucił się na strawę. Gryzł baraninę pięknymi zębami i gawędził z dziewczyną. - Ciągle nie mogę uwierzyć w moje szczęście, Kasiu! Jeszcze niedawno, gdy mnie zabierali, myślałem, że wybiła moja ostatnia godzina, i byłem gotów rozstać się z życiem. Pożegnałem się ze wszystkimi. A ty

przywróciłaś mi życie. To dziwne.

Jego spojrzenie odpłynęło daleko. Na twarzy pojawiły się zmęczenie i niepokój. Próbował się uśmiechać, lecz w jego oczach Katarzyna dostrzegła cień rozpacz i przestraszyła się.

- Panie, nie jesteś zadowolony, że cię tu przywiodłam? Spojrzał na jej delikatne ciało, całe drżące pod kaskadą rozpuszczonych włosów, które po wyschnięciu odzyskały swój zwykły blask. Katarzyna w zielonej sukience wyglądała jak leśny duszek spoglądający na niego szeroko otwartymi oczami podobnymi do oczu jelonków, za którymi uganiał się konno, kiedy był dzieckiem.

- Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym nie był zadowolony - odpowiedział łagodnie.

- A więc... zjedz trochę miodu, panie, i szybko mi powiedz, o czym myślałeś. Miałeś takie smutne spojrzenie.

- Kiedy prowadzili mnie do Montfaucon, myślałem o mych rodzinnych stronach. Bałem się, że już nigdy ich nie zobaczę, i ta myśl raniła mnie najboleśniej.

- Lecz teraz wiesz, że ujrzysz je znowu, ponieważ będziesz wolny.

Michał uśmiechnął się, zanurzył kawałek chleba w miodzie i zaczął żuć obojętnie.

- Wiem, lecz ta myśl jest silniejsza ode mnie. Coś mi mówi, że już nigdy nie wrócę do Montsalvy.

- Nie wolno ci tak myśleć, panie - odparła surowo Katarzyna. - Ogarniają cię czarne myśli, bo jesteś zmęczony i osłabiony. Gdy odzyskasz siły i będziesz bezpieczny, wszystko się odmieni.

Wystarczyło, że wspomniał o swych rodzinnych stronach, by wzbudzić ciekawość dziewczyny. Nie mogła oprzeć się pokusie, ażeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym chłopcu, który ją zauroczył. Przysunęła się bliżej do



niego, przypatrując się, jak łapczywie pije wodę z dzbana.

- Jaka jest ta twoja kraina? Mógłbyś mi o niej opowiedzieć? Michał przymknął na chwilę powieki, być może po to, by łatwiej dojrzeć obrazy ze szczęśliwego dzieciństwa. Przywoływał je tak gorączkowo przez całą tę bolesną i niekończącą się drogę na kaźń, że teraz pojawiły się natychmiast.

W prostych słowach roztoczył przed Katarzyną obraz płaskowyżu smaganego wiatrem, jego granitowych landów poprzecinanych wąwozami porośniętymi zielonymi kasztanowcami, jego drogiej Owernii, najeżonej wygasłymi kraterami wulkanów. Opisywał miasteczko Montsalvy, domy z zastygłej lawy ściśnięte wokół swego opactwa, a w końcu rodzinną fortecę na zboczu wzgórza i małą kapliczkę Świętego Źródła. Słuchającej go Katarzynie wydawało się, że widzi pola gryki, niebo fioletowe o zmierzchu, kiedy górski łańcuch przemienia się w pochód niebieskawych widm. Ujrzała oczami wyobraźni perlistobiałe strumienie, wytryskujące wśród nieustannie opłukiwanych kamieni, zatracające się w głębinach jezior w oprawie z mchu i granitu, połyskujących jak ciemne diamenty. Słyszała, jak południowy wiatr wyje między skałami. Potem Michał mówił o stadach baranów, pasących się na równinie, o lasach pełnych wilków i dzików, o rwących strumieniach, w których pływają srebrne i różowe pstrągi. Katarzyna słuchała z otwartymi ustami, zapominając o bożym świecie.

- A twoi rodzice, panie? - spytała, kiedy zamilkł. - Czy żyją jeszcze?

- Mija już dziesięć lat od śmierci mego ojca, słabo go pamiętam. Był dzielnym wojakiem zaprawionym w boju, zawsze posępnym. Całą młodość strawił, wojując z Anglikami po stronie wielkiego konetabla. Po oblężeniu Chateau-neuf-de-Randon, gdzie Bertrand du Guesclin znalazł śmierć, odwiesił na ścianę swój miecz, gdyż żaden dowódca nie był godny, aby mu służyć. Moja matka uprawiała ziemię i zrobiła ze mnie mężczyznę. To ona odesłała mnie na służbę do pana de Berry, naszego suzerena, u którego

pozostałem przez rok, po czym przekazano mnie księciu Gujenny. Matka zarządzała wszystkim po mistrzowski, wychowując jeszcze mego młodszego brata.

Katarzynie nagle ścisnęło się serce, gdyż odczuła wyższość młodzieńca.

- Masz brata, panie? - spytała.

- Tak. Jest młodszy ode mnie o dwa lata i pali się do wojaczki. Będzie z niego doskonały kapitan - dodał Michał z uśmiechem. - Trzeba go widzieć, jak jeździ na oklep i jak prowadzi do natarcia tabuny urwisów z miasteczka. Jest silny jak tur i śnią mu się guzy i rany. Bardzo lubię mojego małego Arnolda!... Niebawem i on rozpocznie życie rycerskie. Matka zostanie sama, lecz jest zbyt dumna i wyniosła, aby się skarżyć.

Opowiadając o bliskich, Michał rozjaśnił się do tego stopnia, że zachwycona Katarzyna nie mogła powstrzymać pytania:

- Czy twój brat jest równie piękny jak ty, panie? Michał roześmiał się, gładząc delikatnie włosy dziewczyny.

- Znacznie bardziej. Nawet nie ma porównania. I myślę, że pod maską dzikości ma czułe serce i że bardzo mnie kocha.

Katarzyna nie śmiała się poruszyć, aby nie spłoszyć ręki głaszczącej ją po głowie. Nagle Michał pochylił się i nieoczekiwanie cmoknął ją w czoło.

- Żałuję, że nie mam siostry, którą mógłbym kochać...

- Ona także bardzo by cię kochała, panie - szepnęła szybko Katarzyna, zapłoniwszy się.

W tej chwili usłyszeli odgłos kroków nad głowami. Wróciła Luiza. Należało wrócić na górę. By usprawiedliwić swoją obecność w piwnicy, Katarzyna błyskawicznie zgarnęła kilka polan i pospiesznie weszła na drabinę, gestem nakazując uciekinierowi milczenie. Wchodząc do kuchni ze świecą w dłoni i naręczem polan, zobaczyła, że to nie Luiza, lecz służąca

Marion. Ta spojrzała na nią zaskoczona.

- Jak to... ty tutaj? Skąd się wzięłaś?

- Widzisz przecie, że z piwnicy. Zabrakło drewna na opał - odparła Katarzyna miłym głosem.

Gruba Marion wyglądała dość dziwnie w przekrzywionym czepku. Miała szeroką, niezwykle czerwoną twarz, aż połyskującą od trądziku. Jej rozbiegany wzrok nie mógł spocząć spokojnie na niczym. Chwyliła Katarzynę mocno za ramię i potrząsnęła nią silnie.

- Masz szczęście, że twoich rodziców nie było w domu przez cały boży dzień, mała nieszczęśnico! Inaczej spuchłoby ci siedzenie! Kto to widział, żeby tak włóczyć się przez cały dzień z chłopakiem!

Pochyliła się nad Katarzyną, tak że ta poczuła jej oddech mocno zalatujący winem. Jednym ruchem dziewczyna uwolniła ramię z uścisku, postawiła świeczkę na taborecie i podniosła polana, które potoczyły się po podłodze.

- A pić w gospodzie z kumami to lepiej? Jeśli mam szczęście, ty masz go równie dużo! Na twoim miejscu poszłabym spać, zanim wróci matka.

Marion czuła, że nie jest w porządku. W gruncie rzeczy była dobrą dziewczyną. Urodziła się w Beaune, krainie winnic, i lubiła wino bardziej, niż przystoi niewieście. Nieczęsto mogła folgować swojej słabostce, gdyż Jacquetta, jej mleczna siostra, która wychodząc za Gauchera Legoix, przywiozła ją ze sobą z Burgundii, miała na nią baczenie. Dwa czy trzy razy Marion dała się przyłapać mocno pijana i Jacquetta zagroziła, że następnym razem odeśle krewną do domu bez żadnych ceregieli. Były płacze, prośby i zaklęcia. Marion przysięgała na wszystkie świętości, że to już się nigdy nie powtórzy. Lecz niezwykle poruszenie, jakie ogarnęło w tych dniach Paryż, było przyczyną kolejnego wykroczenia.

Marion uświadomiła to sobie poprzez opary wina i przestała się

upierać. Chwiejąc się na nogach i mamrocząc coś pod nosem, wyszła na schody. Stopnie skrzypnęły pod jej ciężarem. Chwilę później dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi na poddaszu. Katarzyna odetchnęła z ulgą. Luizy jeszcze ciągle nie było i Katarzyna wahała się, co robić dalej. Nie czuła wcale głodu i nie chciało jej się spać. Jediną rzeczą, na którą miała ochotę, to wrócić do Michała. Jeszcze nigdy nie przeżyła wspanialszych chwil od tych, kiedy siedząc obok niego, słuchała, jak opowiadał. Pocałunek, który złożył na jej czole, ciągle przeszywał ją słodkim dreszczem. Czuła niewyraźnie, że taka chwila nie zdarza się często, i że za kilka godzin Michał ucieknie do swoich Ścigany, stanie się znów wielkim panem, nieosiągalnym dla córki złotnika. Towarzysz jednej cudownej chwili będzie już tylko dalekim nieznanym, niepamiętającym dziewczyny, którą oczarował. Jeszcze należy do niej, lecz wkrótce jej się wymknie...

Zasmucona Katarzyna podeszła do drzwi wejściowych i otworzyła górną żaluzję: deszcz przestał padać i na ulicy lśniły wielkie kałuże. Kanały wypływały ze swych czeluści nadmiar wody spływającej z rynsztoków. Na moście wzrósł ruch; pojawiły się na nim grupki chwiejnych postaci trzymających się pod ręce i wydzierających się na zabój. Widocznie nie tylko Marion uczciła trunkiem zwycięstwo buntowników. Między gospodą Pod Trzema Młotkami a końcem mostu rozległy się krzyki i śpiewy. Nie zabrzmiał jeszcze dzwon z Notre Dame na gaszenie świateł i ognia, zresztą pewnie nikt by go nie usłuchał i tak świętowano by przez całą noc.

Dziewczyna z niepokojem zastanawiała się, gdzie mógł podziewać się Landry i czy nie zapomniał o sznurze dla Michała. U Pigasse'ów, za oknami z naoliwionego papieru, migały światła. Nagle spostrzegła gromadę pijanych żołnierzy. Uczepieni jeden drugiego szli, zajmując całą szerokość mostu, zawodząc:

*Książę Burgundii, Tyś Boga radością!...*

Katarzyna zamknęła pospiesznie żaluzję i wróciła do pracowni. Należało się upewnić, czy Landry przyszedł ze sznurem. Podniosła klapę i pochyliwszy się nisko nad otworem, zawołała:

- Panie! To ja, Katarzyna! Czy Landry nie zapomniał o sznurze?

- Bądź spokojna! Mam go! Landry wróci tutaj po północy, zagwiżdże trzy razy, kiedy podpłyne pod most łodzią. Wszystko idzie dobrze!

- Spróbuj się trochę przespać, panie! Ja też się położę. Zejdę na dół, jak Landry zagwiżdże; okno mojego pokoju wychodzi na rzekę.

Usłyszawszy skrzypnięcie na piętrze, pospiesznie zamknęła klapę. W tej samej chwili zegar w pałacu wybił dziesiątą. Jeszcze co najmniej dwie godziny oczekiwania! Katarzyna wróciła do kuchni, zasypała ogień sporą ilością popiołu, przygotowała na stole zapaloną świecę na powrót Luizy i zbliżyła się do schodów wiodących na piętro. Kiedy stawiała stopę na pierwszym stopniu, weszła Luiza. Miała posępną minę.

- Matka Landry'ego źle się czuje. Wyczerpały ją bóle. Chciałam tam zostać, lecz matka odesłała mnie z twojego powodu. Idziesz już spać?

- Tak. Jeżeli chcesz coś zjeść...

- Nie, nie jestem głodna. Lepiej chodźmy spać. Musisz umierać ze zmęczenia po tym szalonym spacerze.

Siostry zgodnie udały się do swojego pokoju, rozebrały się bez słowa i wślizgnęły do łóżek. Podczas gdy Luiza po na wpół śpiącym „dobranoc” zasnęła natychmiast, gdy tylko jej głowa dotknęła poduszki, Katarzyna położyła się z niezłomnym zamiarem, że nie zamknie oczu. Było to niezwykle trudne; zmęczenie nagromadzone tego dnia dawało o sobie znać. Miękką, świeżo wypraną pościel pachnącą liściem laurowym okazała się balsamem dla obolałego ciała i sen szybko zaczął ciążyć na powiekach dziewczyny.

A przecież należało wytrzymać za wszelką cenę, by w razie potrzeby

dopomóc Landry'emu!

Ażeby odpędzić sen, zaczęła wymyślać różne historyjki, potem przypominała sobie opowieść Michała, nie pomijając żadnego szczegółu. I jeszcze ten pocałunek... na myśl o nim zadrżała. Regularny oddech śpiącej siostry działał zbyt usypiająco i już miała się poddać, gdy dziwne hałasy kazały jej się poderwać na równe nogi.

Na poddaszu cicho skrzypnęły drzwi, po czym ktoś ostrożnie przemknął do schodów. Katarzyna nasłuchiwała kroków, które mogły należeć tylko do Marion. Dokąd wybierała się o tej porze? Kroki zbliżyły się i zatrzymały przed pokojem dziewcząt. Marion sprawdzała, czy mocno śpią, więc Katarzyna zastygła w bezruchu, aby nie zatrzeszczało pod nią łóżko. Po chwili Marion oddaliła się i bardzo wolno zaczęła schodzić po schodach. Katarzyna nie mogła powstrzymać uśmiechu. Po libacji Marion z pewnością pragnęła najbardziej dzbanka zimnej wody, aby przegnać opary wina, albo była głodna. Gdy znajdzie w kuchni przedmiot pożądania, wróci do swego pokoju.

Uspokojona tą myślą Katarzyna miała położyć się z powrotem, kiedy poderwał ją nagle nowy hałas. Nie było wątpliwości: to trzeszczał właz w pracowni ojca! Marion wcale nie szukała wody! Poszła poszukać wina w schowku, gdzie zawsze jedna beczka stała napoczęta.

Ruchami sparaliżowanymi ze strachu Katarzyna narzuciła koszulę i upewniwszy się, że Luiza śpi, wyslizgnęła się z pokoju. Nie zważając już na nic, zbiegła po schodach na złamanie karku, tak że nie wiedzieć kiedy, znalazła się na dole. Właz do piwnicy otwarty był na oścież. Ciszę domu przeszył ogłuszający krzyk.

- Na pomoc! Ratunku! - wrzeszczała Marion, której gromki głos zabrzmiał w uszach Katarzyny jak trąby Sądu Ostatecznego. - Na pomoc! Łapać Armaniaka!...

Słyszając te okrzyki, Katarzyna rzuciła się na oślep po drabinie. Na dole czekał na nią przerażający widok: gruba Marion, w samej koszuli, uczepiona z całych sił opończy Michała, wrzeszczała jak opętana. On blady, z zaciśniętymi zębami, bez skutku próbował się od niej uwolnić. Alkohol i strach dodawały grubej kobiecie sił. Katarzyna rzuciła się na nią jak furia, kopiąc i okładając ją rękami.

- Zamknij się, stara wariatko! - krzyknęła. - Zamknijże się wreszcie!...  
Panie, ucisz ją jakoś, inaczej sprowadzi na nas całą dzielnicę!...

Marion krzyczała coraz głośniejsze. Nareszcie Michałowi udało się od niej uwolnić. Katarzyna, próbując ją powstrzymać, ruchem głowy wskazała okienko.

- Przez okno, panie!... Skacz przez okno! Szybciej! To twoja jedyna szansa! Umiesz pływać?...

Zanim skończyła, jego szczupłe ciało znalazło się w wąskim otworze. W tej chwili Marion, która pod wpływem wina i strachu nie panowała nad sobą, ugryzła Katarzynę w ramię, chcąc uwolnić się od uścisku, i rzuciła się na Michała. Nie przestając krzyczeć, chwyciła go za nogę. Tymczasem na zewnątrz było już słychać gwałtowne uderzenia o drewniane okiennice. To kompani Marion od dzbana nadciągali w sukurs swojemu damskiemu kamratowi. Oszołomiona z bólu Katarzyna opadła na stertę drewna, jednakże szybko się podniosła, usiłując znaleźć coś, co by pomogło uwolnić Michała, który utknął w okienku. Jej uwagę przyciągnęło ostrze siekiery, lśniące w blasku świecy. Chwyciła narzędzie i rzuciła nim w kierunku Marion. W tym samym momencie drzwi od ulicy ustąpiły z głośnym trzaskiem i jacyś ludzie zbiegli po drabinie, dostając się do piwnicy. W świetle świecy ich twarze były czerwone i Katarzynie wydało się, że to diabły wyplute prosto z piekła.

- Łapać Armaniaka! - zaskrzeczała Marion.

To wystarczyło. W ułamku sekundy Michał został pojmany mimo

rozpaczliwej obrony. Gruba Marion legła w kącie z westchnieniem ulgi, odsłaniając spod podkasanej koszuli wężowisko żyłaków na potężnych udach. Po chwili przyczołgała się do beczki i wyciągnęła się pod nią wygodnie, aby nażłopać się wina do woli. Piwnicę wypełniła dzika zgraja, która okładała Michała gdzie popadło. Każdy cios odbijał się bolesnym echem w sercu Katarzyny. Napastnicy grzmocili swą ofiarę bezlitośnie. Cuchnące winem postaci w łachmanach, szamoczące się pod niskim sklepieniem w kłębach dymu z lampek oliwnych, budziły najwyższą odrazę. Z Michała zerwano jego fioletowo-srebrną opończę. Ktoś krzyknął:

- Patrzcie, toż to nasz ptaszek, który nam zwiął, gdyśmy go prowadzili do Montfaucon, by go powiesić; ten sam, który plunął w twarz naszemu księciu!...

Odpowiedziały mu gwałtowne okrzyki:

- Na śmierć! Na śmierć! Dajcie go nam!

Popychając i szarpiąc Michała, napastnicy związali go i przymocowali do taboretu, następnie wynieśli swą ofiarę na ulicę. Jego ukazaniu się na moście towarzyszyły okrzyki nienawiści i złowróznej radości. Katarzyna na oślepie rzuciła się za prześladowcami i wczepiła się paznokciami w taboret. Błada z przerażenia Luiza próbowała ją powstrzymać. Tymczasem w domu kłębili się obcy ludzie; z otwartej na oścież pracowni wynoszono zawartość szaf, wyrywano sobie naczynia, wazy, złożone misy.

Michał bronił się zajadle, osaczony przez złowrogi tłum. Rozjuszona gawiedź tłoczyła się w domu złotnika i na moście. We wszystkich oknach zapłonęły światła. W wąskiej uliczce zrobiło się jasno jak w biały dzień. Katarzyna patrzyła ze wstrętem na wykrzywione twarze, oczy ziejące nienawiścią, wyciągnięte pięści, ręce wymachujące błyszczącymi ostrzami. Więzień starał się unikać ciosów spadających na jego głowę. Z policzka i przeciętej wargi spływała mu krew. Okropne staruchy wymachiwały mu



przed nosem swymi wrzecionami, chcąc wykluć mu oczy.

Katarzyna, uciekając przed Luizą, która chciała jej przeszkodzić w pogoni za Michałem, zagłębiła się w tłumie, narażając się na stratowanie. Żadna ludzka siła nie była w stanie jej powstrzymać. Szlochając, błagała, żeby go ułaskawili, próbując paznokciami i zębami utorować sobie drogę do przyjaciela. Nagle poczuła ostry ból i po jej policzku popłynęło coś ciepłego. Znajdowała się w samym piekle, wydana na żer dzikich zwierząt.

- Michale! - krzyknęła. - Michale!... Zaczekaj! Idę do ciebie!...

Tak silnie pragnęła go uratować, że cal po calu przedzierała się coraz bliżej niego, popychana cudem odwagi i miłości. Była to wyczerpująca bitwa, walka ponad siły wróbla z sępami. Ponieważ te potwory żądały śmierci Michała, niechże ją zabiją także, by wspólnie poszli do Matki Boskiej i Pana Jezusa!

Michał padał pod razami. Szedł, zataczając się, resztkami sił. Ogłuszony ciosami, oślepiiony krwią, która zalewała mu twarz, upadł na kolana. Jego ciało zamieniło się w jedną wielką, krwawą ranę. Katarzyna usłyszała jego jęk:

- Boże... zlituj się nade mną...

Odpowiedziano mu bluźnierczą zniewagą. Tracąc resztki sił, osunął się na ziemię. Tym razem był to już koniec. Katarzyna domyśliła się tego po wzmożonym natarciu tłumy, który rzucił się na swą ofiarę. Nagle ktoś zakrzyknął:

- Oto Caboche! Przejście! Zrobić przejście!

Katarzyna podniosła głowę. Był to rzeczywiście Caboche oprawca! Szedł, roztrącając ciżbę potężnymi ramionami, podobny do okrętu wojennego w czasie burzy. Za nim podążali kuzyn Legoix i Piotr Cauchon. Aby zrobić im przejście, tłum rozstał się i wtedy ukazało się zwinięte, budzące litość ciało Michała. Katarzyna, szlochając, podbiegła do niego,

upadła na kolana i podniosła jego jasną głowę. Twarz chłopca była jedną krwawą masą, nie do poznania: zmiążdżony nos, rozerwane usta, rozgniecione na powybijanych zębach. Jęczał na wpół żywy.

- Gdzie go znaleźliście? - usłyszała nad sobą głos Caboche'a.

- W piwnicy złotnika Gauchera Legoix. Domyślaliśmy się, po czyjej jest stronie! - odparł czyjś głos. - Spalimy mu dom!

- A wraz z nim cały most! - przerwał ironicznie Caboche. - Ja zdecyduję, co zrobimy!

Katarzyna poczuła, że ciało, które trzymała w objęciach, drgnęło.

Michał wyjąkał z najwyższą trudnością:

- To ja sam... schowałem się u nich... Ci ludzie... nic o tym nie wiedzieli...

- To nieprawda! - wybuchnęła Katarzyna. - To ja sama...

W tej chwili silna dłoń zamknęła jej usta i Katarzyna została uniesiona w górę przez Caboche'a.

- Zamknij się! - syknął wśród głośnych okrzyków tłumu. - W przeciwnym razie nie będę mógł uratować żadnego z was... nawet jeśli nadarzy się okazja!

Prawie uduszona potężnymi muskułami, dziewczyna umilkła, a jej łzy płynęły na owłosione ramię unoszące ją do góry.

- Ocal go, błagam cię! Bardzo go kocham - wyszeptała.

- Nie mogę, jest już za późno. Śmierć będzie dla niego zbawieniem, w jego położeniu...

Oniemiała ze zgrozy zobaczyła, jak Caboche wymierza kopniaka leżącemu.

- Mamy go! Już się nam nie wymknie! Prędszej! Skończyć z nim! Zbliź się, Wilhelmie Legoix! Pokaż wszystkim, jakim dobrym jesteś rzeźnikiem! Wykończ to ścierwo!

Kuzyn Wilhelm zbliżył się, czerwony z podniecenia, w opończy z brązowego aksamitu ociekającej krwią. Wstąpił w niego katowski duch, co można było wyczytać w spojrzeniu pałającym okrutną radością na widok tryskającej krwi, w uśmiechu jego grubych, wilgotnych warg. W rękę mocno trzymał rzeźniczy zakrwawiony tasak. Caboche poczuł, że ciało Katarzyny sztywnieje. W obawie, aby nie krzyczała, zakrył jej usta ręką, a równocześnie przynaglał Wilhelma:

- Szybciej! Skończ z nim prędzej... ze względu na dziewczynę...

Wilhelm potakując głową, podszedł do Michała. Dłoń Caboche'a litościwie zakryła usta dziewczyny, a potem zasłoniła jej oczy. Dziecko nie zobaczyło nic więcej, ale usłyszało straszliwy bulgot, poprzedzony głuchym rżeniem. Tłum zawył z radości. Zwinnie, niczym jaszczurka, dziewczyna wyślizgnęła się z uścisku Caboche'a i upadła na kolana. Jej oczy zognomniały ze zgrozy. Odruchowo podniosła ręce do ust. Przed nią, w kałuży krwi, leżało ciało Michała, a obok jego odrąbana głowa; z szyi buchały strumienie krwi. Chwilę później jakiś człowiek w zielonej opończy łuczników z Burgundii zatknął odciętą głowę na ostrzu lancy.

Z ciała dziewczyny też uchodziło życie; jej ręce i nogi zlodowaciały, a z gardła wydobywał się rozdzierający krzyk, okropny, ostry, wzmagający się wraz z bólem niemożliwym do zniesienia.

- Ucisz ją! - krzyknął Wilhelm Legoix do Caboche'a. - Wyje jak pies po śmierci pana!

Caboche schylił się i podniósł Katarzynę z ziemi. Jej oczy patrzyły nieruchomo, a przez zaciśnięte zęby dobywał się nadal nieludzki krzyk przechodzący w ziajanie osaczonego zwierzęcia. Twarz dziewczyny wstrząsana drgawkami oblekła się kamienną szarością. Jej ciało wiło się w straszliwych konwulsjach, jakby pchnięte setkami noży. Dłoń rzeźnika zmusiła ją do zamilknięcia. Oczy zasnuły się jej czerwoną mgłą, a w uszach

brzmiał zgiełk, który rozsadzał jej głowę. Porażający ból karku wyrwał jej jeszcze jeden słabnący krzyk. Katarzyna osunęła się bezwładnie w trzymające ją wciąż ramiona. Usłyszała jeszcze dobiegający jak spod ziemi głos Caboche'a:

- Luizo!... Luizo!...

Po czym zapadła w ciemną, niezgłębioną otchłań, niczym kamień staczający się w przepaść...

RS

## *Rozdział drugi*

### *Żebrak Barnaba*

Upłynęło wiele długich dni. Katarzyna nie oglądała świtów ani zmierzchów, ani następujących po sobie dni i nocy. Trwała na pograniczu życia i śmierci spalana gorączką duszy, która wykluczyła ją ze świata żywych. W głębi swej przepaści toczyła wyczerpującą walkę ze zmorami strachu i rozpacz, z powracającą ciągle sceną zamordowania Michała, z wykrzywionymi twarzami katów wykonujących taniec śmierci wokół ofiary. Czasem przychodziło ukojenie, ale szybko ukazywały swe ohydne oblicza nieznane i przedziwne istoty. Dziewczyna usiłowała je odepchnąć resztką nadwątlonych sił.

Czasem jej się zdawało, że słyszy cichy płacz dobiegający z niekończącej się ciemnej galerii, w której głębi migotało światło. Katarzyna wlokła się tym tunelem bez końca, pragnąc dotrzeć do nieba, lecz tunel ciągnął się i ciągnął coraz dalej, w miarę jak posuwała się naprzód...

A jednak pewnego wieczoru mgły rozstały się i rzeczy przybrały wyraźniejsze kształty. Katarzyna wynurzała się z głębokich pokładów nieświadomości... Gdy otworzyła oczy, poczuła, że miejsce, w którym się znajduje, jest przedłużeniem koszmaru. Zobaczyła ciemne i niskie pomieszczenie o kamiennym sklepieniu podtrzymywanym przez dwa z grubsza ociosane filary. Jedyne światło padało tu z prostego kamiennego paleniska, gdzie płonął silny ogień. Na łańcuchu zwisał czarny, żelazny kociołek, bulgoczący wśród płomieni i wydzielający przyjemny zapach

jarzyn. Przed paleniskiem, na drewnianym trójnogu, siedział chudy, ubrany w łachmany mężczyzna i długą drewnianą łyżką mieszał strawę. Był to żebrak Barnaba.

Do jego uszu dobiegło westchnienie. Barnaba wstał pospiesznie i pochylił się nad dziewczyną, nie rozstając się ze swą drewnianą łyżką. Popatrzył z niepokojem, ale po chwili dwie głębokie zmarszczki, wyryte w kącikach ust, uniosły się w uśmiechu: Katarzyna miała oczy szeroko otwarte i patrzyła przytomnie.

- No i co, już lepiej? - wyszeptał ostrożnie, jakby w obawie, że mocniejszy dźwięk przywoła chorobę z powrotem.

Odwzajemniwszy uśmiech, spytała:

- Gdzie ja jestem? Gdzie moja matka?...

- Jesteś u mnie, twoja matka jest w pobliżu i zaraz tu przyjdzie. Jeżeli chodzi o to, jak się tutaj znalazłaś, to długa i skomplikowana historia; opowiem ci ją, gdy już całkiem przyjdiesz do siebie. Na razie musisz odpoczywać i nabierać sił. Zupa zaraz będzie gotowa.

Barnaba podszedł do kociołka. Stojąc przed ogniem, rzucał na zadymione sklepienie fantastyczny cień, którego Katarzyna wcale się nie bała. Próbowała zrozumieć, co robi w tej piwnicy i dlaczego Barnaba się nią opiekuje, lecz myślenie przychodziło jej z trudem. Opadła na poduszkę i zamknęła oczy, zbyt zmęczona, aby zadawać pytania. Po chwili zasnęła.

Barnaba był pochłonięty szumowaniem rosółu, kiedy w niskich i wąskich drzwiach pojawiła się młoda kobieta. Mogłaby uchodzić za piękność, gdyby nie ciemna karnacja i dziwny strój. Jej szczupłe, giętkie ciało przyobleczone było w koszulę z grubego płótna z rozcięciem z przodu i w zamotany na biodrach kawałek wełnianego materiału w czerwono-żółte pasy. Na ramiona narzuciła coś w rodzaju koca dla ochrony przed zimnem. Głowę owinęła kawałkami tkaniny na kształt turbanu, spod którego

wymykały się dwa grube jak ramię dziecka i czarne jak atrament warkocze z zawieszonymi na nich drobnymi monetami.

Przebudziwszy się, Katarzyna spojrzała ze zdziwieniem na przybyłą, której uśmiech odcinał się od twarzy niesłychaną bielą zębów; miała delikatne rysy i wspaniałe, czarne oczy. Barnaba podprowadził ją do łóżka chorej.

- To jest Czarna Sara - powiedział. - Zna więcej tajemnic niż stare zwierciadło. To ona się tobą opiekowała. I to jak! Co myślisz, Saro, o jej zdrowiu? W jakim jest stanie?

- Przychodzi do siebie. Niebezpieczeństwo minęło - odparła kobieta. - Potrzebuje odpoczynku i dobrego jedzenia.

Jej chude, opalone ręce dotknęły policzków, czoła i nadgarstków Katarzyny, przebiegając po nich lekko i zwinnie. Po czym Sara usiadła na podłodze przy łożu leżącej i obserwowała ją uważnie. Tymczasem Barnaba narzucił na siebie opończę z naszytymi muszlami i sięgnął po żebraczy kij.

- Posiedź przy niej chwilę - rzekł do Sary. - Zbliża się godzina adoracji Najświętszego Sakramentu w Sainte-Opportune i nie chciałbym się spóźnić. Przychodzą wtedy garncarze wyrabiający naczynia cynowe i składają śluby. Są wówczas bardzo hojni...

Wychodząc, żebrak nakazał Sarze, by spróbowała zupy i podała chorej sporą miszkę stawy.

\* \* \*

Następnego dnia, po spokojnej i krzepiącej nocy, Katarzyna dowiedziała się od matki, co wydarzyło się na moście Pont-au-Change po śmierci Michała. Strach przed pożarem powstrzymał rozszalały tłum przed podpaleniem domu złotnika, lecz zarówno izby, jak i pracownia zostały

doszczętnie splądrowane. Gaucher Legoix, powiadomiony o tym, co się dzieje, przybiegł z domu Pod Kolumnami. Usiłował dogadać się z opętańcami, którzy zawładnęli mostem i po nagłym zniknięciu Caboche'a zupełnie stracili rozum. Nieszczęsny Legoix został jednak szybko pojmany - zbyt długo zarzucano mu niechęć do dyktatury Wielkiej Rzeźni. Pomimo próśb i zaklęć żony, mimo błagań Landry'ego i jego ojca Gaucher został powieszony na własnym szyldzie, a następnie wrzucony do Sekwany. Jacquetta schroniła się u Pigasse'ów wraz z ledwo żywą Katarzyną, którą zaniósł tam Landry. Niebawem nienawiść buntowników zwróciła się również przeciwko niej. Musiała więc uciekać, a pomógł jej Barnaba przyprowadzony przez Landry'ego. Ciemną nocą popłynęli łodzią do Luwru, po czym krętymi uliczkami dotarli do kryjówki żebraka na Wielkim Dziedzińcu Cudów. Tutaj kobiety znalazły schronienie. Jacquetta opiekowała się córką, sama próbując odzyskać równowagę. Śmierć męża głęboko nią wstrząsnęła, lecz niemoc Katarzyny nie pozwalała jej pograć się w rozpacz. Życie jej dziecka wisiało na włosku. Jakby nie było dosyć nieszczęść, okazało się, że Luiza gdzieś zniknęła.

Ostatni raz widziano ją, kiedy Katarzyna straciła przytomność. Luiza chwyciła ją w ramiona, ale napierający tłum szybko rozdzielił siostry. Wtedy pojawił się Landry i uniósł swoją małą przyjaciółkę, a Luiza, nie mając dość siły, aby się wyrwać, została zagarnięta przez tłum buntowników, który rzucił się na Arkę Przymierza.

- Pewnie wpadła do rzeki - załkała Jacquetta, wycierając oczy spuchnięte od łez. - W takim przypadku Sekwana powinna była wyrzucić ciało na brzeg. Barnaba chodzi też codziennie do kostnicy w Grand Chatelet i ciągle jej szuka. Musimy cierpliwie czekać...

- Co będzie z nami? - spytała Katarzyna. - Czy zostaniemy u Barnaby?

- Ależ nie! Gdy tylko odnajdziemy Luizę, jeżeli Bóg pozwoli,



opuścimy Paryż i udamy się do Dijon. Jak wiesz zapewne, wuj Mateusz ma tam sklep z materiałami. Przyjmie nas z pewnością, gdyż jesteśmy dla niego jedyną rodziną, podobnie jak on dla nas...

Przygnębienie Jacquetty powoli ustąpiło, kiedy wspomniała o domu brata, swoim domu rodzinnym, w którym spędziła dzieciństwo i gdzie poślubiła Gauchera. To była przystań, do niej pragnęła powrócić ze wszystkich sił. Ta zacna kobieta, wdzięczna Barnabie za gościnę, jednak nie potrafiła opanować nieufności i obrzydzenia, jakim napawał ją świat żebraków, w którym znalazła się tak niespodziewanie.

Sara czuwała nad Katarzyną. Przygotowywała jej orzeźwiające napoje, podsuwała przedziwne mikstury przywracające siły. Swoich przepisów strzegła jak oka w głowie. Najczęściej podawała chorej napar z werbeny jako lek na wszelkie dolegliwości. Z biegiem dni Katarzyna, a nawet jej matka, przyzwyczyły się do tej tajemniczej kobiety o śniadej twarzy. Barnaba opowiedział im o jej losie. Sara urodziła się na Cyprze, w jednym z plemion cygańskich. Jako młodzianka dziewczyna dostała się do niewoli tureckiej. Na targu w Heraklionie została sprzedana weneckiemu kupcowi, który przywiózł ją do siebie. Sara pozostała w Wenecji około dziesięciu lat i tam zdobyła wiedzę o leczniczych ziołach. Po śmierci swego pana została odsprzedana lombardzkiemu lichwiarzowi, który przeniósł się do Paryża. Był to człowiek brutalny i okrutny. Zmaltretowana Sara uciekła od niego pewnego zimowego wieczoru. Schroniła się w kościele, gdzie trzęsącą się z zimna i głodu znalazł fałszywy ślepiec Ucho Wilka. Zabrał ją ze sobą do swej kryjówki przy dziedzińcu Saint-Sauveur i została jego gospodynią. Czarna Sara oprócz posiadania bardzo cenionego wśród żebraków talentu uzdrowicielki wróżyła z ręki. Dzięki swym umiejętnościom była często wzywana, w dużej tajemnicy, do możnych domów... I tak biegając po mieście i poznając zakątki, jakie niewielu mogło oglądać, poznała niejedną

tajemnicę miasta i niejeden dziedziniec cudów. Siedząc przy palenisku między Katarzyną i jej matką, popijając wraz z nimi korzenne wino, które umiała przyrządzić jak nikt inny, potrafiła godzinami snuć swe opowieści. Spokojnym i melodyjnym głosem rozprawiała o swoim dalekim plemienu, przytaczała plotki i przypowiadki z dziedzina. Prawie każdego wieczoru, kiedy Barnaba wracał po załatwieniu swoich ciemnych sprawek, zastawał trzy kobiety siedzące przy palenisku, znajdujące pocieszenie we własnym towarzystwie. Siadał wtedy razem z tą przedziwną rodziną, którą zesłał mu los, i on z kolei dzielił się nowinami. Przychodziła noc i królestwo żebraków budziło się do swego burzliwego nocnego życia; wówczas obecność Barnaby była niezbędną, aby uspokoić zatrwożone serca kobiet.

Bo jakże przerażający był Wielki Dziedzinec Cudów w porze, kiedy wylęgali nań jego mieszkańcy! Aż po błądy świt, dopóki z wieży Chatelet nie zabrzmiał róg strażnika oznajmiający nadejście dnia i zmianę warty przy bramach Paryża, plac wypełniała niespokojna gawiedź. Niesamowite poczwary wypełzały z wszystkich zakamarków i uliczek; pokręceni paralitycy prostowali swe członki, ślepcy odzyskiwali wzrok, z trędowatych znikwały jątrzące się rany, niezawodnie wzbudzające odruch miłosierdzia dobrych serc. Ten cud, spełniając się co noc, dał początek nazwie miejsca. Rozbestwiał też zły i okrutny tłum. Całymi nocami nie było końca wrzaskom, śpiewom i radowaniu się; około osiemdziesięciu tysięcy żebraków, prawdziwych lub nie, zalewało Paryż.

Prawo królestwa żebraków stanowiło, że wszystko, co zostanie zebrane, wyżebrane czy ukradzione w ciągu dnia, ma być przejedzone jeszcze tej samej nocy. Po rzuceniu do stóp króla żebraków dziennego łupu, zaczynało się ucztowanie. Na wietrze zapalały się wielkie ogniska, nad którymi pieczono całe zwierzęta. Otwierano setki beczek wina, tu i ówdzie kipiały kociołki, w których warzyły strawę wiedźmy podobne do postaci z

bajek. Cały Wielki Dziedziniec rozblyskiwał krwawymi płomieniami łuczyców, a w ich świetle poruszały się tajemnicze, potargane cienie, wykonujące swój opętańczy taniec na tle walących się ruder. Dla Katarzyny był to świat nierzeczywisty, znany jedynie z opowiadań.

Przed największym ogniskiem królował mężczyzna rozpierający się na stercie kamieni przykrytych szmatami. Miał być kark, schowany w zbyt szerokich ramionach, i długi, prawie trójkątny tułów, wsparty na krótkich i grubych jak pniaki nogach. Włosy, które przypominały słomianą strzechę, przykryte były beretem, ongiś zapewne czerwonym. Jego szeroka, nabrzmiąca twarz zaskakiwała bielą zębów. Był to Machefer, król żebraków, niepodzielny władca szesnastu paryskich dziedzińców cudów, a także przywódca całej francuskiej braci żebraczej. Czarna przepaska na lewym oku, wylupionym przez kata, czyniła jego twarz przerażającą. Siedział z pięściami na kolanach, a obok niego sterczała lanca z zatkniętym na jej ostrzu krwawym płatem mięsa. Przewodząc zabawom i rozrywkom gawiedzi, popijał piwo, które dolewała mu bez przerwy jakaś na wpół naga dziewczka.

Katarzyna była zafascynowana tym spektaklem. Po wyjściu z niemocy co noc opuszczała swoje łóżko i prześlizgiwała się do piwnicznego okienka umieszczonego na wysokości podłogi, które dawało jedyne światło w twierdzy Barnaby. Wyciągając szyję, wytrzeszczała ciekawie oczy na te bachanalia, aby niczego nie uronić z widowiska. Ponieważ uczty żebraków niezmiennie kończyły się orgiami, dziewczyna dowiedziała się wielu rzeczy o prawach natury. Kiedy w krwawym świetle gasnących ognisk żebracy gziali się gdzie popadło, nie starając się nawet ukryć w mroku, doznawała dziwnego uczucia, budzącego się w podświadomości dorastającej dziewczyny. Umarłaby ze wstydu, gdyby Jacquetta przydybała ją na tym, lecz w swoim ciemnym kąciку nie mogła oderwać oczu od wyuzdanego

widowiska. Dowiedziała się też, jak wyglądają niektóre zwyczaje w królestwie żebraków.

Kilka razy była zdumionym świadkiem przyjęcia nowej członkini do świata cieni. Jeżeli była nią młoda dziewczyna, najpierw rozbierano ją do naga, po czym musiała zatańczyć przed królem przy dźwiękach tamburynów. Jeżeli Machefer nie zabrał jej dla siebie i nie posłał do swego (licznego już) haremu, wtedy zainteresowani osobnicy bili się o jej posiadanie, którego to aktu dopełniał zwycięzca w obliczu zebranej gawiedzi.

Za pierwszym razem Katarzyna na ten widok zakryła oczy rękami, po czym schowała się pod kołdrę. Za drugim razem została na miejscu i oglądała scenę przez palce. Ale za trzecim razem obejrzała ceremonię od początku do końca.

Pewnej nocy przyprowadzono przed Machefera bardzo młodą dziewczynę, niewiele starszą od Katarzyny. Po rozebraniu ukazało się ciało wiotkie jak liana, trochę chłopięce, i drobne piersi, które dopiero zaczynały się uwypuklać. Na ramionach neofitki podskakiwały grube, kasztanowe warkocze. Gdy zaczęła tańczyć przed ogniskiem, Katarzyna odniosła dziwne wrażenie. Na tle rozżarzonego do białości ogniska ta szczupła, czarna postać drgała jak płomień, z beztroską i zapałem. Katarzyna pomyślała, że w gruncie rzeczy musi być przyjemnie tak tańczyć nago przed olbrzymim, rozgrzewającym ogniem. Dziewczyna była podobna do elfa lub skrzata; po skończonym tańcu stanęła zziębnięta. Machefer uczynił ręką znany już Katarzynie gest; oznaczał on, że rezygnuje z dziewczyny. Stara kobieta, która ją przyprowadziła, urażona wzruszyła ramionami i chciała zabrać swoją podopieczną, kiedy z tłumu wystąpił ohydny typek. Był bardzo niski, lecz szeroki w barach; wydawał się zupełnie kwadratowy. Jego pokiereszowana twarz nie była dziełem żebraczych sztuczek, a olbrzymi, pokryty brodawkami nos mienił się wszystkimi odcieniami fioletu. W jego gębie,

rozwartej w obleśnym uśmiechu, czerniło się kilka wyszczerbionych zębów. Katarzynę przeszył dreszcz grozy, gdy ów osobnik zbliżył się do dziewczyny. Ciąg dalszy był jeszcze gorszy, niż przypuszczała. Potwór cisnął dziewczynę na ziemię i posiadł ją na oczach rozentuzjasmowanej gawiedzi. Do uszu Katarzyny dobiegł okropny krzyk młodej żebraczki i wtedy zrozumiała, dlaczego Barnaba wyraźnie zabronił jej opuszczania domu. Po chwili zobaczyła, jak wnoszono dziewczynę wśród śpiewów i rechotania: po jej nogach spływały strużki krwi.

Z czasem jednak Katarzynie zaczęło doskwierać odosobnienie. Wraz z powrotem sił coraz częściej miała ochotę się wyrwać, pobiec nad rzekę i poczuć pieśczość słońca na twarzy. Barnaba tylko kręcił głową:

- Wyjdiesz z domu dopiero w dniu opuszczenia Paryża. Wcześniej można się spodziewać najgorszego.

Pewnego dnia Landry, który prawie codziennie odwiedzał Katarzynę, przybiegł, wołając już od progu:

- Wiem, gdzie jest Luiza!...

Włócząc się po wyspie La Cite, około drugiej prymy, Landry dotarł na targ Notre Dame z zamiarem kupienia flaków, które matka kazała mu przynieść na podwieczorek. Jako fanatyczny wielbiciel Caboche'a udał się prosto do jego matki, która miała jatkę z podrobami, wypełniającymi całą okolicę charakterystycznym, mdlącym zapachem. Przez cały dzień jej towar, wypełniający duże, żelazne kadzie, był wystawiony przed domem handlarki. Tłusta i zwalista jejmość Caboche zazwyczaj rozpierała się obok wagi z żelazną piką w ręku. Była znana w całej dzielnicy ze swego złego usposobienia, które przekazała słynnemu synowi, a także nieumiarkowanej miłości do butelki.

Gdy Landry dotarł do domu matki Caboche'a, zastał drzwi zamknięte. Żaluzje były zaciągnięte i gdyby nie uchylone drzwi, można by sądzić, że w

domu nie ma nikogo. Przed drzwiami stał chodzący po prośbie mnich z zakonu braci mniejszych, w habicie z burej, grubej tkaniny, przepasany sznurem z trzema węzłami, i próbował dogadać się z właścicielką, której nadałana twarz widniała w uchylonych drzwiach.

- Dajcie choć trochę chleba dla braci mniejszych, dobra kobieto - prosił zakonnik, nadstawiając koszyk. - Dzisiaj, w wigilię świętego Jana, nie możecie odmówić!

- Mój kram jest zamknięty, wielebny ojcze - odparła na to matka Caboche'a. - Jestem chora i ledwo dla mnie starczy. Idźcie swoją drogą i módlcie się o moje zbawienie!

- Ale przecież... - nalegał zakonnik.

Kilka gospodyń idących na targ zatrzymało się, aby złożyć jałmużnę w jego koszyku. Jedna z nich oznajmiła:

- Już od dwóch miesięcy jest zamknięte, mój ojcze, i nikt nie wie dlaczego. Co zaś się tyczy jej choroby, można usłyszeć, jakie co wieczór odprawia nieszpory. Pewnie, że musi być zmęczona... z przepicia!

- Robię, co mi się podoba - odpaliła jejmość Caboche, usiłując na próżno zamknąć drzwi, gdyż uparty mnich wetknął stopę między drzwi, nie dając za wygraną.

- Dajcie choć trochę wina - nalegał pouczony przez sąsiadki.

Matka Caboche'a poczerwieniała ze złości jak piwonia i parsknęła:

- Nie ma wina! A idźże do dla...

- Ależ, moja córko!... - przerwał jej przestraszony mnich, czyniąc pospiesznie znak krzyża, ale ani myśląc wyciągnąć sandały spomiędzy drzwi.

Tymczasem przed domem flaczarki gromadziły się grupki gapiów. Wszyscy znali brata Euzebiusza, najbardziej upartego w całym klasztorze. Trochę chorował ostatnimi czasy i teraz chciał nadrobić stracony czas.

Rozbawiony Landry podszedł bliżej, aby zobaczyć, kto zwycięży: znana ze skąpstwa kramarka czy uparty braciszek. Jedni śmiali się tylko, inni brali czyjąś stronę, zależnie od tego, czy trzymali z Kościołem, czy z Szymonem Nożownikiem. Podniosła się okropna wrzawa. W pewnej chwili chłopiec, podniósłszy wzrok, dostrzegł w jednym z okien na pięterku czyjąś bladą twarz. Rozpoznał twarz wyglądającej. Odruchowo uczynił znak ręką, na który osoba ta nieśmiało odpowiedziała. Luiza rozpoznała go, był tego równie pewny, jak tego, że on ją rozpoznał! Jaka szkoda, że zaraz zniknęła. Zapominając o kupnie flaków, przedarł się przez tłum i szybko pobiegł na dziedziniec Saint-Sauveur.

Katarzyna słuchała opowieści Landry'ego z zachwytem, lecz Barnaba był wielce zatroskany.

\* \* \*

- Obawiałem się, że Caboche skorzysta z zamieszania, aby porwać Luizę i zabrać ją do siebie, gdzie jej pilnuje stara. Nie wypuści zdobyczy tak łatwo.

Słyszając te słowa, Jacquetta upadła koło paleniska i poczęła rozpaczliwie szlochać, kryjąc twarz w spódnicach. Sara pochyliła się nad nią i gładziła ją po głowie, usiłując uspokoić nieszczęśliwą matkę. Ale na próżno.

- Moja mała Luiza!... Moja owieczka, chciała pozostać niewinna... A on mi ją zabrał, ten wieprz!... Ten potwór!...

Jacquetta umierała z rozpacz i nikt nie znajdował wystarczających słów pocieszenia. Dopiero Barnabie udało się ją nakłonić, aby podniosła spuchniętą i mokrą od łez twarz. Przejęta rozpaczą matki i wrząca z oburzenia na myśl o odrażającym Caboche'u, Katarzyna rzuciła się jej na

szyję.

- Musimy odbić Luizę! - oświadczył Barnaba. - Jeden Bóg wie, jakich zniewag nieszczęsna dziewczyna doświadczyła od tego bydlaka!

- W jaki sposób chcesz ją wydrzeć z jego szponów? - spytała Sara.

- Oczywiście nie sam! Wystarczyłoby, żeby matka Caboche'a krzyknęła, a zaraz zbiegnie się pełno ludzi gotowych jej pomóc, by przypodobać się synalkowi lub przynajmniej nie ściągnąć na siebie jego gniewu. Tylko jeden człowiek może nam pomóc: Machefer!

Sara podeszła do Barnaby i szepnęła mu coś na ucho, tak żeby nikt nie słyszał. Lecz jej słowa dobiegły uszu Katarzyny.

- Nie obawiasz się, że Machefer każe sobie zapłacić w naturze?

Zwłaszcza że dziewczyna jest ładna!

- To całkiem możliwe, choć mam nadzieję, że uda mi się go powstrzymać. Ale każda rzecz w swoim czasie! Na razie myślmymy o Caboche'u. Machefer ma prawie tylu ludzi, co oprawca. W tej chwili pewnie kręci się przy pałacu króla Sycylii, gdzie zwykle chodzi na żebrzy. Znasz go, Landry?

Chłopiec zmarszczył brwi i pogardliwie wyduł wargi.

- Czy to ten, który każe się nazywać, Piękny Colin, typek z żołzami?

- Tenże sam! Biegnij po niego. Powiedz mu, że żebrak Barnaba wzywa go, a jeżeli będzie robił trudności, powiedz mu, że go pilnie potrzebuję, aby poznać kostki do gry. Będiesz pamiętał?

- Pewnie! - odparł Landry, naciągając beret aż po uszy, po czym pocałował Katarzynę, która uczepiła się jego ręki.

- Pójdę z tobą! Już nie mogę tu wytrzymać.

- Lepiej nie! - wtrącił się Barnaba. - Za bardzo rzucasz się w oczy. Wystarczyłoby, żebyś zgubiła czepek; nikt inny w Paryżu nie ma takich włosów jak ty. Możesz wszystko zepsuć. Poza tym lepiej, żeby Machefer



nigdy cię nie spotkał...

Landry zniknął za drzwiami, a dziewczyna rzuciła smutne spojrzenie na promień słońca, który wślizgnął się do środka i spoczął na schodach. Jakże musiało być pięknie w ten czerwcowy dzień! Barnaba obiecał, że po odbiciu Luizy natychmiast opuszczą Paryż, lecz ta chwila ciągle nie nadchodziła. Czy aby uda się teraz?

Katarzyna nienawidziła Caboche'a z całego serca. Był sprawcą wszystkich ich nieszczęść.

Nie czekali długo. Po godzinie Landry wrócił. Towarzyszył mu typ tak odrażający, że Katarzyna schowała się za matkę. Często oglądała Machefera w nocy, jak przewodził ucztom swoich nędznych poddanych; otaczał go wówczas królewski splendor. Nigdy jednak nie widziała go w roli żebraka. Był niższy od Barnaby o głowę. Opierał się na dwóch kulach, a jego pobrudzona opończa była niemiłosiernie rozciągnięta na plecach przez olbrzymi garb wystający mu ponad głowę. Jedną nogę, owiniętą zakrwawionymi szmatami, miał podkurczoną, a jego ciało pokrywały ropiejące rany. Błyszczące, białe zęby drapieżcy zostały miejscami zrzęcznie przyczernione, do złudzenia przypominając dziury i wyszczerbienia. Oko żebraka rzucało żywy blask, drugie zaś, wyłupione - jedyna prawdziwa ułomność Machefera było schowane pod szarawą przepaską. Machefer odrzucił przy schodach kule, rozprostował nogę i zbiegł po stopniach ze zwinnością młodzieńca. Katarzyna powstrzymała okrzyk zdziwienia.

- Czego chcesz? Chłopak powiedział mi, że mnie potrzebujesz, i to zaraz! - zawołał.

- To prawda. Posłuchaj, Machefer, nie zawsze się zgadzamy, ty i ja, ale ty tu jesteś panem i nigdy nie zdradzasz swych przyjaciół. Pewnie będziesz się śmiać, bo to, co ci proponuję, to dobry uczynek.

- Kpisz ze mnie?

- Skądże! Posłuchaj lepiej!...

Barnaba szybko wyjaśnił Macheferowi, czego od niego oczekiwał. Ten słuchał w milczeniu, usuwając ze skóry przyklejone wrzody. Kiedy Barnaba skończył, zapytał:

- Dziewczyna jest ładna?

Barnaba ukradkiem ścisnął dłoń Jacquetty, żeby powstrzymać jej reakcję, i odpowiedział spokojnie:

- Jest miła, ale nic poza tym. Blondynka, lecz zbyt blada. Nie spodoba ci się... do tego nie lubi mężczyzn. Cała zapatrzona w Boga. Zostanie zakonnica.

- Takie bywają przyjemniutki... - rzekł Machefer zadumany. - W tej chwili Caboche jest silny. Atakować go to ciężka sprawa.

- Nie dla ciebie! Czego się boisz? Dzisiaj ma władzę, jutro może ją stracić.

- Możliwe, lecz co zarobię w tej całej historii oprócz guzów?

- Nic - odparł twardo Barnaba. - Tylko wdzięczność. Dotąd o nic cię nie prosiłem. Niebawem zobaczę się z moim panem, królem bractwa żebraczego. Mam donieść Jakubowi Marynarzowi, że Jednooki Machefer niczego nie zrobi bezinteresownie i nie chce oddać przysługi przyjacielowi? Rozmowa żebraków zirytowała Katarzynę w najwyższym stopniu. Dziewczyna płonęła z niecierpliwości, pragnęła, żeby szybko zabrali się do dzieła. Po co tyle niepotrzebnych słów, kiedy Luiza czekała na wyrwanie ze szponów oprawców? Tymczasem były to już ostatnie uwagi Machefera. Siedząc na schodku, drapał się po głowie i targał uszy. W końcu, odcharknąwszy, splunął na pięć kroków i wstał powoli.

- Dobrze. Zgadzam się. Musimy pogadać i zobaczyć, co się da zrobić.

- Wiedziałem, że można na ciebie liczyć! - wykrzyknął Barnaba. -

Chodźmy teraz do Łakomej Zorzabeli wypić szklanice piwa i ustalić

szczegóły. Poczekamy, aż zapadnie noc. To noc świętojańska i będzie wielki ruch wokół ognisk...

Obaj żebracy wyszli, kierując swe kroki do gospody, którą prowadziła Zerzabela, sprzedajna dziewczka, umiejąca jak nikt inny przyciągać liczną klientelę. Jacquetta odprowadziła ich wzrokiem pełnym obawy.

- I pomyśleć, że jestem zmuszona powierzyć ratunek córki takiej kreaturze - powiedziała, z trudem powstrzymując łzy.

- Najważniejsze - odparła z pewnością siebie Katarzyna - to odnaleźć Luizę i sprowadzić ją do domu.

Sara uśmiechając się, przyciągnęła dziewczynę do siebie i pogłaskała po głowie. Cyganka odczuwała prawie zmysłową przyjemność przy układaniu jej złocistych włosów; potrafiła szcztokować je całymi godzinami lub gładzić miękko i pieścizotliwie.

- Nasza mała ma rację - rzekła. - Będzie miała zawsze słusność, zwłaszcza wobec mężczyzn... Ponieważ z pączka przemieni się w zachwycający urodą kwiat, który będzie łamać serca...

Katarzyna spojrzała na nią uważnie. Zdziwiły ją słowa Cyganki, gdyż dotąd żaden chłopiec nie dał jej odczuć, że jest piękna. Owszem, niektórzy zachwycali się jej włosami, oczami, lecz nic poza tym! Nigdy nie usłyszała najniewinniejszego komplementu. Ani od Landry'ego, ani od Michała... Wspomnienie nieżyjącego chłopca przygasiło jej zainteresowanie dziwnymi słowami Sary: w głębi serca było jej obojętne, czy będzie piękną kobietą. Jakież to miało znaczenie, gdy Michała nie ma już wśród żywych! Tylko dla niego chciała być piękna... lecz teraz było za późno! Musiała powstrzymać łzy, które wywoływała każda myśl o nim.

- Nie zależy mi wcale na urodzie - oświadczyła w końcu. - Mężczyźni uganiają się za pięknymi kobietami tylko po to, aby je skrzywdzić!

Nie dodała nic więcej, choć w oczach Sary dostrzegła zdziwienie.

Poczuła nagle, że się rumieni na wspomnienie nocnych orgii oglądanych z ukrycia, tych zwierzęcych chuci, których ofiarami padały najpiękniejsze dziewczęta. Sara nie spuszczała z niej oczu, jakby posiadała zdolność czytania w najskrytszych myślach swej małej przyjaciółki. Nie pytając o nic, uśmiechnęła się dobrotliwie.

- Chcesz czy nie, Katarzyno, będziesz bardzo piękna. Zapamiętaj me słowa... Piękniejsza, niżbyś chciała... Pokochasz tylko jednego mężczyznę... Będzie to namiętna miłość. Dla niego zapomnisz o dostatkach, opuścisz dom i własne wygodne łóżce i udasz się w drogę, by go odnaleźć, nie wiedząc nawet, czy cię zechce... Będziesz go kochała bardziej niż samą siebie, bardziej niż wszystko, ponad życie...

- Nigdy nie pokocham żadnego mężczyzny, a zwłaszcza tak mocno! - wybuchnęła Katarzyna, tupiąc nogą ze złości. - Jedyny, którego kochałam, nie żyje!

Urwała nagle, przerażona własnymi słowami, i spojrzała na matkę w obawie przed jej reakcją. Na szczęście Jacquetta niczego nie usłyszała, zbyt zajęta modlitwą; siedząc przed paleniskiem, przesuwając paciorki różańca z bukszpanu. Sara ujęła dłonie Katarzyny w swe ręce i ścisnąwszy jej nogi między swymi kolanami, ciągnęła cichym, natrętnym głosem:

- Chcesz czy nie, tak będzie! Na twoich małych dłoniach pokazane są przedziwne rzeczy... Pisana jest ci wielka miłość, przez którą wiele wycierpisz, ale i przeżyjesz radości tak ogromne, że aż trudne do wyrażenia. Wielu mężczyzn będzie cię kochać... a zwłaszcza jeden! Cóż widzę? - Podniosła dłonie dziewczyny do góry i przyjrzała się im uważnie, marszcząc czoło. - Widzę księcia... prawdziwego księcia! Pokocha cię i wiele dla ciebie uczyni. Ale ty pokochasz innego. Widzę go! Piękny, młody, szlachetnie urodzony... oschły, nieustępliwy. Nieraz skaleczysz się o kolce, które bronią jego serca, ale pamiętaj, że łzy i krew najbardziej cementują szczęście.

Będziesz szukać tego człowieka jak zgubiony pies szuka swego pana, będziesz czołgać się jego śladem z nosem przy ziemi jak ogar tropiący jelenia. Zdobędziesz sławę, bogactwo, miłość, wszystko!... Zapłacisz za to bardzo drogo! W końcu... kogóż widzę?!.... Spotkasz anioła...

- Anioła? - zdumiała się Katarzyna.

Sara puściła dłonie dziewczyny. Nagle wydała się zmęczona i postarzała. Jednakże jej wzrok, błędzący ponad brudnymi ścianami nory Barnaby, płonął niezwykłym blaskiem, jakby zapalono jednocześnie setki świec.

- Tak! Anioła! - powtórzyła w ekstazie. - Anioła wojny z ognistą szpadą.

Widząc, że Sara oddała się zbyt od rzeczywistości, Katarzyna potrząsnęła nią lekko, aby sprowadzić Cyganek z powrotem na ziemię.

- A ty, Saro, czy powrócisz na swoją wyspę za błękitnymi morzami?

- Niestety, moja droga, sobie nie potrafię przepowiedzieć przyszłości, ani odczytać całkowicie księgi mego życia. Pewna starucha przepowiedziała mi, że odejdę na zawsze od swoich, lecz że do nich wrócę. Podobno to plemiona cygańskie przyjdą do mnie\*.

*\* W 1416 roku pierwsze szczepy cygańskie przybywały do Europy z Grecji, ze środkowego Wschodu, a nawet znad rzeki Indus.*

Tymczasem powrócił Barnaba, wydawał się całkiem zadowolony.

- Słuchajcie, wszystko postanowione. Plan jest przygotowany. Gdy tylko nadarzy się okazja, odbijemy Luizę Caboche'owi.

- Po co czekać? - krzyknęła z zapalem Jacquetta. - Dlaczego nie dzisiaj wieczorem? Ona już się dosyć naczekała i ja także!

- Uspokój się, kobieto! - rozgniewał się żebrak. - Musimy ją porwać,

nie dając się zabić. Tej nocy zapalimy ogniska nocy świętojańskiej. Największe stosy przygotowano przed pałacem i na placu Greve. Nie możemy ryzykować naszej akcji dwa kroki od ogniska, które przyciągnie największe tłumy. Na domiar złego Caboche jest dowódcą straży mostu Charenton. Ma broń i ludzi. Jest silniejszy niż zwykle. Trzeba jeszcze poczynić inne przygotowania, gdyż po akcji ziemia zacznie się nam palić pod nogami. Caboche będzie węszyć wszędzie, nawet na dziedzińcu cudów, gdzie ma swoich ludzi. Po porwaniu Luizy opuścimy Paryż.

- Czyżbyś miał zamiar nam towarzyszyć? - spytała zachwycona Katarzyna.

- Zgadza się, moje dziecko! Mój pobyt tutaj dobiega końca. Muszę stawić się przed szefem. Król bractwa żebraczego wzywa mnie do Dijon. Wyruszymy zatem w drogę wszyscy razem.

Pokrótkie wyjaśnił kobietom, na czym polega plan, który uknuli wspólnie z Macheferem. Gdy tylko tłum się oddali, udadzą się do matki Caboche'a, spróbują wyciągnąć ją z domu lub przynajmniej skłonią do otwarcia drzwi. Potem przy pomocy kilku kamratów porwą Luizę, co już będzie dziecinną igraszką. Następnie trzeba będzie dotrzeć do składu towarów nad Sekwaną, stamtąd ukraść pierwszą lepszą łódź i popłynąć nią w górę Sekwany i Yonne, aż do Burgundii.

- Będę cię potrzebować, Saro - dorzucił Barnaba. - Chociaż wiesz, że mogą cię rozpoznać...

Cyganka beztrąsko wzruszyła ramionami.

- Pójdę z nimi, jeżeli mnie zechcą. Nie będzie to wielkim poświęceniem. Zresztą mam już szczerze dosyć Wilczego Kłosa. Uparł się, żeby ze mną sypiać, i co noc muszę go unikać. Jest coraz bardziej obleśny i nawet groził, że pošle mnie przed oblicze Machefera, abym dla niego tańczyła. Wiesz, co to oznacza?

Barnaba skinął głową ze zrozumieniem. Katarzyna w ostatniej chwili powstrzymała się, by nie zrobić tego samego. Wrzała świętym oburzeniem, gdyż darzyła swą przyjaciółkę niezwykłym przywiązaniem. Obawiała się, że Czarna Sara, mimo smagłej karnacji, jest wystarczająco piękna, aby Machefer zaliczył ją do swego haremu. Wsunęła swą dłoń w dłoń Cyganki i skierowała na nią promienne spojrzenie.

- Nie rozstaniemy się już nigdy, prawda, Saro? Pojedziesz z nami do wuja Mateusza! Zgódź się, matko!

Jacquetta uśmiechnęła się smutno. Ta stateczna Burgundka, jeszcze do niedawna tak żywa i wesoła, z dnia na dzień nikła w oczach. Jej policzki straciły kolory i przywiędły, a na jej niegdyś gładkiej i świeżej twarzy pojawiły się głębokie cienie. Sznurowany gorset wisiał luźno na wychudłej piersi.

- Sara wie dobrze, że wszędzie, gdzie będziemy, znajdzie się dla niej miejsce. Czyż nie zawdzięczam jej tego, że żyjesz?

Obydwie kobiety, porwane tą samą potrzebą serca, choć urodzone na przeciwległych biegunach społeczeństwa, padły sobie w ramiona, płacząc jedna nad drugą. Nieszczęścia bardzo je zbliżyły. Obydwie zostały oderwane od swoich korzeni, zarówno mieszcza, jak i ta córka wiatru i morza, nomadka przemierzająca drogi świata, której przodkowie szli za hordami Czyngis- Chana. Połączyła je kobieca solidarność (która bywa niesłychanie silna, gdy nie chodzi o jakąś rywalizację) i Jacquetta chętnie nazwałaby Sarę swoją siostrą.

Barnaba wziął Katarzynę w ramiona i podrzucił do góry jak dziecko. Nagle głośno pociągnął nosem, po czym szybko wytarł go rękawem koszuli i oświadczył:

- Dostyc tych czułości! Chce mi się jeść. Ponieważ jesteśmy jedną rodziną, zjedzmy wieczerzę razem. Ukradłem kilka ciastek z miodem od

Łakomej Zerzabeli; są twoje, małeńka - dodał, wyciągając z kieszeni rumiane ciasteczka.

Katarzyna była co najmniej tak łakoma jak Zerzabela, a ponieważ dawno nie miała niczego dobrego w ustach, rzuciła się na ciastka z przyjemnością. Ugryzła parę razy jedno z nich, po czym zniechęta przycisnęła swe usta, słodkie od miodu, do nieogolonego policzka żebraka.

- Dziękuję, Barnabo!...

Jego zaskoczenie było tak wielkie, że omal nie upuścił dziewczyny na podłogę. Ostrożnie postawił ją na ziemi i oddalił się w ciemny kąt izby, gdzie zabrał się do porządkowania swoich fałszywych relikwii. Słyszały, jak co chwila pociągał nosem...

- Jutro poprowadzą na ścięcie dawnego burmistrza, Piotra des Essarts'a. Całe miasto zbierze się w Montfaucon. To będzie odpowiedni moment.

W drzwiach ukazała się rozczochrana głowa Machefera, pozbawiona sztucznych wrzodów. Barnaba zajęty był układaniem kawałków kości w małych, miedzianych pudełeczkach; na każdym z nich przyklejał kawałki papieru z gotyckimi napisami.

- Wejść! - rzekł krótko.

Katarzyna stała obok, przypatrując się ciekawie tym czynnościom i było już za późno, żeby ją ukryć. Machefer natychmiast zwrócił uwagę na dziewczynę.

- Kim jest ta pannica? - spytał, wycelowawszy w nią grubym, brudnym palcem.

- To siostra Luizy, porwanej przez Caboche'a. Nie dotykaj jej, jest moją przybraną córką.

Król żebraków patrzył ze zdziwieniem na uczeponą ramienia Barnaby dziewczynę, której warkocze, dopiero co zaplecione przez Sarę, lśniły w blasku paleniska. Katarzyna, stojąc przed Macheferem, nastroszyła się jak



kogut, usiłując ukryć swój przestach. Zabijaka wyciągnął drżącą rękę i dotknąwszy jednego z jej warkoczy, zaburczał:

- No, no, stary zbytniku!... Coś mi się widzi, że chciałeś mnie wystawić do wiatru! Jeżeli starsza siostra jest choć trochę podobna do tej małej, musi być przepiękną bestyjką!

Barnaba szorstkim ruchem strzepnął rękę jednookiego z włosów Katarzyny.

- Ani trochę nie jest do niej podobna - odparł spokojnie. - A ta jest za młoda. Poprzestańmy na tym, Machefer! Jakie przynosisz nowiny? Może się czegoś napijesz?

- Nie odmówię - odparł zabijaka, opadając ciężko na taboret. - Muszę przyznać, że masz szczęście. Gdybyś nie należał do Jakuba Marynarza, wygarbowałbym ci skórę za ukrywanie takich dwóch smakowitych kąsków. Wiesz, że lubię młodziutkie dziewczynki, są wtedy takie milutkie...

Ręką głaskał swój krótki sztylet zatknięty u pasa, a w jego nabiegłych krwią oczach drgały płomienie. Wyglądał jak demon.

Przerażona Katarzyna przeżegnała się, cofając o dwa kroki. Barnaba ciągle nie przerywał swego zajęcia.

- Cóż to, teraz zajmujemy się straszeniem dzieci, Machefer? Uspokój się, mamy co innego do roboty. W końcu nie jesteś taki zły, jakiego udajesz! Przynieś nam wina, maleńka!

Nie spuszczać oczu z groźnego osobnika, Katarzyna poszła zaczerpnąć dzban wina z beczki stojącej w kącie. Było to wyśmienite wino z Beaune, jedna z tych beczulek, które Jan bez Trwogi rozdzielił wśród swoich popleczników z Wielkiej Rzeźni. Ta była przeznaczona dla rzeźnika Saint-Yona, lecz Barnabie udało się zręcznie zawrócić ją z miejsca przeznaczenia; wina tego używał przy wielkich okazjach. Machefer wychylił duszkiem dwie pełne szklanice, wytarł rękawem mokre usta i mlasnął językiem.

- Pyszności!... Nie mam u siebie takiego!

- Będzie twoje... lecz dopiero jutro, jeżeli szczęśliwie uda się nam opuścić Paryż. Będziesz mógł je zabrać. Weź sobie także mój dom. A teraz opowiadaj!

Machefer, wprawiony w dobry humor perspektywą zyskania beczki doskonałego trunku, nie dał się długo prosić. Katarzyna usiadła na ziemi między dwoma mężczyznami.

Kiedy tłum napadł na pałac Gujenny i ujął poddanych delfina, oblegał również Bastylę, w której schronił się burmistrz Paryża Piotr des Essarts wraz z pięciuset zbrojnymi, przysłanymi z Cherbourga. Forteca broniła się zjadle, ale była równie zaciekle atakowana, tak że diuk Burgundii zmuszony został do otwarcia bram i wydania Essarts'a. Nazajutrz odesłano burmistrza pod silną strażą do twierdzy Grand Chatelet, gdzie oczekiwał wyroku. Był ostatni na długiej liście ofiar Wielkiej Rzeźni. Caboche zaprowadził w Paryżu terror. Napadom, aresztowaniom, gwałtom i plądrowaniu nie było końca. Nękał go strach przed Armaniakami obozującymi pod murami Paryża, lecz obawy wzmagaly tylko jego morderczy szał. Dziesiątego czerwca jeden ze schwytyanych został zamordowany w celi, po czym w Halach odcięto mu głowę, zanim nieszczęśnik zdążył zawisnąć w Montfaucon. Tego samego dnia młody krajczy księcia Ludwika, Szymon du Mesnil, został również przetransportowany do Hal, gdzie po ścięciu głowy powieszono go pod pachy. Piętnastego czerwca przyszła kolej na Thomelina de Brie, który bronił mostu Charenton. Jutro, pierwszego lipca, do Hal zaprowadzą burmistrza.

- Cały Paryż tam się zjawi, żeby zobaczyć, jak spada jego głowa - podsumował Machefer - z wyjątkiem matki Caboche'a, którą syn zmusił do pilnowania dziewczyny. Jej kram jest nadal zamknięty, a ona sama chodzi pijana jak bąk. Trzeba zacząć działać za dnia, około trzeciej po południu. Co

do mnie, wszystko będzie gotowe. Przejdziemy przez la Croix-du-Trahoir i  
świński targ w kierunku nadbrzeża i wyspy. Ulica Saint-Denis będzie  
zapchana ludźmi... Masz łódź?

- Zobaczę, co się da zrobić.

Barnaba wstał i ułożył starannie swój towar, wkładając małe  
pudełeczka do oddzielnych woreczków. Machefer przyglądał mu się  
rozbawiony.

- Jakiego to świętego zamknąłeś w tych pudełkach? - spytał.

- No jakże to, świętego Jakuba przecie, niechaj mi wybaczy! Zapewne  
wiesz, że przybywam z Compostelli...

Machefer wybuchnął gromkim śmiechem, poklepując się przy tym z  
uciechy po udach.

- Od tak dawna sprzedajesz relikwie świętego Jakuba, że można  
pomyśleć, iż był co najmniej tak wielki jak słoń Karola Wielkiego. Nie masz  
ochoty na małą zmianę?

Rozbawienie kompana pozostawiło Barnabę obojętnego. Spojrzał na  
niego z wyrzutem, jak dobry kupiec, kiedy podają w wątpliwość jakość jego  
towaru.

- Święty Jakub sprzedaje się dobrze - odparł poważnie. - Po co mi  
odmiana? - To rzekłszy, naciągnął opończę i zawołał Sarę, która wraz z  
Jacquettą pakowała dobytek z myślą o podróży. Poklepał Katarzynę po  
policzku: - Idź pomóc w pakowaniu, moja mała. Ja nie zabawię długo.

Katarzyna paliła się, żeby pójść razem z nim poszukać łodzi, lecz  
Barnaba nawet nie chciał o tym słyszeć.

\* \* \*

Następnego dnia miasto było poruszone od samego rana. Mieszkańcy

zeszli się przy Grand Chatelet i czekali na pojawienie się skazańca. Okrzyki nienawiści powtarzane przez tysiące gardeł przybierały siłę grzmotu, zagłuszając dzwony kościelne bijące od świtu. W kryjówce Barnaby krzątania zaczęła się także od najwcześniejszych godzin. Żebrak spakował w tłumoki najcenniejsze przedmioty ze swego dobytku, dorzucając do nich rzeczy kobiet. Landry miał za zadanie zanieść je na nadbrzeże Fort-l'Eveque, do składów bogatego bractwa kupców wodnych. Barnaba zamówił miejsca na barce płynącej z ładunkiem naczyń do Montereau. Rodzaj towaru chronił ją przed zakusami żołnierzy armaniaka, patrolujących Sekwanę w Corbeil. Landry miał zaprowadzić Jacquettę do składów i czekać tam wraz z nią na przyście pozostałych. Matka pozwoliła Katarzynie, acz niechętnie, dołączyć do wyprawy na dom flaczarki, ponieważ Luiza tylko ją mogła rozpoznać wśród wybawicieli.

- Małej nic się nie stanie - zapewniał Barnaba. - A wy nie opuszczajcie składów. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, szybko do was dołączymy.

- Bądź spokojny - odpowiedział Landry. - Będę jej pilnować! Nie ruszy się na krok!

Tego dnia chłopcu było ciężko na duszy. Wyjazd Katarzyny mógł oznaczać długą rozłąkę z przyjaciółką, którą szczerze pokochał. Za nic w świecie nie powiedziałby jej tego, raczej dałby sobie uciąć język. Patrząc na nią, czuł dziwne pieczenie pod powiekami.

Tymczasem Katarzyna była nie do poznania: Barnaba przebrał ją za chłopca. Miała na sobie popielate obcisłe getry wpuszczone do wysokich, skórzanych botków, zieloną barchanową tunikę i kaptur ściśle przylegający do głowy, wykończony małym ząbkowanym kołnierzem przykrywającym ramiona. Strój ten świetnie pasował do Katarzyny, czyniąc z niej małego skrzata.

Barnaba również wyglądał inaczej niż zwykle. Opończa z naszytymi

muszlami zniknęła, schowana w tłumoku podróżnym, a włóczega przywdział suknię ze zgrzebnego brunatnego płótna i przewiązał się skórzanym pasem, do którego przytroczył obszerną sakiewkę. Na szyi zawiesił łańcuszek z medalikiem świętego Jakuba, na głowę założył kaptur tego samego koloru co suknia, zamotawszy go tak zawadiacko i zmyślnie, że trudno byłoby odgadnąć, iż w kapturze tym zdołał ukryć wszystkie swoje skarby, podczas gdy w jego wypchanej sakiewce pobrzękiwało tylko kilka marnych miedziaków. Stroju dopełniały cizmy, wystające spod sukni na pół stopy. Wyglądał na średnio zamożnego kupca, który porzucił handel. Katarzyna miała uchodzić za jego wnuczka.

Jedynie Sara pozostała w swoim codziennym stroju, ponieważ miał być pomocny w akcji. Wszyscy opuścili dziedziniec Saint-Sauveur i dopiero na granicy królestwa żebraków podzielili się na dwie grupy. Każda z nich poszła w swoją stronę: Katarzyna, Sara i Barnaba przez dziedziniec królewskiej mennicy, a Landry i Jacquetta wzdłuż pałacu d'Alençon i Luwru. Machefer i jego kompania powinni byli już znajdować się na wyspie i w pobliżu targu Notre Dame.

Katarzyna pomimo niebezpieczeństwa, na jakie się narażała, czuła się najszcześniejsza na świecie na myśl o czekającej ją przygodzie. Jakże cudownie było wyjść znowu na ulicę, zobaczyć słońce i poczuć ciepły podmuch wiatru na policzkach!

Dzwon kościoła Saint-Germain d'Auxerrois wydzwaniał trzecią, kiedy Jacquetta i Landry przechodzili przed świątynią, kierując się w stronę nadbrzeża. Tłumy ciągnęły do trasy przejścia skazańca. Tu i tam widać było też kuglarzy, linoskoczków, treserów zwierząt i wróżbitów. Nic tak nie przyciągało gawiedzi jak egzekucja. Był to dzień powszechnej radości z wszystkimi oznakami prawdziwego święta. Śmierć nie miała znaczenia...

W tym czasie Katarzyna, Barnaba i Sara szli w górę rzeki. Dla

dziewczyny przyszła ciężka chwila, kiedy ujrzała most Pont-au-Change. Dom rodzinny jeszcze stał, ale z jego rozprutych murów sypał się tynk, okna ziały otworami, ukazując puste wnętrza, a piękny niegdyś szyld został zerwany. Budynek był szkieletem, z którego uleciała dusza. Katarzyna zacisnęła oczy, pragnąc uciec jak najdalej. Barnaba przyspieszył kroku, ściskając rękę dziewczyny.

- Odwagi! - wyszeptał. - Czasami potrzeba jej bardzo dużo. Wkrótce będziesz mieć drugi dom.

- Lecz nie odzyskam ojca... - odpowiedziała przez łzy.

- Ja miałem siedem lat, kiedy strażę przyszły po mojego. Gdy pomyślę, jaką straszną zginął śmiercią, dałbym wiele, żeby został powieszony.

- Co mu zrobiono?

- To, co zwykle robi się z fałszerzami pieniędzy: ugotowano go w Morimont, w Dijon!

Katarzyna wydała okrzyk zgrozy, ale przestała płakać i szła dalej, nie odzywając się. Siłą woli odpędziła okrutne wspomnienia, które poruszyły jej serce w momencie, kiedy powinna być dzielna. Po przybyciu na rynek dostrzegli Machefera i jego ludzi poprzebieranych już to za żołnierzy, już to za mieszczan, a nawet mnichów. Wałęsali się po okolicy, czekając na umówioną godzinę. Jedyne Machefer zachował swoje łachmany żebracze. W końcu Barnaba wskazał dyskretnie zamknięty na cztery spusty dom flaczarki.

- Zaczynaj, Saro!

Cyganka odpowiedziała mu skinieniem głowy i kręcąc biodrami oraz cicho nucąc, niespiesznie wyszła na ulicę. W rękę trzymała tamburyn, którym potrzasała w rytm piosenki. Stopniowo śpiew jej stawał się donośniejszy, wyraźniejszy, lecz barbarzyńskie słowa pozostały niezrozumiałe. Była to dziwna melodia, przerywana chwilami ciszy lub wy-

sokimi dźwiękami podobnymi do krzyków, a lekko zachrypnięty głos Sary nadawał pieśni tajemniczą głębię i moc. Katarzyna słuchała jak zaklęta. W oknach pojawiły się twarze, zatrzymało się kilku przechodniów. Machefer podszedł do Barnaby pod pozorem prośby o jałmużnę.

- Jeżeli stara nie otworzy, trzeba będzie wyważyć drzwi, co? - Barnaba, pogrzebawszy w swojej sakiewce, wyciągnął jednego sola i wcisnął do brudnej dłoni żebraka.

- Oczywiście, chociaż wolałbym tego uniknąć. Przy wyłamywaniu drzwi jest sporo hałasu.

W oknach flaczarki nikt się nie zjawił. Dom wydawał się wymarły. Nagle Katarzyna pobladła i chwyciła Barnabę za rękaw.

- O Boże!... To Marion!... - powiedziała z przerażeniem na widok zwalistej postaci, która ukazała się w głębi uliczki. Barnaba uniósł pytająco brwi.

- Czy to nie wasza dawna służąca? Ta, przez którą...

- Tak, to ona. Nie mogę znieść jej widoku! - Katarzyna chciała rzucić się do ucieczki, lecz Barnaba mocno ją przytrzymał.

- Dokąd to, moja panno!? Dobry żołnierz nie opuszcza pola bitwy w obliczu nieprzyjaciela. Rozumiem, nie chcesz spotkać się z tą kobietą, bo nie wygląda zbyt mile, ale musisz tu zostać, moje ty chucherko!

- A jeśli mnie rozpozna?

- W tym przebraniu? Zdziwiłbym się, a zresztą coś mi się widzi, że biedaczka nie jest w stanie rozpoznać kogokolwiek.

W rzeczy samej, gruba kobieta wlokła się, zataczając, od domu do domu bez zachowania stałego kierunku. Katarzyna zmartwiała na myśl, co by rzekła matka, widząc swą mleczną siostrę w takim stanie. Marion bardzo się zmieniła przez ostatnie dwa miesiące: była jeszcze grubsza i brudna nie do opisanego. Jej fartuch, niegdyś bielutki i wykrochmalony, stanowił przegląd

wszelkich możliwych potraw i napojów. Niedokładnie też przykrywał jej pękającą w szwach i z wystrzępionymi brzegami sukienkę. Spod zmiętego czepca wysuwały się kosmyki tłustych włosów, a z na wpół otwartych ust wydobywał się niezrozumiały bełkot. Z błędnym wzrokiem i ze zwisającymi rękami sunęła ulicą, nie wiedząc, co się wokół dzieje. Przeszła, nie zatrzymując się, by posłuchać śpiewu Sary, której nawet nie zauważyła.

Tymczasem pieśń Cyganki i jej taniec osiągnęły dziką moc. Drzwi jejmość Caboche uchyliły się, ukazując zaciekawioną twarz flaczarki.

- Dalej, Saro, dalej! - syknął Barnaba.

Cyganka przerwała nagle występ, skoczyła do progu, wsunęła stopę między półprzymknięte drzwi, po czym zawołała:

- Przepowiem jejmości przyszłość! Z ręki, z czystej wody i z popiołu! Za jedyne dwa sole! Daj mi swą dłoń, piękna pani!

Zaskoczona matka Caboche'a chciała zamknąć drzwi, a gdy to się nie udało, zaczęła kłać jak szewc. Im głośniej krzyczała, tym bardziej Sara stawała się natrętna, obiecując jej przyszłość usianą różami. Na tak korzystne przepowiednie matka Caboche'a odpowiedziała niezbyt pochlebnymi epitetami na temat rodziców Cyganki i jej samej. Te popisy krasomówcze trwały wystarczająco długo, by dać czas ludziom Machefera na zebranie się.

- Dalej! - rzucił król żebraków. - Naprzód!!!

Dwa tuziny ludzi Machefera rzuciło się na drzwi. W okamgnieniu matka Caboche'a została zagarnięta przez falę napastników do wnętrza swojego kramu. Sara, straciwszy równowagę przy natarciu, potoczyła się aż na środek ulicy, przy czym śmiała się zadowolona.

- Nic ci się nie stało? - zaniepokoił się żebrak i pośpieszył, by ją podnieść.

- Nie, nic. Tyle tylko, że pięść Machefera, wymierzona w jejmość Caboche, pomyliła kierunek i walnęła mnie prosto w oko. Będę mieć



ślicznego siniaka. Ależ on wali na oślep, co za zwierzę! Myślałam, że mi urwie głowę.

Rzeczywiście, skóra wokół lewego oka Sary zaczęła przybierać w sposób niepokojący odcień fioletu, lecz ona sama nie traciła animuszu.

Tymczasem włóczędzy opanowali dom flaczarki, napełniając go niebywałym zgiełkiem, nad którym górowały wrzaski ofiary. Można było przypuszczać, że napastnicy nie ograniczają swoich poczynań do odnalezienia Luizy. Po kilku chwilach w drzwiach domu ukazał się Machefer, niosąc w ramionach dziewczynę przyodzianą tylko w długą białą koszulę. Jej jasne włosy rozsypały się na ramieniu żebraka.

- Czy to „to”? - zapytał.

- Luizo! Luizo!... - krzyknęła Katarzyna, chwyciwszy bezwładną rękę siostry. - Mój Boże!... Ona nie żyje!... - Jej oczy napełniły się łzami.

Barnaba wybuchnął śmiechem.

- Ależ nie, moja mała, ona tylko zemdląca. Teraz musimy się pospieszyć. Ocucimy ją w nadbrzeżnych składach.

W istocie, dziewczyna zwisała bez życia, z zamkniętymi oczami. Była niesłychanie blada i miała podkrążone oczy, jej oddech był ledwie wyczuwalny. Sara zmarszczyła brwi.

- Spieszcie się, ona jest taka blada. To mi się nie podoba.

Machefer nie kazał sobie tego powtarzać dwa razy. Zostawiwszy swoich ludzi plądrujących dom, ruszył z nimi uliczkami wyspy La Cite. Był to szaleńczy bieg, lecz Katarzynie bardzo się podobał. Luiza była uratowana!... Potem popłynię łodzią, zobaczy kawał świata! Rozpoczęła się wielka przygoda, zacierająca głębokie ślady niedawnych przeżyć.

Sekwanę przebyli jednym skokiem. Zdawało się, że Machefer, choć obarczony zemdloną, dosłownie fruwał i kompani z trudnością dotrzymywali mu kroku. W końcu dotarli do piaszczystego wybrzeża, tonącego w

oślepiającym słońcu. Bramy składu kupców prowadzące do ciemnego i ciepłego wnętrza zamknęły się za nimi ciężko.

Jacquetta wypatrywała ich od dawna. Szlochając, rzuciła się ku Luizie, lecz Sara odsunęła ją oschle.

- Ona potrzebuje pomocy, nie łez. Pozwól, że się tym zajmę.

Katarzyna, zadowolona, przycupnęła w zakurzonej kącie i powoli przychodziła do siebie. Godzinę później, siedząc na dziobie barki obok Barnaby, spoglądała na Paryż. Po jej policzkach spływały łzy, łzy rozstania z Landrym. Nie przypuszczała nawet, że będzie to takie bolesne. Nieoczekiwanie zdała sobie sprawę z roli, jaką ten chłopiec odegrał w jej życiu. On również był tak przejęty, że nie potrafił powstrzymać łzy, która zwilżyła policzek Katarzyny. Całując go pierwszy i ostatni raz, poczuła ściskanie w gardle. Nie mogła wymówić ani słowa. Landry powiedział:

- Odwiedzę cię na pewno, przysięgam. Zostanę rycerzem i zaciągnę się na służbę do księcia Burgundii. Spotkamy się znowu, jestem tego pewny...

Uśmiechnął się, próbując być dzielny, lecz serce nie chciało go słuchać; kąciki ust ciągle mu opadały. Barnaba przerwał to pożegnanie i prawie siłą umieścił Katarzynę na barce. Uniósł ją jak tobolek, podczas gdy ona płakała rzewnymi łzami.

Marynarze chwycili długie żerdzie i odbili od grząskiego dna rzeki. Barka oddalała się powoli, przecinając żółtą od piachu i mułu wodę. Ciężko było wiosłować w górę rzeki, dlatego uciekinierzy trzymali się blisko brzegu, gdzie prąd był słabszy.

Katarzyna pogrążona była w smutku także z powodu dziwnego zachowania Luizy. Odzyskawszy przytomność, dziewczyna najpierw spojrzała ze zdziwieniem na znane i nieznane twarze pochylające się nad nią, na zapłakaną twarz matki i wesołe oczy Katarzyny. Lecz zamiast dać upust radości z odnalezienia rodziny, rzucić się na szyję kochanych istot,

przycupnęła bojaźliwie w kącie, wśród piętrzących się beczek, zwojów skóry, glinianych naczyń i miarek do drewna i ziarna.

- Nie dotykajcie mnie! - krzyknęła tak dziko, że siostra zdrętwiała. Zrozpaczona Jacquetta wyciągnęła do niej rękę.

- Moja maleńka... moja Luiza! To ja, twoja matka... Nie poznajesz własnej matki? Już mnie nie kochasz?

Luiza skuliła się tylko bardziej, przybierając wygląd osaczonego zwierzęcia. Na wychudłej twarzy przyciągały wzrok jej rozszerzone z przerażenia, wyblakłe oczy. Przy tym zaciskała ręce na piersiach tak kurczowo, aż posiniały w stawach.

- Nie dotykajcie mnie! Jestem zbrukana, nieczysta!... Jestem błotem i plugastwem!... Mogę tylko wzbudzić wstęt w każdej uczciwej niewieście. Już nie jestem twoją córką, tylko rozpustnicą, kochanką oprawcy Caboche'a... Idźcie sobie wszyscy i zostawcie mnie w spokoju...

Jacquetta chciała do niej podejść, lecz Luiza odpełzła dalej, czołgając się w popielatym kurzu pokrywającym podłogę, jak gdyby ręka jej matki była rozpalonym żelazem. Sara postanowiła położyć temu kres. Jednym skokiem rzuciła się na Luizę i unieruchomiła ją w swych silnych ramionach. Nie było czasu do stracenia.

- Ja cię mogę dotknąć, moje dziecko. Ja również, dawno temu, miałam do czynienia z tym potworem. Nie powinnaś się przejmować ani gnębić biednej matki, ponieważ on zbrukał tylko twoje ciało. Twoja dusza pozostała czysta, gdyż ty tego nie chciałaś.

- Nie, nie chciałam - wyła Luiza - lecz czasem jego pieśczęty sprawiały mi przyjemność. Gdy jego ręce dotykały mojego ciała, kiedy mnie brał, krzyczałam z rozkoszy... Czasami go pożądałam. Ja, która żyłam tylko dla Boga... pragnęłam tylko Boga...

- Skąd można wiedzieć, że się chce tylko Boga, jeśli nie spróbuje się

miłości ziemskiej, moje dziecko? - rzekł Barnaba, wzruszając ramionami. - Teraz wyciągnęliśmy cię z tego i chcemy zabrać ze sobą. Za chwilę odpłyniemy. A może wolisz wrócić do Caboche'a?

Luiza wzdrygnęła się z przerażenia, nie mogąc oddalić od siebie przeklętego obrazu swego grzechu.

- Och nie, nie! Wolałabym raczej śmierć!

- Zadanie sobie śmierci jest w oczach Boga większym grzechem niż oddanie się mężczyźnie... nawet jeśli znajdowało się w tym upodobanie.

- Chciałabym zniszczyć to bezwstydną, zbrukane ciało...

- Tymczasem spóźnimy się przez ciebie na barcę - przerwał Luizie Barnaba, wymierzając jej cios w czubek podbródka. Nie za mocno, ot tyle, ile trzeba, aby dziewczyna na nowo straciła przytomność. Krzyk oburzonej Jacquetty nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. - Zmarnowaliśmy zbyt wiele czasu! Ubierzcie się szybko i przenieśmy ją na barcę. W drodze będziemy mieli dosyć okazji, by przemówić jej do rozsądku. Trzeba tylko pilnie uważać, żeby nie przyszło jej do głowy przeleźć przez burtę...

Te polecenia zostały wykonane punkt po punkcie. Zemdloną Luizę okryto i ułożono w czymś w rodzaju kabiny służącej marynarzom za schronienie. Sara i Jacquetta przejęły nad nią pieczę. Można było rozpocząć podróż.

Barnaba rozparłszy się na zwoju lin i wyciągnąwszy wygodnie długie nogi, obserwował Katarzynę. Siedziała, obejmując rękami swoje chude kolana, ze wzrokiem utkwionym w dal, a po jej policzkach spływały łzy. To, co usłyszała, głęboko ją poruszyło, gdyż przypominało potworności z dzieła cudów. Barnaba powiedział słowo „miłość”, o której Luiza mówiła z obrzydzeniem. To, co widziała na dziedzińcu, nie mogło być miłością. Miłość musiała być tym czymś, co poczuła nagle, gdy zobaczyła Michała: słodkim ściśnięciem serca, chęcią, aby być czułą i delikatną, i przemawiać

pieszczotliwie. Tymczasem Luiza krzyczała, jakby ją torturowano. Wydawała się szalona.

Barnaba otoczył Katarzynę ramieniem.

- Luiza wyzdrowieje, maleńka. Nie jest sama. Takimi cierpieniami Bóg doświadcza ludzi od początku świata. Leczenie może potrwać długo, ponieważ ma sztywne zasady i jest przesadnie pobożna. Trzeba będzie dużo cierpliwości, zanim odzyska chęć do życia. Co do Landry'ego, to z pewnością cię odnajdzie któregoś dnia. Ten chłopiec wie, czego chce, i należy do tych, którzy idą prosto przed siebie, nie zważając na przeszkody. Jeżeli powiedział, że chce zostać rycerzem księcia Burgundii, to dopnie swego, wierz mi!

Katarzyna spojrzała na Barnabę z wdzięcznością. Jego przyjacielska intuicja podsuwała mu odpowiedzi na pytania, których wcale mu nie zadała. Dziewczyna poczuła się bezpiecznie. Barnaba wyjrzał za burtę.

- Popatrz, jaki piękny jest Paryż. To największe i najpiękniejsze miasto na świecie. Dijon też ci się spodoba, zobaczysz...

Barka mijała właśnie most Pod Młynami, następnie potężne łuki sąsiadującego z nim Pont-au-Change w miejscu, gdzie stał dom Katarzyny. Dziewczyna rzuciła ostatnie spojrzenie na okienko, przez które usiłował uciec Michał, po czym szybko odwróciła głowę. Dalej z dna rzeki wyrastał gąszcz pali, na których wkrótce miał stanąć most Notre Dame. Trzy tygodnie temu król we własnej osobie, odzyskawszy na krótko rozsądek, wbił kafarem pierwszy pal. Zwisały jeszcze z niego smętne girlandy...

Wokół wznosiły się wieże i dzwonnice stolicy, pałace możnych panów, z ogrodami opadającymi aż do rzeki, prostokątne wieże Notre Dame, rysujące się na złocistym niebie, naprzeciwko placu Greve, gdzie czekały na skazańców szubienica i koło tortur. Dalej był port załadunku siana Saint-Pol z płaskimi barkami, za nim pałac i ogrody królewskie, a także wysmukłe

wieżyczki pałacu arcybiskupów z Sens. Z drugiej strony rozciągały się Wyspa Królów i wyspa Notre Dame, obydwie porośnięte trawą, z pastwiskami i srebrzystymi wierzbami. Wzrok Katarzyny spoczął na murach potężnego klasztoru celestynów, oddzielonego wąskim kanałem od małej, piaszczystej wysepki Louviaux. Tu, w miejscu, gdzie stała groźna, przysadzista wieża Barbeau, wybudowana ongiś przez króla Filipa, kończył się Paryż. Przy niej brał początek mur obronny ciągnący się aż do Bastylii, a także potężny łańcuch, którym na noc zagradzano Sekwanę. W lipcowym słońcu drzew wszystkie te urządzenia obronne wydawały się mniej surowe. Nawet kamienie stawały się przyjazne... Ciszę przerwał Barnaba:

*To miast wszystkich jest królowa,  
Studnia, źródło nauk wszelkich,  
Nad Sekwaną położona,  
Lasów, łąk i winnic,  
Dóbr żywota doczesnego  
Więcej ma niż inne miasta.  
Także obcy ją kochają  
I kochać będą, Bo piękna jest tak,  
Że innego takiego miasta nigdzie nie znajdą,  
Gdyż nic nie równa się Paryżowi... \**

- Jakież to piękne! - rzekła Katarzyna, kładąc swą zmęczoną głowę na ramieniu żebraka.

Przewoźnicy zaintonowali piosenkę, która podkreślała rytmiczność ich ruchów. Nie pozostawało nic innego, jak dać się prowadzić przeznaczeniu, zostawiając za sobą wspomnienia i dawne smutki. Katarzyna pragnęła unieść ze sobą jedynie obraz Michała de Montsalvy'ego, wyryty na zawsze w głębi

jej serca. Zielone brzegi Sekwany przesuwały się powoli. Katarzyna poczuła,  
że morzy ją sen...

*\* Wiersz o Paryżu francuskiego poety E. Descganps'a (1346-1406)  
(przyp. tłum.).*

RS

# Część pierwsza

## Droga przez Flandrię

(1422)

### *Rozdział trzeci*

### *Procesja świętej krwi*

Oberża Pod Koroną Cierniową była jedną z najlepiej zaopatrzonych i najbardziej uczęszczanych w Brugii. Mieściła się przy Wollestraat, ulicy Sukienników, między Grand-Place a Wybrzeżem Różańcowym. Odwiedzała ją liczna klientela sukienników, handlarzy wełną i innymi towarami, przybywających z całego świata. Świetność oberży podkreślały wysoka, rzeźbiona fasada i blask okien, wykonanych z małych kolorowych szybek oprawionych w ołów. O jej zamożności świadczyły wspaniałe zapachy dochodzące z obszernej kuchni, błyszczącej rzędami miedzianych, cynowych i fajansowych naczyń, świeżość strojów i powiewnych czepków służących, a



zwłaszcza okrągły brzuch jegomości Gasparda Cornelisa, jej wesołego właściciela.

Jednakże cała uwaga Katarzyny, przyzwyczajonej już w czasie poprzednich podróży do zasobności Korony Cierniowej, skupiała się tego dnia na wzmożonym ruchu ulicznym. Od poranka wszyscy się przechadzali, obnosząc swe najpiękniejsze szaty. Na wpół ubrana, z włosami opadającymi w nieładzie i grzebieniem w rękę, dziewczyna wychylała się, ile tylko mogła, z okna swego pokoju, głucha na wyrzekanie wuja Mateusza dobiegające z sąsiedniego pokoju. Sukiennik po załatwieniu swoich spraw miał zamiar wyruszyć do Dijon bladym świtem, lecz Katarzyna wymusiła na nim obietnicę, że wyjadą dopiero wieczorem, chciała bowiem uczestniczyć w słynnej procesji Świętej Krwi, największym święcie Brugii. Udało się jej bez większych trudności przekonać wuja. Mateusz trochę pogderał, bo według niego wszelkie uroczystości są zawsze okazją do wydawania złota garściami. Powtarzał, że w Burgundii czekają na niego w sprawach niecierpiących zwłoki, lecz w końcu dał się udobruchać... jak zwykle, gdyż nie potrafił niczego odmówić uroczej siostrzenicy. Do tego pocziwy ten człowiek zachował się szarmancko, ofiarowując miłemu natrętowi prześliczny czepek, cały z białych koronek, a do niego złote agrafki.

Zmęczony próżnym zrządzeniem oraz poganianiem służących, którzy ładowali na muły zakupione przez niego towary, Mateusz wszedł do pokoju Katarzyny. Zobaczywszy, że jej toaleta niewiele się zmieniła i że dziewczyna wygląda przez okno wychylona prawie do połowy, rozgniewał się na dobre:

- Jak to? Jeszcze niegotowa? Procesja za kilka minut wyjdzie z bazyliki, a ty nawet nie jesteś uczesana!

Katarzyna odwróciła się w stronę poirytowanego wuja, który stał na środku pokoju, zwałisty, na rozstawionych nogach, w opadającej na czoło szlafmocy. Podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję, zasypując go

gradem pocałunków. Wuj Mateusz szczególnie sobie cenił ten rodzaj pieszczoty ze strony swej siostrzenicy, lecz raczej dałby sobie uciąć język, niżby miał się do tego przyznać.

- Jeszcze chwileczkę, wuju! Wszystko jest takie cudowne tego ranka!

- Można by rzec, że nigdy nie widziałas żadnej procesji.

- Tej jeszcze nie widziałam ani takich pięknych strojów. Kobiety przywdziały najpiękniejsze aksamity, jedwabie i tafty, a nawet brokaty. Wszystkie są w koronkach i klejnotach, nawet te, które jeszcze wczoraj handlowały rybami pod Water-Halle!

Nie przestając pytlować, Katarzyna kończyła toaletę. Włożyła białą spódnicę w wąskie srebrne paski oraz kołnierz w tych samych kolorach. Na to narzuciła długą sukienkę z bladoniebieskiej tafty. Następnie szybkimi ruchami zaplotła włosy, nałożyła na głowę koronkowy czepek w kształcie półksiężycy i zapięła go pod brodą, co podkreśliło owal jej twarzy. Gdy była gotowa, odwróciła się w stronę wuja i spytała:

- Jak się wujowi podobam?

To pytanie było zupełnie zbędne. Pełne zachwyty spojrzenie Mateusza odbijało urodę Katarzyny lepiej niż lustro. Spełniła się przepowiednia Sary: wkraczając w dwudziesty pierwszy rok życia, Katarzyna była najwspanialszym stworzeniem, jakie można sobie wyobrazić. Jej duże oczy o zmieniającym się kolorze rozświetlały twarz, na której piegi ustąpiły miejsca pięknej, aksamitnej skórze przypominającej płatki herbacianej róży. Jej idealne proporcje ciała, wdzięczne kształty, pełne, lecz delikatne, mogłyby zachwycić najbardziej wymagającego malarza. Wielkim zmartwieniem Mateusza, Jacquetty i całej rodziny był fakt, że Katarzyna - która od chwili ukończenia szesnastu lat wzbudzała gorące uczucia w męskich sercach - ciągle nie paliła się do zameścia. Wydawało się, że władza nad mężczyznami bawiła ją jedynie, a nawet trochę złościła.

- Jesteś uosobieniem wiosny i radości - rzekł szczerze Mateusz. - Szkoda tylko, że żaden uczciwy chłopiec nie może mieć nadziei, iż cię pewnego dnia zdobędzie...

- Nie rozumiem, co bym na tym zyskała. Po ślubie uroda kobiet więdnie i traci blask.

Mateusz wznosił ręce do nieba.

- Co za pomysły! Ależ, moje nieszczęsne dziecko...

- Drogi wuju - przerwała grzecznie Katarzyna - bo się spóźnimy!

Obydwoje wyszli z pokoju. Na podwórzu oberży krzątały się służące z naręczami potraw z drobiu, tak że fruwały wstążki ich czepków. Mateusz wydał jeszcze kilka poleceń swoim ludziom. Nakazał im, by pilnowali ładunku, i zabronił upijania się w oberży, grożąc najsroższymi karami za nieposłuszeństwo, po czym, minawszy kłaniającego się w pas mistrza Cornelisa, wyszedł wraz z Katarzyną na ulicę.

Napływający zewsząd tłum gromadził się na placu Bourg, przed bazyliką Świętej Krwi. Coraz trudniej było iść pośród ciżby. Katarzyna, nie zważając na poruszenie, jakie wywoływała jej uroda, szła wyprostowana, postanawiając nie przegapić niczego z frapującego widowiska. Stojące przy placu malowane i bogato zdobione domy prawie zniknęły za gęstwiną wielobarwnych jedwabi, powyciąganych na tę okazję z przepastnych skrzyni. Między domami zawieszono girlandy kwiatów, a na drodze, którą miała przejść procesja, usypano gruby dywan ze świeżej trawy, czerwonych róż i białych fiołków. Przed domami ustawiono stojaki przykryte brokatami lub czerwono-białymi aksamitami, na których wyłożono skarby sztuki złotniczej stanowiące ozdobę mieszkań. Złote i srebrne misy, czarki, puchary wysadzane drogocennymi kamieniami lub wyrzynane niczym koronka, świadczące o bogactwie ich właścicieli i zadziwiające pięknem, były strzeżone przez dobrze zbudowanych służących.

Pomimo wysiłków Katarzynie nie udało się nawet przez chwilę dojrzeć rzymskiej bazyliki, gdzie przechowywano słynne relikwie. Sztandary, chorągwie, proporce z haftowanego jedwabiu zatknięte na lancach panów flamandzkich łopocząc na wietrze, zasłaniały kościół. Z szeroko otwartych wierzei kościoła dobiegały pieśni, które intonowały mocne flamandzkie gardła przy wtórze organów.

Po usilnych staraniach Mateuszowi i Katarzynie udało się znaleźć dobre miejsce w rogu Hal, naprzeciwko pałacu książęcego, skąd rozciągał się rozległy widok na plac targowy i miasto. Obok dwie jejmoście skakały sobie do oczu z powodu nieoddanego czepka i dopiero łucznikom udało się je rozdzielić. Wokół nich zrobiło się trochę luźniej, co Mateusz natychmiast wykorzystał, zajmując miejsce na kamiennym narożniku, na który można było się wspiąć w odpowiedniej chwili, aby - ponad morzem ludzkich głów - zobaczyć przechodzącą procesję. Poprzedni „lokator” narożnika, chudy jegomość odziany w aksamitną opończę koloru szafranu, o posepnej twarzy i opadających policzkach, zgodził się trochę przesunąć, aby zrobić miejsce dziewczynie. Nawet skrzywił usta w grymasie mogącym od biedy uchodzić za uśmiech.

Jego strój, obsyty futrem z popielic oraz lekkim, srebrnym haftem, wykazywał się pewną elegancją, lecz biła z niego nieprzyjemna woń potu, co spowodowało, że Katarzyna się odsunęła. Natomiast Mateusz, niewiele sobie z tego robiąc, wdał się z nieznanym w rozmowę. Był to kuśnierz przybyły z Gandawy z zamiarem zaopatrzenia się w faktoriach niemieckiej Hanzy w futra z Rosji i z Bułgarii. Mówił nieskładnie. Najwidoczniej rozpraszał go widok młodej dziewczyny, na którą patrzył z niemym uporem. Nieprzyjemne uczucie, jakie wzbudziło w Katarzynie to zbyt natrętne spojrzenie, spowodowało, że postanowiła nie zwracać na niego uwagi. Kolorowy tłum zalegający plac dostarczał wielu atrakcji, gdyż spotkali się tu kupcy z

siedemnastu krajów. Brudne, lecz obszyte bezcennymi futrami kaftany Rosjan sąsiadowały ze sztywnymi od haftów sukniami Bizantyjczyków. Bogate, surowe stroje Anglików przeplatały się z wytłaczanymi aksamitami i błyszczącymi brokatami kupców z Wenecji czy Florencji sprawiającymi wrażenie nowobogackich i przyciągającymi złodziei jak miód pszczoły. Tu i ówdzie ponad głowami tłumu kołysał się wielki turban z żółtej satyny, okrągły jak dynia i ozdobiony białą kitką, zdradzający obecność Turka. W głębi placu, na wysokości pierwszego piętra, akrobaci rozciągnęli linę, po której przechadzał się nonszalancko chłopak obleczony w krwistoczerwony kostium z długim balansjerem w ręku. Katarzyna pomyślała, że linoskoczek ma najlepsze miejsce do oglądania widowiska.

Dźwięk srebrnych trąbek oznajmił początek procesji. Równocześnie zabrzmiały wszystkie dzwony Brugii i Katarzyna, śmiejąc się, zatkała sobie uszy, gdyż potężny dzwon alarmowy grzmiał tuż ponad jej głową.

- Coraz trudniej jest kupić tanio angielskie wełny - narzekał Mateusz, nachylając się w stronę nieznajomego. - Florentczycy zagarniają wszystko, a potem przyjeżdżają sprzedawać swoje sukna za niebotyczną cenę. Przyznaję, że te materiały są piękne, kolory olśniewające, no, ale jednak! Tym bardziej że mają pod nosem ałun z kopalni w Tolfie, którym zaprawiają swoje tkaniny za bezcen.

- No cóż - wtrącił jego rozmówca - my, kuśnierze, mamy podobne kłopoty. Ludzie z Nowgorodu żądają teraz zapłaty w dukatach weneckich. Tak jakby nasze poczciwe złoto flamandzkie było mniej warte!

- Psst! - przerwała Katarzyna, którą denerwowały te merkantylne pogawędki. - Nadchodzi procesja!

Mężczyźni zamilkli, a kupiec z Gandawy skorzystał z tego, że dziewczyna była zajęta widowiskiem, i przysunął się do niej nieznacznie. Musiał wygiąć szyję w jedną stronę, gdyż koronkowe czubki jej wysokiego

czepka wchodziły mu do oczu. Katarzyna rozglądała się z zaciekawieniem i nie myślała o nim wcale. Procesja stanowiła naprawdę piękne widowisko. Przedstawiciele wszystkich korporacji szli z chorągwiami. Na głowach mieli wianki z róż, fiołków i majeranku, co w zestawieniu z ich pełnymi twarzami dawało niejednokrotnie zaskakujący efekt. Gromada mnichów i zastępy młodych dziewcząt w białych habitach poprzedzały bezpośrednio Świętą Krew, której nadejście rzucało ludzi na kolana.

Olśnionej Katarzynie wydawało się, że widzi zbliżające się słońce. Czterech diakonów niosło nad głową biskupa wielki, wyszywany złotem baldachim. Kapa prałata był uszyta ze złotej materii ozdobionej diamentami. Obok niego, drobnym truchtem, podążała biała mulica w uprząży inkrostowanej złotem. Prałat trzymał w dłoniach odzianych w purpurowe rękawiczki połyskujący relikwiarz, przyciskając go do piersi. Wieczko naczynia ozdabiały figurki klęczących aniołów o skrzydłach pokrytych szafirami i perłami. Przez szklane szybki miniaturowej kapliczki można było dojrzeć malutką fiołkę z czerwono-brunatną zawartością: krwią Pana Jezusa. Znajdowało się w niej kilka kropel zebranych ongiś na Golgocie przez Józefa z Arymatei. Thierry, książę Alzacji i Flandrii, któremu w 1149 roku przekazał je patriarcha Jerozolimy, przywiózł cudowną fiołkę z Ziemi Świętej do Brugii.

Zaledwie Katarzyna podniosła się z klęczek, znowu musiała się schylić w głębokim ukłonie.

- Nadchodzi księżna! - rozległy się szmery wśród tłumu.

Istotnie, tuż za baldachimem szła grupa młodych kobiet w bogatych sukniach z bładoniebieskiego brokatu oszronionego srebrem i perłami; wszystkie miały na głowach wysokie, stożkowate czepki z przypiętymi do nich mgiełkami niebieskiego muślinu. Otaczały one młodą i wdzięczną kobietę o jasnych włosach i smutnej, łagodnej twarzy. Długi tren księżęcej

sukni z niebieskiego brokatu w duże złote kwiaty, podszyty gronostajami, zmiatał z drogi kwiatki i liście. Jej czepek usiany szafirami wyglądał jak strzelista wieża z cienkiego złota. Drobna pierś i nadgarstki kobiety pokrywały błyszczące klejnoty.

Katarzyna po raz pierwszy w życiu ujrzała księżną Burgundii. W istocie władczyni nigdy nie przyjeżdżała do Dijon. Przez cały rok mieszkała ze swymi dworkami w surowym i wykwintnym pałacu książąt Flandrii w Gandawie, ponieważ jej małżonek źle znosił jej towarzystwo.

Michalina Francuska była córką nieszczęsnego, obłąkanego Karola VI i siostrą delfina Karola, którego opinia publiczna oskarżała o uśmiercenie księcia Jana bez Trwogi, trzy lata wcześniej na moście Montereau. Od momentu otrzymania wieści o zamordowaniu ukochanego ojca nikłe uczucie Filipa Burgundzkiego do żony zgasło tylko dlatego, że była siostrą jego wroga. Odtąd Michalina żyła wyłącznie dla Najwyższego i pomagała biednym. Mieszkańcy Gandawy uwielbiali ją i chowali urazę do ich prawowitego władcy za niechęć do kobiety tak dobrej i łagodnej. Uważali, że jest niesprawiedliwy i zbyt surowy.

Rzuciwszy okiem na łagodną twarz Michaliny, Katarzyna natychmiast podzieliła opinię mieszkańców Gandawy i pomyślała, że księżę Filip jest głupi. Za jej plecami kuśnierz gandawski szeptał do wuja Mateusza:

- Życie naszej biednej księżniczki jest pasmem cierpień. Czyż przeszłego roku księżę nie świętował hucznie narodzin bastarda, którego spłodził w związku z panią de Presles? Nasza dobra pani, która nie ma dzieci z wiadomej przyczyny, płakała z tego powodu całymi tygodniami. Lecz on, nieczuły na jej łzy, ogłosił dziecko Wielkim Bastardem Burgundii... jakby miał z czego być dumny!

Szczere serce Katarzyny wezbrało gniewem. Miała ochotę pobiec na ratunek małej księżnej, tak niesłusznie wzgardzonej przez męża!

Tymczasem konno zbliżał się książę Filip we własnej osobie. Jechał w otoczeniu rycerzy w ekwipunku wojennym, mających uczcić pamięć księcia Thierry'ego, który sprowadził relikwię. Książę nosił zbroję z minionej epoki. Jego ciało od ramion do kolan okrywała żelazna kolczuga, a głowę i szyję drucziana siatka; na niej miał spiczasty hełm, spod którego blada, o twardych rysach, owalna twarz była ledwo widoczna. U jego boku wisiał szeroki i płaski miecz. W lewej ręce, osłoniętej kolczą plecionką, dzierżył lancę z zatkniętym proporcem Flandrii. W prawej dłoni trzymał tarczę w kształcie wydłużonego migdała. Panowie z jego świty ubrani byli podobnie, dzięki czemu tworzyli imponujący las czarnych, żelaznych postaci, sztywnych i ponurych. Wzrok Filipa, skierowany ponad głowy zgromadzonych, nie zatrzymywał się na nikim. Jakiż wydawał się wyniosły, zamknięty w sobie i pogardliwy! Katarzyna, pochylona na nowo w ukłonie, pomyślała, że jest w istocie mało sympatyczny.

Nagle, kiedy właśnie podnosiła się z ukłonu, poczuła dwie drżące ręce ściskające jej talię. Zrobiła ruch, aby uwolnić się z uścisku. Sądziła, że ktoś, poślizgnąwszy się, uczeplił się jej, chcąc uniknąć upadku. Lecz natrętne ręce przesunęły się wzdłuż tułowia i zacisnęły na jej piersiach. Katarzyna krzyknęła z oburzenia. Odwróciła się tak gwałtownie, że aż przekrzywił jej się czepek, i stanęła oko w oko z natrętem, którym okazał się kuśnierz z Gandawy.

- Och! - krzyknęła. - Ty podły wieprzu!

Nie mogąc powstrzymać złości, z całej siły go Spoliczkowała.

Blade lica kupca zaczerwieniły się natychmiast jak maki w sierpniu, a on sam cofnął się, przykładając ręce do twarzy. Lecz Katarzyna nie zamierzała na tym poprzestać. Nie troszcząc się o swe koronkowe nakrycie głowy, które spadło na bruk, uwalniając masę lśniących włosów, rzuciła się w ślad za zuchwalcem pomimo wysiłków Mateusza mitygującego te zapędy.



- Ależ, droga siostrzenico, postradałaś zmysły, czy co? - krzyczał.

- Zmysły, wuju? No więc dobrze! Spytaj tego nikczemnika, śmierzącego handlarza skór, co zrobił. Ciekawe, czy odważy się przyznać!

Tymczasem kuśnierz przemykał w kierunku ciemnych Hal, chcąc ukryć się w ich mrocznym wnętrzu, lecz nie zdołał przebrnąć przez tłum. Ubawieni tym zajściem gapie podzielili się na stronników mężczyzny i na tych, którzy przyznawali rację dziewczynie.

- Cóż to! - parsknął kupiec korzenny o zwalistej sylwetce. - Żeby już nawet nie można było uszczypnąć dziewczyny, nie wywołując skandalu!

Młoda kobieta o świeżej cerze, okrągłej twarzy i bystrym spojrzeniu odparła na to:

- Ja również chciałabym widzieć minę tego, który odważyłby się ścisnąć mnie w tłoku. Dziewczyna dobrze zrobiła, ja takiemu nicponiowi wydrapałabym oczy! Katarzyna najwyraźniej miała podobny zamiar. W rogu Hal rozgorzała ostra bitwa, która zwróciła uwagę wszystkich. Przeciwnicy nie spostrzegli nawet, że procesja stanęła. Przez zgiełk przedarł się donośny, surowy głos.

- Hej, strażę!... Zatrzymać mi tych ludzi, którzy zakłócają procesję!

Był to głos samego księcia, który zatrzymał się w pobliżu Hal, sztywny w swojej żelaznej kolczudze, i czekał. Natychmiast czterech łuczników z jego straży osobistej otoczyło zapaśników. Katarzynę odciągnięto od broniącego się zajadłe przeciwnika; pojmana przez dwóch łuczników, została doprowadzona przed oblicze Filipa Burgundzkiego, pomimo błagań przerażonego wuja, by ją puszczono. Dziewczyna ciągle nie mogła się uspokoić. Broniła się rękami i nogami; kiedy w końcu udało się ją obezwładnić, złociste włosy spływały z jej okrągłych ramion, które błysnęły spod rozerwanego w czasie szamotaniny kołnierza. Podniosła na księcia dziko błyszczące oczy. Ich spojrzenia skrzyżowały się niczym miecze.

Krótką chwilę mierzyli się wzrokiem, jak to robią przeciwnicy przed pojedynkiem, on surowy i wyniosły na swoim koniu, ona nastroszona jak kogut gotowy do walki na śmierć i życie. Wokół nich zapanowała śmiertelna cisza, przerywana jedynie lamentami Mateusza.

- Co tu się dzieje? - spytał sucho książę.

Odpowiedział mu jeden z łuczników tarmoszący ledwie zipiącego gandawianina.

- Ten człowiek skorzystał ze ścisku, aby spoufalić się nieco z dziewczyną, panie. A ona skoczyła mu do oczu.

Filip rzucił twarde spojrzenie, pełne bezlitosnej pogardy, na rozkwaszoną twarz kuśnierza, potem skierował wzrok na Katarzynę. Ta - pewna swoich racji i zbyt dumna, aby się usprawiedliwiać czy prosić o łaskę - czekała bez słowa. Książę rozkazał:

- Zabierzcie ich! Zajmę się tym później!

Przez chwilę mówił cicho, nachylony w stronę dowódcy straży, kapitana Jakuba de Roussaya, po czym zawróciwszy swego konia, zajął poprzednie miejsce w orszaku. Procesja ruszyła dalej wśród pieśni kościelnych i zapachu kadzideł.

Kapitan de Roussay musiał poczekać, aż przejdzie orszak złożony z żywych obrazów przedstawiających sceny ze Starego i Nowego Testamentu. Dopiero teraz mógł zabrać aresztowanych, by zgodnie z rozkazem księcia zaprowadzić ich do pałacu.

Wuj Mateusz rwał włosy z głowy, a młoda kobieta, która wzięła Katarzynę w obronę, próbowała go pocieszyć. Kupiec wyobrażał już sobie serię nieszczęść, jaka miała nastąpić. Z pewnością Katarzynę wrzucą do lochu, potem osądzą i powieszą albo spalą jako świętokradczynię... Jemu spalą dom, wyrzucą go z miasta i będzie się odtąd tułał po świecie, żebrząc o chleb, zewsząd szczuty jak pies, aż Pan Bóg zlituje się nad nim i wezwie go

do siebie...

Natomiast Katarzyna uspokoiła się już i zachowywała kamienny spokój. Łucznicy związali jej ręce, lecz ona stała dumnie wyprostowana w swojej podartej sukience, z rozpuszczonymi włosami, gardząc zarówno pochlebnymi, jak i rubasznymi czy wprost sprośnymi docinkami na temat swojej urody. Nie przeszkadzały jej też wszystkie łakome spojrzenia, a nawet wydawało się jej śmieszne, że kapitan de Roussay odwracał oczy, speszony, jeżeli przez przypadek ich wzrok się spotykał. Roussay był młody i było widoczne, że aparycja pojmanej podnieca go niezmiernie.

Przedzierając się z trudnością przez tłum, kapitan przeprowadził więźniów przez plac i stanął u wejścia do pałacu. Przed Mateuszem, który ledwo dysząc, biegł za nimi, skrzyżowały się lance strażników i biedaczysko musiał zrezygnować ze śledzenia dalszych losów siostrzenicy. Pograżony w rozpacz, usiadł na kamieniu, roniąc rzewne łzy, był bowiem przekonany, że nigdy więcej nie ujrzy swej ulubienicy, chyba że dopiero na szafocie.

Po przekroczeniu bram pałacu Katarzynę i jej przeciwnika rozdzielono. Kuśnierza poprowadzono na dziedziniec, a dziewczynę de Roussay osobiście powiódł do dużych schodów.

- Panie, czy prowadzisz mnie do więzienia? - spytała.

De Roussay nie odpowiedział. Z niewzruszoną twarzą widoczną spod podniesionej przyłbicy szedł przed siebie jak automat. Wolał na nią nie patrzeć, gdyż czuł, że zmięknie, gdy tylko jego oczy spoczną na twarzy dziewczyny. Po raz pierwszy w życiu znienawidził swe obowiązki!

Przeszli schodami do długiej galerii prowadzącej do olbrzymiej, umeblowanej z przepychem komnaty, przez mniejszą salę obwieszoną bogatymi arrasami przedstawiającymi ludzkie postacie. Kapitan podszedł do jednego z nich i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w ścianie otworzyły się bezszelestnie drzwi.

- Wejdz - powiedział krótko.

Zdumiona Katarzyna dopiero teraz zauważyła, że tylko kapitan stanowił całą jej eskortę, a łucznicy zniknęli. Na progu de Roussay jednym cięciem sztyletu uwolnił z więzów swojego więźnia i pchnął lekko do środka. Drzwi zamknęły się za nią niepostrzeżenie. Kiedy Katarzyna odwróciła się, aby sprawdzić, czy kapitan idzie za nią, oniemiała ze zdziwienia: drzwi zniknęły w obramowaniu muru! Westchnąwszy z rezygnacją, powoli zaczęła się rozglądać po swoim więzieniu.

Znajdowała się w komnacie niewielkiej, lecz urządzonej z wyjątkowym przepychem. Ściany obite były złotą tkaniną, na środku stało łóżko przykryte czarnym welurem. U wezglowia nie było żadnego herbu. Ciemne zasłony złączono spinkami ze szczerego złota wysadzanych szmaragdami i przewiązano złotymi sznurami. Obok wysokiego, białego kominka miał swoje miejsce hebanowy stolik, na którym stały połączane naczynia, a wśród nich pyszniła się kryształowa czara ze złotą podstawką i przykrywką wysadzaną dużymi, okrągłymi perłami. Pomiedzy dwoma oknami umieszczony był hebanowy kufer, a na nim złota misa wypełniona szkarłatnymi różami.

Małymi ostrożnymi kroczkami Katarzyna przeszła po grubym wełnianym dywanie w odcieniu czerni i ciemnej czerwieni. Koberzec ten niedawno został przywieziony z dalekiej Samarkandy na dużym genueńskim statku, jeszcze zakotwiczonym w porcie Damme. Przechodząc, dostrzegła lustro wiszące na ścianie, a w nim odbicie dziewczyny o lśniących włosach, błyszczących oczach, w szatach tak porwanych, że ukazywały więcej nagiego ciała, niż nakazywałyby przyzwoitość. Szybko rozejrzała się za kawałkiem materiału, którym mogłaby zakryć ramiona i dekolt, lecz nie znalazłszy niczego odpowiedniego, skrzyżowała ręce na wpół nagiej piersi.

Nagle poczuła zmęczenie i głód. Katarzyna była żywym stworzeniem i

nawet w najgorszych chwilach nigdy nie traciła apetytu. Lecz w tym szczelnie zamkniętym pomieszczeniu o niewidocznych drzwiach brakowało czegokolwiek, co można byłoby schrupać. Toteż z głębokim westchnieniem usiadła na jednym z dwóch rzeźbionych hebanowych krzeseł z wysokimi i sztywnymi oparciami, ustawionych naprzeciwko siebie po obu stronach kominka. Były bardzo wygodne, gdyż położono na nich pękate puchowe poduszki pokryte czarnym welurem ze złożonymi frędzlami. Katarzyna zagłębiła się w nim jak kot i natychmiast zasnęła. Swoim przyszłym losem przejmowała się o wiele mniej niż wuj Mateusz, który przeżywał istne katusze. Gdyby miano ją oddać w ręce kata, z pewnością nie przyprawdzono by jej do tak pięknego pomieszczenia.

Minęło trochę czasu. Obudziła się nagle, wyczuwając podświadomie czyjaś obecność. Przed nią, z rękami założonymi do tyłu, stał młody mężczyzna, wysoki i szczupły, patrząc, jak ona śpi. Krzyknawszy z przestachu i zdziwienia, skoczyła na równe nogi i wbiła w przybysza przerażony wzrok. Nie był to jednak nikt obcy, tylko ksiązę Filip we własnej osobie. Zamiast kolczugi z ubiegłej epoki miał na sobie krótką tunikę z czarnego aksamitu i getry w tym samym kolorze obciskające jego długie i szczupłe, lecz muskularne nogi. Jego jasne włosy były krótko przycięte tuż nad uszami. Surowy strój podkreślał młode rysy; ksiązę nie miał więcej niż dwadzieścia sześć wiosen. Patrząc na niezgrabny ukłon nieobudzonej całkiem Katarzyny, uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Och!... Panie, jakże mi wstyd!

- Spałaś tak smacznie, że nie śmiałem cię budzić, i nie ma w tym powodu do wstydu, gdyż był to widok przecudowny.

Katarzyna spąsowiała, widząc, że wzrok księcia ślizga się po jej ciele, i pośpiesznie zasłoniła piersi rękami. Ksiązę zaś rzekł:

- Pokonwersujmy nieco, piękna awanturnico. Powiedzże najpierw, kim

jesteś, u licha?

- Twoim więźniem, panie...

- No, a oprócz tego?

- Nikim więcej... skoro mówisz mi „ty”. Nie jestem szlachetnie urodzona, ale i nie jestem prostą dziewczyną. A ponieważ nie jestem służącą, fakt, że mnie uwięziono, nie upoważnia nikogo do traktowania mnie jak sługi!

Ciężkie spojrzenie Filipa rozjaśnił na chwilę błysk ciekawości i rozbawienia. Oszłamiająca piękność tej dziewczyny od pierwszego wejrzenia zwróciła jego uwagę. Gdy patrzył na nią z bliska, odkrył w niej coś jeszcze, jakąś wartość, której nie spodziewał się nigdy spotkać. Nie chciał na razie zgadywać, co to takiego. Jego kolejna kwestia była mocno zaprawiona drwiną:

- W takim razie wybacz mi, panienko. Czy zechcesz w końcu powiedzieć, kim jesteś? Znam wszystkie ładne panny w mieście, lecz ciebie nigdy dotąd nie spotkałem.

- Nie mów do mnie „panienko”, panie! Już mówiłam, że nią nie jestem. Nie pochodzę stąd, przyjechałam z wujem kupować materiały.

- Skąd więc przybywasz?

- Urodziłam się w Paryżu, lecz mieszkam w Dijon od czasu, kiedy twoi poplecznicy, z Caboche'em na czele, powiesili mego ojca - złotnika z Pont-au-Change.

Z ust Filipa zniknął uśmiech, zamieniając się w niemły grymas. Oparłszy się o kufer, nerwowo obrywał płatki róż, które przed nim stały.

- Armaniaczka, tak? Oto, dlaczego zakłóca się procesje! Ludzie waszego pokroju powinni wiedzieć, że na tym terenie wiele ryzykują. Niezwykła to w istocie odwaga; pojawiać się tutaj, gdy jest się z tych, którzy zabili mego drogiego ojca!

- Nie należę do obozu Armaniaków! - zaprzeczyła żywo Katarzyna, kraśniejąc z gniewu. Bezczelne zachowanie i groźby księcia wzburzyły ją w najwyższym stopniu. Straciła dla niego całą sympatię. Głosem drżącym z oburzenia ciągnęła dalej: - Nie popieram żadnej partii. Twój przyjaciele, panie, powiesili mego ojca, ponieważ chciałam wyrwać z ich szponów służbę twojej siostry, pewnego młodzieńca, dla którego na próżno błagałam o łaskę u ciebie, panie, i u twego ukochanego ojca! Nie pamiętasz, panie? Działo się to w pałacu Gujenny. Małgorzata na kolanach błagała o łaskę dla Michała de Montsalvy'ego.

- Zamilcz!... Nie przywołuj tego wspomnienia, najstraszliwszego wspomnienia mej młodości. Nie mogłem uratować Michała, nie narażając się samemu.

- Czyżby? Jako mała dziewczynka chciałam wówczas tego dokonać. Z tej przyczyny zginął mój ojciec, a mnie i matkę wypędzono z domu. Musiałyśmy uciekać do Dijon, gdzie mój wuj Mateusz jest sukiennikiem. Mieszkamy u niego od czasu tej tragedii.

Zapadła cisza. Serce Katarzyny zaczęło walić jak młotem na wspomnienie tamtych okrutnych zdarzeń. Posępna twarz Filipa nie zapowiadała niczego dobrego. Za chwilę książę każe ją zamknąć do lochu i to samo spotka dobrego wuja i całą rodzinę... Lecz choćby stanęła przed nią czerwona postać kata, powtórzyłaby jeszcze raz każde słowo, które rzuciła w twarz potężnemu władcy Burgundii. Odczuwała nawet wewnętrzne zadowolenie, że tak postąpiła. Była to jakby zemsta za to, co się niegdyś stało...

Katarzyna głęboko odetchnęła i odrzuciwszy włosy do tyłu, spytała:

- Co ze mną zrobisz, panie? Wuj na pewno się o mnie niepokoi i wołałby znać prawdę... nawet tę najstraszniejszą.

Filip wzruszył gniewnie ramionami, cisnął przez okno różę, którą

zgniół w dłoni, a raczej to, co z niej zostało, i podszedł do Katarzyny.

- Co z tobą zrobię? Zakłócanie procesji zasługuje na karę. Ale ty robisz mi tyle zarzutów, że wołałbym ci się więcej nie narażać. Oprócz tego... chciałbym... abyśmy zostali przyjaciółmi. Zresztą, młoda kobieta ma prawo się bronić, kiedy się ją atakuje, a ten nicpoń, który ośmielił się...

- Chcesz powiedzieć, panie, że ten nieszczęśnik zapłaci za mnie? W takim razie wybacz mu, jak i ja mu wybaczam. Jego nędzne zachowanie nie zasługuje na tyle uwagi.

Aby pozbyć się skrepowania, które ją opanowało pod uporczywym spojrzeniem księcia, odwróciła się w stronę lustra. Odbicie księcia było widoczne obok jej twarzy. Przewyższał ją o całą głowę. Katarzyna zadrżała, gdyż poczuła, jak dwie gorące dłonie zaciskają się na jej ramionach. Ich twarze w lustrze były równie blade. Tylko że w oczach księcia płonął dziwny ogień, a ręce lekko drżały na jedwabistej skórze dziewczyny. Nachylił się tak, że jego oddech owionął jej szyję, a lustro ukazało ich spojrzenia zatopione w sobie.

- Ten prostak po stokroć zasłużył na śmierć, bo odważył się na to, na co ja sam nie śmiem się odważyć... chociaż, dalibóg, miałbym ogromną ochotę! Boję się, że będąc z dala od ciebie, nie zaznam chwili spokoju... Kiedy opuszczacie miasto?

- Zaraz po skończonej procesji. Nasze rzeczy są spakowane, a muły gotowe do drogi.

- A więc ruszajcie jeszcze dziś wieczorem. Jutro niech was dzieli od Brugii tyle mil, ile tylko się da. Dostaniecie na drogę glejt, który otworzy przed wami bramy miasta. Spotkamy się w Dijon, dokąd niebawem powinienem się udać.

Katarzyna, onieśmielona i speszona dotykiem rąk, które nadal ją obejmowały, poczuła dziwne wzruszenie ściskające jej gardło. Głos Filipa



był zarazem surowy i ciepły, władczy i czuły. Usiłowała nie poddawać się jego urokowi.

- Spotkać się w Dijon? Ależ, panie... cóż innego może uczynić siostrzenicy sukiennika wielki i możny ksiązę Burgundii, jak tylko zepsuć jej opinię uczciwej dziewczyny? - spytała z nutą wyniosłości, ale i smutku, poruszając do żywego serce Filipa.

Zdjąwszy ręce z ramion dziewczyny, zanurzył je w jej jedwabistych włosach i na chwilę ukrył w nich twarz.

- Nie drocz się ze mną - wyszeptał chrapliwym głosem. - Wiesz dobrze, jakie wrażenie wywierasz, i bawisz się mną bezlitośnie. Miłość księcia niekoniecznie przynosi hańbę. Z pewnością uczynię wszystko, aby cię zdobyć. Nie byłabyś córką Ewy, gdybyś nie umiała wyczytać pożądanego w oczach mężczyzny.

- Ależ... panie!... - opierała się nieboga, chcąc go od siebie odepchnąć, lecz trzymał ją zbyt mocno.

Ogarnięty przemożną żądzą przywarł ustami do czułego dołka u nasady szyi, ukrytego w słodkim mroku włosów. Katarzyna wstrząsnęła się raptownie, protestując okrzykiem:

- Łaski, panie! Nie zmuszaj mnie, abym i ciebie Spoliczkowała! To byłoby zbyt wiele jak na jeden dzień.

Ksiązę wypuścił ją gwałtownie z uścisku i odsunął się o kilka kroków. Jego twarz płonęła, szare oczy zaszyły mgłą, ręce zaś drżały. Nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem:

- Wybacz mi! Zostało zapisane w księgach, że dzisiaj ktoś będzie ci mówił o twej urodzie, używając słów... trochę zbyt gorących. Straciłem głowę, przyznaję, i zaczynam rozumieć tego draba! Ale jest w tym i twoja wina...

To mówiąc, zbliżył się do hebanowego kufra i wyjął z niego długi

płaszcz z brązowego weluru z kapturem, podbity sobolowym futrem. Szybko otulił nim dziewczynę, która niemal cała zniknęła w fałdach miękkiego materiału. Na szczęście dla wrzącej krwi Filipa ukryły one pociągające ramiona i krągłą pierś dziewczyny. Widać było tylko głowę Katarzyny i jej złociste splety, na które popatrzył z niemym żalem.

- Teraz jesteś jeszcze piękniejsza, do kata! Idź sobie! Zejdź mi z oczu, zanim moje demony zawładną mną na nowo! Zapamiętaj sobie: na pewno cię odnajdę!...

Pchnął ją lekko w stronę tajemnego przejścia, które stanęło otworem, zanim zdążyła się zorientować. Ukazała się w nim błyszcząca zbroja strażnika.

- Zaczekaj! - rzekł książę i wyszedł z komnaty. Po chwili wrócił, trzymając zapieczętowany zwój pergaminu, który wręczył Katarzynie. - Oto glejt! Pospiesz się... Jeżeli będziesz o mnie myślała choć w części tak jak ja o tobie, będę się uważał za szczęśliwego.

- Pomyślę... o tym, panie - odparła z uśmiechem. - Lecz... czy Wasza Wysokość zdaje sobie sprawę z tego, że znowu mówi mi „ty”?

Książę roześmiał się z uczuciem ulgi.

- Musisz się do tego przyzwyczaić! Coś mi każe mówić do ciebie „ty”... Może moje przekonanie, że pewnego dnia będę miał do tego prawo.

Przytrzymując drzwi jedną ręką, drugą przyciągnął dziewczynę stanowczo, choć z czułością, i złożył na jej ustach żarliwy pocałunek.

- Miałem na to wielką ochotę! Teraz idź już! - Jego ręce gładziły jeszcze ciemny welur płaszcza, jak gdyby chciały zostawić na nim żal za wymykającą się ponętą panną.

Katarzyna była już na progu, kiedy książę zatrzymał ją ponownie.

- Jeszcze chwilkę! - powiedział ze smutnym uśmiechem. - Przecież nie wiem nawet, jak cię zowią!

- Nazywam się Katarzyna, panie, Katarzyna Legoix -odparła, schylając się w ukłonie tak głębokim, że jej twarz znalazła się na poziomie kolan księcia.

Pochylił się, by ją podnieść, lecz ona uśmiechając się, pomknęła za strażnikiem, którego żelazne ostrogi stukały po marmurowych płytach korytarza. Gdyby się odwróciła choć raz, zobaczyłaby, jak księżę patrzy na nią, ciężko wzdychając. Pierwszy raz w życiu Filip Burgundzki wypuścił z rąk pożądaną a nietkniętą kobietę, która na dodatek spędziła tyle czasu w jego apartamentach. Katarzyna nawet nie przypuszczała, co ją ominęło. W głowie jej szumiało i pomimo niedawnej drzemki była zmęczona. Marzyła o swoim łóżku z miękką pościelą. Nie czuła do księcia większej sympatii niż przed kilkoma godzinami, chociaż chwile z nim spędzone dziwnie ją poruszyły. Ten pocałunek, te sprawne ręce poruszyły najdelikatniejsze struny jej rodzącej się kobiecości, wywołały tajemniczy dreszcz, który obezwładnił ją całkowicie i zawstydził.

Na schodach spotkała Jakuba de Roussaya. Jego badawcze spojrzenie pogłębiło jej zażenowanie, tak jakby usta i ręce księcia pozostawiły na niej widoczne ślady. Odruchowo owinęła się szczelniej wspaniałym płaszczem i nasunęła kaptur na czoło. Kapitan patrzył uparcie na jej usta, więc je zacisnęła, podnosząc dumnie głowę, i zeszła ze schodów. Postępował za nią bez słowa. W końcu przerwał milczenie, mówiąc obojętnym tonem:

- Mam rozkaz odprowadzić cię, pani, do oberży Pod Cierniową Koroną i czuwać, abyście opuścili Brugię bez kłopotów.

Katarzyna posłała kapitanowi spod kaptura tak rozkoszny uśmiech, że aż oblała się purpurą.

- Co za zaszczyt, panie! Czy przykazano ci także, abyś towarzyszył nam aż do Dijon?

- Niestety nie... - zaczął, lecz zmienił szybko ton i dodał, nie kryjąc

radości: - Jedziecie do Dijon? Czy tam mieszkanie?

- Właśnie.

- Och!... A więc ujrzę cię jeszcze, pani! Ja także pochodzę z Burgundii, z tej prawdziwej! - uściślił z nieukrywaną dumą.

Katarzyna pomyślała, że ten również liczy na coś więcej z jej strony niż przelotna znajomość i że opuszczając Flandrię, będzie chyba umówiona na spotkanie z całą armią księcia. Ta myśl wprawiła ją w tak dobry nastrój, że wchodząc do oberży, nuciła wesoło.

Mateusz szlochał za stołem obok wygasłego paleniska, topiąc rozpacz w kolejnym kuflu piwa, a gospodarz spozierał na niego nieufnie. Na widok triumfalnego wejścia Katarzyny wuj wypuścił naczynie z ręki. Spodziewał się strażników, nawet kata we własnej osobie, a tymczasem ujrzał uśmiechniętą siostrzenicę, wystrojoną jak księżniczka, w płaszczu, którego wartość, jako doświadczony kupiec, ocenił na pierwszy rzut oka. Za niedoszłą ofiarą szedł oficer księcia, wygalowany jak na bal, nieodstępujący jej niczym wytresowany piesek.

Wszystkim mieszkańcom Burgundii znane było upodobanie księcia Filipa do płci pięknej. Ten zwycięski powrót dał Mateuszowi wiele do myślenia. Pozostawało dowiedzieć się, jak daleko książę ośmielił się posunąć. Wuj należał do tej kategorii ludzi, dla których bękart, choćby i królewski, nie stanowił wcale daru niebios.

\* \* \*

Katarzyna pomimo rad wuja nie chciała schować swojego pięknego płaszcza do podróżnego kufra. Ubrała się w świeżą sukienkę z lekkiego

blanszetu, delikatnego materiału wyrabianego przez tkaczki z Valenciennes, starannie uczesała i związała włosy, aby zmieściły się pod czepkiem z ciemnego flandryjskiego płócienka, a na koniec założyła nowy płaszcz.

- Jeśli natrafimy na rozbójników - gderał Mateusz, który nie przyszedł jeszcze do siebie po tych wszystkich przejściach - wezmą cię za damę i ograbiają nas bez pardonu!

Katarzyna, szczęśliwa z posiadania tak bogatego stroju, nie chciała o niczym słyszeć.

- W kufrze mógłby się pognieść, a zresztą w Dijon nie będę go nosiła! Matka nie pozwoliłaby mi na to, ażeby nie robić przykrości pani de Chancey i pani de Chateauvillain, które nie mają takiego okrycia. Chcę się nim nacieszyć, dopóki to możliwe!

Dumna niczym królowa wsiadła na mulicę w swoich sobolach, pomimo że noc była ciepła.

Nieliczny orszak sukiennika ruszył w drogę, podążając za rumakiem kapitana de Roussaya w kierunku murów obronnych otaczających miasto. Przy bramie Świętej Katarzyny, którą kapitan kazał otworzyć w imieniu księcia, rozstano się po krótkim pożegnaniu. Jakub de Roussay skłonił się przed Katarzyną i wyszeptał ciche: „Do widzenia”, które wywołało uśmiech na twarzy dziewczyny. Nie odpowiedziała ani słowem, to byłoby zbyteczne. Roussay, od kiedy dowiedział się, że Katarzyna mieszka w Dijon, śnił na jawie.

Nie o nim jednak myślała, przekraczając bramę miasta. Przywoływała w pamięci wysoką, szczupłą sylwetkę księcia Filipa oraz jego płonące oczy, kiedy pochylał się nad jej szyją. Po raz pierwszy w życiu poczuła, że mężczyzna może zrobić na niej pewne wrażenie. Intrygował ją i niepokoił zarazem. Miłość mężczyzny takiego jak on musiała nadawać życiu właściwy sens. Więc może dlatego warto żyć?

Po przekroczeniu bramy Katarzyna nie odwróciła się więcej. Równając krok swojej mulicy z wierzchowcem wuja, poddała się kołysaniu zwierzęcia. Przed nimi rozciągały się jak okiem sięgnąć pola, poprzecinane kanałami i zagajnikami, wśród których majaczyły sennie tajemnicze sylwetki wiatraków. Ptaki wodne bujały w niskim locie na rozgwieżdżonym niebie, przyciągnięte blaskiem księżyca. Katarzyna z rozkoszą wdychała powietrze przesycone jodem i zapachem świeżo zaoranej ziemi, które niósł wiatr od morza. Odrzuciła kaptur na ramiona i rozpięła spinkę płaszcza. Przeczynała, że ta droga rozjeżdżona kołami wozów, poprzecinana głębokimi bruzdami, co było przyczyną potknięć koni, prowadziła w przyszłość, która zaczęła nabierać nowych barw.

O świcie w dolinie ukazała się wieża strażnicza Courtrai.

- Staniemy w oberży Pod Złotym Rogiem - postanowił Mateusz.

Przez cały czas jazdy nie otworzył ust z tej prostej przyczyny, że od dłuższego czasu smacznie chrapał. Katarzynie nie chciało się spać, więc chętnie na to przystała.

Opuszczając Courtrai, Mateusz postanowił jechać szybciej. Uważał, że zmarnowali już dosyć czasu, i chciał jak najrychlej ujrzeć mury Dijon i pagórki Marsannay, gdzie rozciągały się jego winnice. Nie martwił się o swój dom pozostawiony pod pieczęć Jacquetty, Luizy oraz Sary. Do Cyganki zabranej ongiś z Paryża pomimo upływu lat Mateusz jeszcze się nie przyzwyczał. Katarzyna, którą to niebywale bawiło, uważała, że wuj boi się Sary, co nie przeszkadzało mu potajemnie kochać się w niej, i tego właśnie nie mógł jej wybaczyć.

Spiąwszy konia, pędził, jakby zobaczył diabła. Katarzyna dotrzymywała mu kroku, a za nimi trzej służący, dwóch w jednej linii, a trzeci na końcu jako tylna straż. Przebyli już posiadłości księcia Burgundii, a niebawem mieli opuścić ziemie biskupa z Cambrai, aby wjechać do

posiadłości księcia de Vermandois - gorącego zwolennika delfina Karola. Bezpieczniej było nie przebywać tu za długo.

Jechali wzdłuż górnego biegu Escaut, kierując się do Saint-Quentin. Droga wiała się nad rzeką wśród zielonych wzgórz i łagodnych pagórków upstrzonych białymi sylwetkami baranów, których widok oddalał wszelką myśl o wojnie. A jednak kraina ta nie знаła spokoju. Wędrowcy często napotykali puszczony z dymem miasteczka, wśród młodych liści drzew dostrzegali wisielców...

Dzień chylił się ku wieczorowi, a wraz z nim napływały ciężkie, granatowe chmury, kłębiąc się niepokojąco nad trawiastymi pagórkami. Katarzyna zadrżała przy pierwszym chłodnym powiewie.

- Idzie burza - powiedział wuj Mateusz, wpatrując się od dobrej chwili w horyzont. - Zatrzymajmy się w najbliższej oberży. Znam jedną przy skrzyżowaniu dróg z Poronne.

Spięte gwałtownie mulice zaczęły galopować, gdy spadły pierwsze krople deszczu. Po chwili Katarzyna zatrzymała się nagle, zmuszając wuja, aby uczynił to samo.

- Co ty wyprawiasz? - rozgniewał się wuj.

Zamiast odpowiedzi dziewczyna spokojnie zsunęła się z grzbietu zwierzęcia i zdjęła płaszcz, następnie ostrożnie złożyła okrycie i podeszła do juczej mulicy, która dźwigała jej podróżny kuferek.

- Nie chciałabym zniszczyć mojego płaszcza. Deszcz mógłby mu zaszkodzić.

- Wolisz, żebyśmy tu stali i mokli! Gdybyś mnie posłuchała... ale ty zawsze robisz to, co chcesz! Noc zapada, idzie burza... Nie cierpię tego! To bardzo szkodzi na reumatyzm!

Z pomocą Piotra, najstarszego ze służących, który zawsze ulegał fanaberiom Katarzyny, dziewczyna włożyła płaszcz do kufra, a nałożyła

inny, gruby, z czarnego sukna, który przeżył już niejedną ulewę. Owinęła się nim szczelnie i już wracała do swej mulicy, kiedy coś dziwnego zwróciło jej uwagę.

W tym miejscu sitowie było bardzo gęste i stały niskie sękate wierzby, które wraz z ciernistymi krzakami tworzyły nieprzebytą gęstwinę. Z głębi tej gęstwiny coś przebłyskiwało. Katarzyna szybko podeszła w to miejsce.

- Co ty tam robisz, u licha? - złościł się Mateusz.

Dziewczyna nie słuchała. Rozgarnęła zarośla i jej zdumionym oczom ukazało się nieruchome ciało mężczyzny, leżącego twarzą do ziemi. Spotkać na swej drodze martwego człowieka nie było czymś niezwykłym w tych niespokojnych czasach. Niecodzienny był fakt, że nie był to jakiś prostak, lecz najprawdziwszy rycerz. Świadczyła o tym dobitnie stalowa, czarna zbroja oraz druciana siatka na hełmie. Rycerz musiał wydostać się z rzeki, gdyż na brzegu widoczne były głębokie ślady, a ręce nadal kurczowo zaciskały się wokół korzenia.

Katarzyna patrzyła z wytrzeszczonymi oczami na olbrzymie ciało rozłożone u jej stóp. Dlaczego rycerz znalazł śmierć, skoro nie było śladów walki ani konia? Zakrwawione ręce mężczyzny zwróciły jej szczególną uwagę. Były piękne, długie i silne, o ciemnej, lecz cienkiej skórze. Zauważyła, że ciągle krwawiły. W nadziei, że żyje, pochyliła się nad nim, aby go odwrócić, lecz okazał się dla niej zbyt ciężki.

Tymczasem Mateusz, zniecierpliwiony długim oczekiwaniem, zsiadł z konia i przyszedł osobiście zobaczyć, co się stało.

- O Najświętsza Panienko! A cóż to takiego? - krzyknął na widok powalonego rycerza.

- Rycerz, jak widać. Pomóż mi, wuju, go podnieść. Myślę, że jeszcze żyje.

Jakby na potwierdzenie tych słów leżący wydał słabe westchnienie,



Katarzyna krzyknęła.

- On żyje! Do mnie, Piotrze! Janku, Amielu! Chodźcie tutaj!

Trzej służący przybiegli natychmiast. Wspólnymi siłami szybko podnieśli rannego, pomimo jego imponującej postury i ciężaru zbroi, i złożyli na miękkiej trawie przy drodze. Tymczasem Piotr pobiegł po puzderko z balsamami, a Amiel męczył się z krzesiwem, chcąc zapalić łuczywa, gdyż noc już dawno zapadła i było ciemno choć oko wykol. Długo nie mógł się z tym uporać z powodu padającego deszczu. Na dodatek zerwał się silny wiatr, utrudniający tę delikatną operację. W końcu ogień zapalił się, odbijając czerwonymi błyskami na mokrej zbroi rycerza, który wyglądał jak leżąca statua nagrobna wykuta w bazaltowej skale.

Wuj Mateusz, zapominając o swoim reumatyzmie, usiadł na mokrej trawie i ułożywszy głowę nieznajomego na kolanach, usiłował podnieść przyłbicę hełmu. Nie było to łatwe, gdyż od uderzeń żelastwo się zacięło. Asystująca przy tym Katarzyna niecierpliwiła się, gdyż ranny jęczał bez przerwy.

- Szybciej, wuju! On jest gotowy udusić się w tej żelaznej klatce!

- Ależ, moja duszko, przecież robię, co mogę. Widzisz sama, że nie jest to proste...

Istotnie, przyłbica broniła się, aż Mateusz cały się spocił. Widząc to, stary Piotr wyciągnął nóż i niezwykle ostrożnie wsunął ostrze w miejsce zgięcia, uważając przy tym, aby nie zranić twarzy, po czym z całej siły nacisnął rękojeść i nity ustąpiły. Przyłbica została odsunięta.

- Przynieś łuczywo - rozkazała Katarzyna.

Zaledwie drżący płomień oświetlił twarz rycerza, Katarzyna z okrzykiem cofnęła się, upuszczając puzderko z balsamami na ziemię.

- Ależ... to niemożliwe... - wyjąkała, blednąc jak papier.

- Co ci się stało? - spytał zaintrygowany Mateusz. - Znasz tego

młodzieńca?

Katarzyna skierowała na wuja błędny wzrok. Wrażenie było tak silne, że nie mogła wypowiedzieć słowa.

- Co ci jest? Cóż to znowu za tajemnica? Zamiast tracić zmysły, lepiej pomóż mi zdjąć ten hełm.

- Nie! Ja nie mogę... nie teraz... Piotrze, pomóż wujowi!

Stary sługa rzucił się na pomoc, a Katarzyna usiadła obok, zaciskając drżące ręce. Z rozszerzonymi źrenicami patrzyła, jak wuj z pomocą Piotra starał się uwolnić z hełmu głowę... Michała de Montsalvy'ego!

Przed jej oczami przesuwały się obrazy z minionych lat. Paryskie przygody, gdy otarła się o śmierć, ożyły na nowo z przerażającą wyrazistością. Michał walczący z rzeźnikami w pałacu Gujenny, Michał związany, krocący drogą boleści, Michał ukryty w piwnicy w rodzinnym domu. Ze wszystkich sił chciała odepchnąć dalsze okrutne obrazy, a zwłaszcza wspomnienie zmasakrowanej twarzy chłopaka...

Katarzyna nachyliła się nad leżącym, żeby się przekonać, czy to nie sen. Lecz nie, ta twarz była tutaj, blada i nieruchoma, z powiekami o gęstych rzęsach, przykrywającymi oczy, których koloru można było się tylko domyślać.

Wąska strużka krwi przecinała czoło i spływała po policzku, aż do kącika zaciśniętych warg. Chwilami jego rysy kurczyły się z bólu.

- Michale... - szepnęła Katarzyna mimo woli. - To nie ty, prawda?... To nie możesz być ty...

W rzeczy samej to nie był Michał. Lecz podobieństwo było tak uderzające, że uwierzyła w pomyłkę dopiero wtedy, kiedy Mateuszowi udało się wreszcie zdjąć hełm. Zamiast płowych włosów, spod hełmu wyłoniła się czupryna czarna jak noc, chociaż, rzecz dziwna, podobieństwo między dwoma młodzieńcami nadal istniało. Twarz leżącego była jeszcze

piękniejsza niż twarz Michała, bardziej wyrazista i męska.

- Nie możemy go tu zostawić! Jesteśmy już całkiem przemoczeni, a panienka nie czuje się zbyt dobrze - rzekł Piotr, słysząc, jak Katarzyna szczyka zębami. - We czterech zaniesiemy go do oberży.

- W tej kupie żelastwa nie uniesiemy go daleko - stwierdził sceptycznie wuj Mateusz.

We czterech szybko uporali się z żelazną skorupą. Następnie owinęli bezwładne ciało płaszczami, a z kijów i sznurów sklecieli nosze i ułożyli na nich młodzieńca. Katarzyna zdołała się już opanować i opatrzyła mu ranę na głowie, używając do tego swojej chustki. Podczas tych czynności ranny nie otworzył oczu. Jedynie kiedy zdejmowano z niego zbroję, z jego gardła wyrwała się skarga, a potem druga, gdy przekładano go na nosze.

- Musi mieć złamaną nogę - oznajmił Piotr, obmacując starymi, lecz wprawnymi palcami spuchniętą kończynę.

W końcu ruszyli w drogę. Katarzyna nie zgodziła się wsiąść na mulicę. Chciała iść obok noszy. Spod płaszczy przykrywających rannego wysunęła się duża, męska dłoń, która przyciągała ją jak magnes, toteż nie opierała się długo chęci, aby wziąć ją w swoje ręce. Dłoń okazała się zimna i wilgotna. Kilka kropel krwi perliło się w głębokich załamaniach skóry. Katarzyna wytarła je chusteczką. Po jakimś czasie dłoń rozgrzała się w jej ciepłych rękach.

Noc była ciemna i głucha, a wszyscy przemoczeni do suchej nitki, kiedy wreszcie w ciemnościach zabłysnęło światło latarni, zawieszanej u wrót gospody U Karola Wielkiego.

Godzinę później każdy był w swoim pokoju, a ranny spoczywał w dużym łóżku z zasłonami z czerwonej serży, tkaniny o skośnym splocie. Oberża znajdowała się na skrzyżowaniu dróg i, na szczęście, była jedną z najlepszych w tej okolicy.

\* \* \*

Przybycie rannego rycerza i jego eskorty wywołało zamieszanie, ponieważ wszystkie miejsca były już zajęte przez karawanę kupców jadących do Brugii. W końcu jednak znalazł się pokój dla rannego, a Katarzynę ulokowano w niewielkim pokoiku, gdzie szybko przygotowano jej łóżko. Poczciwy Mateusz oraz służba musieli się zadowolić wiązką słomy w stajni.

- Nie pierwszy to i nie ostatni raz - skwitował całą rzecz filozoficznie.

Stan nieznanego, który ciągle nie odzyskiwał przytomności, bardzo go niepokoił. Rana głowy, spowodowana bez wątpienia mocnym pchnięciem, które wgięło blachę hełmu, nadal krwawiła.

Ich wejście do obozu zostało zauważone przez podróżnych siedzących w dużej sali przy kolacji. Do Mateusza i Katarzyny zbliżyła się oryginalna postać. Sukiennik często spotykał muzułmanów w Brugii i na innych słynnych targach, toteż widok turbanu nie był dla niego zaskoczeniem. Ale ten osobnik odbiegał od przeciętności.

Był to chudy i mały człowieczek, tak mały, że ginął nieomal pod olbrzymim, czerwonym turbanem. Stopy odziane miał w niebieskie skarpetki i czerwone pantofle. Długa suknia z grubego adamaszku okrywała go do kolan. W talii ściśnięty był zwojem cienkiego płótna, zza którego wystawała złocona rękojeść puginału. Ten strój, choć tak rzucający się w oczy, był niczym w porównaniu z samą osobą. Jego chuda, niewątpliwie młoda twarz ozdobiona była niezwykle długą, śnieżnobiłą brodą, nad którą wznosił się mały, delikatny nos. Za nieznanym szło dwóch służących Murzynów, których potężny wzrost kontrastował z ich niepozornym panem. Tenże skłonił się uniesieniem przed kupcem i jego siostrzenicą, krzyżując na piersi delikatne

dłonie.

- Niech Allah ma was w opiece! - rzekł płynnie po francusku, lekko sepleniąc. - Doniesiono mi, że jest wśród was ranny, więc jestem! Nazywam się Abu-al-Khayr, przybywam z Kordoby i jestem największym medykiem świata islamu.

Na słowo „medyk” Katarzyna nie mogła powstrzymać śmiechu. Niezwykła godność małego człowieczka w turbanie, który nie mógłby się poszczycić skromnością, miała w sobie coś nieodparcie komicznego.

- Rzeczywiście, mamy rannego... - zaczęła, lecz medyk ruchem ręki nakazał jej ciszę, oświadczając surowo:

- Zwracam się do tego szacownego starca. Kobiety u nas nie mają prawa głosu!

Speszona Katarzyna poczerwieniała aż po uszy, a Mateusz widząc to, z wielkim trudem powstrzymywał się od śmiechu, chociaż nie była to odpowiednia chwila, aby zniechęcać mającego dobre zamiary medyka.

- Istotnie, mamy tu rannego - odpowiedział, odwzajemniając ukłon. - To młody rycerz; znaleźliśmy go nad brzegiem rzeki. Jest w nie najlepszym stanie.

- Muszę go zbadać - rzekł Abu-al-Khayr i wszedł do pokoju, gdzie znajdował się ranny.

Za nim podążyli jego dwaj Murzyni, z których jeden niósł duży, malowany kufer z drewna cedrowego, a drugi naczynko z cyzelowanego srebra. W dużym łóżku, które wraz z kominkiem zajmowało prawie cały pokój, ranny rycerz wydawał się jeszcze bledszy niż przed chwilą. U jego wezgłowia stał Piotr i tamponem z szarpi próbował zatrzymać stróżkę krwi spływającą ze skroni rannego.

- Przyprowadziliśmy medyka - wyjaśnił Mateusz, widząc zdziwienie starego sługi.

- Dzięki Bogu! Najwyższy czas! On ciągle krwawi!

- Zaraz się nim zajmę - oświadczył Arab, dając znak sługom, aby złożyli ciężary obok łóżka. Podniósł ręce do góry, odrzucając szerokie rękawy aż na ramiona i wprawnym ruchem dotknął czoła rannego.

- Nie ma złamania - stwierdził - tylko żyłka pękła. Niech no ktoś mi przyniesie w naczynku żaru z paleniska!

Piotr zerwał się z miejsca, a Katarzyna stanęła u wezglowia łóżka. Mały medyk popatrzył na nią z wyrazem dezaprobaty.

- Czy jesteś żoną tego młodzieńca? - spytał nieufnie.

- Ależ nie! Nawet go nie znam. Pomimo to zostanę przy nim! - oświadczyła stanowczo dziewczyna.

Mały człowieczek najwidoczniej nie lubił kobiet, nie zdołał jednak usunąć Katarzyny. Westchnął pogardliwie, po czym zaczął grzebać w swoim kufrze w stercie błyszczących stalowych narzędzi, niezliczonej liczbie fiolek, małych fajansowych pojemniczków, czarnych, czerwonych, zielonych i białych. Delikatnie wyjął spośród tych przedmiotów coś, co przypominało małą pieczętkę. Miało rączkę zdobioną cyzelowanymi ptakami i liśćmi. Dokładnie wytarł instrument małym tamponem, uprzednio nasączonym tajemniczym płynem, a następnie włożył go do naczynia wypełnionego żarem, które przyniósł Piotr. Katarzyna wytrzeszczała oczy z przerażenia.

- Co mu zrobicie? Mały medyk nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z Katarzyną, lecz nie potrafił trzymać języka za zębami, gdy chodziło o objaśnienie zabiegu.

- Przecież to oczywiste! Wypalę tę ranę, aby zamknąć przerwana żyłkę. To samo praktykują wasi beznadziejni medycy.

Zdecydowanym ruchem ujął rączkę narzędzia i zbliżył rozżarzone żelazo do oczyszczonej przez siebie rany. Katarzyna zamknęła oczy, a jej paznokcie odruchowo wpiły się w zaciśniętą dłoń. Usłyszała krzyk rannego i

poczuła silną woń spalonej skóry i włosów.

- Delikacik z niego! - skomentował Abu-al-Khayr. - Ledwo musnąłem ranę, a ten już krzyczy.

- Gdyby to wam przyłożono rozżarzone żelazo do skroni - krzyknęła Katarzyna, patrząc z przejęciem na wykrzywioną z bólu twarz młodzieńca - co byście powiedzieli?

- Powiedziałbym, że to dobrze, jeżeli ma zatamować krew i uratować mi życie. Wszyscy możecie zobaczyć, że krew przestała płynąć. Teraz posmaruję ranę cudownym balsamem i za kilka dni pozostanie tylko mała blizna, gdyż rana nie jest zbyt głęboka.

Mówiąc to, wyjął z kufra mały, zielony, fajansowy słoik bogato zdobiony kolorowymi kwiatkami, nabrał z niego na czubek igły odrobinę balsamu, który przyłożył do skroni rannego. Za pomocą małego kawałka kwadracika z płótna roztarł balsam na ranie, po czym ze zdumiewającą zręcznością wykonał niezwykle opatrunek, okręcając nim włosy młodzieńca i zaciskając mocno na żuchwach niczym kobiecy czepek. Katarzyna przyglądała się tym czynnościom z wielkim zainteresowaniem. Ranny pod wpływem balsamu przestał jęczeć, a pokój napełnił się ostrą, lecz przyjemną wonią.

- Co to za balsam? - spytała Katarzyna.

- Nazywamy go balsamem Matarea - odpowiedział obojętnie medyk, nie uważając za stosowne udzielić bliższych wyjaśnień. - Pochodzi z Egiptu... Czy ten człowiek ma więcej ran?

- Obawiam się, że ma złamaną nogę - powiedział milczący dotąd Mateusz.

- Zobaczmy ją! - rzucił medyk.

Nie przejmując się obecnością dziewczyny, odrzucił koce i pościel z rannego, odkrywając ciało młodzieńca, którego Mateusz przy pomocy Piotra

rozebrał przed położeniem do łóżka. To nagłe ukazanie się męskiej nagości spowodowało, że sukiennik zaczerwienił się aż po uszy.

- Wyjdź stąd, Katarzyno! - rozkazał groźnie, chwytając siostrzenicę za ramię i próbując wyciągnąć ją z pokoju.

Mały doktor zatrzymał go surowym spojrzeniem.

- Oto śmieszna pruderia chrześcijańska! Ciało mężczyzny jest najwspanialszym dziełem Allacha, podobnie jak ciało konia! Ta kobieta da kiedyś życie mężczyznom takim jak on, dlaczego więc widok ciała miałby obrażać jej oczy? Starożytni Grecy rzeźbili nagie posągi, które zdobiły świątynie ich bogów.

- Moja siostrzenica jest jeszcze młodą dziewczyną - zaprotestował Mateusz, nie puszczając ręki Katarzyny.

- Nie będzie nią długo. Jest na to zbyt piękna!... Nie lubię kobiet. Są głupie, krzykliwe i płytkie, ale potrafię ocenić ich urodę... Ta dziewczyna jest arcydziełem w swoim rodzaju... Podobnie jak nasz ranny. Czy widzieliście kiedykolwiek coś bardziej doskonałego niż kształty tego rycerza?

Estetyczny entuzjizm Abu-al-Khayra, którego Mateusz nie był skłonny podzielać, nie przeszkadzał medykowi w zajmowaniu się chorym. Przez cały czas swej wypowiedzi badał delikatnie złamaną nogę rycerza. Mateusz mimo woli wypuścił rękę Katarzyny, podziwiając to opalone ciało, które lśniło lekko w blasku świec. Dziewczyna wróciła na swoje miejsce u wezłowania chorego i patrzyła uważnie. Mały doktor powiedział prawdę. Ranny rycerz był istotnie wspaniale zbudowany. Pod jego opaloną skórą rysowały się długie mięśnie, a na białym prześcieradle rzeźbiły się jego szerokie ramiona, tułów wąski i umięśniony oraz płaski brzuch. Przejęta Katarzyna poczuła, że jej ręce lodowacieją, a policzki zabarwił rumieniec.

Abu-al-Khayr z pomocą swoich niewolników naciągnął nogę, aby



wyprostować złamanie.

Nagle z ust rycerza wydobył się cichy szept:

- Gdyby ten potwór nie znęcał się tak nade mną, sądziłbym, że znalazłem się w raju, gdyż jesteś z pewnością aniołem!... A może jesteś Różą i wyszłaś prosto z kart powieści starego Lorrisa?

Katarzyna spostrzegła, że dwoje oczu, czarnych jak węgle i błyszczących gorączką, spogląda wprost na nią. Teraz, po odzyskaniu przytomności, z otwartymi oczami, rycerz był uderzająco podobny do Michała.

- Na Boga! Panie... jak się nazywasz? - błagalnym głosem wyszeptała dziewczyna.

Na wykrzywionej z bólu twarzy, zroszonej kroplami potu, zarysował się uśmiech, by szybko ustąpić miejsca potwornemu grymasowi, który na krótko ukazał olśniewająco białe zęby.

- Chciałbym najpierw poznać twoje imię - z trudem powiedział rycerz - lecz byłoby nieprzystojnie pozwolić czekać tak pięknej panience. Nazywam się Arnold de Montsalvy, pan Lasu Kasztanowego w Owernii. Jestem kapitanem Jego Wysokości delfina Karola.

Chcąc lepiej widzieć dziewczynę, ranny próbował podnieść się na łokciu, co spowodowało natychmiastowy sprzeciw małego medyka.

- Jeżeli nie będziesz, panie, leżeć spokojnie, zostaniesz kulawy na całe życie.

Czarne oczy Arnolda, utkwione w Katarzynie, skierowały się ze zdziwieniem na turban medyka i jego niezwykłych pomocników. Przeżegnał się szybko, próbując wyrwać nogę z przytrzymujących ją rąk.

- A któż to taki?! - krzyknął ze złością. - Maur! Niewierny pies! Jakim to prawem odważasz się tknąć chrześcijanina, nie bojąc się, że zostaniesz rozerwany na strzępy?

Abu-al-Khayr westchnął zmęczony. Wsunął ręce do rękawów; skłonił się uprzejmie.

- Szlachetny rycerz woli z pewnością stracić nogę w najbliższym terminie? Nie sędzę, żeby był tutaj inny doktor. No cóż, żałuję bardzo, że ośmieliłem się zatamować jego cenną krew lejącą się strumieniem. O, ja niegodny! Powinienem pozwolić, żeby się wykrwawił aż do ostatniej kropli!

Gniewny i ironiczny ton medyka uśmierzył rozdrażnienie rycerza.

- Słyszysz się wiele - rzekł, zmieniając ton - o zrzeczności tobie podobnych. Zresztą nie mam wyboru. Kontynuuj swoje dzieło, a wynagrodzę cię po królewsku.

- Ciekawe jak?... - wymamrotał pod nosem Abu, podwijając na powrót rękawy. - Miałeś na sobie tylko zbroję, kiedy czcigodny sukiennik cię znalazł.

Mateusz uznał, że rycerz za bardzo przygląda się jego siostrzenicy, stanął między nimi i zaczął opowiadać, jak to znaleźli go nad brzegiem Escaut, jak uwolnili go ze zbroi i przywieźli do oberży. Młody człowiek posmutniał i spoważniał. On z kolei opowiedział swoją historię. Wysłany z poselstwem przez delfina do księcia Burgundii, w asyście jednego tylko giermka, został brutalnie zaatakowany z drugiej strony rzeki przez grupę rozbójników, w połowie Burgundczyków, w połowie Anglików. Napastnicy rzucili go z konia, okradli i pobili, po czym wrzucili do wody, gdzie o mało nie utonął. Szczęśliwie, płynąc do brzegu w ciężkiej zbroi, natknął się po drodze na ławicę piasku. Nadludzkim wysiłkiem wy dostał się na brzeg, gdzie stracił przytomność. Nie wiedział, co mogło się stać z giermkim.

- Ci bandyci na pewno go zabili - podsumował ze smutkiem. - Będzie mi go brakowało, to był dzielny chłopak.

Katarzyna patrzyła na rycerza jak w obraz, jakby niebiosy uczyniły dla niej cud, oddając jej tego, którego nigdy nie przestała kochać. Między nią a

Arnoldem zadzierzgnęły się niewidzialne więzy, które każda chwila, każde spojrzenie czyniło silniejszymi i głębszymi. Widać było, że rycerz marzy, żeby zostać na chwilę sam na sam z dziewczyną. Nawet nie starał się ukryć, że jej uroda zawładnęła nim całkowicie. Toteż ze wszystkich swych sił zaprotestował, kiedy mały medyk zbliżył do jego ust złotą czarkę z tajemniczą miksturą. Chciał ją odepchnąć.

- Mój młody panie - skarcił go Maur - jeżeli chcesz szybko odzyskać siły, musisz spać, to ci pomoże.

- Spać? Ależ ja muszę ruszyć w dalszą drogę, i to jutro! Wiozę list delfina. Muszę jechać do Brugii!

- Masz złamaną nogę i zostaniesz w łóżku! - stracił cierpliwość Arab.

- Możesz już nie zastać księcia w Brugii. Nie miał tam długo zabawić, gdyż wzywały go sprawy do Dijon... My właśnie jedziemy do Dijon - dodała Katarzyna.

W miarę jak mówiła, ciemne oczy Arnolda rozpromieniały się. Kiedy zamilkła, chciał wyciągnąć do niej rękę, a natrafiwszy na suknie Mateusza, zmarszczył brew. Po chwili uśmiechnął się, oświadczając, że nic nie uczyni go szczęśliwszym niż wspólna podróż.

Jego powieki zamykały się pod wpływem działania mocnej, opiumowej mikstury medyka. Wkrótce rycerz, uspokojony, zapadł w głęboki sen. Wszyscy wyszli z pokoju na palcach, z wyjątkiem Murzyna, któremu medyk kazał czuwać nad chorym. Katarzyna, smutno wzdychając, ostatnia opuściła pokój.

\* \* \*

Kompania Abu-al-Khayra okazała się weselsza, niż przypuszczała Katarzyna, pomimo białej brody, która była, jak wyjaśnił Mateuszowi,

znakiem rozpoznawczym medyków, ludzi wolnych profesji i notabli islamu. Bogaci mieszczenie mogli nosić krótszą brodę, farbowaną na kolor niebieski lub zielony. Utrzymanie nieskazitelnej bieli tej pięknej brody było przedmiotem stałej troski medyka z Kordoby. Nade wszystko cenił sobie czystość, toteż gorzko ubolewał nad niedoskonałością urządzeń sanitarnych w krajach chrześcijańskich.

- Wasze hammamy, które zwiecie parówkami - mówił pogardliwie - w Kordobie mogłyby służyć co najwyżej niewolnikom!

Wyjawszy tę niedogodność, przyznał jednak, że świat chrześcijański ma swoje dobre strony i że jest szerokim polem do doświadczeń dla medyków, gdyż tu z okazji wojen wypruwa się więcej flaków niż na ziemiach islamu. W Kordobie panuje godny pożałowania zastój w postępie sztuki medycznej.

- U was - mówił dalej - trupy walają się na każdym rozdrożu.

Pomimo młodego wieku przemierzył prawie cały świat, od Bagdadu po Kair, od źródeł Nilu po Aleksandrię, zawsze w poszukiwaniu wiedzy. Chciał się udać na dwór księcia Burgundii, wielkiego księcia Zachodu, którego sława przekroczyła już morza i góry.

- Dzięki naszemu spotkaniu nie muszę jechać do miasta drogą wodną - powiedział do Mateusza. - Pojadę z rannym i będę miał nad nim pieczę aż do Burgundii. Potrzebuje tego. Wyruszamy dopiero za dwa lub trzy dni. Ta oberża nie jest wcale taka zła.

Mały medyk doceniał miejscową kuchnię. Właśnie zabrał się ochoczo do pulardy z ziołami, popijając obficie winem ze słynnych winnic z Sancerre, zapominając najwidoczniej o zaleceniach Koranu.

- A więc spotkamy się w Dijon - rzekł Mateusz, który też sobie nie żałował jadła.

Katarzyna zadowoliła się kubkiem mleka i kromeczką chleba z

miodem, którą skubała w roztargnieniu.

- Byłoby weselej jechać razem - powiedziała, przypomniawszy sobie, że wuj chciał wyruszyć nazajutrz rano.

To niewinne zdanie nieoczekiwanie Mateusza rozzłościło.

- Nie i nie! - krzyknął, waląc pięścią w stół. - Ruszamy bez zwłoki! Nie podobało mi się, że ten rycerz tak na ciebie patrzył, a ty prawie zalecałaś się do niego, na mój parol! Już czas, abyś wyjaśniła mi, skąd go znasz!...

- Nie licz na to, mój wuju - przerwała zimno Katarzyna. - Nie mam nic do powiedzenia ponad to, że nigdy dotąd nie spotkałam tego rycerza. Jest tylko bardzo podobny do kogoś, kogo znałam. Ot i wszystko... A teraz: dobrej nocy!

Dygnawszy pospiesznie przed Mateuszem i medykiem, przebiegła izbę, ażeby wuj nie miał czasu jej zatrzymać. Wbiegła po drewnianych schodach i zniknęła w ciemnym i wąskim korytarzu prowadzącym do pokoi. Zawahała się przez chwilę przed drzwiami Arnolda, spod których sączyło się skąpe światło. Miała wielką ochotę wejść i zobaczyć śpiącego. Jej mały pokoik znajdował się przy końcu zewnętrznej galerii po przeciwnej stronie pokoju intrygującego ją rycerza. Przez chwilę stała na wietrze i w deszczu, który zacinał aż pod dach ganku. Zerwała się burza. Wiatr dał gwałtownie, miotając strugami deszczu. Chmury sunęły tak nisko, że wydawało się, iż dotykają ziemi. Drzewa wyginały się, smagane bezlitosną nawałnicą. Katarzyna pomimo narzuconego na ramiona płaszcza drżała z zimna. Podobał się jej ten wieczór, ta okropna pogoda i rozszalałe żywioły, tak harmonizujące z jej wewnętrznym niepokojem. Gwałtowność jej świeżo narodzonego uczucia przerażała ją trochę. Nigdy jeszcze nie odczuwała takiej przemożnej potrzeby obecności drugiej osoby, chęci dotknięcia jej, przytulenia się. Dawna Katarzyna, tak obojętna wobec czułych wyznań chłopców, śmiejąca się z nich z zamierzonym okrucieństwem, przekształciła

się w zakochaną kobietę. Dla niej drogi jej sercu mężczyzna stał się jedyną racją bytu. Nie była już nawet tamtą Katarzyną, która zapłonęła z rozkoszy pod dotknięciem warg Filipa Burgundzkiego...

Co powiedziałby Mateusz, gdyby ją zastał w pokoju rannego?... Zapewne zaśnie jak zabity w stajni i nie przyjdzie na górę. Po co miałby to robić!... Nie mogąc się dłużej opierać przemożnemu pragnieniu, pchnęła lekko drzwi i weszła do pokoju Arnolda.

## *Rozdział czwarty*

### *Meandry miłości*

Arnold spał, Murzyn także. Potężne ciało niewolnika z Sudanu, zwiniętego jak duży pies, zasłaniało płomień kominka. Ranny spoczywał sztywno, z głową spowitą bandażami niczym w białym hełmie. Przedziwna konstrukcja z kawałków drewniek i pasemek płótna nasączonego papką z mąki, którą medyk z Kordoby nałożył na złamaną nogę, zmuszała go do leżenia na wznak i to unieruchomienie nadawało mu nieco tragiczny wygląd. Katarzyna zamarła na moment z wrażenia, wpatrując się w twarz o zamkniętych oczach. Pod ścianą stała drewniana ława wyłożona czerwonymi poduszkami. Katarzyna spróbowała przyciągnąć ją do łóżka, lecz ława okazała się dla niej zbyt ciężka. Zrezygnowana opadła na nią i złożyła ręce na kolanach.

W pokoju słychać było tylko oddech chorego, ciężki i chrapliwy.

Wydawało się, że nie cierpi. Katarzyna patrząc na niego, pomyślała, że istotnie był piękniejszy niż Michał, bardziej męski, dojrzały, podczas gdy tamten wchodził dopiero w dorosłe życie. Mógł mieć dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery lata. Pod zawojem upiętym przez Araba nieskończona doskonałość jego twarzy przypominała piękny sztych na szkatule. Dumny nos, energiczny podbródek z niebieskawym cieniem niezgolonego zarostu. Jedynie długie rzęsy dodawały łagodności tej twarzy. Katarzyna, ku swemu zdumieniu, poddawała się temu czarowi, nie pojmując niepokoju budzącego się gdzieś w głębi serca.

Nagle z płonącego stosu spadło polano, rozsiewając snop iskier, i potoczyło się przed palenisko. Dziewczyna wstała i szczypcami włożyła je z powrotem do kominka, po czym usiadła na ławie. Murzyn poruszył się nieznacznie, Arnold nawet nie drgnął. Burza oddalała się. Tylko deszcz bębnił jeszcze o dach, ale w ciepłym pokoiku było przyjemnie i bezpiecznie.

Powoli Katarzyna poddała się monotonnemu stukowi kropel wody i głowa opadła jej na piersi; pólżąc, zasnęła na ławie. Nie mogła widzieć otwieranych drzwi, w których ukazał się imponujący turban Maura. Jego żywe oczy przebiegły po pokoju i spoczęły na chorym. Widząc, że śpi spokojnie, nie zatrzymały się na nim długo. Kiedy zauważył śpiącą na ławie dziewczynę, jego miedziana twarz przybrała dziwny wyraz. W pierwszym odruchu Abu-al-Khayr skierował się prosto ku niej, aby ją zbudzić, lecz zatrzymał się w połowie drogi i tylko wzruszył ramionami. Kąciki jego ust uniosły się w ironicznym uśmiechu, po czym medyk opuścił pokój tak cicho, jak wszedł, zamykając bezszelestnie drzwi za sobą.

Katarzyna nie wiedziała, że mały doktor, spotkawszy Mateusza na ganku, zabronił mu wchodzić do pokoju chorego, aby nie przerywać jego lekkiego snu. Tak więc sukiennik poszedł spać do stajni, nie przypuszczając, że siostrzenica przebywa w pokoju rycerza.

\* \* \*

Około czwartej nad ranem Katarzyna uniosła ciężkie powieki. Wstawał dzień i na podwórzu oberży zachrypnięty kogut ogłaszał wschód słońca. Arnold nawet nie drgnął, a przed wygasłym kominkiem spał nadal Murzyn, chrapiąc zawzięcie. Katarzyna podniosła się z trudem, cała obolała, z Zesztywniałymi plecami. Na palcach podeszła do okna, otworzyła je i wyjrzała na zewnątrz.

Deszcz przestał padać, zostawiając na ziemi olbrzymie kałuże, w których odbijało się różowe niebo. Drzewa, liście, trawa, wszystko lśniło świeżością. Pachniało ciepłą stodołą i mokrą ziemią, tym swojskim zapachem wsi, który dziewczyna wchłaniała z rozkoszą. Przeciągnęła się jak kotka, ruchami leniwymi i pełnymi wdzięku, ziewnęła, następnie rozplotła warkocze, aby dać włosom trochę swobody. Zanurzyła ręce we włosy, ciesząc się ich miękkim dotykiem, po czym zamknęła okno i podeszła do łóżka.

Rycerz spał mocno z lekkim grymasem zaciśniętych ust i ze zmarszczonym nosem. Był tak młody, taki bezbronny i rozczulający, że poddała się nagłemu odruchowi: przykucnąwszy obok łóżka, oparła policzek na otwartej dłoni leżącej bezwładnie na kołdrze. Dłoń była ciepła, lecz skóra stwardniała od ciągłego władania bronią. Przywarła do niej ustami z żarliwością, która ją samą zaskoczyła. Uczuła ściskanie w gardle. Miała ochotę śmiać się i płakać. Pragnęła, aby ta chwila rozkoszy trwała wiecznie. Wokół niej świat przestał istnieć. Byli tylko ona i Arnold, zamknięci w magicznym kręgu o niewidocznych ścianach. W tej chwili należał do niej, tylko do niej!



Zatracona w marzeniach, Katarzyna nie poczuła, że pod jej ustami jedna z dłoni poruszyła się, a druga zanurzyła w gęstwinie jej włosów, które rozsypały się po łóżku. Dopiero gdy obie złączone dłonie ujęły jej twarz, zrozumiała, że ranny nie śpi. Patrzył na nią, leżąc na boku i opierając się na łokciu, powoli przyciągał ją do siebie. Krzyknęła, próbując oswobodzić głowę.

- Panie... zostaw mnie. Ja...

- Pssst! - usłyszała tylko. - Zamilcz!

Poddając się brzmieniu jego głosu, umilkła i przestała się opierać. Nie miała na to siły ani ochoty. W jej piersi serce waliło tak mocno, że prawie ją dusiło. Była urzeczona spojrzeniem jego płonących, czarnych oczu, z każdą chwilą coraz bliższych. Ręce młodzieńca uwolniły jej twarz. Zamknął ją teraz w swych ramionach, przyciągając do siebie na łóżko, zachłannie i bez możliwości sprzeciwu...

Położył ją obok siebie, przyciskając do swej muskularnej piersi; ciałem Katarzyny wstrząsnął dreszcz. Opalona skóra rycerza błyszczała od potu. Pachniał ciepłym łóżkiem, gorączką i czymś jeszcze, czego dziewczyna nie potrafiła określić, być może balsamem, którym medyk posmarował ranę na jego skroni. Arnold oddychał ciężko, a jego oddech wypełniał uszy pięknego więźnia. Zaklął przez zęby, ponieważ przeszkadzała mu unieruchomiona noga. Katarzyna nie próbowała się bronić. Podświadomie od dawna czekała na chwilę.

Jęknęła, kiedy twarde usta rycerza przywarły do jej ust, rozgniatając je w pocałunku. W jej głowie rozbrzmiewały dźwięki dzwonów. Były to dzwony radości, tak stare jak sama ziemia. Napięła się odruchowo pod dotykiem tych rąk, jakby z chęci odgadnięcia prawdy w swoim ciele.

Jak na rannego, Arnold dawał dowody wyjątkowego wigoru. Śmiało sobie poczynał i jego ruchy, szybkie i zdecydowane, były ruchami żołnierza,

dla którego liczy się każda sekunda. O dziwo, w tej gwałtowności, która uniemożliwiła sprzeciw, Katarzyna znalazła niezwykłą słodycz. Poddawała się jej szczęśliwa. Pocałunek przeciągał się, stawał się coraz głębszy, a w dziewczynie zaczęła burzyć się krew. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co czyni Arnold, tymczasem on rozpiął jej kołnierzyk i rozsznurowywał sukienkę. Dopiero kiedy uwolnił jej usta, aby umieścić głowę między piersiami, poczuła, że jest na wpół naga w jego ramionach. Lecz widok własnego ciała, różowego w świetle poranka i tak jasnego, zwłaszcza w kontraście z czarnymi włosami Arnolda widocznymi spod opatrunku, nie wywołał w niej żadnego skrępowania. Jakby od dawna była stworzona do tego, by się oddawać temu mężczyźnie, jakby żyła tylko dla niego, dla jego szczęścia i rozkoszy.

Arnold rozbierał ją dalej jedną ręką, jednocześnie pieszcząc jej ciało drugą. Jego palce zdawały się wahać przed każdym nowym odkryciem, aliści zachwycone zdobyczą, zawładnęły nią z gwałtowną radością. Szeptał przy tym słowa bezładne i niezrozumiałe. Po chwili znowu ujął jej twarz w swe dłonie. W jego oczach malowało się pożądanie, a płomień czarnych źrenic szukał jej spojrzenia.

- Jesteś piękna... - wymamrotał ochryplym głosem. - Taka różowa, łagodna i czuła!

Gwałtownie znów wziął jej usta, przewracając pod siebie giętkie ciało i przechylając do tyłu krągłą kibić dziewczyny. Katarzyna cicho jęknęła.

Nagle na podwórzu zabrzmiało gromkie nawoływanie:

- Katarzyno! Katarzyno! Gdzie jesteś?

- O Boże, to mój wuj!...

W pośpiechu otrząsnęła się i odepchnąwszy młodzieńca, uniosła się na łóżku. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że jest naga i za chwilę mogą otworzyć się drzwi, a Murzyn, który właśnie się poruszył, zaraz się obudzi.

Czerwona ze wstydu, pragnęła jak najszybciej ubrać się i wyzwolić z uścisku, lecz Arnold przyciągnął ją do siebie i powiedział z odcieniem zawodu w głosie:

- Zostań jeszcze... Pragnę cię! Zabiję każdego, kto ośmieli się tu wejść!

- To niemożliwe! Och, mój Boże! Proszę, puść mnie!

Zwinna jak piskorz wyslizgnęła się z łóżka. Ubierając się niezręcznie drżącymi rękami, spojrzała na zmienioną twarz rycerza. Był podobny do wygłodniałego wilka, a jego ręce wyciągały się ku niej w geście patetycznej prośby. Nie był już gwałtowny i silny, stał się nieszczęśliwym mężczyzną, który nie potrafi zatrzymać pożądanej kobiety. Nagle, zupełnie nieprzewidzianie, zaczął się śmiać, odzyskując pewność siebie.

- Przecież nie będę zawsze przykuty do łóżka, moja cudna! Jeszcze cię schwytam! Na świętego Michała! Straciłem zmysły przez ciebie...

- Zapomnij o wszystkim, panie! Zaklinam cię! -błagalnie rzekła Katarzyna, sznurując suknię. - To ja, o wiele wcześniej, straciłam dla ciebie głowę...

Arnold znowu roześmiał się pięknym, młodzieńczym, jasnym śmiechem, pokładając się jak długi na łożu, zupełnie rozluźniony. Jego śmiech urwał się nagle, a w poważnym spojrzeniu pojawiły się pasja i wyzwanie.

- Zapomnieć o twoich zamglonych oczach? Zapomnieć drżenia twego ciała w mych ramionach? Zapomnieć smaku twych boskich ust?... Nawet gdybym miał żyć sto lat, byłoby to niemożliwe!... Katarzyno, jakże słodkie jest twe imię, a ty jesteś najcudowniejszą kobietą, zrodzoną kiedykolwiek z innej kobiety! Jedyną, której pragnę.

Katarzyna, wahając się między chęcią słuchania go a strachem przed wujem Mateuszem, przedłużała moment opuszczenia pokoju. W końcu

zrobiła krok w stronę drzwi.

- Odejdź, jeśli musisz... ale przedtem podaruj mi jeszcze jeden pocałunek, tylko jeden - błagalnie wyjąkał Arnold.

W chwili kiedy miała spełnić jego prośbę, niewolnik małego medyka przebudził się na dobre, wstał i podszedł do kominka, aby rozniecić ogień na nowo, na szczęście nie patrząc w ich stronę. Z podwórza dobiegały odgłosy licznych kopyt końskich. Słysząc było też szczęk broni. Katarzyna podbiegła do okna, aby je otworzyć, i zobaczyła oddział złożony z około dwunastu żołnierzy. Na zbrojach rozpoznała czarnopopielate, krótkie opończe wyszywane srebrną nicią - ubiór straży osobistej księcia Filipa Burgundzkiego. Na ich piersiach widniał książęcy herb...

- To są żołnierze z gwardii księcia Burgundii - powiedziała Katarzyna.

- Jest z nimi oficer...

W tej chwili zsiadł z konia pokaźnej postury rycerz w białym pióropuszu i zbliżył się do Mateusza, który w towarzystwie Araba spacerował po dziedzińcu. Nieco niezgrabny chód i dźwięczny głos nowo przybyłego zdradziły Katarzynie, kim jest.

- Ależ to kapitan Jakub de Roussay! - zakrzyknęła. Arnold wyduł usta.

- Dalibóg! Widzę, że zdradzasz znajomość rzeczy! Na mój parol!

Czyżbyś znała tych wszystkich przeklętych Burgundczyków?

- Zapominasz, panie, że mieszkam w Dijon i że jestem poddaną Jego Wysokości księcia Filipa!

Tymczasem kapitan de Roussay wszczął rozmowę z sukiennikiem i jego donośny głos dobiegł do uszu Katarzyny.

- Cieszę się, że cię spotykam, mistrzu Gautherinie. W rzeczy samej, szukałem cię.

Mateusz, cały w ukłonach, zapomniał na chwilę o Katarzynie.

- Mnie szukałeś?... Co za honor.

- Ciebie i twojej czarującej siostrzenicy! Jego Wysokość książę Filip, w obawie przed zbójcami grasującymi po okolicy, posyła mnie jako waszą eskortę. Mam was bezpiecznie doprowadzić do Dijon, ciebie i panienkę Legoix.

Katarzyna nie usłyszała nic więcej, gdyż w tej chwili za jej plecami wybuchł gromki głos Arnolda:

- Legoix?!... Kto tu się nazywa Legoix?

Katarzyna, odwróciwszy się gwałtownie, zobaczyła Arnolda wyprostowanego na łóżku i bledszego niż papier. Jego czarne oczy płonęły gniewem, ręką odrzucił nakrycie, gotowy do skoku. Widząc to, niewolnik podbiegł do niego i otoczył go muskularnymi ramionami, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Lecz Arnold wyrwał się jak obłąkany z żelaznego uścisku czarnych ramion.

- Kto nosi to przekłete nazwisko? Kogo zowią Legoix? Zaskoczona tym nieoczekiwanym wybuchem gniewu,

Katarzyna znieruchomiała.

- Ależ... ja, panie. Ja noszę to nazwisko... Nazywam się Katarzyna Legoix...

- Ty...???

W okamgnieniu wyraz twarzy młodzieńca zmienił się nie do poznania, przechodząc z osłupienia w gniew, aż po głuchą nienawiść. Patrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy.

- To ty nazywasz się Legoix? - spytał tępym głosem. - Powiedz, jesteś może krewną tych paryskich rzeźników, którzy przed laty przelali tyle krwi?

- Byli moimi kuzynami, lecz...

- Zamilcz, nieszczęsna dziewczyno! Ani słowa więcej! Idź precz!

- Jak to? Dlaczego?...

- Idź precz, mówię!... Odejdź, zanim sam cię stąd wyrzucę!

Przysięgłem sobie w dniu rozpacz, że zabiję każdego, kto nosi to nazwisko. Ciebie oszczędzę, gdyż jesteś kobietą... nie chcę cię nigdy więcej widzieć...!

Katarzyna słuchała w niemym zdumieniu słów mężczyzny, który jeszcze przed chwilą omdlewał z rozkoszy w jej ramionach, patrzył z miłością w jej oczy. W nedorzeczny sposób nagle stawał się jej wrogiem.

- Posłuchaj mnie uważnie! Miałem brata... wspaniałego, ukochanego brata, którego uwielbiałem. Zaciągnął się na służbę do księcia Gujeny. W czasie zamieszek wznieconych przez Caboche'a został ujęty przez rzeźników, zabity i poćwiartowany jak zwierzę. Był młody, dzielny i piękny. Nigdy nikomu nie uczynił żadnej krzywdy, a oni podcięli mu gardło jak prosięciu. Tym mordercą był niejaki Wilhelm Legoix. Teraz już wiesz... Więc odejdz, zniknij z mych oczu i proś Pana Boga, abyśmy się nigdy więcej nie spotkali!

W głosie Arnolda było tyle gniewu i rozpacz, że do oczu Katarzyny napływały łzy. Zmiana była zbyt okrutna i brutalna; runął świat miłości, który otwarł się przed nią tak niedawno, spełnione marzenie rozwiało się w absurdalny sposób. Jak mógł tak bezlitośnie obciążać ją winą za śmierć Michała, podczas gdy to właśnie przez niego wszystko utraciła?

- Na Boga! Posłuchaj mnie, panie! Nie oskarżaj mnie, nie wysłuchawszy najpierw moich wyjaśnień! Czyżbyś nie wiedział, co się wydarzyło tamtego tragicznego dnia, kiedy zginął twój brat? Czyżbyś nie wiedział, że...

Arnold przerwał jej brutalnie, wskazując palcem drzwi.

- Wiem wszystko aż nadto dobrze! Precz! Wzbudzasz moją odrazę, nie mogę znieść twego widoku! Czekają na ciebie na dole. Czyż nie słyszałem, jak ów rycerz, który niedawno przybył, mówił, że księżę Burgundii przysłała go do twej ochrony? Ileż honorów! Ile uwagi!... Nietrudno odgadnąć, kim jesteś naprawdę; księżę uchodzi za miłośnika pięknych kobiet, czyż nie?

- Nie jestem „kimś” dla księcia Filipa - zbuntowała się Katarzyna, czerwieniąc się po uszy. - Wprost przeciwnie! Chciał mnie wrzucić do lochu, i to niedawno! Co ty na to, panie?

Śmiech Arnolda był jeszcze bardziej obraźliwy niż jego słowa.

- Co ja na to? Zapewne nie natrudził się zbytnio, by cię zdobyć, sądząc według mego własnego doświadczenia. Łatwo dajesz się posiąść, dziewczko niecna!

Katarzyna wydała okrzyk śmiertelnie ranionego zwierzęcia, a z jej oczu trysnęły łzy i potoczyły się po policzkach, spadając na szyję.

Wyciągnęła do Arnolda drżące ręce.

- Litości, panie... Czymże zasłużyłam sobie na takie traktowanie? Czyżbyś nie zrozumiał, że...

- Co takiego? - przerwał Arnold sarkastycznie. - Czy to, że zaledwie wyszłaś z łóżka Filipa, nie czekając, wśliznęłaś się do mojego?! A może tylko wypełniałaś rozkazy?... Któż to wie?... Ten napad... i wasza pomoc były może zręcznie zaplanowane... Twoje zadanie polegało na tym, aby wleźć mi do łóżka, ażeby wyciągnąć ze mnie cel mojej misji... Moje gratulacje! Przyznaję, że prawie ci się to udało. Dalibóg! O mało co nie oszalałem przed chwilą. To prawda, nie spotkałem dotąd dziewczyny tak pociągającej jak ty... Ale, dosyć tego! Znikaj! Oszalała ze złości Katarzyna rzuciła się w kierunku Arnolda, zaciskając pięści.

- Nie odejdę, dopóki mnie nie wysłuchasz, panie! - krzyknęła zdecydowanym głosem. - I zanim nie uzyskam twych przeprosin!

- Przepraszać? Taką... - parsknął ranny, rzucając okropną obelgę.

Pod ciężarem straszliwej zniewagi Katarzyna cofnęła się, zakrywając twarz rękami, jakby w obawie przed następnym policzkiem. Jej odwaga i gniew opuściły ją. Piękny romans przeistoczył się w groteskową i upadlającą farsę. Pomyślała, że nie warto walczyć, gdyż Arnolda zaślepiła nienawiść.

Zrezygnowana odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. Już miała je otworzyć, gdy nagły przypływ dumy nakazał jej zmienić zamiar. Odwróciła się do niego, podnosząc dumnie głowę otoczoną aureolą rozwianych włosów. Utkwiła pogardliwy wzrok w czarnych źrenicach swego prześladowcy, który w złości, napinając do granic możliwości wszystkie swoje mięśnie, podobny był w tej chwili do dzikiego zwierzęcia gotowego do skoku. Jedynie absurdalny biały turban, z lekka pomięty w czasie ostatnich wydarzeń, odbierał mu nieco wojowniczy wygląd.

- Nadejdzie taki dzień - rzekła zimno Katarzyna - że będziesz się czołgać u moich stóp, błagając, abym zapomniała o twoich słowach, Arnoldzie de Montsalvy, panie Lasu Kasztanowego! Wtedy będzie już za późno i nie zaznasz mej litości! Twój brat był dobry i łagodny... i kochałam go... *Adieu!*...

Chciała wyjść i właśnie miała przekroczyć próg, kiedy gwałtowne uderzenie omalże nie powaliło jej na podłogę. Ledwo zdążyła oprzeć się o ścianę, by nie upaść. Była to poduszka, ciśnięta pewną ręką. Oszołomiona dziewczyna spojrzała na Arnolda, który śmiał się, ukazując białe zęby.

- Jeżeli jeszcze choć raz wymówisz imię mego brata, plugawa dziewczko, uduszę cię własnymi rękami! Dzięki niebiosom, że nie mogę się ruszyć. Nazwisko Montsalvy nie może być znieważane przez takie jak ty...

Nie skończył diatryby, bo Katarzyna jednym susem dopadła go i wymierzyła mocny i głośny policzek.

Zawój na głowie rannego zachwiał się, a z rany na czole pociekła strużka krwi i spłynęła po jego nieogolonym policzku. Nieprzytomna z gniewu, zapomniała, że ma do czynienia z rannym. Widok krwi powstrzymał jej zapędy, nie wzbudzając jednak żadnych wyrzutów sumienia. W głębi duszy poczuła zadowolenie, że mogła sprawić mu ból. Zapragnęła naraz, by cierpiał jeszcze bardziej. Chciała szarpać jego ciało zębami i paznokciami,



zgasić to bezczelne spojrzenie pełne pogardy. Arnold machinalnie podniósł dłoń do lewego policzka. Tego rodzaju przygoda spotykała go po raz pierwszy w życiu i nie mógł ochłonąć z wrażenia. Katarzyna popatrzyła na niego z nieukrywanym zadowoleniem.

- Dzięki temu - rzekła grzecznie - lepiej mnie zapamiętasz, panie!

Po czym, skłoniwszy się z przesadną uprzejmością, wyszła z pokoju z godnością obrażonej królowej, pozostawiając Arnolda jego osłupieniu. Dopiero za drzwiami poczuła, że jest u kresu sił, i, by się trochę uspokoić, oparła się o chłodną ścianę. Spoza drewnianych drzwi dobiegały jej uszu potworne przekleństwa rannego, na które przestała reagować. Czymże była teraz dla niej jego złość? To, co było straszne, to okrutny cios, jaki jej zadał, tak bezwzględny, że chciała krzyknąć. Już nigdy nie będą razem! Będą się zawsze nienawidzić z powodu nieporozumienia, którego ambicja Katarzyny nie pozwoliła więcej wyjaśniać. Ponieważ nie chciał jej wysłuchać dzisiaj, więc niech nigdy nie pozna prawdy!... Ten niewolnik dumy rodowej!

Zamknęła oczy, starając się złapać oddech. Łomoczące serce powoli uspokajało się, burza ustępowała, wracał spokój... Uniósłszy powieki, ujrzała przed sobą małego medyka, który spoglądał na nią poważnie spod olbrzymiego turbanu, podobnego do gigantycznej piwonii. Katarzynę zaskoczył wyraz współczucia, malujący się w oczach Maura.

- „Ścieżka miłości usłana jest cierniami i krwią” - wyrecytował cicho. - „Wy, którzy nią idziecie, zdejmijcie czapki z głów!...”

Dziewczyna ukradkiem otarła łzę spływającą po policzku.

- Czyje to słowa?

Abu-al-Khayr wzruszył ramionami, kładąc dłoń na klamce. Był niższy od Katarzyny o pół głowy, nie licząc turbanu, lecz było w nim tyle godności, że wydał się jej olbrzymem.

- Perskiego poety, który żył dawno temu. Nazywał się Hafiz i znał się

na ludzkiej duszy... z wyjątkiem może duszy własnej żony, przez którą wiele wycierpiał. Widzę, że i ty cierpisz, moje dziecko. Zadręczasz się przez mężczyznę pięknego, acz niebezpiecznego jak szpada z Toledo. Twe serce krwawi... Cóż, patrząc na was, byłbym przysięgł, że jesteście sobie przeznaczeni i stworzycie jeden z tych rzadko spotykanych, błogosławionych związków, których tak niewiele na świecie.

- Pomyliłeś się, panie - westchnęła ciężko Katarzyna - i ja także. Uwierzyłam, że mnie kocha, ale on mnie nienawidzi i mną pogardza. Powiedział, że nigdy więcej nie chce mnie widzieć.

Medyk wybuchnął szczerym śmiechem, nie zważając na urażoną minę dziewczyny.

- Poeta Hafiz powiedział też: „Obawiam się, a przyznam to z ręką na sercu, czy święci, gardzący opilcami, nie zaniosą kiedyś swoich modlitw do gospody”. Nienawidzi, lecz pragnie cię! Czego więcej ci trzeba? Kiedy kobieta zabiera ze sobą pożądanie mężczyzny, może być pewna, że go kiedyś odnajdzie. Trzeba ci wiedzieć, że rozgniewany mężczyzna rozpuszcza swój język, tę dziką klacz, bez żadnego umiaru. Jego wewnętrzna burza szaleje tak mocno, że zagłusza głos rozsądku. A teraz pędź do wuja, bo się o ciebie martwi i zostaw mnie samego z tym trudnym przypadkiem. Zostanę przy nim i będę mu towarzyszyć w drodze do księcia Burgundii. Spróbuję też wybadać, co mu chodzi po tej zakutej głowie...

Abu-al-Khayr pokłonił się Katarzynie, po czym gestem dłoni wezwał jednego z czarnych służących, stojącego nieopodal nieruchomo jak figura z mahoni, i wszedł do pokoju. Dziewczyna udała się do swojej izby, aby doprowadzić się do porządku. Z podwórza dobiegł ją znowu głos wuja, który ciągle jej szukał. Wychyliła się przez balustradę ganku i krzyknęła:

- Zaraz schodzę, mój wuju! - i weszła do izby.

Kilka chwil potem była już ubrana w brązową, wełnianą sukienkę i

płaszcz od księcia Filipa. Ze ściśle splecionymi warkoczami pod przylegającym jedwabnym czepkiem, który nadawał jej wygląd młodego zakonnika, zeszła majestatycznie na dziedziniec, ściągając na siebie na wpół zachwycone, na wpół wściekłe spojrzenie wuja oraz pełen niemego podziwu wzrok kapitana de Roussaya. Podbiegł do niej, aby podać jej rękę i przeprowadzić wśród kałuży.

Z roztargnionym uśmiechem oparła palce na wyciągniętej dłoni i podeszła do wuja, który stał podparty pod boki, w -jak zwykle - niedbale nałożonym czepku.

- Witaj, wuju. Jak się spało?

- Gdzie się podziewałaś? - zżymał się Mateusz, składając szybki pocałunek na jej czole. - Od godziny wypluwam sobie płuca!

- Spacerowałam, lecz trawa była mokra i musiałam pójść się przebrać. Czy już ruszamy?

- Teraz ci się spieszy? Wydawało mi się, że o wiele bardziej obchodzi cię nasze wczorajsze znalezisko...

Katarzyna uśmiechnęła się do wuja promiennie i podnosząc głos wystarczająco, aby jej słowa doszły do pewnych uszu, odparła:

- Zostawiliśmy go w rękach medyka, a teraz nic tu po nas.

Niepotrzebne mu już nasze miłosierdzie. A więc ruszajmy, spieszy mi się do domu! Zdecydowanym krokiem zbliżyła się do mulic, które czekały przygotowane do drogi. Stary Piotr przytrzymał jej strzemię. Uśmiechając się do kapitana, rzekła:

- Dziękuję ci, panie. Dziękuję też Jego Wysokości księciu Filipowi, że przysłał cię do nas. Wielki to zaszczyt, ale i przyjemność podróżować w twojej kompanii.

Promieniejący radością kapitan wsiadł na konia i dał swoimi ludziami sygnał do drogi. Tak pochlebne słowa Katarzyny wzbudziły w jego sercu

cichą nadzieję. Względy okazywane dziewczynie przez księcia oznaczały aż nazbyt wyraźnie jego zainteresowanie pięknym stworzeniem z Dijon i Jakub nie wątpił, że Katarzyna przeznaczona jest władcy. Ponieważ jednak kobieta ma prawo wyboru, warto było także spróbować szczęścia w trakcie podróży.

Spiął konia ostro, aby dogonić mulicę Katarzyny i kontynuować tak obiecującą rozmowę. Lecz dziewczyna nagle zamilkła, jakby jej mowę odjęło. Na awanse kapitana ledwo odpowiadała, zachowując prawie nieruchomą twarz i spuszczone powieki. Zrezygnowany Jakub jechał w ciszy, podziwiając jej piękny profil w obramowaniu cennego futra. Mateusz, uspokoiony obecnością eskorty, zasnął w siodle, kołysany równym krokiem wierzchowca. Za nimi ciągnęła służba i oddział rycerzy księcia. Pograżona w myślach Katarzyna przywoływała obraz roznamiętnionego Arnolda.

Wszystko stało się tak nagle... W jej spokojnym dotąd życiu nastąpiły tak gwałtowne zmiany, że czuła oszołomienie jak po wypiciu zbyt dużej ilości słodkiego wina. Aby znów stanąć na ziemi, potrzebowała teraz spokoju domu rodzinnego, obecności czulej matki, rozmów z Luizą i Sarą. O tak! Zwłaszcza z Sarą! Ona zawsze wszystko zgadywała, potrafiła czytać w duszy Katarzyny jak w otwartej księdze. Umiała też wiele wytłumaczyć, gdyż nikt nie znał mężczyzn równie dobrze, jak ona. Katarzyna poczuła tak przemożną potrzebę rozmowy z Sarą, że byłaby nawet zamęczyła swoją mulicę, byleby dojechać jak najszybciej do Dijon. Tymczasem droga przez Flandrię dłużyła się coraz bardziej.



# Część druga

## Wielki skarbnik

### *Rozdział piąty*

#### *Pan Garin*

Poranna msza w kościele Notre Dame w Dijon dobiegała końca. Na zewnątrz gorące lipcowe słońce lśniło na tysiącach wież kościelnych książęcego miasta, lecz w środku było tak mroczno, że prawie nic nie było widać. Ten zwykle słabo oświetlony, gotycki kościół wydawał się jeszcze ciemniejszy z powodu czarnych kirów zwisających od sklepień. Od tygodnia we wszystkich świątyniach i na fasadach wielu domów wisały podobne przybrania, gdyż Burgundia obchodziła żałobę po stracie swojej księżniczki. Michalina Francuska zmarła nagle ósmego lipca w swoim pałacu w Gandawie. Tak nagle, że nawet mówiono po cichu o truciźnie.

Chodziły słuchy, że młoda księżniczka czyniła wielkie starania, aby zbliżyć się do swojego brata, delfina Karola, i że królowa Izabela, jej okropna matka, nie chciała zgody między zięciem a znienawidzonym synem.

To królowa mianowała dwórką Michaliny panią de Viesville, którą podejrzewano, że przyczyniła się do śmierci księżniczki. Książę Filip wyjechał nagle do Gandawy, pozostawiając Dijon pieczy swojej matki, księżniczki Małgorzaty Bawarskiej, kuzynki Izabeli... krewnej, a zarazem wroga.

O tym wszystkim rozmyślała Katarzyna, klęcząc obok Luizy i czekając, aż skończy swe modły, ciągnące się jak zawsze w nieskończoność. Luiza od czasu zamieszkania w Dijon zapalała przedziwnym uczuciem religijnym do Czarnej Madonny, figurki z ciemnego drewna stojącej od lat w kościele parafialnym, zwanej Naszą Panią Dobrej Nadziei. Luiza spędzała długie godziny w kaplicy, wpatrzona w figurkę o długiej, smutnej twarzy dziewicy romańskiej z Dzieciątkiem Jezus na ręku, ledwo widoczną w rozbłyskach złocień i płomieniach świec. Katarzyna również modliła się do Czarnej Madonny, lecz źle znosiła długie klęczenie. Ulegała jedynie dlatego, by zrobić przyjemność Luizie i uniknąć wymówek siostry.

Od czasu ucieczki z Paryża Luiza bardzo się zmieniła. W tej zgryźliwej starej pannie, mającej ponad dwadzieścia sześć lat, z trudnością można było rozpoznać łagodne ongiś dziewczę z Pont-au-Change, które ojciec nazywał czule „swoją zakonnicek”. Pierwsze tygodnie po jej odbiciu z rąk Caboche'a były straszne. Dziewczyna unikała najbliższych, chowała się po kątach, nie pozwalając się dotknąć, nie odpowiadała też na pytania. Rozdzierała ubrania, ciskała garście popiołu do strawy, jeżeli nie była z niej zadowolona. Nosila zgrzebne suknie, a pod nimi włosiany pas nabijany żelaznymi kolcami, by rozdzierały jej delikatną skórę. Zrozpaczona Jacquetta lękała się, że żarliwe pragnienie odkupienia grzechu pchnie fanatyczkę do pustelni, jak niegdyś Agnieszkę du Rocher, samotnicę z Sainte-Opportune w Paryżu. Ileż bezsennych nocy spędziła nieszczęśliwa matka, szlochając i modląc się. W niespokojnych snach dręczyły ją koszmary, powtarzające się ciągle te same obrazy: córki klęczącej w zgrzebnej sukni, otoczonej murarzami wznoszący-

mi wokół niej mur, który na zawsze miał ją odgradzić od świata żywych, pogrzebać za życia, zamknąć w swych czeluściach, wystawić na zimno i mróz w zimie i nieznośny upał w lecie. Przestrzeń celi była tak mała, że zaledwie można było się położyć. Katarzyna często słyszała w środku nocy krzyki matki. Budziły gwałtownie ją i sąsiadów, którzy czynili znaki krzyża. Na Luizie odczucia matki nie robiły żadnego wrażenia. Wydawało się, iż dziewczyna nie ma serca lub że postępuje jak zadżumiona. Pogardała sobą do tego stopnia, że nie odważyłaby się zbliżyć do murów kościoła. Grzech ciążył jej jak kula u nogi. Trwało to około roku...

Pewnego dnia, jesienią 1414 roku, przechodził przez miasto wędrowny kupiec. Szedł z Północy i, zdrożony, zatrzymał się u Mateusza, aby sprzedać białogłowom igły do szycia i robótek. Usiadł, żeby trochę odsapnąć, i opowiedział, jak to Caboche z częścią swoich ludzi uciekł do Bapaume. Na nieszczęście dla nich miasto zostało wkrótce zdobyte przez armaniaków. Szymon Oprawca wpadł w ich ręce i został powieszony bez ceregieli, podobny los spotkał jego ludzi... Handlarz nie mógł pojąć, dlaczego pod koniec opowieści wysoka, jasnowłosa dziewczyna wybuchnęła śmiechem... i to jakim! Trzeba było go słyszeć!

Od tej chwili w Luizie nastąpiły zmiany. Zaczęła ubierać się odpowiednio, choć przywdziewała tylko czarne stroje jak wdowa i nadal chodziła we włosiennicy. W piątki pościła cały dzień, po czym udawała się do Notre Dame, gdzie długo i żarliwie modliła się do Czarnej Madonny, zanim podeszła do konfesjonału. Potem już zaczęła prowadzić normalne życie, choć wypełnione pokutami i umartwianiem się.

- Wkrótce wstąpi do klasztoru - przepowiedziała Sara. - Zawsze tego pragnęła.

Nie była to prawda. Luiza nie chciała już wstąpić do klasztoru, ponieważ straciła cnotę, którą pragnęła ofiarować Bogu. Odnalazła drogę do



Kościół, lecz nie czuła się godna żyć wśród dziewcząt bez reszty poświęconych Panu. Swą pogardę dla samej siebie rozszerzyła na całą ludzkość do tego stopnia, że sąsiedzi, jeśli nawet podziwiali jej zalety i surową pobożność, obawiali się jej szorstkiego charakteru.

\* \* \*

Podczas gdy Luiza kończyła modły, Katarzyna ziewała i rozglądała się dokoła. Nagle dostrzegła wysokiego mężczyznę stojącego nieopodal z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Z wyprostowaną dumnie głową i oczami utkwionymi w błyszczącym ołtarzu robił wrażenie, jakby rozmawiał z Panem Bogiem jak równy z równym. W jego postawie nie było odrobiny pokory, jaka przystoi człowiekowi w obliczu Najwyższego Majestatu, ale raczej coś bliskiego wyzwaniu.

Był to pan Garin de Brazey, wielki skarbnik Burgundii, skarbnik książęcych klejnotów koronnych, noszący ponadto tytuł koniuszego księcia Filipa, tytuł czysto honorowy, lecz wyróżniający tego zamożnego mieszczanina jako jednego z najbogatszych mieszkańców Dijon. Chodził do kościoła tylko w niedziele i święta, i to zawsze z wielką pompą. Dlatego Katarzyna, która znała go ze słyszenia, zdziwiła się, widząc go o tak wczesnej porze i na dodatek w dzień powszedni. Był to mężczyzna około czterdziestki, wysoki i solidnie zbudowany. Jego twarz o wyrazistych rysach, z profilem niczym z antycznej monety, byłaby piękna, gdyby nie grymas ironii wykrzywający wąskie usta. Na głowie nosił obszerny kaptur z czarnego weluru z naszytym klejnotem przedstawiającym świętego Jerzego. Lewe oko pana Garina zasłaniała czarna przepaska. Wielki skarbnik stracił je w wieku szesnastu lat w bitwie pod Nicopolis, w czasie szalonej wyprawy krzyżowej na Turków, w której towarzyszył Janowi bez Trwogi, naówczas

jeszcze księciu de Nevers. Młody koniuszy został pojmany wraz ze swym panem. Z owych czasów wzięły początek jego fortuna i szlachectwo, które otrzymał za poświęcenie okazane władcy w ciężkich chwilach.

Dla kobiet w Dijon Garin de Brazey stanowił wielką zagadkę, gdyż uparcie pozostawał w stanie kawalerskim; nigdy nie spojrzął na żadną z nich pomimo licznych zabiegów i zakusów płci pięknej. Był bogaty, dość przystojny, ustosunkowany u dworu, uchodzący za myśliciela, nie było więc takiej rodziny wśród mieszczaństwa czy drobnej szlachty, która by nie przyjęła go chętnie do swego grona. On jednak zdawał się nie zauważać awansów, jakie mu czyniono, i ciągle mieszkał sam we wspaniałym pałacu, otoczony liczną służbą i cennymi zbiorami.

Luiza skończyła swe modły, wstała z klęczek i obie siostry wyszły z kaplicy, zagłębiając się w mroczne wnętrze kościoła. Jedyne oko wielkiego skarbnika wpatrywało się w Katarzynę. Im bardziej dziewczęta oddalały się od aureoli blasku Czarnej Madonny, tym ciemności stawały się bardziej nieprzeniknione. Szły ostrożnie, jedna za drugą, gdyż w kościołach chowano zmarłych i co krok pojawiały się nieoczekiwane przeszkody, nierówności i wykopy, na których można było skrócić nogę.

Katarzyna sięgała do dużej, miedzianej kropielnicy, kiedy jej stopa natrafiła na pękniętą płytę. Osunęła się gwałtownie na posadzkę z okrzykiem bólu.

- Jaka z ciebie gapa - bąknęła Luiza. - Mogłabyś uważać!

- Ależ tutaj nic nie widać - odparła Katarzyna, chcąc się podnieść, lecz z jękiem upadła z powrotem.

- Luizo, nie mogę wstać! Z pewnością skrzyłam nogę. Pomóż mi...

- Pozwól, że ci pomogę - usłyszała nad sobą niski męski głos.

Jednocześnie spostrzegła dużą ciemną postać pochylającą się nad nią. Sucha i ciepła ręka chwyciła ją, podnosząc z posadzki, podczas gdy silne

ramię obejmowało jej talie.

- Oprzyj się na moim ramieniu bez obawy. Przy bramie czekają moi ludzie, którzy zanoszą cię do domu.

Luiza pobiegła przodem i otworzyła bramę, wpuszczając szeroką strugę oślepiającego światła. Katarzyna mogła w końcu przyjrzeć się twarzy mężczyzny trzymającego ją w ramionach: był to Garin de Brazey.

- Ależ, panie, nie zadawaj sobie tyle trudu... Stopa już mniej boli. Za chwilę będę mogła na niej stanąć.

- Czyż nie mówiłaś, że jest zwichnięta?

- To dlatego, że ból w pierwszej chwili był bardzo silny. Teraz czuję, że przechodzi. Już jest całkiem dobrze! Dziękuję ci, panie!...

W bramie uwolniła się od ramienia, które ją podtrzymywało, ale nie starało się jej zatrzymać, po czym niepewnie wykonała nieśmiały ukłon, rumieniąc się przy tym nieznacznie.

- Przykro mi, panie, że przerwałam ci modły...

Na twarzy wielkiego skarbnika pojawił się grymas mogący od biedy ujść za próbę uśmiechu. W pełnym słońcu czarna przepaska na oku dodawała obliczu dostojnika dramatycznego wyrazu, a czarny strój pogłębiał to wrażenie.

- Niczego nie przerwałaś - odparł krótko - a poza tym bardzo ci do twarzy z tym rumieńcem.

Nie był to komplement, raczej zwykłe stwierdzenie faktu. Wielki skarbnik skłonił się pospiesznie i oddalił na plac, gdzie czekał na niego służący, trzymając za uzdę czarnego narowistego konia. Katarzyna zobaczyła, jak Garin de Brazey lekko wskoczył na konia i zniknął w ulicy Kowali.

- Jeżeli skończyłaś już się mizdrzyć - oznajmiła Luiza bez cienia współczucia - możemy wracać. Wiesz, że matka na nas czeka, a wuj Mateusz

spodziewa się, że pomożesz mi w rachunkach.

Katarzyna bez słowa podążyła za siostrą. Droga z kościoła do domu przy ulicy du Griffon, gdzie wuj Mateusz miał sklepik z materiałami, nie była długa. Katarzyna odwróciła się jeszcze, by zerknąć na fasadę kościoła, gdzie wśród fantastycznych kamiennych rzygaczy widoczna była śmieszna postać z żelaza, która na dużym zegarze z brązu młoteczką wybijała godziny. Figurkę tę, zwaną Jacquemartem, księżę Filip Śmiały, dziadek obecnego księcia, zdjął z dzwonu alarmowego w Courtrai wiele lat temu, aby w ten sposób ukarać zbuntowanych mieszkańców miasta.

Od tego czasu Jacquemart stanowił nieodzowny element życia mieszkańców Dijon i stał się jednym z jego symboli. Katarzyna zawsze posyłała mu przyjacielski uśmiech na jego niewysoką wieżyczkę.

- No, idziesz wreszcie? - niecierpliwiła się Luiza.

- Idę, idę. Nie nudź!

Dziewczęta przeszły gęsiego wzdłuż obwałowania pałacu książąt. Przy kaplicy księżęcej Luiza przeżegnała się pospiesznie. Katarzyna zrobiła to samo, po czym obydwie podążyły krętą uliczką Szklarzy. Luiza szła szybko i wydawało się, że jest w gorszym niż zwykle nastroju. Widać było, że nieoczekiwane spotkanie z panem de Brazey wytrąciło ją z równowagi, gdyż, wyłączając może wuja Mateusza, nienawidziła wszystkich mężczyzn i pogardzała całym męskim rodem. Katarzyna, tłumiąc złość, przyspieszyła kroku mimo dokuczliwego bólu w nodze. Idąc ulicą Sukienników, dotarły na ulicę Sępią, która stanowiła jej przedłużenie. Chwilę później dziewczęta przestąpiły próg sklepu Mateusza pod szyldem świętego Bonawentury.

\* \* \*

Katarzyna po powrocie z Flandrii nie czuła się pogodzona z samą sobą

i ciałem, które jakby nie należało do niej. Z trudem też powracała do ustalonego od lat, niezmiennego ładu rodzinnego. To spokojne mieszczańskie życie, płynące bez niespodzianek, wydawało jej się teraz nieznośne.

Pomyśleć, że wystarczyło tak niewiele, aby ją wyrwać z jej małego, bezbarwnego światka i skierować na nieznane dotąd ścieżki. Wystarczyło spoliczkować gandawskiego kuśnierza, aby rozszalały się żywioły przeznaczenia. Najpierw ten policzek, który opóźnił ich wyjazd z Brugii, rzucając ją nieomal w ramiona księcia Filipa, a potem nieoczekiwane spotkanie rannego rycerza na drodze... Była taka chwila, kiedy Katarzyna myślała, że otwierają się przed nią bramy olśniewającej przyszłości. Ale te bramy zatrzęsły się nagle wraz z głośnym plaśnięciem wymierzonego przez nią następnego policzka. Właściwie bieg wydarzeń zamknął się między jednym a drugim spoliczkowaniem, lecz Katarzyna przeczuwała, że to nie może trwać długo i że coś się jeszcze wydarzy.

Aby się o tym przekonać, wystarczyło spojrzeć w kąt pokoju. Tam, siedząc na pozłacanej żerdzi, drzemała wspaniała papuga z czerwonymi i niebieskimi piórami. Pewnego poranka przyniósł ptaka, w darze od księcia, paż Filipa. Katarzyna uśmiechnęła się na wspomnienie tego dnia oraz miny wuja na widok egzotycznego stworzenia, które okrągłymi aroganckimi oczami bacznie mu się przyglądało. Mateusz, dowiedziawszy się, że to prezent dla Katarzyny od księcia, aż poczerwieniał ze złości.

- Jego Wysokość jest dla nas aż nadto łaskaw! - rzekł do niewzruszonego pazia, który czekał, aby go uwolniono od ciężaru. - Moja siostrzenica jest panną i nie godzi się jej przyjmować tak cennego prezentu.

Nie wiedział, jak wyrazić swoją myśl, aby nie obrazić władcy, lecz paż w lot go zrozumiał.

- Nie mogę zabrać Gedeona z powrotem, gdyż to obraziłoby Jego

Wysokość - odparł.

- To mnie Jego Wysokość obraża - odparował Mateusz - sądząc, że moja siostrzenica mogłaby przyjąć jego hołdy. Reputacja młodej dziewczyny jest sprawą niezmiernie delikatną!

Gedeon, widocznie uznając, że dyskusja się przeciąga, postanowił włączyć się do debaty. Otworzył swój duży, czerwony dziób (co czyniło go podobnym z profilu do wuja Mateusza) i zaskrzeczał:

- Drrrrrrogi... książę! Drrrrrrogi... książę!

Mateusz zachwycony, że ptak przemówił, pozwolił paziowi odejść. Katarzyna, ubawiona sytuacją, mogła zabrać gadającą papugę do swojego pokoju. Gedeon w krótkim czasie stał się ulubioną rozrywką całego domu, a w szczególności wuja, który lubił się z nim droczyć.

Katarzyna stała przed lustrem, poprawiając uczesanie, kiedy do jej uszu dobiegł tętent kopyt. Przez okno zobaczyła gęste tumany kurzu wzbijające się spod nóg rumaka, jako że ulice w Dijon nie były wybrukowane. W jeźdźcu przejeżdżającym powoli środkiem ulicy rozpoznała pana Garina de Brazeya. W tej samej chwili Garin podniósł głowę i widząc Katarzynę, uklonił się jej z wielką powagą. Oddała mu ukłon i zapłoniona uciekła w głąb pokoju, zastanawiając się, co oznacza to kolejne spotkanie, które nastąpiło tak szybko po pierwszym. Czyżby przyjechał kupować materiały?... Nie, bo usłyszała oddalający się tętent. Gładząc machinalnie swoją zieloną sukienkę, zeszła na dół, aby odszukać wuja.

W jego kantorku znalazła sukiennika pochylonego nad czarnym drewnianym pulpitem, z gęsim piórem zatkniętym za ucho, robiącego rachunki w dużej, oprawnej w skórę księdze. Widząc, że wuj jest bardzo zajęty, Katarzyna postanowiła pomóc staremu Piotrowi w układaniu nowych materiałów nadesłanych właśnie z Italii. Bardzo lubiła dotykać tych wspaniałych tkanin. Były tam brokaty z Mediolanu i welury z Wenecji, które

zamawiały tylko dobrze urodzone, bogate panie. Ona nigdy nie włoży równie wykwintnych. Jej szczególną uwagę zwrócił niezwykle brokat przetykany srebrną nitką, z wyhaftowanymi na blad różowym tle fantastycznymi ptakami.

- Popatrz na to cudo! - rzekła do Piotra, upinając na sobie rąbek materiału. - Chciałabym nosić coś takiego!

Stary Piotr uważał w głębi serca, że Katarzyna godna jest wszystkich wspaniałości, więc popatrzył na nią z pobłażliwymi uśmiechem.

- Poproś mistrza Mateusza, żeby ci go podarował - odparł. - Może się zgodzi. Na twoim miejscu poprosiłbym jeszcze o tamten.

Wskazał na wenecki welur w duże kwiaty na złotym tle, a Katarzyna z okrzykiem zachwyty już miała go dotknąć, gdy doszedł ich grzmiący głos Mateusza:

- Zostawcie materiały w spokoju! Są delikatne i bardzo drogie!

- Wiem o tym - odparła dziewczyna z westchnieniem żalu - lecz twój sklep, wuju, jest jedynym miejscem, gdzie mogę chociaż dotknąć takich wspaniałości...

Wskazała na pootwierane szafy z równiutkimi stosami aksamitów, cienkich jedwabi i miękkich welurów. W innych znowu kłębiły się zwoje koronek delikatnych jak włosy anielskie, woale z Mosulu, lekkie i szeleszczące tiule. W jeszcze dalszych schowane były materiały pościelowe z Szampanii i Anglii, miękkie blanszety utkane przez kobiety z Valenciennes, pościel z Florencji, równie delikatna i błyszcząca jak jedwabie...

Mateusz pospiesznie zabrał z rąk Katarzyny różowy brokat, przedmiot jej westchnień, Piotrowi wyrwał czarno-złoty welur i zaczął skrzętnie układać je w worku z mocnego białego płótna, dorzucając do nich niezliczoną ilość kolorowych jedwabi, jednobarwnych i w paski, które

wybrał z ostatniej dostawy.

- Wszystko to jest już sprzedane - wyjaśnił - na zamówienie pana de Brazeya. Przyjedzie po to później. Katarzyno, idź skończyć rachunki z tygodnia i przestań marzyć! Mam teraz sprawę do załatwienia w mieście, gdy wrócę, wszystko ma być w najlepszym porządku. Byłbym zapomniał! Przygotuj też rachunek dla pani de Chateauvillain i przypilnuj, ażeby zmierzyć ten turkusowy welur, na który czeka żona pana de Toulongea!

Z westchnieniem zawodu Katarzyna wyszła ze sklepu i udała się do kantorka wuja. Grube księgi, całe zapisane rzymskimi cyframi, nudziły ją okropnie. Jedyne, co ją ciekawiło, to odczytywanie nazw dalekich krajów, skąd wuj sprowadzał swoje towary, krain o magicznym brzmieniu. Od czasu powrotu z Flandrii wśród szeleszczących pergaminowych kart pojawiała się ogorzała twarz Arnolda. Kiedy to się zdarzało, Katarzynie zawsze zbierało się na płacz, gdyż myślała wtedy o nieprzebytej odległości, jaka dzieliła ją, siostrzenicę zwykłego sukiennika z Dijon, od książęcego rycerza. Kłopotów dopełniała jeszcze ta jego pogarda i tocząca się wojna, która ustawiała ich w zwalczających się obozach!

Tego poranka wyjątkowo Arnold był nieobecny w myślach Katarzyny. Umoczywszy gęsie pióro w atramencie, wzięła się ochoczo do pracy. Jej myśli zaprzątnięte były brokatem, który bardzo jej się spodobał. Czyżby wielki skarbnik, ubierający się zawsze na czarno, zdecydował nagle, że w różowym będzie mu bardziej do twarzy?

Pomimo zapewnień o rychłym powrocie Mateusza nie było przez cały dzień. W porze obiadowej przysłał posłańca z wiadomością, że wróci dopiero na kolację, lecz i kolacja czekała na niego na próżno. Gdy w końcu się pojawił, natychmiast wezwał do siebie Jacquettę i zamknął się z nią w swoim pokoju bez żadnych wyjaśnień.



\* \* \*

Następnego dnia rano, kiedy Katarzyna otworzyła oczy, ku swemu zdziwieniu ujrzała obok łóżka Sarę czekającą na jej przebudzenie. Zwykle budziła ją Luiza, i to dość bezceremonialnie, jeszcze przed świtem, spiesząc na poranną mszę.

- Dzisiaj będzie wielki dzień, moja owieczko - rzekła Cyganka tajemniczo, podając jej koszulę. - Matka z wujem chcą z tobą mówić.

- O czym?... Może wiesz?

- Owszem, wiem, lecz nie mogę ci niczego zdradzić. Katarzyna, zaciekawiona i znająca swój wpływ na starą powierniczkę, stała się przymilna, aby dowiedzieć się czegoś więcej.

- Powiedz przynajmniej, czy to coś przyjemnego?

- Szczerze mówiąc... trudno mi powiedzieć. Może tak... a może nie...  
Wstawaj szybko!

Sara zaczęła się krzątać, nalala wody do miednicy, przygotowała ręczniki. Katarzyna, nie zwracając uwagi na podaną jej koszulę, wyskoczyła z łóżka, tak jak ją Pan Bóg stworzył, gdyż nie było w zwyczaju spać w koszuli. Poza tym nigdy nie wstydziła się Sary, która była dla niej drugą matką.

Ta Cyganka wcale się nie zmieniła przez te wszystkie lata. Mimo zbliżającej się czterdziestki nadal była piękną kobietą i nie miała ani jednego siwego włosa. Jedynie jej ciało zaokrągliło się gdzieś tam, choć serce pozostało dzikie i niezależne. Potrafiła czasem zniknąć na dwa lub trzy dni i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Może z wyjątkiem Barnaby... Lecz żebrak umiał dochować tajemnicy, gdyż w jego tajemniczym i niebezpiecznym świątku było w zwyczaju trzymać język za zębami.

Katarzyna zabrała się do swojej toalety; poczuła na sobie zadumane

spojrzenie Sary.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz? - spytała dziewczyna. - Uważasz, że jestem brzydka?

- Brzydka?! Czekasz na komplementy?... Nie, z pewnością nie... raczej nie dosyć brzydka! Bo widzisz, to nie zawsze korzystne dla dziewczyny być zbyt piękną. Patrząc na ciebie, pomyślałam, że niewielu mężczyzn mogłoby ci się oprzeć i nie oszaleć na widok twojego ciała. Ale kobieta taka jak ty, stworzona do miłości, niestety... musi siać równocześnie śmierć...

- Co masz na myśli? - spytała niezmiernie zdziwiona Katarzyna.

Sara często wypowiadała dziwne słowa i przeważnie nie chciała ich wyjaśniać, jakby głośno myślała. Tak też było i tym razem.

- Nic takiego - odparła krótko, podając dziewczynie jej zieloną sukienkę z poprzedniego dnia. - Ubierz się i zejdź na dół!

Kiedy Sara się oddaliła, Katarzyna pospiesznie dokończyła toaletę. Związała włosy zieloną wstążką i pojawiła się we wspólnej izbie, gdzie czekała na nią rodzina. Mateusz z poważną i zatroskaną miną zajął miejsce w fotelu. Jacquetta siedząca naprzeciwko na ławie nerwowo przesuwiała paciorki różańca. Oboje nie odzywali się.

- Już jestem - zaszczębiotała wesoło Katarzyna. - Co się stało?

Spojrzeli na nią, jakby ją widzieli po raz pierwszy.

Katarzyna, zauważywszy łzy w oczach matki, podbiegła do niej, uklękła i objęła ją, opierając głowę na matczynych kolanach.

- Matko... co ci jest? Dlaczego płaczesz? Na Boga, co się dzieje?

- To nic, to nic... moje kochanie - z trudem odpowiedziała Jacquetta. - Może to ze szczęścia...

- Jak to... ze szczęścia?

- Ależ tak... być może... Wuj najlepiej wszystko ci opowie.

Mateusz wstał z fotela i zaczął chodzić tam i z powrotem po obszernej

izbie. Jego kroki były cięższe niż zwykle i długo zwlekał z zabraniem głosu. W końcu zatrzymał się przed Katarzyną i zapytał:

- Pamiętasz materiały z Italii, które tak ci się spodobały? Ten różowy brokat?...

- Ależ oczywiście! - odparła dziewczyna. - Zamówienie pana Garina de Brazeya, czyż nie tak?

- Właśnie... Jeśli masz na nie ochotę... są twoje... - Jak to... moje?...

Czyżby wuj nagle postradał zmysły? Z jakiej to przyczyny znamienity Garin de Brazey obdarowywałby tak hojnie siostrzenicę dostawcy?

Spojrzenie Katarzyny przenosiło się z matki na wuja, aby się upewnić, czy to nie sen. Obydwoje czekali na jej odpowiedź.

- Lecz... dlaczego? - ponowiła pytanie Katarzyna.

Mateusz odwrócił się, podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz, urwał listek bazylii w doniczce i powrócił do zebranych z zakłopotaną miną.

- Dlatego... że pan de Brazey czyni nam zaszczyt i prosi nas o twoją rękę - wyrzucił z siebie pospiesznie. - Wczoraj odwiedziłem go, a on przedstawił mi swój zamiar, któremu nie mam nic do zarzucenia.

Powtarzam, jest to dla nas wielki zaszczyt - mówił, odzyskawszy pewność siebie.

- Ależ przestań wreszcie! - przerwała Jacquetta. - Nie naciskaj na małą!

- Wcale nie naciskam! - odparł niecierpliwie. - Sam nie jestem pewien, czy pragnę tego małżeństwa. Mówię tylko, jak jest, ot i wszystko! Co o tym sądzisz, Katarzyno?

Katarzyna nie odparła nic. Była to dla niej zbyt wielka niespodzianka, chociaż wydawało jej się od wczoraj, że wielki skarbnik postanowił wkroczyć w jej życie.

- Dlaczego pan Garin chce mnie za żonę? - spytała dociekliwie.

- Zdaje się, że cię kocha - odparł Mateusz. - Nie ma w tym nic

dziwnego. Powiedział mi, że nigdy nie spotkał piękniejszej panny, a ja znam więcej takich, którzy sądzą podobnie... Co mam mu odpowiedzieć?

Jacquetta znowu zaprotestowała:

- Nie tak szybko, Mateuszu! Wszystko to jest dla naszej dziecinki nowe i nieoczekiwane. Trzeba dać jej czas, aby mogła przyzwycząić się do tej myśli.

No cóż, należało się przyzwycząić. W wiernym zwierciadle swej pamięci Katarzyna ujrzała nieco niepokojącą twarz pana Garina z przepaską na oku. Zrozumiała, jakim dumnym i zimnym jest człowiekiem. Przypominał postać z gobelinu, która nagle ożyła. Ale... nie wychodzi się przecież za haftowaną postać!

- Doceniam zaszczyt, jaki mnie spotkał - powiedziała bez wahania - mimo to proszę odpowiedzieć panu de Brazey, że nie zamierzam wychodzić za mąż. Zresztą, nie kocham go... ale tego nie musicie mu mówić.

- Odmawiasz więc?

Mateusz był zdumiony. Spodziewał się, owszem, zdziwienia, być może zachwyty. Oświadczyły tak bogatej i ważnej osobistości mogły przytłoczyć młodą, skromną dziewczynę ogromem zaszczytu. Ale żeby odrzucać je tak bezceremonialnie i bez zastanowienia? Tego pocziwy Mateusz za nic nie mógł pojąć.

Katarzyna usiadła obok matki i wzięła jej dłoń w swoje ręce. Nie była przybita ani wzruszona. Jej piękne, jasne spojrzenie było spokojne i przejrzyste. Odpowiedziała bez emocji:

- Oczywiście, że odmawiam. Do tej pory odrzuciłam tyle dobrych partii, które mi znaleźliście, ponieważ nie kochałam. Nie kocham też pana de Brazeya. Dlatego nie wyjdę za niego za mąż.

Żelazna konsekwencja Katarzyny najwyraźniej nie spodobała się Mateuszowi, który zachmurzył się i powiedział, nie ukrywając zawodu:

- Czy nie pomyślałaś, że zostałabyś najbogatszą panią w Dijon?

Nosiłabyś najpiękniejsze stroje. Miałabyś wspaniały dom, szafy wypełnione toaletami, o których teraz możesz tylko marzyć, królewską biżuterię, służby bez liku, znalazłabyś się na dworze...

- ...i każdej nocy kładłabym się do łóżka obok mężczyzny, którego nie kocham! - przerwała Katarzyna. - Nie, drogi wuju, nie nalegaj, proszę!

- Na nieszczęście - rzekł Mateusz, nie patrząc jej w oczy - nie możesz odmówić... Musisz wyjść za Garina de Brazeya. To jest rozkaz...

Usłyszawszy te słowa, Katarzyna straciła cierpliwość. Skoczyła na równe nogi i trzęsąc się ze złości, która zabarwiła jej policzki i zapłonęła w oczach tysiącem iskier, stanęła przed Mateuszem.

- Jaki rozkaz? Czyj rozkaz?

- Naszego księcia. Masz, czytaj!

Z kuferka stojącego na stole Mateusz wyjął zwój pergaminu opatrzonego książęcymi pieczęciami i podał go Katarzynie.

- Przekazał mi go Garin de Brazey wraz z uroczystymi oświadczeniami. Zanim nadejdzie zima, będziesz panią de Brazey...

Katarzyna spędziła cały dzień zamknięta w swoim pokoju. Nikt do niej nie zaglądał, gdyż wuj Mateusz, przerażony jej wybuchem, uznał, że lepiej jej nie drażnić. Nawet Sara zniknęła, udając się bez żadnych wyjaśnień w sobie tylko znane, tajemnicze miejsce. Siedząc na łóżku ze splecionymi na kolanach rękami, Katarzyna rozmyślała, mając Gedeona za jedyne towarzystwo. Papuga, wyczuwając, że jej pani przeżywa rozterkę, posmutniała i nie wydawała z siebie żadnego głosu. Siedziała na żerdzi ze schowaną w piórach głową i udawała, że śpi.

Katarzynie powoli przechodziła złość, lecz jej serce nadal się buntowało. Sądziła dotąd, że książę był jej życzliwy, a tymczasem wydał ten dziwny rozkaz. Wyjść za pana Garina, człowieka, którego nie kochała, nie

wspominając już o tym, że prawie go nie znała! Ponadto sam sposób załatwienia sprawy był dalece niemiły. Czyżby Filip traktował ją jak swoją własność i decydował o jej losie według własnego uznania, chociaż nawet nie była jego poddaną! Powiedziała przecież Mateuszowi: „Nie jestem poddaną księcia Filipa. Nie muszę i nie będę go słuchać!”.

- To dla nas będzie ruina, więzienie... a może i gorzej. Ja jestem poddanym księcia i wiernym obywatelem. Ty mieszkasz pod moim dachem, jesteś moją siostrzenicą. Jesteś więc także jego poddaną, czy chcesz tego, czy nie...

Katarzyna za nic w świecie nie chciała poddać się wielkiemu skarbnikowi, ona, która do tej pory zawsze opierała się podobnym zakusom. Był, rzecz jasna, Arnold i tamten rozkoszny, a zarazem okrutny poranek. Ponieważ szczęście ją ominęło, Katarzyna wracając z Flandrii, przyrzekła sobie, że nie będzie należeć do nikogo prócz Arnolda, który posiadał jej myśli i serce, a niewiele brakowało, iżby posiadał jej ciało.

W myślach Katarzyny pojawili się także inni mężczyźni: Garin ze swoją okropną przepaską, młody kapitan de Roussay beznadziejnie w niej zakochany, z miłości do niej gotów popełnić każde szaleństwo. Przez jej głowę przebiegła nagle myśl, czyby nie dać się porwać kapitanowi. Przecież tylko na to czekał... No tak, lecz wtedy musiałaby mu oddać to, czego tak pragnął. Katarzyna nie miała ochoty należeć ani do Jakuba, ani do Garina. Znaczyłoby to oddać się innemu mężczyźnie niż Arnold. Tego nie chciała za nic w świecie.

Nagle przypomniała sobie o Barnabie. Przecież żebrak potrafił jak nikt inny wychodzić cało z najgorszych opresji. Wyprowadził ich z oblężonego Paryża, uratował Luizę z rąk Caboche'a i eskortował całą rodzinę bezpiecznie do Dijon przez ziemie nękane wojną, napadami rozbójników i złodziei. Miał w zanadrzu setki sztuczek i sposobów. Kończąc swe samotne

rozmyślania, Katarzyna postanowiła, że uda się do Barnaba, gdyż nie może beczynn timer czekać, aż on odwiedzi ich dom. Czas nagle.

Barnaba rzadko pokazywał się na spokojnej ulicy du Griffon. Mimo niemłodego już wieku handlarz fałszywymi relikwiami wolał swój niebezpieczny, lecz za to żywy i barwny świat. Czasem tylko pojawiał się w domu sukiennika, jak dawniej nonszalancki i umorusany. Wyciągał długie nogi przy kominku, aby się ogrzać. Potem zasiadał za stołem zastawionym przez wuja, który go lubił, nie wiedząc dlaczego. Barnaba zawsze parę godzin rozprawiał z Mateuszem o tym i owym. Przynosił najświeższe wiadomości i często dawał wujowi cenne informacje: że w Damme zakotwiczył statek z Genui czy Wenecji albo że do Chalon przybyła karawana rosyjskich garbarzy. Znał wszystkie plotki dworskie, nazwiska kochanek Filipa, wiedział, o której godzinie kichnęła księżniczka. Odchodząc, zawsze filuternie szczyptał Katarzynę w policzek i kłaniał się jej matce, po czym wracał do nocnego życia. Mateusz i Katarzyna wiedzieli, że był prawą ręką ponurego Jakuba Marynarza, króla bractwa żebraczego, ale nigdy o tym nie wspominali. Gdy Luiza czyniła niezbyt pochlebne uwagi na temat profesji ich przyjaciela, nakazywali jej milczenie.

Wieczorem Jacquetta, zaniepokojona tak długą ciszą w pokoju Katarzyny, udała się na górę, niosąc dla niej miskę zupy, kilka plasterków zimnej pieczeni wołowej i garnek mleka. Dziewczyna nie miała nic w ustach od samego rana. Katarzyna, aby zrobić matce przyjemność, zjadła trochę zupy, skubnęła mięsa i napiła się mleka. Poweselała, jej umysł stał się jaśniejszy, a ciało sprawniejsze.

- Nie powinnaś się tak przejmować, moje drogie dziecko - powiedziała Jacquetta z uśmiechem. - W końcu te oświadczyły to dobra wiadomość. Wiele dziewcząt i niejedna wielka dama chciałyby być na twoim miejscu. Pan Garin de Brazey zyskuje przy bliższym poznaniu. Wcale nie jest taki

brzydki. Może go pokochasz. W każdym razie będzie ci z nim dobrze i będziesz rozpieszczana...

Jacquetta spojrzała na stos miękkich tkanin, które Mateusz kazał zanieść do pokoju Katarzyny niczym zachęcającą zapowiedź wspaniałego życia z wielkim skarbnikiem. Katarzyna rzuciła je w najciemniejszy kąt pokoju, nie chcąc nawet na nie spojrzeć. Drżący głos matki sprawił jej ból. Podbiegła i pocałowała ją.

- Nie zamartwiaj się przeze mnie, matko! Wszystko się ułoży, tak jak mówisz.

Myląc się co do znaczenia słów córki, Jacquetta poszła do kuchni uspokojona, aby oznajmić bratu, że Katarzyna nie trwa już w uporze.

Tymczasem Katarzyna była daleka od kapitulacji. Chciała tylko uspokoić matkę, by zyskać czas do działania. Wyciągnęła się na łożku, czekając, aż zapadnie noc. Usłyszała, że wuj wychodzi, jak co wieczór, do mera, by oddać klucze od bramy Świętego Mikołaja, której straż mu zlecono\*. Potem usłyszała jeszcze, jak wrócił i zamknął drzwi.

*\* Straż bram powierzano najczciwocijszym mieszczanom jako dożywotni przywilej. Strażnicy byli utrzymywani z części podatku od żywności i towarów (przyp. tłum.).*

W tej samej chwili prowizor z kościoła Świętego Jana zadzwonił na gaszenie świateł. Od tej pory ulice należały do półświatka; wypełzali na nie ze swych nor złodzieje, rzezimieszki i złoczyńcy wszelkiego pokroju.

Katarzyna leżała na łożku, nie ruszając się. Usłyszała skrzypienie schodów pod stopami wuja udającego się na spoczynek. Jeszcze Luiza ostro besztowała służącą, a stary Piotr podśpiewywał, gasząc świece... W całym domu powoli zalegała cisza. Sara jeszcze nie wróciła. Katarzyna wiedziała,



że nastąpi to dopiero przed świtem.

Kiedy nie dobiegały już żadne odgłosy oprócz miarowego chrapania wuja, Katarzyna wyslizgnęła się z łóżka. Włożyła szybko ciemną sukienkę, specjalnie wcześniej przygotowaną, na głowę nasunęła kaptur szerokiej peleryny, w której prawie zupełnie nie było jej widać, i wyszła na schody. Potrafiła tak schodzić, aby nie zaskrzypiały. Bezszelestnie otworzyła zamki, zawsze starannie oliwione przez Sarę. Kilka chwil później znalazła się na ulicy.

## *Rozdział szósty*

### *Oberża Jakuba Marynarza*

Noc lipcowa była jasna i piękna, utkana z ciemnego aksamitu, na którym gwiazdy lśniły mocniej niż diamenty na płaszczu Czarnej Madonny. Katarzyna nie była bojaźliwa, ale trzeba było niemałej śmiałości, aby zapuszczać się do zakazanych zakątków miasta, gdzie nawet straż nie odważyła się zagłębiać.

- Gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała - powiedział jej niegdyś Barnaba - poślij po mnie do domu uciech. Należy on do niejakiego Jakuba Marynarza, który jest strażnikiem miejskim, a jednocześnie królem bractwa żebraczego. Mówię ci to, gdyż wiem, że nie jesteś gadułą, a wydaje mi się, że możesz mnie kiedyś potrzebować. Gdyby mnie tam nie było, szukaj w zajeździe przy bramie Ouche, gdzie bywam od czasu do czasu, ale rzadziej...

Katarzyna nie wiedziała, co znaczy „dom uciech”, aż do dnia, kiedy

zapytała o to Sarę. Zasadą Cyganki było nazywanie rzeczy po imieniu, bo uważała, że w edukacji dziewcząt prawda jest sto razy lepsza od hipokryzji.

- Dom uciech to miejsce, w którym swawolne dziewczki sprzedają swoje ciała mężczyznom za pieniądze - powiedziała.

Tak poinformowana Katarzyna uznała sprawę za wyjaśnioną, ale myślała o słowach Cyganki, kiedy przemykała wzdłuż domów ulicy du Griffon, starając się ukryć, na ile to było możliwe, w gęstym cieniu dachów i unikać bardziej oświetlonego środka wąskiej i krętej drogi.

Zanim przeszła przez plac Sainte Chapelle, musiała zebrać się w sobie, a następnie przebiegła bez odpoczynku do wzgórza z krzyżem kawaleryjskim wzniesionym pośrodku i dopiero tam odetchnęła. Czarny cień Ukrzyżowanego rozpościerał się daleko na stwardniałej ziemi placu pośród cieni Magdaleny i świętego Jana, których kamienne twarze patrzyły niezmiennie na Mękę Pańską. Złapawszy oddech, Katarzyna przeszła wzdłuż ogrodzenia książęcej siedziby. Wieże rzucały nieprzenikniony cień, ale musiała wystrzegać się łuczników ze straży, których hełmy połyskiwały słabym blaskiem. Podejmując bieg, rzuciła się w kierunku ulicy Kowali, gdzie stały ohydne baraki zawsze cuchnące spalonym drewnem, juchtową skórą i smarem do konserwacji oręża. Ulica była nadzwyczaj wąska i często wybuchały tam pożary wywoływane przez ogień ze zbyt blisko usytuowanych palenisk kowalskich. Przed progiem każdego domu stało wielkie wiadro lub skórzany zbiornik, które w razie potrzeby napełniano wodą. Katarzyna wiedziała o tym, lecz była zbyt przestraszona i zapomniała o przeszkodach. Potknęła się o jedno z wiader, upadła ciężko i zaklęła w sposób najbardziej naturalny w świecie. Choć nie leżało to w jej zwyczaju, przyniosło prawdziwą ulgę.

W miejscu, gdzie uliczka dochodziła do Burgu, dużej ulicy handlowej miasta, rozszerzała się, tworząc dość duży plac, na którym z łatwością

mieścił się pręgierz, teraz pusty, ale widok nie był przyjemny. Odwróciwszy oczy, Katarzyna chciała kontynuować swą wędrówkę, gdy nagle poczuła, że coś przytrzymuje poję jej płaszcz. Krzyknęła.

Jakiś podrygujący cień wyłonił się zza rogu, czknał, a następnie zaczął się śmiać, podczas gdy szorstkie ręce złapały ją wpół pod płaszczem, który osunął się na ziemię. Mimo paraliżującego strachu dziewczyna zaczęła się bronić. Jej wiotka talia wyslizgnęła się jak igła z trzymających ją rąk. Zapominając o płaszczu, zaczęła uciekać przed siebie, starając się przewyciężyć strach i nie zgubić drogi. Musiała dostać się do oberży króla żebraków. Wiedziała, że ktoś za nią biegnie. Tuż za plecami słyszała stłumiony i ciężki odgłos nagich stóp i oddech człowieka, który podążał jej śladem. Noc była coraz ciemniejsza i coraz ciemniejszy był labirynt wąskich uliczek. Smród brudnej wody, odpadków i zgniłego mięsa chwycił ją za gardło; przez chwilę sądziła, że zemdleje. Nieczystości sprzątano jedynie od czasu do czasu, kiedy było ich już zbyt wiele. Wrzucano wtedy do rzek Ouche lub Suzon wszystko, czym wzgardziły świnię i bezpańskie psy.

We wgłębieniu jakichś drzwi poruszył się stos łachmanów i przerażona Katarzyna spostrzegła, że inny cień rusza w ślad za nią, śmiejąc się głupio. Ogarnęła ją panika. Starła się przyśpieszyć bieg i nie oglądać za siebie. Biegając na oślep, nie zwracała uwagi na to, gdzie stawia stopy. Nagle wpadła na stos śmieci, skąd dobywał się straszliwy smród zgniłych ryb; wyciągnęła ręce do przodu, aby znaleźć jakieś oparcie, i poczuła lepkość kamieni stojącego tu muru; przywarła do nich, słabnąc, tracąc oddech i zamykając oczy. Ścigający byli już przy niej... Poczowała, że te same co przed chwilą ręce chwytają ją w talii i zatrzymują! W nozdrzach poczuła cuchnący oddech. Mężczyzna był bardzo wysoki, gdyż przesłaniał niebo.

- Cóż - wyszeptał zachrypniętym głosem. - Bardzo się śpieszymy?  
Gdzie to biegniemy tak szybko? Na spotkanie?

Gdy przemówił, stracił swój przerażający wygląd ducha i to Katarzynę ośmieliło.

- Tak - wyjąkała cicho. - Właśnie tak, na spotkanie...

- To może poczekać. A ja nie... Pachniesz młodością i świeżością.

Pewnie cała jesteś taka milutka. Hmm! Masz gładką skórę!

Bezsilna i chora z przerażenia aż do nudności, Katarzyna poczuła, jak ręce nieznajomego poruszają się szybko, zatrzymując się na szyi i piersiach, tam gdzie kończyła się plisowana kryza. Oddech mężczyzny był cuchnący, śmierdział skwaśniałym, kiepskim winem i zgnilizną, a skóra jego rąk wydawała się stwardniała i spalona. Właśnie te duże ręce zatrzymały się przy wycięciu jej sukni, wczepiły się w nią i już miały szarpnąć, kiedy chrapliwy głos, który zdawał się wychodzić spod ziemi, powiedział szyderczo:

- Ej tam, wolnego, kumie!... Ja też ją zauważyłem! Musimy się podzielić!

Zaskoczony olbrzym, który trzymał Katarzynę, rozluźnił uścisk i odwrócił się. Stos łachmanów, zauważony przez dziewczynę wcześniej, znalazł się tuż obok, a jego krępy, niski cień był jakby ażurowy w postrzępionym odzieniu. Z ust olbrzyma wyrwał się niebezpieczny pomruk. Katarzyna poczuła, że mięśnie jej napastnika naprężają się. Miał zamiar uderzyć, ale ten drugi powiedział:

- No, no, Niedzielny Zabijako, nie bądź taki! Wiesz dobrze, że miałbyś do czynienia z Jakubem Marynarzem, gdybyś nabił guza jego najlepszemu kumpłowi. Podzielimy się dziewczyną. Zapewniam cię, że jest okrągłutka jak żadna. Wiesz, że widzę w nocy tak dobrze jak kot...

Włóczęga mruknął ponownie, lecz nie zaprotestował. Przycisnął jedynie silniej łup do siebie, mówiąc:

- Ach!... to ty, Jehanie Pieniążku... Idź swoją drogą, dziewczyny nie są dla ciebie!...

Stos łachmanów nie ustępował. Jego śmiech zabrzmiał ponownie: skrzypiący, złowrogi, przypominający nieodparcie przestraszonej dziewczynie zardzewiały łańcuch szubienicy.

- Co takiego!... Mam skrofuły i wykrzywione plecy, ale w łóżku wart jestem tyle samo, co inny... Zabierz dziewczynę do domu Pod Kolumnami nad rzeką Suzon. Tam ją rozbierzemy. Jakub Marynarz powtarza zawsze, że nie można ocenić dziewczyny, dopóki ma na sobie choćby jedną szmatę. No, chodź!...

Nakazujący ton był tonem przywódcy i mężczyzna nazwany Niedzielnym Zabijaką został przekonany. Aż dwukrotnie Jehan Pieniążek wymienił imię króla żebraków i to rozproszyło strach Katarzyny. Postanowiła iść na całego. W każdym razie już nic gorszego od tego, co czekało ją z rąk złoczyńców, nie mogło jej się przytrafić.

- Mówicie o Jakubie Marynarzu - powiedziała, starając się, aby jej głos zabrzmiał stanowczo. - Właśnie do niego idę i przez was się spóźnię...

Uścisk olbrzyma rozluźnił się natychmiast, a drugi mężczyzna podszedł bliżej. Ręką niebywale silną jak na istotę tak pokraczną wyrwał ją z rąk Zabijaki.

- Po co idziesz do Jakuba? Nie jesteś żadną z jego dziewczek. O tej porze one wszystkie pracują.

- Muszę się z nim zobaczyć - krzyknęła Katarzyna bliska płaczu. - To bardzo, bardzo ważne. Jeśli jesteś jednym z jego ludzi, zaprowadź mnie do niego, błagam.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, a następnie Jehan Pieniążek westchnął z niekłamany żalem.

- To wszystko zmienia - powiedział. - Jeśli idziesz do Jakuba, nie możemy cię zatrzymywać. Wielka szkoda. No, Zabijako, podejdź tutaj. Musimy odprowadzić tę panienkę... bo jesteś panienką, nieprawdaż? To

widać, gdyby było inaczej, nie robiłabyś trudności, aby dać odrobinę przyjemności takim zacnym włóczęgom jak my.

Zbyt poruszona, aby odpowiedzieć, Katarzyna podjęła wędrówkę z dwoma cieniami bez twarzy. Już się nie bała. Rozumiała niejasno, że dwaj złoczyńcy stanowili coś w rodzaju straży i że w drodze do domu szefa już jej nic nie zagraża. Wielki cień jednego maszerował ciężko z jednej strony, a drugi trząsał się, kołysząc biodrami na nierównej drodze. Uliczka schodziła w dół, wciskając się pomiędzy dwa domy i wijąc między otoczonymi wysokim murem ogrodami. Na końcu zaułka stała dziwna, na pierwszy rzut oka bezkształtna budowla, złożona z dwóch przylegających domów o fantastycznym kształcie. Pomimo obowiązującego zaciemnienia zza okiennicy sączyło się światło. Słysząc było kobiecy głos zawodzący tęskną balladę w nieznanym języku.

W miarę jak zbliżali się do domu, głos stawał się wyraźniejszy. Wznosił się niekiedy aż do wysokiej nuty, tak że stawał się trudny do wytrzymania, następnie załamywał się i rozpoczynał od nowa, ochrypliwy i głuchy. Tuż obok siebie Katarzyna usłyszała chrapliwy rechot Jehana Pieniążka:

- Ha! ha! Bawią się u Jakuba, tym lepiej...

Kiedy stanęli przed domem, jakiś cień oderwał się od drzwi. Katarzyna spostrzegła błysk topora.

- Hasło? - zapytał butny głos.

- „Trzymam w rękawie” - odpowiedział Jehan Pieniążek.

- W porządku, wchodźcie!...

Drzwi otworzyły się, ukazując wnętrze słynnej oberży Jakuba Marynarza, miejsce spotkań złodziejskiego świątka Dijon. Poczciwi mieszkańcy, mówiąc o niej, żegnali się z przestrachem. Nie rozumiano, dlaczego burmistrz zezwala na istnienie tego przybytku grzechu. Niejedna

dama z Dijon zemdlaby z wrażenia na wiadomość, że czasami, po zapadnięciu zmroku, jej szacowny małżonek wślizguje się do potępionego miejsca, aby opłacić łatwo dostępne wdzięki którejś z dziewczek. Jakub Marynarz umiał dobierać swój żeński personel i jego dom wytrzymywał konkurencję z najbardziej znanymi przybytkami tego rodzaju. Był dobrym handlowcem i zależało mu, aby klienci byli zadowoleni.

Na pierwszy rzut oka Katarzyna zobaczyła jedynie kalejdoskop jaskrawych barw. Wrzask głosów i muzyka oszołomiły ją, ale rejwach uspokoił się nagle, gdyż pojawienie się pięknej, bladej dziewczyny, z włosami w nieładzie, w towarzystwie dwóch złowrogich towarzyszy, wywołało powszechne zdziwienie. Dziewczyna zobaczyła dużą, nisko sklepioną salę, do której wchodziło się po kilku kamiennych schodach. W głębi, na olbrzymim palenisku, piekły się trzy barany, a wszędzie stały ławy drewniane, zatłuszczone stoły, wszystkie zajęte. Drewniane schody na końcu pomieszczenia prowadziły na poddasze.

Pijący tworzyli różnobarwną grupę; byli wśród nich pijani żołnierze, studenci i terminatorzy, którzy przyszli się zabawić. W pobliżu paleniska dwie staruchy przygotowywały strawę. Na ławach, na kolanach biesiadników i na stolach, między kałużami wina i cynowymi kubkami, siedziały dziewczki w porozpinanych gorsetach lub całkiem nagie. Blade ciała tworzyły w zadymionym półmroku jasne plamy. Płomień oliwnych lampek i paleniska odbijał się na ich jasnych i matowych ciałach atłasowym blaskiem, a poczerwieniałe twarze pijaków lśniły niczym rubiny w słońcu.

Katarzyna i jej stróże zeszli po schodach; zdziwienie spowodowane ich wejściem minęło. Orgia rozpoczęła się na nowo. Dały się słyszeć krzyki zachęty: rozpoczęto tańce. Jedna z dziewczek o brunatnym ciele i obfitym biuście wskoczyła na stół i wyginała się lubieżnie, przyciągając ku sobie łasy wyciągniętych rąk. Przerażonej Katarzynie zdawało się, że trafiła do piekła, i

zamknęła oczy. Przywoływała w pamięci podobne obrazy, które widziała jeszcze jako dziecko na Wielkim Działyńcu Cudów, kiedy ukrywała się w ruderze Barnaby. Ale wtedy była tylko trochę zdziwiona i lekko przestraszona, podczas gdy teraz, co ją zaskoczyło, a nawet oburzyło, odczuwała w głowie dziwnie przyjemny zamęt.

Ta sama co poprzednio pieśniarka zaintonowała inną melodię; niski, ochryply i tęskny ton jej głosu spowodował, że Katarzyna otworzyła oczy. Kobieta ubrana była w długą atłasową suknię koloru płomienia. We włosach miała złote cekiny. Siedziała na schodach w głębi sali otoczona grupką mężczyzn. Pochylony nad nią grajek akompaniował jej na lutni. Śpiewała z zamkniętymi oczyma, z rękami splecionymi na kolanach i Katarzyna drgnęła lekko, rozpoznając ją; ta noc naprawdę była pełna niespodzianek - to była Sara.

Cyganka nie zauważyła Katarzyny, a nawet gdyby ją spostrzegła, nie zdałoby się to na nic, ponieważ była pijana. Była w upojeniu, w którym wino stanowiło tylko podporę pozwalającą Cygance zapomnieć o teraźniejszości i przenieść się duchem do odległej krainy swego ludu i życia na wolności. Katarzyna słuchała w osłupieniu. Bardzo często Sara śpiewała wieczorami, aby pomóc jej zasnąć, szczególnie w pierwszym okresie ich wygnania do Burgundii, ale nigdy takim szorstkim i przepojonym pasją głosem, nigdy z takim trudnym do zniesienia bólem. Kobieta w transie tylko z rysów przypominała Katarzynie jej towarzyszkę. Przeobraziła się w dziką dziewczynę, potomka narodzonego w wozie koczownika, gdzieś na szlaku w dalekiej Azji. Nie zaszokowało jej to, że odkryła tajemnicę ucieczek Cyganki, że odnalazła ją w tej podejrzanej oberży, gdzie za sprawą magii swego śpiewu ujarzmiła ludzi Jakuba Marynarza, tych dzikusów o ludzkich twarzach.

Jakiś ludzki kształt stanął między nią a śpiewającą. Był to człowiek



wysoki i blady, o cerze tak białej, że wydawała się odbarwiona długim przebywaniem w wodzie. Któregoś dnia, parę lat wcześniej, Katarzyna widziała, jak wyciągnięto z Ouche ciało topielca. Nowo przybyły miał dokładnie taki sam kolor, a jego nieziemski wygląd potęgowały wodniste źrenice koloru wyblakłej zieleni.

Ciężkie powieki, podobne do powiek żółwia, zasłaniały niepokojące oczy prawie przez cały czas. Tajemniczy nieznajomy ubrany był w krótki kaftan z szarego sukna skrywający szkielet pokryty skórą, która przylegała do niego niczym mokre płótno. Do tego, powolne, jakby uśpione ruchy nadawały mu wygląd ducha.

- Kto to? - zapytał, wskazując na Katarzynę długim białym palcem.

Niedzielny Zabijaka nie zyskiwał w świetle lampek oliwnych, odkrywających jego zniszczoną twarz i prawy policzek naznaczony rozpalonym żelazem przez kata. To właśnie on odpowiedział:

- Mała, dzika kózka. Znaleźliśmy ją na ulicy. Powiedziała, że idzie się z tobą zobaczyć, Jakubie.

Długie, wąskie i bezbarwne wargi króla żebraków rozciągnęły się jeszcze bardziej w grymasie, który w istocie był uśmiechem. Jego dłoń uniosła lekko brodę Katarzyny:

- Ładna! - powiedział. - Czy to wieść o moim wdzięku sprowadza cię tutaj, moja śliczna?

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie dziewczyna, która powoli odzyskiwała pewność siebie. - Przyszłam, ponieważ chciałabym zobaczyć się z Barnabą. Powiedział mi, żebym zwróciła się do ciebie, gdybym go potrzebowała.

Błysk podejrzliwości na moment zapalił się w oczach Jakuba i zgasł pod zasłoną powiek, podczas gdy obrzydliwy i szpetny Jehan Pieniążek, zdejmując czerwone łachmany i potargany filcowy kapelusz, rzucał na

Katarzynę pożądlive spojrzenia.

- Wiem teraz, kim jesteś, ślicznotko... Siostrzenicą tego osła Mateusza Gautherina, piękną Katarzyną, najpiękniejszą panną w całej Burgundii. Nie żałuję, że cię oszczędziłem, jesteś przeznaczona dla kogoś lepszego ode mnie.

Wyrazisty gest uzupełnił słowa Karła. Katarzyna stwierdziła ze zdziwieniem, że jest młody i mimo nerwowego tik, który go zeszpecił, jego rysy są delikatne, a oczy piękne.

- Stryczek? - zapytała szczerze zdziwiona. - Dlaczego?

- Bo jeśli księżę chce cię mieć dla siebie, to będzie cię miał. Może powinienem był zaspokoić moją chętkę. Zabawić się z tobą, a potem zawisnąć, byłby to miły sposób na zakończenie życia. Jesteś tego warta!

Jakub Marynarz stwierdził, że rozmowa bez wątpienia trwa zbyt długo. Wolno położył rękę na ramieniu Katarzyny.

- Jeśli chcesz widzieć się z Barnabą, idź na górę do izby na poddaszu. Leży, bo oberwał trzy dni temu koło Chenove, i chyba będzie ci się trudno z nim dogadać, o tej porze jest już zazwyczaj pijany na umór. Jedynym lekarstwem, jakie przyswaja, jest wino.

Pchnięta ręką właściciela oberży Katarzyna weszła na pierwsze stopnie. Przeszła obok Sary. Jej suknia dotknęła nawet sukni śpiewającej, ale Cyganka miała zamknięte oczy. Nuciała nadal, pogrążona w swoim wewnętrznym świecie, oddalona o tysiące mil od spelunki.

\* \* \*

Niedbale sklecone z desek drzwi przenikało światło świecy i Katarzyna nie miała żadnego kłopotu z ich otwarciem. Wystarczyło tylko lekkie pchnięcie. Wejście do mansardy było tak niskie, że dziewczyna musiała się

pochylić. Znalazła się w ciemnej norze bez okna, w której większość przestrzeni wypełniała olbrzymia belka stropowa. Pod nią, przy łożowej świecy, śmierdzącej i kapiącej do cynowego naczynia, stało nędzne wyrko, na którym leżał Barnaba, trzymając w ręce dzban z winem. Był bardzo czerwony, ale jego spojrzenie było trzeźwe, kiedy popatrzył z osłupieniem na dziewczynę.

- Po co tu przychodzisz, kwiatuszku, i to o tej porze? Oparł się na łokciu i zaczął wstydliwie zasłaniać postrzępioną koszulą siwą pierś.

- Jesteś mi potrzebny, Barnabo. Przychodzę zatem po obiecaną pomoc - odparła z prostotą Katarzyna, siadając na sienniku pełnym dziur, z których wylaziła słoma. - Czy jesteś ranny? - dodała, wskazując brudny opatrunek na jego głowie, poplamiony maścią i zaschniętą krwią.

Wzruszył beztrosko ramionami.

- To nic takiego! Cios rydlem. Zadał mi je pewien niegodziwiec, gdy zaproponowałem mu grzecznie, że policzę wraz z nim jego oszczędności. Już się prawie zagoiło.

- Więc nigdy się nie zmienisz? - westchnęła Katarzyna.

Nie dziwiła się tym zwierzeniom. Być może z powodu płomyka wesołości, który jarzył się w oczach starego przyjaciela, najgorsze potworności wychodzące z jego ust nabierały niewinnego i prawie zabawnego charakteru. To, że Barnaba był złodziejem, a może nawet gorzej, nie miał dla niej znaczenia. Był jej przyjacielem, a to najważniejsze, a poza tym mógł robić, co chciał. Dla spokoju sumienia uznała, że musi go przestrzec:

- Jeśli nie będziesz uważał, znajdziesz się któregoś poranka na Wzgórzu Śmierci, między mistrzem Blaigny a konopnym sznurem. A mnie będzie bardzo smutno.

Niepewnym gestem Barnaba zachnął się, chcąc usunąć z wyobraźni

nieprzyjemny obraz, wypił spory łyk wina, odstawił dzban i otarł wargi poszarpanym rękawem. Następnie rozsiadł się wygodnie pośród brudnych szmat.

- No, teraz opowiadaj, co cię sprowadza, chociaż chyba się domyślam.

- Domyślasz się? - zapytała Katarzyna szczerze zdziwiona.

- W każdym razie wiem, że ksiązę Filip rozkazał ci poślubić Garina de Brazeya. Aby zmusić go do ożenku z siostrzenicą Mateusza Gautherina, daje ci duży posag. Ksiązę Filip dobrze wie, co robi...

Oczy dziewczyny stały się zupełnie okrągłe ze zdziwienia. Barnaba miał taki sposób mówienia, jakby pewne sprawy były oczywiste. Jakby nie było niczym nadzwyczajnym, że włóczęga jest tak dobrze poinformowany o tym, co dzieje się w książęcych pałacach.

- Skąd o tym wiesz? - wykrztusiła.

- Wiem, i to powinno ci wystarczyć. Powiem jeszcze więcej, moja mała. Jeśli ksiązę chce cię wydać za mąż, to dlatego, że w naszym mieście mieszczanie są wpływowi, lepiej jest więc mieć za kochankę kobietę zamężną niż pannę. Ksiązę jest ostrożny i chce mieć wszystkie atuty po swojej stronie.

- Więc - powiedziała Katarzyna - nic już z tego nie rozumiem. Nie wydaje się, aby pan de Brazey był ulepiony z gliny, z której robi się płaczliwych mężów.

Logika tego rozumowania zaskoczyła Barnabę; podrapał się po głowie i wykrzywił.

- Przyznaję, że masz rację. Trudno zrozumieć, dlaczego diuk wybrał swego skarbnika zamiast kogoś innego, wyłączając tę zaletę, że nie jest on żonaty. O Garinie de Brazeyu można powiedzieć wszystko, ale nie to, że da się nim łatwo kierować. Może ksiązę nie miał nikogo innego pod ręką wśród swoich popieczników? Bo jest oczywiste, że poprzez ten ślub pragnie

wprowadzić cię na swój dwór. Sądzę, że zgodziłaś się na to. Nie odmawia się takiego przywileju.

- Mylisz się. Do tej pory odmawiałam...

I Katarzyna spokojnym głosem opowiedziała staremu przyjacielowi swoją przygodę we Flandrii. Ponieważ czuła, że sekrety nie mają już sensu, opisała wszystko: jak spotkała Arnolda de Montsalvy'ego i przywołując wspomnienie, o którym sądziła, że umarło, zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, i o tym, jak dalsze wydarzenia wyrwały ją z ramion rannego rycerza.

Mówiła z prostotą i bez żadnego skrupowania. Siedząc w rogu siennika z rękami skrzyżowanymi na kolanach, z oczyma wpatrzonymi w czarny cień belek, zdawała się opowiadać samej sobie piękną historię miłosną. Barnaba wstrzymywał oddech, aby nie przerwać czar, bo rozumiał, że w tej chwili zapomniła o jego istnieniu. Kiedy głos dziewczyny zamilkł, zapadła cisza. Katarzyna spojrzała na starego przyjaciela. Barnaba wydawał się bardzo zasepiony.

- Jeśli dobrze rozumiem - powiedział po chwili - nie zgadzasz się na Garina de Brazeya, bo czekasz na młodzieńca, który cię nienawidzi i pogardza tobą. Oszczędził cię tylko dlatego, że jesteś kobietą, lub może dlatego, że działo się to w tej właśnie oberży, a w dodatku był ranny i obawiał się, że z tego nie wyjdzie. Powiedz mi, czy nie jesteś trochę szalona?

- Wierz lub nie - odparła ostro Katarzyna - ale tak właśnie jest. Nie chcę należeć do innego mężczyzny!

- Powiedz to księciu - mruknął Barnaba. - Ciekaw jestem, jak to przyjmie. Jak poradysz sobie z Garinem? Nie rób sobie nadziei, usłucha księcia, bo jest zbyt wiernym sługą, a ty jesteś zbyt piękna, aby się sprzeciwił. Co więcej, nie masz prawa odmówić, bo sprowadzisz gniew naszego pana na swych bliskich. A księżę nie jest zbyt wyrozumiały.

Prawda?

- Dlatego chciałam się z tobą spotkać...Katarzyna wstała i przeciągnęła się, rozprostowując zdrętwiałe członki. Jej smukła sylwetka wydłużyła się w tańczącym czerwonym świetle świecy. Złociste i połyskujące włosy otaczały ją czymś w rodzaju aureoli i żebrak poczuł, jak ściska mu się serce. Uroda dziewczyny była niebezpieczna. Barnaba, będąc do niej przywiązany bardziej, niż mógł przypuszczać, zrozumiał, że należy do kobiet, przez które wybuchają wojny, dla takich mężczyźni zabijają się wzajemnie, a one rzadko przynoszą szczęście swoim panom, tak jak wszelki nadmiar może stać się niebezpieczny. Nie jest dobrze wychylać się zbytnio ponad przyjęty poziom... Wychylił do dna dzbanek z winem i cisnął nim niedbale o ziemię. Naczynie rozbiło się, a kilka okruchów potoczyło się w kurzu daleko od wyrka.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytał spokojnie.

- Że uniemożliwisz to małżeństwo. Wiem, że masz swoje sposoby i oddanych ludzi. Może dałoby się coś zrobić, żebym nie musiała wychodzić za mąż bez konieczności odmowy i tak, by Garin de Brazey nie musiał sprzeciwiać się swemu panu?

- Tego nie da się zrobić. Tak więc, moja droga, widzę tylko jeden sposób: śmierć... Twoją albo Garina. Przypuszczam, że nie chcesz umrzeć?

Niezdolna do odpowiedzi Katarzyna zaprzeczyła ruchem głowy, wpatrując się uparcie w zakurzone buciki. Ale ta cisza nie zmyliła Barnaby.

- Tak więc to on ma umrzeć, prawda? Aby pozostać wierną jakiejś głupiej miłości, skazujesz bez namysłu człowieka na śmierć, i kilku innych wraz z nim! Nie sądzisz chyba, że po śmierci skarbnika książęcy namiestnik spocznie na laurach!

Twardy głos Barnaby docierał do najgłębszych zakamarków duszy dziewczyny z bezlitosnym okrucieństwem. Zmusił ją do jasnego spojrzenia

na sprawę i wówczas ogarnął ją wstyd. Pobieżna ocena własnej natury dokonana tej dziwnej nocy napełniła ją przerażeniem. Jednakże, jeśli śmierć Garina mogła uratować ją od związku, który napawał ją strachem i obrzydzeniem, była gotowa rozważyć bezlitośnie tę ewentualność. Oznajmiła to Barnabie z determinacją, co wprawiło żebraka w osłupienie.

- Nie chcę należeć do tego człowieka. Załatw to, jak chcesz! - Głęboka cisza znowu zapadła między dziewczyną, trwającą przy powziętym postanowieniu, i włóczęgą zadziwionym swoim odkryciem. W rzeczy samej, teraz wydawała mu się bliższa, bardziej zrozumiała, jakby była jego córką, nie zaś dzieckiem skromnych rzemieślników. Bo jakże poczciwy Gaucher i pobożna Jacquetta mogli dać życie temu dzikiemu stworzeniu? Barnaba zaśmiał się w duchu do siebie: Jakież byłoby ich osłupienie, gdyby o tym wiedzieli! Uśmiechnął się do Katarzyny.

- Zobaczę, co się da zrobić - powiedział w końcu. - Teraz wracaj do siebie. Nie miałaś kłopotów, idąc tutaj?

W kilku słowach Katarzyna opowiedziała mu o swoim spotkaniu z Niedzielnym Zabijaką i Jehanem Pieniążkiem i o tym, jak powstrzymała ich nieczne zamiary.

- To dla ciebie dobra eskorta - powiedział Barnaba. - Powiem im, żeby cię odprowadzili. Bądź spokojna, możesz im zaufać, jeśli to ja zrobię z nich Aniołów Stróżów.

Rzeczywiście, kilka minut później, w towarzystwie dwóch budzących lęk mężczyzn, Katarzyna opuściła oberżę Jakuba Marynarza, zostawiając Sarę śpiącą na schodach. Droga powrotna minęła bardzo spokojnie. Jeśli pojawiał się jakiś niebezpieczny cień, któryś ze strażników szeptał kilka słów w niezrozumiałym żargonie włóczęgów i cień rozpląwał się w ciemnościach.

Gdy mężczyźni rozstawali się ze swoją podopieczną u wylotu ulicy du Griffon, zerwał się wiatr, przypędzając burzę. Dom Mateusza był widoczny z

daleka i Katarzyna nie bała się. Oswoiła się już z tymi niebezpiecznymi kompanami na tyle, że mogła im uprzejmie podziękować. Jehan Pieniążek odpowiedział za obydwu. W tym dziwnym tandemie wydawał się mózgiem, podczas gdy Zabijaka reprezentował brutalną siłę.

- Zwykle chodzę na żebrzy przy głównej bramie Saint-Benigne - powiedział. - Gdybyś mnie kiedyś potrzebowała, znajdziesz mnie tam. Jesteś już przyjaciółką Barnaby, możesz też być moją, jeśli zechcesz.

Chrapliwy głos dziwnie się załamał, nieoczekiwanie stał się łagodny; to zatarło poprzednie niemiłe wrażenia. Wiedziała już, że u żebraków propozycja przyjaźni jest zawsze szczerą, bo nic ich do niej nie zmusza. Podobnie jak groźba, której nie powinno się nigdy lekceważyć.

Drzwi domu pchnięte przez Katarzynę lekko zaskrzypiały. Dziewczyna weszła po schodach, nie robiąc najmniejszego hałasu, i wślizgnęła się do łóżka. Wuj Mateusz spał, nadal pochrapując. Noc była zbyt krótka, aby Katarzyna mogła się wyspać. Nie usłyszała, jak dzwoniło na wieży Notre Dame na otwarcie bram, i oparła się szorstkiej ręce Luizy, która chciała ją obudzić na mszę. Oburzona Luiza w końcu zrezygnowała, pokonana bezwładem jej ciała, przepowiadając siostrze wieczne potępienie. Katarzyna, obojętna na wszystko oprócz przyjemności wygodnego łóżka, spała spokojnie, pogrążona w sennych marzeniach.

Było około dziewiątej, kiedy zeszła w końcu do kuchni, gdzie burza wisiała na włosku.

Na desce koło paleniska Jacquetta prasowała bieliznę domowników żelazkiem, do którego wsypywała od czasu do czasu szufelkę rozżarzonego węgla. Pod czepek z białego płótna połyskiwały na jej czole kropelki potu; zaciskała wargi w wyrazie, który Katarzyna dobrze знаła. Coś musiało ją rozgniewać. Z trudem powstrzymywała się, by nie wybuchnąć. Prasowała bieliznę nerwowymi ruchami. Odwrócona plecami, siedząca przy oknie



Luiza przędła na wrzecionie, również nic nie mówiąc. Jej chude palce skręcały len szybko, coraz szybciej, a nić nawijała się na szpulę znajdującą się tuż obok. Patrząc na jej minę, Katarzyna domyśliła się, że coś zaszło między nią a matką. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu stwierdziła, że Sara jest już w domu. Musiała powrócić bladym świtem, a teraz, ubrana w swoją codzienną suknię z ciemnoniebieskiego barchanu, przepasana białym fartuchem, kroїła na zupę kapustę z Senlis. Odwróciła się na widok dziewczyny i mrugnęła porozumiewawczo. W duszy tej tajemniczej kobiety drzemała pełna pasji natura i Katarzyna nie odnalazła w jej zwykłym wyglądzie śladu wczorajszej nocy. Luiza również dostrzegła wejście siostry i złośliwie krzyknęła:

- Bijcie pokłony, niewolnicy, oto wielmożna i potężna pani de Brazey...

- Uspokój się, Luizo! - ucięła zimno Jacquetta. - Zostaw siostrę w spokoju.

Trzeba było o wiele więcej wysiłku, aby uspokoić Luizę, kiedy leżało jej coś na sercu. Porzuciwszy wrzeciono, zerwała się na równe nogi i stanęła przed siostrą ze złą miną i rękami na biodrach.

- Nie podoba ci się już wstawanie o świcie, co? Najgorsze prace, poranna msza, to dobre dla mnie i dla matki. Udajesz księżniczkę; wydaje ci się, że jesteś już u tego twojego jednookiego skarbnika.

Jacquetta z wściekłością odstawiła żelazko na palenisko. Poczzerwieniała aż po korzonki blond włosów. Katarzyna uprzedziła jej słowa.

- Źle spałam tej nocy - powiedziała, wruszając lekko ramionami. - Trochę dłużej wypoczywałam, to nie zbrodnia. Popracuję dłużej wieczorem.

Odwracając się plecami do Luizy, której wykrzywiona twarz sprawiała jej przykrość, Katarzyna pocałowała szybko matkę i pochyliła się nad

paleniskiem, biorąc pozostawione tam żelazko. Gdy chwyciła małą łopatkę, aby dorzucić rozżarzonego węgla, Jacquetta powiedziała:

- Nie, córeczko... nie powinnaś wykonywać takich prac. Twój narzeczony nie życzy sobie tego. Musisz teraz przygotowywać się do innego życia, które cię czeka... a nie mamy na to zbyt dużo czasu.

Smutny i zrezygnowany ton matki spotęgował gniew Katarzyny.

- Cóż to za historia? Mój narzeczony? Jeszcze się nie zgodziłam. Jeśli chce mnie poślubić, musi mnie zaakceptować taką, jaka jestem.

- Nie możesz odmówić. Paź księżnej wdowy był tu dziś rano. Musisz opuścić ten dom i zamieszkać do dnia ślubu u pani de Champdivers, żony szambelana Jego Wysokości księcia Filipa. Ona przygotuje cię do życia na dworze, nauczy dobrych manier i odpowiedniego zachowania.

W miarę jak matka mówiła, rósł gniew Katarzyny. Zaczerwienione oczy Jacquetty zdradzały wielki smutek, a zmęczony głos wzmagił jeszcze irytację dziewczyny.

- Ani słowa więcej! Jeśli pan de Brazey chce mnie poślubić, nie mogę mu w tym przeszkodzić, bo taki jest rozkaz Jego Wysokości księcia Filipa. Ale wyrzec się bliskich, aby zamieszkać u obcych, opuścić ten dom i zamieszkać w innym, gdzie nie będę się czuła swobodnie, gdzie, być może, będą mną pogardzać, nie, nigdy! Odmawiam!...

Szyderczy śmiech Luizy spotęgował wściekłość Katarzyny, która skierowała swą złość przeciw siostrze.

- Przestań się śmiać jak idiotka. Wiedz, że to małżeństwo napawa mnie obrzydzeniem. Jeżeli się zgodzę, to wyłącznie dlatego, abyście nie mieli przykrości z powodu odmowy. Gdyby chodziło tylko o mnie, uciekłabym już dawno poza granice Burgundii, wróciłabym do Paryża, do domu.

Prawdopodobnie doszłoby do bijatyki, bo Luiza nie przestawała się naigrawać, ale Sara stanęła między siostrami. Chwyciła Katarzynę za

ramiona i odepchnęła daleko od przeciwniczki.

- Uspokój się... Musisz słuchać matki, moja mała, tak będzie rozsądnie. Buntując się, zwiększysz jeszcze jej cierpienie.

Istotnie, Jacquetta osunęła się na kamienną płytę koło paleniska i płakała z głową ukrytą w fartuchu. Katarzyna nie chciała przeciągać tego widowiska i rzuciła się ku niej.

- Nie płacz, matko, proszę. Zrobię, co zechcesz. Ale nie wymagaj, bym stąd odeszła i zamieszkała u obcych.

Była to jednocześnie prośba i pytanie. Olbrzymie łzy płynęły po policzkach dziewczyny, która oparła głowę na ramieniu matki. Jacquetta osuszyła jej oczy i pogłaskała delikatnie jasne warkocze młodszej córki.

- Pójdziesz do pani de Champdivers, Katarzyno, bo ja cię o to proszę. Wiesz dobrze, że zaraz po zaręczynach pan de Brazey będzie przychodził codziennie w zaloty. Nie może przecież przychodzić tutaj. Ten dom nie jest jego godny. Żle by się czuł.

- Trudno - rzuciła Katarzyna z urazą. - Niech więc zostanie u siebie!

- No, no! Powiedziałam, że źle by się czuł, ale ja czułabym się jeszcze gorzej. Pani de Champdivers jest starsza, mówią, że jest dobra, nie będziesz więc u niej nieszczęśliwa. Nauczysz się tam dobrych manier. Poza tym - zakończyła ze smutkiem Jacquetta, próbując się uśmiechnąć - i tak będziesz musiała opuścić ten dom, aby zamieszkać u męża. Będzie to etap przejściowy, dzięki któremu łatwiej przystosujesz się do życia w domu Garina de Brazeya. Zresztą będziesz mogła tutaj przychodzić, ilekroć tego zapragniesz...

Zasmucona Katarzyna miała wrażenie, że matka recytuje dobrze wyuczoną lekcję. Z pewnością wuj Mateusz przekonywał ją bardzo długo i doprowadził do tej smutnej rezygnacji. Ponieważ biedna Jacquetta była całkowicie zdruzgotana, nie było sensu dłużej się opierać. Zresztą jeśli

Barnaba włączy się do sprawy, jak przypuszczała Katarzyna, wszystko to będzie wkrótce tylko złym snem. Dlatego postanowiła się poddać.

- Bardzo dobrze! Pójdę do pani de Champdivers! Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim? - zapytała Jacquetta.

Nie wiedziała, czy cieszyć się z posłuszeństwa córki, czy też może martwić, że tak szybko zrezygnowała z walki.

- Chcę, aby Sara poszła ze mną!

\* \* \*

Wieczorem, kiedy znalazła się sam na sam z Sarą w ich wspólnej izbie, Katarzyna zdecydowała, że nadszedł moment, aby przystąpić do działania. Nie było już miejsca na sekrety ani tajemnice, bo nazajutrz obydwie miały się udać do pięknego domu ich przyszłej gospodyni. Nie tracąc czasu, Katarzyna opowiedziała Sarze o swojej wyprawie do miasta. Sara nie zmarszczyła nawet brwi na wiadomość, że jej sekret został odkryty. Uśmiechnęła się nawet lekko, gdyż z głosu dziewczyny wywnioskowała, że ta nie gani jej, a nawet rozumie.

- Czemu mi o tym mówisz dziś wieczór? - zapytała tylko.

- Bo musisz iść tej nocy do Jakuba Marynarza. Zaniesiesz Barnabie list.

Sara nigdy nie dyskutowała ani nie dziwiła się niczemu. Zamiast odpowiedzi wyciągnęła ze swej skrzyni ciemny płaszcz i otuliła się nim.

- Daj - powiedziała.

Katarzyna skreśliła kilka słów, przeczytała je i wysuszyła atrament.

*Musisz działać - napisała do Barnaby. - Tylko ty możesz mi pomóc i pamiętaj, że nienawidzę tego człowieka.*

Zadowolona podała Sarze złożoną kartkę.

- Oto list - powiedziała. - Załatw sprawę szybko.

- Za piętnaście minut Barnaba dostanie twój list. Tylko nie zamykaj drzwi.

Wymknęła się z izby, nie czyniąc hałasu, i choć Katarzyna wyteżala słuch, nie usłyszała najmniejszego szmeru kroków ani najłabszego skrzypnięcia drzwi. Wydawało się, że Sara rozplynęła się w powietrzu. Siedzący na drążku Gedeon jedno oko miał zamknięte, a drugim obserwował swoją panią oddającą się niezwykłemu o tej porze zajęciu. Widział, jak przewraca w kufrach, wyciąga z nich suknie, przykłada do siebie, a potem rzuca na posadzkę lub kładzie na łożu. To niezwykle poruszenie nakłoniło ptaka do dania znaku życia, gdyż wydało mu się, że godzina odpoczynku jeszcze nie nadeszła. Gedeon poruszył skrzydłami, napuszył wspaniałe upierzenie i zaskrzeczał:

- Dobrrrry... książę!

Nie zdążył powtórzyć tego dwa razy. Jedna ze wzgardzonych przez Katarzynę sukien wylądowała na nim, rzucona pewną ręką, całkowicie go oślepiając i przyduszając.

- Niech książę idzie do diabła... a ty razem z nim! -krzyknęła dziewczyna z wściekłością.

Sara wróciła koło północy. Katarzyna czekała na nią przy zgaszonych świecach, siedząc w łożu.

- No więc? - zapytała.

- Barnaba kazał ci powiedzieć, że wszystko w porządku. Przekaze wiadomość dla ciebie do pałacu Champdivers, co zdecydował i co masz robić!

## *Rozdział siódmy*

### *Matka królewskiej faworyty*

Złoty promień słońca, przenikając witraż przedstawiający świętą Cecylię z harfą, spowijał Katarzynę stojącą nieruchomo pośrodku olbrzymiej sali i szwaczkę u jej stóp. Lśnienie rozplątało się delikatnie na ciemnym odzieniu starej damy, która siedziała wyprostowana w dębowym fotelu, nadzorując przymiarke, ubrana mimo gorąca w brązowy aksamit obsyty futrem z kuny.

Maria de Champdivers miała łagodny wyraz twarzy, delikatne rysy i wyblakłe, bladoniebieskie oczy lekko przysłonięte wysokim nakryciem głowy w kształcie półksiężyca, wykonanym z kosztownej koronki flandryjskiej. W twarzy tej najbardziej widoczny był wyraz głębokiego przygnębienia, niekiedy niwelowany zabłąkanym uśmiechem. Patrzący na nią zgadywał, że Marię de Champdivers dręczył tajemny smutek.

W rękach najlepszej w mieście szwaczki różowy i srebrzysty brokat, niedawno wybrany przez Garina de Brazeya, stał się książęcą szatą. Strój podkreślał urodę Katarzyny tak wyraziście, że zaniepokoiło to gospodynię. Podobnie jak Barnaba, stara dama uważała, że równie doskonała piękność nosi w sobie zapowiedź nieszczęścia. Jednakże Katarzyna przeglądała się w lustrze z polerowanego srebra z niemal dziecięcą radością, więc pani de Champdivers usiłowała nie uzewnętrzniać swych obaw.

Wiotki i połyskujący materiał, którego blask przypominał tafłę wody w świetle jutrzeńki, opadał, układając się miękko wokół giętkiej kibici, i

spływał na posadzkę, tworząc krótki tren. Katarzyna nie chciała żadnych dodatkowych ozdób, twierdząc, że materiał sam w sobie stanowi ozdobę. Szerokie wycięcie stanika w kształcie otwartego V schodziło aż do szarfy ściskającej talię, umieszczonej tuż pod piersią. W wycięciu widać było srebrny materiał spodniej sukni, na którym błyszczały różowe, doskonale okrągłe perły - pierwszy wspaniały prezent od Garina de Brazeya dla narzeczonej. Perły okalały także srebrny trójkąt przysłonięty blad różowym muślinem. Inne zaś otaczały smukłą szyję dziewczyny. Tył sukni odsłaniał ramiona i plecy do wysokości łopatek. Długie rękawy przykrywały ręce do połowy dłoni.

Dał się słyszeć wyważony głos Marii de Champdivers:

- Trzeba podnieść trochę tę fałdę z lewej strony... Tak, pod pachą! Nie jest zbyt udana... Właśnie tak! Teraz lepiej. Wyglądasz w tym czarująco, moje dziecko, myślę, że lustro przekona cię o tym.

- Dziękuję, pani - odpowiedziała Katarzyna z uśmiechem zadowolenia.

Przez miesiąc pobytu w pałacu Champdivers znikwały kolejno jej uprzedzenia. Szlachetna dama nie okazywała jej pogardy ani ironii. Przyjęła ją jak prawdziwą pannę z dobrego domu, nie dając odczuć jej skromnego pochodzenia. Katarzyna znalazła w tej łagodnej i dobrej kobiecie prawdziwą przyjaciółkę i powiernicę. Znacznie mniej podobał się jej pan domu, Wilhelm de Champdivers, szambelan księcia Filipa i członek jego ścisłej rady; był człowiekiem oschłym, gwałtownym i dość dziwnym. Jego wzrok budził zażenowanie Katarzyny. Taksował ją nieokreślonej barwy spojrzeniem i cuchnął na miłą stręczycielstwem. Ten milczący starzec, który nigdy nie podnosił głosu i przemykał cichcem, miał w sobie coś z handlarza żywym towarem. Katarzyna dowiedziała się od Sary o podejrzanym pochodzeniu dużego majątku swego gospodarza oraz sposobie, w jaki dawny wielki koniuszy Jana bez Trwogi stał się szambelanem i radcą stanu. Prawie

piętnaście lat wcześniej Wilhelm de Champdivers oddał jedyną córkę, Odette, wspaniałą dziewczynę, która nie miała jeszcze szesnastu lat, swemu panu, księciu Janowi. Właściwie nie jemu, lecz z przeznaczeniem na kochankę, towarzyszkę, strażniczkę i, trzeba to również powiedzieć, szpiega szalonego Karola VI. Łagodne i czyste dziecko zostało oddane przez ohydneho stręczyciela, bez litości i wstydu, nieszczęsnemu pomyłkowi, którego uroda zniszczała pośród brudu i robactwa. W czasie ataków choroby, trwającej całymi tygodniami lub miesiącami, nie można go było zmusić do umycia się. Podczas gdy Janowi bez Trwogi wydawało się, że położył zwycięską dłoń na chorej głowie króla, w rzeczywistości dał mu lek łagodzący udrekę: czułość kobiety. Odetta pokochała nieszczęsnego księcia i stała się jego Aniołem Stróżem, cierpliwą i słodką Czarodziejką, której nic nie było w stanie zrazić.

Z tej dziwnej miłości narodziła się dziewczynka uznana przez króla. Nadano jej nazwisko de Valois. Lud Paryża, który nienawidził grubej Izabeli, nie pomylił się co do Odetty w swoim prostym osądzie. Spontanicznie i czule nazwano ją „małą królową”... W sercu Marii de Champdivers, odłączonej od córki, pozostała jednak głęboka rana, nawet jeśli tego nie okazywała, skrywając niechęć do męża pod maską uśmiechu.

Uprzedzona o tych wydarzeniach przez Sarę, Katarzyna oddała spontanicznie część swego serca starej damie, nie domyślając się nawet, jak olbrzymią litość w niej wzbudzała. Maria de Champdivers, znająca aż nazbyt dobrze dwór i mężczyzn, rozumiała, że jej zadaniem będzie nie tyle przygotowanie żony dla Garina de Brazeya, ile raczej kochanki dla Filipa Burgundzkiego.

Gdy Sara weszła do olbrzymiej sali z tacą w ręku, szwaczka właśnie wstawiała z klęczek i dumna ze swego dzieła, cofnęła się o parę kroków, aby ocenić całość:



- Jeśli pan Garin nie będzie zadowolony - powiedziała z szerokim uśmiechem - to trudno. Klnę się na Najświętszą Marię Pannę, że nigdy nie widziałam piękniejszej narzeczonej. Pan Garin, który właśnie dzisiaj rano wrócił z Gandawy, pospieszy, idę o zakład, złożyć pokłon przed swą przyszlą panią i...

Maria de Champdivers przerwała niecierpliwym gestem gadaninę szwaczki, wiedząc, że jeśli jej nie powstrzyma, będzie mówiła bez końca.

- To jest ładne, moja dobra Gauberto, naprawdę bardzo ładne. Powiadomię cię, czy pan Garin był zadowolony. A teraz odejdz.

Sara odprowadziła szwaczkę do schodów. Katarzyna i jej gospodyni pozostały same. Dziewczyna podeszła pełnym wdzięku krokiem i usiadła na aksamitnej poduszce u stóp starej damy. Jej uśmiech znikł, a na twarzy pojawił się smutek.

- Wiadomość o powrocie narzeczonego nie wydaje się sprawiać ci radości, moja mała? Garin ci się nie podoba? Czy go nie kochasz?

Katarzyna wzruszyła ramionami:

- Dlaczegoż miałabym go kochać? Znam go bardzo mało. Z wyjątkiem tego ranka w kościele Notre Dame, kiedy pomógł mi powstać, widziałam go tylko raz, w tym domu. Od tego czasu przebywa w Gandawie z księciem, na pogrzebie księżnej pani. A poza tym... - Zawahała się, nie mogąc powstrzymać trudnego wyznania: - A poza tym boję się go!

Maria de Champdivers nie odpowiedziała od razu. Jej dłoń pogładziła twarz dziewczyny, a nieobecne spojrzenie błąkało się gdzieś w mieniącym się różem witrażu, jakby tam chciała znaleźć odpowiedź na niezadane pytanie.

- A księżę? - zapytała po chwili wahania. - Jak go znajdujesz?

Katarzyna podniosła żywo zamyśloną twarz. W jej oczach pojawił się figlarny błysk.

- Prawdziwie czarujący młody mężczyzna - powiedziała, uśmiechając się. - Któż tego nie wie. Wyniosły pan, uprzejmy dla dam, zręczny w grach miłosnych, przynajmniej takie rozsiewa o sobie wieści, krótko mówiąc: księżę doskonały. Ale...

- Ale?

- Ale - dokończyła Katarzyna, śmiejąc się - jeśli, jak się mówi, chce mnie wydać za mąż, aby móc położyć mnie do swego łóżka, to się myli.

Zdziwienie wyrwało Marię de Champdivers z zadumy. Patrzyła na dziewczynę w zabawnym osłupieniu. A więc Katarzyna wiedziała, co ją czeka? Co więcej, myślała poważnie o przepędzeniu księcia jak jakiegoś pospolitego adoratora, który stara się ją zdobyć?

- Myślisz o tym - zapytała w końcu - aby odepchnąć księcia?

- Dlaczego nie? Jeśli wyjdę za mąż, chcę być wierna mężowi i przysiędze złożonej przed ołtarzem. Nie zostanę kochanką naszego pana. Będzie się musiał z tym pogodzić.

Tym razem Maria de Champdivers uśmiechnęła się z lekką melancholią. Gdyby jej Odetta miała ongiś choć trochę z tej spokojnej odwagi, tego mocnego postanowienia, kiedy oddawano ją Karolowi, tyle spraw mogłoby wyglądać inaczej! Ale była wtedy za młoda, podczas gdy Katarzyna ma ponad dwadzieścia lat.

- Pan Garin ma szczęście - westchnęła stara dama. - Piękno, rozwaga, wierność... Będzie miał to, czego mógłby sobie życzyć najbardziej wymagający mężczyzna.

Katarzyna potrząsnęła głową i spoważniała.

- Nie trzeba mu zazdrościć. Nie wiadomo, jaka przyszłość jest mu sędzona.

Zachowała dla siebie treść zapisanego skrawka papieru, autorstwa Barnaby, który Sara przyniosła jej tego ranka wraz ze śniadaniem.

Informował ją o powrocie Garina i zapewniał, że wszystko jest przygotowane na dzisiejszy wieczór.

*Postaraj się tylko, aby ta osoba została przy tobie do gaszenia świateł -*  
pisał Barnaba. - *Nie powinno ci to sprawić kłopotu.*

\* \* \*

Zaczynało się ściemniać, gdy Garin de Brazey przekroczył bramy pałacu Champdivers. Poprzez małe szybki oprawione w ołów, które wypełniały okno jej pokoju, Katarzyna patrzyła z dziwnie ściśniętym sercem, jak zeskakiwał z konia. Ubrany jak zawsze na czarno, był obojętny i chłodny, ale wspaniałały z ciężkim łańcuchem z rubinów na szyi i olbrzymim krwawym almandynem błyszczącym u kaptura. Za nim szedł służący, niosąc szkatułkę przykrytą purpurowym pokrowcem ze złotymi frędzlami.

Kiedy Katarzyna zobaczyła, że wysoka, czarna postać znika wewnątrz domu, odsunęła się od okna i usiadła na łożu, czekając, aż ją zawołają. Było gorąco, bo grube mury chroniły od chłodu, mimo to dziewczyna dygotała w srebrzystej sukni. Nieprzezwyjężony lęk opanował ją przed znalezieniem się twarzą w twarz z człowiekiem, którego skazała na śmierć. Ręce miała lodowate i drżała ogarnięta szaloną trwogą. Szczękając zębami, lecz z rozpaloną twarzą rozglądała się, szukając gwałtownie drogi ucieczki, bo sama myśl o spotkaniu z Garinem, a być może konieczność dotknięcia jego ręki, napawała ją lękiem i czyniła słabą.

Dźwięki dochodzące z głębi domu były przytłumione, a mimo to przerażające. Z olbrzymim wysiłkiem zerwała się z łoża i powlokła w kierunku drzwi, opierając się o ściany. Nie była w stanie myśleć rozsądnie. Ogarnął ją zwierzęcy strach. Zacisnęła dłoń na rzeźbionym zamku, którego żelazna spirala zraniła jej palec wskazujący, tak że pojawiła się kropla krwi.

Nie zdołała go odemknąć, gdyż trzęsła się zbyt mocno. Wtem drzwi otworzyły się i stanęła w nich Sara. Wydała cichy okrzyk, widząc pobladałą Katarzynę.

- Co tu robisz? Chodź! Proszę cię.

- Ja... ja nie mogę! - jęknęła dziewczyna. - Nie mogę tam iść.

Sara chwyciła ją za ramiona i zaczęła potrząsać gwałtownie. Rysy jej ciemnej twarzy stwardniały, tworząc rodzaj barbarzyńskiej maski wyrzeźbionej z egzotycznego drewna.

- Kiedy ma się odwagę prosić o coś, trzeba również ją mieć, aby spojrzeć prawdzie w oczy - oświadczyła bez ogródek. - Pan Garin czeka na ciebie!

Złagodniała jednak, gdy zobaczyła łzy w oczach dziewczyny. Odeszła ze wzruszeniem ramion, aby zamoczyć chusteczkę w srebrnej miedniczce stojącej na toaletce. Następnie skropiła jej twarz, na którą powróciły kolory. Katarzyna odetchnęła głęboko, Sara również.

- No, tak jest lepiej. Chodź teraz i trzymaj się dzielnie - powiedziała, biorąc Katarzynę pod rękę i ciągnąc w kierunku schodów.

Ta, niezdolna do najmniejszego sprzeciwu, dała się prowadzić bez protestu. Stoły do wieczery były przygotowane w dużej sali na pierwszym piętrze przed kominkiem, w którym nie palił się ogień. Wchodząc, Katarzyna spostrzegła Marię de Champdivers w ulubionym fotelu we wnęce okiennej oraz jej męża rozmawiającego półgłosem z Garinem de Brazeyem. Po raz drugi pod dachem państwa Champdivers spotykała wielkiego skarbnika, ale po raz pierwszy odczuła wstrząs, napotykając taksujące spojrzenie jego jedyne go oka. Gdy przyjechał wieczorem do pałacu przy ulicy Tatepoire w dniu, kiedy tam przybyła, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Wymienili kilka słów tak banalnych, że nawet ich nie zapamiętała. Prawie cały wieczór dyskutował z Wilhelmem de Champdivers, pozostawiając ją w towarzystwie

Marii. Katarzyna była mu za to wdzięczna, gdyż w ten sposób sam pomógł jej wyzbyć się wszelkich skrupułów.

Sądząc, że i tym razem sprawy przybiorą podobny obrót, podeszła do mężczyzn, aby się przywitać. Na jej widok przerwali rozmowę i wstali. Ponieważ miała opuszczone powieki, nie zauważyła wyrazu zachwyty na ich twarzach, co Garin wyraził w sposób poetycki:

- Jutrzenka dnia letniego nie jest piękniejsza. Jesteś, pani, cudownym zjawiskiem, moja droga.

Mówiąc to, pochylił swą wysoką postać w głębokim ukłonie, z ręką na sercu, w odpowiedzi na rewerans młodej dziewczyny. Również Champdivers uklonił się z uśmiechem zadowolenia na twarzy łasicy. Taka piękność mogła długo utrzymać przy sobie niestałe serce Filipa Dobrego. Champdivers oczyma wyobraźni dostrzegał niekończące się korzyści i zaszczyty, jakie na niego spadną w podzięcie za oddaną przysługę. Mało brakowało, by zatarł ręce...

Garin energicznym skinieniem wezwał swego służącego, który oczekiwał w rogu sali, trzymając szkatułkę z purpurowego aksamitu. Skarbnik otworzył puzderko. Całe światło z żelaznych kaganków skupiło się natychmiast na jego zawartości. Długimi, zwinnymi palcami wyciągnął wspaniałą złoty naszyjnik, szeroki i długi jak zastęp rycerzy. Ornament w kształcie liści i kwiatów wykonany był z olbrzymich purpurowych ametystów rzadkiego blasku i czystości, a także ze wschodnich pereł bez najmniejszej skazy. Pojawienie się tego cuda wywołało ogólny okrzyk zachwyty, a Garin wyjął natychmiast parę kolczyków dobranych do kompletu.

- Uwielbiam bezgranicznie fiołkowy kolor, gdyż przypomina kolor twoich oczu, Katarzyno. Pasuje do złocistych włosów i jasnej cery. Dlatego zamówiłem dla ciebie, pani, tę ozdobę w Anvers. Kamienie pochodzą z

dalekiego łańcucha górskiego na granicy Azji, z gór Uralu. Naszyjnik powstał dzięki olbrzymiej odwadze i poświęceniu ludzi nieznających strachu. Chciałbym, abyś nosiła go, pani, z przyjemnością, gdyż ametyst jest kamieniem mądrości... i niewinności.

Kiedy składał naszyjnik do drżących rąk Katarzyny, obdarowana zaczerwieniła się gwałtownie.

- Będę go nosiła z przyjemnością, gdyż jest darem od ciebie, panie - powiedziała głosem tak zgaszonym, że nikt jej nie usłyszał. - Chciałbyś, panie, zapiąć mi go na szyi?

W gwałtownym geście odmowy wielkiego skarbnika było coś komicznego.

- Do tej różowej sukni? Moja droga, cóż za barbarzyństwo.

Przypilnuję, aby uszyto ci strój odpowiedni do tej biżuterii. A teraz podaj mi dłoń.

Z głębi szkatułki, nad którą znów się pochylił, wyciągnął prosty pierścień ze złotej plecionki i wsunął na palec serdeczny dziewczyny.

- Jest to - powiedział z powagą - dowód naszych zaręczyn. Książę pan polecił, aby nasz ślub odbył się w Boże Narodzenie, tuż po zakończeniu żałoby na dworze. Chce, a to dla nas wielki zaszczyt, uczestniczyć osobiście w ceremonii, a może nawet będzie świadkiem. Tymczasem weź mnie pod ramię i chodźmy do stołu.

Katarzyna dała się prowadzić, nie stawiając oporu. Była zbita z tropu, ale jej poprzednie zażenowanie zniknęło.

Garin miał swój własny sposób wyjaśniania i załatwiania spraw, który odbierał im, przynajmniej częściowo, zatrważający charakter. Można było wyczuć, że dla tego mężczyzny, bogatego i wpływowego, nie było rzeczy niemożliwych. Tym bardziej że ani w jego słowach, ani czynach nie można było odnaleźć żadnej tkliwości. Gdy wręczał kosztowny klejnot lub wsuwał

na palec dziewczyny pierścień, łączący ich na całe życie, w jego głosie nie wyczuwało się żadnej zmiany tonu. Jego dłoń nie drżała. Oko pozostawało chłodne i jasne. Przez moment, kiedy siadała obok niego przy stole, gdzie mieli posilać się z tego samego srebrnego naczynia\*, Katarzyna przyłapała się na myśli, jakie mogłoby być jej życie w cieniu takiego człowieka.

*\* W tych czasach naczynia stołowe nie były jeszcze zbyt rozpowszechnione; należało do dobrego tonu, aby mężczyzna i kobieta jedli z jednego talerza (przyp. tłum.).*

Był raczej okazały, wydawał się przy tym zrównoważony i spokojny, a jego szczodrość nieograniczona. Katarzyna pomyślała, że takie małżeństwo mogłoby mieć swoje dobre strony, gdyby nie istniała, zresztą jak we wszystkich związkach, ta irytująca i odpychająca kwestia stosunków małżeńskich. A także gdyby nie istniało w głębi jej duszy bolesne wspomnienie z oberży U Karola Wielkiego, tak jeszcze silne, że sama myśl o Arnoldzie wystarczała, by w jej oczach pojawiły się łzy.

- Jesteś pani bardzo wzruszona? - usłyszała obok siebie spokojny głos Garina. - Rozumiem, że młoda dziewczyna nie decyduje się na małżeństwo bez pewnej obawy, ale nie trzeba przesadzać. Życie we dwoje może być rzeczą bardzo prostą... a nawet przyjemną, i nie warto się martwić.

Najwidoczniej starał się ją uspokoić, więc podziękowała mu niepewnym uśmiechem, zawstydzona tą oznaką zainteresowania. Nagle zaczęła myśleć o Barnabie i o znaczeniu jego słów „wszystko przygotowane”. Co on wymyślił? Jaką pułapkę przygotował tej nocy dla tego wpływowego człowieka, którego śmierć mogła mieć niebezpieczne następstwa? Katarzyna wyobraziła sobie żebraka ukrytego w cieniu jakichś drzwi, znikającego w ciemnościach, tak jak zrobili to pewnej nocy Niedzielny Zabijaka i Jehan Pieniążek. Zobaczyła w wyobraźni, niczym w kryształowej kuli, jak pojawia się cień ze stalowym sztyletem w dłoni, rzuca się na

jeźdźca, który spada z siodła, a potem uderza po wielekroć w nieruchomą postać. By odsunąć ten zbyt wyraźny obraz, usiłowała przysłuchiwać się rozmowie obu mężczyzn. Rozmawiali o polityce i kobiety nie mieszały się do dyskusji. Maria de Champdivers jadła lub raczej skubała potrawy w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w talerz, gdyż nie dopisywał jej apetyt.

- Jest duże rozbicie wśród szlachty burgundzkiej - mówił jej małżonek.  
- Dużo możnych rodzin odrzuca traktat z Troyes i krytykuje Jego Wysokość, że go podpisał. Między innymi książę d'Orange, pan de Saint-Georges, a także potężna rodzina de Chateauvillain odrzucają angielskiego dziedzica i hańbiące dla Francji klauzule traktatu. Ja sam, wyznaję, odczuwam pewną odrazę.

- Któż jej nie odczuwa? - odpowiedział Garin. - Ból wywołany śmiercią ojca spowodował, że książę zapomniał, iż jest, mimo wszystko, spod znaku lilii. Zna moje zdanie w tej sprawie, gdyż wcale nie ukrywam, co myślę o tym traktacie: ten skrawek papieru, który wydziedzicza delfina Karola na korzyść angielskiego zięcia, zwycięzcy, od czasu Azincourt niszczącego kraj, okrywa nas hańbą. Jedynie kobieta tak pełna wad, jak ta nędznica Izabela, którą zepsuły do szpiku kości rozpusta i skapstwo, mogła upodlić się do tego stopnia, poniżyć, zaprzeć się samej siebie, ogłaszając swego syna bękartem.

- Są chwile - powiedział Champdivers, potrząsając głową - że nie rozumiem Jego Wysokości. Jak pogodzić ten wielki żal, z którym się obnosi przed całą szlachtą Francji z powodu przegranej pod Azincourt, z jego obecnymi poczynaniami, które otwierają kraj Anglikom. Ślub króla Henryka z panią Katarzyną de Valois, siostrą nieboszczki księżnej Michaliny, wystarczył więc, aby zmienił zdanie? Nie wierzę w to...

Garin odwrócił się na chwilę, aby zanurzyć zatłuszczone palce w naczyniu z perfumowaną wodą, którą podał mu służący.



- Ja też nie. Księżę nienawidzi Anglika i obawia się wojkowego talentu Henryka V. Jest zbyt walecznym rycerzem, aby nie żałować szczerze swej nieobecności pod Azincourt i swego udziału w tej bitwie, straszliwej i krwawej, ale bohaterskiej. Na nieszczęście lub szczęście dla nas myśli najpierw o Burgundii, a dopiero potem o Francji. Jeśli pamięta o znaku lilii, to dlatego, że sądzi, iż korona Francji bardziej by pasowała jemu aniżeli głowie nieszczęśnika Karola VI. W grze wojny i polityki ma nadzieję na dłuższą metę uporać się z Anglikiem, który jest bardzo bogaty. Posługuje się Henrykiem V, podczas gdy ten sądzi, że jest odwrotnie. Co do delfina Karola, Jego Wysokość Filip nigdy w głębi duszy nie wątpił w jego prawo do dziedziczenia tronu, ale nienawiść i nadzieja księcia znajdują upust w tym zaprzeczaniu.

Wilhelm de Champdivers wychylił duży puchar wina, westchnął z zadowoleniem i rozsiadł się na poduszkach.

- Mówi się, iż delfin czyni starania, aby Burgundia stanęła po jego stronie i że niedawno posłał potajemnie wysłannika w tej sprawie. Ale podobno coś złego zdarzyło się posłańcowi.

- Rzeczywiście, w okolicach Tournai kapitan de Montsalvy został zaatakowany i zraniony przez bandę rabusiów będących najprawdopodobniej na żołdzie Jana Luksemburczyka, naszego przywódcy, wojkowego, który sprzyja Anglikom. Udało mu się jednak stamtąd zbiec dzięki opatrnościowej pomocy lekarza arabskiego, który się tam znalazł, Bóg jeden wie dlaczego, i, jak mówią, bardzo dobrze się nim zajął.

Katarzyna, trochę roztargniona w czasie rozmowy mężczyzną, natychmiast skupiła uwagę. Pochłaniała teraz słowa Garina. Ale on zamilkł, aby zjeść parę śliwek z Damaszku leżących na półmisku.

Nie mogąc się powstrzymać, zapytała:

- Czy wiadomo, co stało się z wysłannikiem? Czy udało mu się

zobaczyć z księciem?

Garin de Brazey odwrócił się w jej stronę na wpół zdziwiony, a na wpół rozbawiony.

- Twoje, pani, przysłuchiwanie się naszej rozmowie, trochę zbyt poważnej jak dla damy, jest dla mnie miłą niespodzianką. Nie, Arnold de Montsalvy nie widział się z Jego Wysokością Filipem. Z powodu ran stracił dużo czasu, a księżę opuścił Flandrię, zanim on wyruszył w dalszą drogę. Co więcej, Jego Wysokość dał mu znać, że nie ma mu nic do powiedzenia. Ostatnie wieści mówią, że kapitan przybył do zamku w Mehun-Sur-Yevre, gdzie delfin ma swój dwór, aby ostatecznie przyjść do siebie.

Wydawało się, że wielki skarbnik jest tak dobrze poinformowany o ludziach z otoczenia delfina, iż Katarzyna paliła się do zadania nowych pytań. Wyczuła jednak, że byłoby błędem okazanie zbyt dużego zainteresowania młodym armaniakiem, więc skomentowała tylko:

- Oby następny wysłannik miał więcej szczęścia.

Koniec wieczerzy wydał jej się długi i nudny. Mężczyźni rozmawiali o finansach i tym razem Katarzyna nie słuchała. Maria de Champdivers drzemała wyprostowana w swoim fotelu. Katarzyna zatopiła się w myślach, z których wyrwał ją dopiero Garin: wstał i chciał się pożegnać. Dziewczyna spojrzała szybko w stronę okien. Było jeszcze dosyć widno; zbyt wcześnie, aby Garin mógł odejść. Barnaba powiedział dokładnie: gdy się ściemni. Wykrzyknęła pośpiesznie:

- Cóż to, panie, już nas opuszczasz?

Garin zaczął się śmiać i, pochylając się w jej stronę, popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- To naprawdę wieczór pełen niespodzianek, droga pani. Nie sądziłem, że moje towarzystwo jest ci tak miłe.

Czyżby rzeczywiście był zadowolony, czy też w jego głosie zabrzmiała

ironia? Katarzyna zdecydowała, że nie jest to moment na zastanawianie się, więc zrobiła unik.

- Lubię cię słuchać, panie, ot i wszystko! - powiedziała, spuszcżając wstydliwie oczy. - Tak mało się znamy. Więć jeśli nie masz, panie, nic innego do roboty, a wieczór ten nie wydaje ci się zbyt długi, to, proszę, zostań jeszcze trochę. Tak wielu rzeczy chciałabym się dowiedzieć. Przecież ja nic nie wiem o dworze, osobach, które go zamieszkują, i jak należy się tam zachowywać.

Zaczęła tracić grunt pod nogami i przeklinała się w duchu za swą niezręczność. Była świadoma spoczywających na niej zaskoczonych spojrzeń i bała się popatrzeć na swą gospodynię, aby nie wyczytać w jej twarzy nagany. Takie domaganie się obecności mężczyzny z pewnością wydało się wielkiej pani szczytem bezwstydu. Nieoczekiwana pomoc przyszła od pana domu, zadowolonego, że małżeństwo, które go tak interesowało, jest na najlepszej drodze.

- Nie odmawiaj, drogi przyjacielu, tak wdzięcznej prośbie! Twój dom jest blisko, a sądzę, że nie boisz się rozbójników.

Uśmiechnąwszy się do narzeczonej, Garin usiadł. Katarzyna westchnęła z ulgą, ale nie ośmieliła się już spojrzeć w stronę człowieka, którego zdradziła swym postępowaniem. Pogardzała sobą z powodu odgrywania dwuznacznej roli, ale miłość była silniejsza od wyrzutów sumienia. Nie może należeć do innego mężczyzny niż Arnold!

Godzinę później, a w trzy kwadransy po zwyczajowych dzwonekach na zaciemnienie, było już całkiem mroczno; Garin pożegnał się z Katarzyną i gospodarzami, a ona patrzyła zimnym okiem, jak zniknął w cieniu, idąc w kierunku czyhającej śmierci. Ponieważ trudno uspokoić wzburzone sumienie, całą noc nie zmrużyła oka.

\* \* \*

- Garin de Brazey lekko ranny, a Barnaba pojmany...

Głos Sary wyrwał Katarzynę z półsnu, w który zapadła o świcie. Zobaczyła, że Cyganka stoi obok niej z poszarzałą twarzą, zgaszonym wzrokiem i drżącymi rękoma. Nie od razu zrozumiała znaczenie słów Sary, tak były one niedorzeczne. Ale Sara powtarzała te same straszne słowa, stojąc przed osłupiałą Katarzyną. Garin de Brazey żyje? W rzeczywistości nie miało to większego znaczenia i Katarzyna poczuła lekką ulgę. Ale Barnaba ujęty?

- Kto ci o tym powiedział?

- Jehan Pieniążek! Przyszedł tu na żebrzy o świcie, ze swoim workiem i miską. Nie mógł powiedzieć nic więcej, bo nadszedł kucharz i zaczął słuchać, o czym mówimy. To wszystko, co wiem.

- Więc pomóż mi się ubrać!

Katarzyna przypomniała sobie teraz informację, jaką przekazał młody włóczęga, odprowadzając ją do domu: aby odszukała go w razie potrzeby przy bramie Saint-Benigne. Teraz albo nigdy! W mgnieniu oka była ubrana i uczesana, a ponieważ cały pałac Champdivers był poruszony, mogła wyjść bez zbytnich tłumaczeń. Wiadomość o napadzie, którego ofiarą padł Garin, rozeszła się szybko niesiona z ust do ust, i w mieście każdy komentował ją na swój sposób. Wystarczyło, że Katarzyna powiedziała, iż udaje się do kościoła podziękować Bogu za ocalenie narzeczonego, aby Maria de Champdivers pozwoliła jej wyjść z Sarą. Przechodząc pośpiesznie przez Burg, słyszały, jak kumy nawołują się przez okna i zatrzymują w małych grupkach, aby przekazać sobie nowinę w cieniu blaszanych, kolorowych szyldów.

W gruncie rzeczy nikt nie był zaskoczony. Bogactwo wielkiego

skarbnika było zbyt duże, przepych zbyt widoczny, aby uniknąć nieprzyjaciół. Katarzyna i Sara nie zatrzymywały się, by przysłuchiwać się rozmowom. W miarę jak zbliżały się do murów miasta i do olbrzymich zabudowań opactwa Saint-Benigne, jednego z największych we Francji, Katarzyna myślała wyłącznie o tym, czego się jeszcze dowie. Czowała, jak serce się jej ściska.

Na placu, na który wychodziła, zarówno w wielkiej bramie kościoła, jak i wejściu do klasztoru, było niewielu ludzi. Za ledwie kilka osób przekraczało święty próg. W wysokich ośmiokątnych wieżach z kamienia koloru gęstej śmietany dzwony były umarłemu. Kobiety musiały poczekać, aż przejdzie kondukt pogrzebowy zmierzający ku kościołowi. Mnisi ubrani w czarne burki nieśli nosze, na których spoczywał zmarły z odsłoniętą twarzą. Rodzina i kilka płaczek postępowały w ślad za nimi; przyszło bardzo mało ludzi, gdyż nie był to pogrzeb jakiejś znanej osoby.

- Nie widzę Jehana - szepnęła Katarzyna zza woalki.

- Ależ tak! W przedsionku... to ten mnich w brązowym habicie.

W istocie, był to włóczęga. Ubrany w habit brata żebraka, z sakwą na plecach i kijem w rękę, prosił nosowym głosem o jałmużnę dla swego klasztoru. Kiedy Katarzyna zbliżyła się do niego, spostrzegła, że ją poznał, gdyż jego oczy błysnęły pod zakurzonym kapturem. Podeszła prosto do niego, wsunęła monetę do wyciągniętej dłoni i wyszeptała szybko:

- Muszę natychmiast z tobą porozmawiać.

- Jak tylko ci krzykacze wejdą do środka - powiedział fałszywy mnich.

- *De profundis clamavi ad Te, Domine...*

Kiedy cały orszak wszedł do kościoła, mnich poprowadził obie kobiety do wnęki dużej bramy.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał Katarzynę.

- Wszystko, co się wydarzyło!

- Nic prostszego! Barnaba chciał działać sam... Stwierdził, że to sprawa prywatna i że ryzyko jest zbyt duże, aby mieszać w to kamratów. A przecież, patrząc na klejnoty, jakie wielki skarbnik ma zawsze na sobie, wspólny skok byłby chyba opłacalny. Barnaba jest właśnie taki! Zgodził się jedynie, żebym stanął na czatach. Chciałem, aby dla pewności wziął ze sobą Zabijkę, rozumiesz? Brazey jest jeszcze młody, a Barnaba już nie. Co z tego, jest uparty bardziej niż muł opata. Trzeba było robić, co kazał. Ja pilnowałem od strony Burgu, a on schował się za fontanną na rogu ulicy. Ujrzałem mężczyznę w towarzystwie sługi i zagwizdałem, by uprzedzić Barnabę, a potem się ukryłem. Kiedy skarbnik przejeżdżał obok fontanny, stary skoczył na niego z taką siłą, że tamten spadł z konia... Przez chwilę walczyli w kurzu, a ja zająłem się sługą. Nie był odważny. Uciekł po minucie, krzycząc: „Litości!”... Następnie zobaczyłem, jak jeden z walczących wstaje, i rzuciłem się ku niemu, bo sądziłem, że to Barnaba. Chciałem mu pomóc wrzucić trupa do rzeki Ouche. Przygotowałem nawet kilka dużych kamieni. Ale to był ten drugi. Barnaba leżał na ziemi i jęczał jak kobieta w połogu.

- Trzeba było mu pomóc! - ucięła sucho Katarzyna.

- Tak, chciałem! Gdy wyciągałem nóż, aby nim zdzielić Garina, straż weszła na ulicę Tatepoire. Brazey ich zawołał, a oni ruszyli w naszą stronę. Miałem jedynie czas, żeby się ukryć. Było ich zbyt wielu na jednego biednego włóczęgę - zakończył ze skruszoną miną.

- A Barnaba? Co z nim zrobili?

- Widziałem, jak dwóch strażników zabrało go bez zbytnich ceregieli. Nie ruszał się bardziej niż zarżnięte zwierzę, ale oddychał. Dowódca straży kazał go zanieść do więzienia. Tam właśnie jest teraz... w domu Małpy. Wiesz, gdzie to jest.

Katarzyna skinęła głową na znak potwierdzenia. Nerwowo ścisnęła w dłoniach modlitewnik oprawiony w czerwony aksamit, na próżno starając się

znaleźć jakieś rozwiązanie nowego problemu: jak wyrwać starego przyjaciela z więzienia.

- Trzeba go stamtąd wyciągnąć - powiedziała. - Musi wyjść!

Smutny uśmiech wykrzywił wąskie usta fałszywego mnicha.

Wyciągnął swoją drewnianą miseczkę w kierunku trzech kum w czepkach i fartuchach; były to handlarki z Burgu, które przyszły się pomodlić podczas przerwy w interesach.

- Co do wyjścia, to na pewno wyjdzie, tylko może nie tak, jak myślisz. Zaproponuję mu mały spacer na Wzgórze Śmierci i chwilę rozmowy z „rzeźnikiem” Jego Wysokości.

Gest towarzyszący tym słowom był aż nadto wymowny.

Wyciągniętym palcem Jehan zrobił znak wokół szyi. Katarzyna pobladła.

- Jeśli ktoś jest winny w tej sprawie, to ja - powiedziała twardo. - Nie mogę pozwolić, aby Barnaba umarł w ten sposób zamiast mnie! Czy nie dałoby się zorganizować ucieczki... za pomocą złota? Dużej ilości złota?

Myślała o klejnotach, które dał jej Garin, gotowa je poświęcić. Słowa te wywarły na Jehanie, którego oczy zabłyśły jak świece, piorunujące wrażenie.

- To dałoby się zrobić! Tylko obawiam się, że Jakub Marynarz nie wyrazi zgody, piękna Katarzyno. Nie jesteś już tam mile widziana. Mówią, że zbałamuciłaś tego poczciwego włóczęgę z powodu jakichś błahostek. Lepiej więc, abys się już u nas więcej nie pokazywała. Nikt by cię nawet nie wysłuchał, a mogłoby ci się przytrafić jakieś nieszczęście. Jakub nie jest zbyt czuły, jeśli uważa, że ktoś jest mu coś winien.

- Ale ty - zwróciła się z błaganiem Katarzyna. - Ty też nie chcesz mi pomóc?

Jehan nie odpowiedział od razu. Namyslał się przez chwilę, po czym wzruszył krzywymi ramionami:

- Ja tak, ponieważ jestem głupcem, który nigdy nie potrafi odmówić pięknej dziewczynie. Ale cóż możemy poradzić, ty i ja?

Milcząc, Katarzyna spuściła głowę, aby ukryć łzy. Sara pociągnęła ją za opończę, pokazując dyskretnie kilka kobiet, które weszły do kościoła i ze zdziwieniem spoglądały w ich stronę. Jehan potrząsnął miseczką, poprosił o jałmużnę płaczącym tonem. Kiedy kobiety ich minęły, szepnęły:

- Idźcie stąd... Zastanowię się i dam wam znać, jeśli coś wymyślę. Barnaba nie został jeszcze stracony, a przynoszący pecha skarbnik żyje...

Uwaga o Garinie natychmiast osuszyła łzy Katarzyny. Wpadła bowiem na pewien pomysł. Pomysł szalony lub może desperacki, co niekiedy oznacza to samo. Złapała Sarę za ramię.

- Chodź! - powiedziała tak zdecydowanym tonem, że Cyganka zdziwiła się.

- Dokąd, kwiatuszku?

- Do pana de Brazeya. Muszę z nim pomówić...

Nie pozostawiając Sarze czasu do namysłu, Katarzyna odwróciła się i wyszła z Saint-Benigne. Kiedy coś postanowiła, chciała to natychmiast wykonać. Idąca w ślad za nią Sara starała się jej wytłumaczyć, że nie wypada, aby młoda dziewczyna składała takie wizyty, i że pani de Champdivers z pewnością je za to zgani, że Katarzyna ryzykuje dobre imię, udając się do mężczyzny, nawet jeśli jest to jej narzeczony.

Ale dziewczyna szła uparcie dalej z oczyma wbitymi w ziemię, nie słuchając jej wcale. Pozostawiwszy z prawej strony kościół Świętego Jana, skręciła w wąską ulicę Kurzą, gdzie słychać było gdakanie kur, gęsi i kaczek. Niskie malowane domy z szyldami o jaskrawych barwach i starymi, żydowskimi napisami były pozostałością z czasów, kiedy ulicę zamieszkiwali Żydzi. Garin de Brazey mieszkał na krańcach Burgu, we wspaniałym pałacu otoczonym wysokim murem, który stał na rogu ulicy Portelle, gdzie złotnicy



mieli swe zbytckowne sklepy. Gdy dotarły do Burgu, kotły handlarzy podrobami pracowały właśnie pełną parą. Katarzyna zatkała nos, aby nie wdychać obrzydliwego smrodu krwi i tłuszczu. Na targu panował ogromny rozgardiasz i trudno było się poruszać wśród rzeźniczych straganów poustawianych na samym środku ulicy i wymijać wieśniaków z koszami pełnymi jarzyn. Katarzyna lubiła krzątanie targową, ale dzisiejszego ranka ten ruch ją złościł. Weszła na ulicę Pergaminników, zostawiając za sobą hałaśliwy Burg, kiedy jakiś człowiek przykuł jej wzrok. Duży i silny, ubrany od stóp do głów w zrudziałą skórę, miał długie ręce i trochę przygarbioną postawę, co sprawiało, że przypominał dużą małpę. Jego siwe włosy, przycięte w kwadrat, wystawały spod czerwonego kaptura. Posuwał się powoli, wskazując białym kijem wybrane produkty, które sprzedawcy z bojaźliwym pośpiechem wkładali do koszyka służącej, postępującej tuż za nim. Widok tego człowieka przyprawił Katarzynę o drżenie, a Sara wyraziła słowami wspólny przestach.

- To mistrz Józef Blaigny... - szepnęła.

Katarzyna nie odpowiedziała i odwróciła głowę. W istocie, to sam kat miasta Dijon robił zakupy...

\* \* \*

Twarz rannego tworzyła jasną plamę w głębi komnaty, która wydała się Katarzynie olbrzymia i posepna. Wielkie okiennice z barwionego dębu, na wpół przymknięte za wysokimi witrażowymi oknami z krzyżownicami, zatrzymywały prawie całkowicie światło słoneczne. Po wejściu za służącym do komnaty musiała się na chwilę zatrzymać, aby przyzwyczaić oczy do półmroku. Dał się słyszeć powolny i odległy głos.

- Cóż za łaska, moja droga!... Nie ośmieliłbym się nawet marzyć o

takim zainteresowaniu z twojej, pani, strony...

W głosie zabrzmiały jednocześnie odrobina ironii, zaskoczenia i pogardy, ale Katarzyna nie zastanawiała się nad tym, co mógł myśleć pan domu. Musiała załatwić do końca podjętą przez siebie misję. Zrobiła parę kroków. W miarę jak postępowała do przodu, oczy jej zaczęły rozróżniać coraz lepiej przedmioty i wspaniały, ale surowy wystrój komnaty. Garin leżał w wielkim łożu usytuowanym w najbardziej oddalonym rogu pomieszczenia, naprzeciw okien. Łoże obciągnięte było jednolitym fioletowym aksamitem, a jedyną ozdobę stanowiły srebrne sznury: ciężkie zasłony podniesiono. U wezłowia widniała tarcza herbowa pana de Brazeya z zagadkową dewizą „Nigdy” powtórzoną kilkakrotnie na wstędze.

„Dewiza, która wyraża odmowę lub odpycha, ale kogo i co?” - pomyślała Katarzyna.

Gdy się zbliżała, Garin patrzył na nią bez słowa. Miał na sobie strój tego samego koloru co obicie łoża, przykryte prześcieradłem i narzutą z czarnego futra, i był bez nakrycia głowy, jeśli nie liczyć niewielkiego opatrunku na czole. Po raz pierwszy Katarzyna zobaczyła go bez kaptura i miała wrażenie, że stoi przed kimś obcym. Na tle bladej twarzy i krótkich ciemnych włosów, przetykanych nitkami siwizny, czarna przepaska na oku nabierała tragicznej wymowy, bardziej widoczna niż w cieniu kaptura. Katarzyna poczuła, że jej pewność znika w miarę posuwania się krok za krokiem po śliskich płytach z czarnego marmuru w kierunku archipelagu małych dywaników o przytłumionych kolorach.

W komnacie, której kamienne ściany obito fioletowym aksamitem, nie było wiele mebli. Znajdowały się tu kredens z hebanu, ozdobiony wspaniałymi figurkami z kości słoniowej, stół między dwoma karłami\* ustawionymi w pobliżu okna, na którym połyskiwała szachownica z ametystu i srebra; na podwyższeniu stał olbrzymi, okazały fotel z litego

srebra i kryształu oraz podnózek z dwoma stopniami, przykryty dywanikiem.

*\* Karto - popularne w Renesansie krzesło nożycowe (przyj. tłum.).*

Prawdziwy tron... Właśnie ten pański fotel wskazał dziewczynie Garin. Usiadła niepewnie, ale nabrała odwagi, gdy ręce jej wsparły się na srebrnym oparciu. Odetchnęła i zapytała:

- Jesteś, panie, poważnie ranny?

- Już się zastanawiałem, czy straciłaś, pani, głos. Prawdę powiedziawszy, od momentu kiedy weszłaś do komnaty, jesteś tak przerażona, jak oskarżony przed trybunałem. Nie, nie jestem poważnie ranny, ale dziękuję za troskę. Cios sztyletem w ramię i guz na głowie. Można powiedzieć, że to nic. Czy cię uspokoiłem, pani?

Troska, którą okazała, mierzyła ją. Zdała sobie sprawę, że nie może dłużej udawać. Zresztą, po cóż chronić się za wygodną zasłonę światowych grzeczności, gdy chodzi o życie człowieka?

- Powiedziałaś, panie - rzekła, podnosząc głowę i patrząc mu w twarz - że wyglądam jak oskarżona i nie pomyliłaś się. Przychodzę prosić o sprawiedliwość.

Czarne brwi skarbnika uniosły się nad przepaską i jedynym okiem. Jego głos zadźwięczał metalicznie:

- Sprawiedliwość? Dla kogo?

- Dla człowieka, który cię zaatakował. Zrobił to na moje polecenie...

Cisza, która zapadła między srebrnym fotelem a aksamitnym łóżem, ciążyła jak topór kata. Garin nie zmarszczył brwi, ale Katarzyna spostrzegła, że zbladł jeszcze bardziej. Nie opuszczając głowy, zacisnęła palce na kryształowej chimerze zdobiącej zakończenie poręczy fotela. Widząc kamienną twarz Garina, czekała cała drżąca, na słowa, które miały paść z

tych zaciśniętych ust. Tylko brzęczenie pszczoły zagłuszało zgiełk uliczny i przytłumiło panującą ciszę. Dziewczynę ogarnął paniczny strach. Garin de Brazey nadal milczał. Patrzył na nią, a w jego jedynym oku i w pustym oczodole tkwiła siła mocniejsza od spojrzeń tysiąca oczu. Ciało młodej dziewczyny napięło się jak do skoku lub ucieczki. Nagle ranny przemówił. Jego głos był obojętny, bezbarwny. Zapytał tylko:

- Chciałaś, pani, żeby mnie zabito? Więc aż tak mnie nienawidzisz?

- Nie, nie mam nic przeciwko tobie, panie! Nienawidzę myśli o tym małżeństwie i właśnie chciałam je zniszczyć. Nie chciałam twojej śmierci...

- Zapewne, księżę Filip znalazłby kogoś innego na moje miejsce! Sądziś, pani, że bez wyraźnego rozkazu zgodziłbym się, żebyś nosiła moje nazwisko, abym cię poślubił? Zbyt mało cię znam i jesteś bardzo niskiego stanu, ale...

Czerwona po uszy Katarzyna przerwała mu z wściekłością:

- Panie, nie masz prawa mnie znieważać! Tego ci zabraniam. Za kogo się uważasz! Jesteś tylko synem złotnika, tak jak i ja.

- Nie znieważam cię, pani. Mówię, jak jest, i byłbym wdzięczny, gdybyś pozwoliła mi skończyć. Chociaż tyle powinnaś dla mnie zrobić po tym nocnym zajściu. Mówiłem więc: jesteś, pani, niskiego stanu i bez majątku, ale piękna, mogę nawet powiedzieć, że jesteś najpiękniejszą niewiastą, jaką kiedykolwiek widziałem i, bez wątpienia, jaką kiedykolwiek oglądał księżę. Jeśli otrzymałem rozkaz, aby cię poślubić, to w określonym celu: wprowadzenia na dwór i do łoża pana, dla którego jesteś przeznaczona! Katarzyna zerwała się na równe nogi.

- Nie chcę. Nie zgadzam się, aby dostarczono mnie księciu Filipowi jak jakąś rzecz lub niewolnicę!...

Jednym gestem Garin kazał jej usiąść i zamilknąć. Uśmiechnął się nieznacznie na widok tego dziecięcego buntu, a jego głos złagodniał.

- Jesteśmy wszyscy, mniej lub bardziej, niewolnikami Jego Wysokości i pani życzenia, nie bardziej zresztą niż moje - dodał z pewną goryczą - nie mają znaczenia. Grajmy w otwarte karty, Katarzyno. To nasza jedyna szansa, abyśmy się nie znienawidzili i nie prowadzili nieznośnej wojny podjazdowej. Ani ty, pani, ani ja nie możemy sprzeciwić się rozkazom księcia. Jego życzenie lub raczej pragnienie - to pani. Nawet jeśli te brutalne słowa szokują cię, musisz dowiedzieć się prawdy!

Zamilkł na chwilę dla złapania oddechu, sięgnął po srebrną czarę, która znajdowała się u wezłowania, obok dzbana z winem i talerza z owocami, wypił duszkiem, a talerz podsunął Katarzynie. Machinalnie wzięła brzoskwinie. Garin kontynuował:

- Jeśli któreś z nas nie zgodzi się na ten wymuszony ślub, mnie czeka topór, a ciebie, pani, i twoich najbliższych więzienie lub nawet coś gorszego. Księżę nie znosi sprzeciwu. Chciałaś, pani, by mnie zabito. Wybaczam ci to chętnie, bo nie wiedziałaś, co czynisz. Lecz gdyby cios był udany, gdyby sztylet zabójcy mnie dosięgł, wcale nie byłabyś wolna. Filip wyznaczyłby kogoś innego do nałożenia obrączki na twój palec. On idzie zawsze prosto do celu, który sobie wytyczy, nie zapominaj o tym! I nigdy nie zmienia zdania!

Katarzyna spuściła głowę z przygnębieniem. Przyszłość wydała jej się jeszcze bardziej ponura i niebezpieczna. Zaplątała się w pajęczej sieci, a jej drobne ręce były zbyt słabe, aby ją rozerwać. Czuła się tak, jakby wir powstający czasem na rzece, wciągał ją w sam środek. Jednakże powiedziała jeszcze, nie patrząc na Garina:

- A ty, panie, zgadzasz się bez zmrużenia powiek, aby ta, która będzie nosiła twoje nazwisko, była kochanką księcia? Nic nie zrobisz, by mu w tym przeszkodzić?

Garin de Brazey wzruszył ramionami i oparł się na jedwabnych poduszkach.

- Nie mam możliwości ani ochoty. Niektórzy uważaliby to za zaszczyt. Ja nie, przyznaję. Oczywiście, gdybym cię, pani, kochał, byłoby mi ciężko, ale... - Przerwał na moment, jakby szukał słów. Jego wzrok spoczywał na poczerwieniałej twarzy Katarzyny, która znów poczuła się nieprzyjemnie. Podniosła głowę.

- Ale...?

- Nie kocham cię bardziej, drogie dziecko, niż ty mnie -dokończył łagodnie. - Możesz, pozbyć się jakichkolwiek skrupułów. Nie mam ci nawet za złe, żeś nastawała na me życie...

Przypomniawszy sobie nagle o celu swej wizyty, Katarzyna powróciła do sedna sprawy:

- Zechciej, panie, udowodnić swoje słowa! - Udowodnić?

Twarz Garina wyrażała zdziwienie. Brwi zmarszczyły się, a krew zaróżowiła blade policzki. Obawiając się, że wybuchnie, Katarzyna mówiła dalej:

- Tak, błagam cię, panie! Ten, który cię zaatakował, to mój stary przyjaciel, właściwie mój jedyny przyjaciel... To on nas ukrywał po śmierci mego ojca, pomógł nam uciec ze zbuntowanego Paryża, bezpiecznie doprowadził tutaj. Zawdzięczam mu życie, a także życie matki i siostry... Zrobił to z miłości do mnie, ponieważ wskoczyłby w ogień, gdybym go o to poprosiła. Nie chcę, by umarł z powodu mojej głupoty. Błagam cię, panie! Zrób coś. Wybacz mu i każ go uwolnić!... Jest stary i chory.

- Nie aż tak chory... - rzucił Garin z nikłym uśmiechem. - Jest jeszcze bardzo krzepki. Wiem coś na ten temat...

- Zapomnij o tym, panie! Wybacz mu... Jesteś potężny, możesz uratować tego nieszczęśnika od szubienicy. Będę ci taka wdzięczna!Niesiona pragnieniem uratowania Barnaby, Katarzyna wstała z fotela i podeszła do leżącego. Osunęła się na kolana obok olbrzymiego łoża, skierowała ku

rannemu twarz zatopioną we łzach i wyciągnęła błagalnie dłonie. Garin uniósł się i pochylił na moment nad piękną, zapłakaną twarzą Katarzyny, której fiołkowe oczy lśniły jak drogie kamienie. Rysy jego oblicza stwardniały, a nos się wydłużył.

- Proszę, wstań - rozkazał ochryłym głosem. - Natychmiast! Proszę nie płacz! Zakazuję ci płakać przy mnie!

W jego głosie zabrzmiał straszny gniew: Katarzyna wstała i odruchowo cofnęła się o dwa kroki, nie spuszczając oczu ze skarbnika. On odwrócił wzrok i tłumaczył się niezdarne:

- Nienawidzę łez!... Nie mogę znieść widoku płaczącej kobiety! Proszę, teraz odejść... Zrobię, co chcesz! Poproszę o łaskę dla tego zbója... Proszę, odejść! Natychmiast! Czy mnie, pani, słyszysz...

Wskazywał drzwi przestraszonej dziewczynie. Katarzyna nie mogła zrozumieć nagłej złości Garina. Cofała się ostrożnie drobnymi krokami ku wyjściu; zawahała się na progu i zanim zamknęła drzwi, zebrała się na odwagę i wyszeptała:

- Dziękuję... panie...

Nieco uspokojona, lecz i trochę zdziwiona zachowaniem Garina, wróciła w towarzystwie Sary do pałacu Champdivers. Pani domu, nie zwlekając, wygłosiła kazanie na temat skromności, jaka powinna cechować prawdziwą damę, a tym bardziej młodą dziewczynę! Katarzyna wysłuchiwała przemowy bez słowa protestu, szczęśliwa z obrotu spraw. Nie przyszło jej nawet na myśl, aby wątpić w słowa Brazeya, i była pewna, że zrobi, co obiecał. Trzeba było tylko poczekać...

Niestety, prośba skarbnika o ułaskawienie nadeszła zbyt późno. Stary włóczęga został poddany torturom, gdyż chciano, aby wyjaśnił powód swego czynu, a ten nie przetrzymał mąk: wyzionął ducha nabity na pał, niczego nie wyjawiając. Taką wiadomość przyniósł Sarze następnego dnia Jehan

Pieniążek. Zamknięta w swojej komnacie zrozpaczona Katarzyna cały dzień opłakiwała nieszczęśnika, wyrzucając sobie gorzko, że niepotrzebnie wysłała go na taką straszną śmierć. Obrazy z przeszłości z udziałem Barnaby tłoczyły się w jej głowie. Barnaba w opończy obszytej muszlami, sprzedający fałszywe relikwie u bram kościoła Sainte-Opportune; potem w kryjówce na Wielkim Działyńcu Cudów, łatający swe odzienie lub rozprawiający z Macheferem; żebrak szturmujący dom Caboche'a; wreszcie w barce, którą płynęli z nurtem Sekwany, recytujący wiersze...

Wieczorem tego smutnego dnia Sara przyniosła Katarzynie od Garina de Brazeya małą, troskliwie zapieczętowaną przesyłkę. Po jej otwarciu zobaczyła, że leży w niej zwykły sztylet z rogową rękojeścią, na której wyryta jest muszla. Rozpoznała natychmiast sztylet Barnaby, którym posłużył się, aby zadać cios Garinowi. Towarzyszyło mu napisane na papierze przez Garina jedyne słowo: „Żałuję”.

Przez długą chwilę Katarzyna trzymała w dłoni tę zwykłą broń. Już nie płakała. Śmierć Barnaby znaczyła koniec pewnego rozdziału w jej życiu i początek następnego. W jej dłoni rogowa rękojeść sztyletu ogrzała się i ożyła, jak gdyby dopiero co wypuściła ją ręka żebraka. Katarzyna podeszła powoli do małej, drewnianej, rzeźbionej szkatułki - prezentu od wuja Mateusza - i schowała w niej sztylet. Następnie uklękła przed figurką Czarnej Madonny, zdobiącą róg jej komnaty, gdzie paliły się dwie woskowe świece. Z twarzą ukryta w dłoniach modliła się długo, aby pomóc sercu odnaleźć spokój. Zdecydowała, że nie będzie dłużej walczyć z przeznaczeniem. Ponieważ wszystko zdawało się sprzymierzać przeciw niej, poślubi Garina. Ale żadna siła, nawet książę Filip, nie zdoła wyrwać z jej serca tego, który zajmował je niepodzielnie, choć bez cienia nadziei. Nigdy nie przestanie kochać Arnolda de Montsalvy'ego!



## *Rozdział ósmy*

### *Pani de Brazey*

Katarzyna była zziębnięta do szpiku kości, chociaż na suknię ze srebrnoniebieskiego brokatu narzuciła gronostajową pelerynkę, a jej ramiona otulała opończa podbita futrem. Musiała zacisnąć usta, aby nie szczękać zębami. W małej romańskiej kaplicy zamku de Brazey grudniowy chłód dawał się we znaki pomimo dywanów i aksamitnych chodników rzuconych pod stopy gości. Kapłan w błyszczącym ornacie stojący przy ołtarzu był skostniały z zimna, a mali klerycy wycierali nosy w rękawy. Ceremonia zaślubin trwała krótko. Jak we śnie Katarzyna odpowiedziała „tak” na pytanie kapłana. Jej głos był tak cichy, że starzec musiał się pochylić, aby go usłyszeć. Garin odpowiadał tonem spokojnym, obojętnym... Od czasu do czasu spojrzenie młodej kobiety kierowało się ku temu, który teraz był jej mężem. Wydawało się, że lodowate zimno, jakie panowało tego dnia, nie miało dla niego większego znaczenia, podobnie zresztą jak fakt zaślubin. Mąż stał obok niej ze skrzyżowanymi ramionami, spoglądając na ołtarz swym jedynym okiem z tym dziwnym wyrazem wyzwania, który tak przykuł uwagę dziewczyny podczas ich pierwszego spotkania w kościele Notre Dame. Jego aksamitny strój, obsyty futrem z soboli, nie wyglądał na cieplejszy niż zwykle, a na krótki kaftan nie włożył opończy. Nie miał również żadnych klejnotów, z wyjątkiem cudownie czystej diamentowej łzy, którą trzymał w pazurach złoty gepard wpięty w fałdy kaptura. Kiedy zdjął rękawice, aby ująć w swe dłonie zziębnięte dłonie Katarzyny, stwierdziła ze

zdziwieniem, że jego ręce są bardzo ciepłe. A przecież wyglądał jak jedna z figur ozdabiających kościół! Wstając z klęczek po podniesieniu, poczuła, że opończa zsuwa się jej z ramion i chciała ją podtrzymać. Ale jakieś ręce, szybkie i zwinne, narzuciły okrycie na jej drżące ramiona. Odwróciwszy się, podziękowała uśmiechem Odette de Champdivers. Przez te kilka miesięcy, które upłynęły od śmierci Barnaby, zyskała przynajmniej przyjaciółkę; córkę państwa de Champdivers, która nareszcie powróciła w rodzinne strony.

Trzy miesiące wcześniej, 21 października, nieszczęsny król Karol VI zakończył swoje cierpienia i zgasł w ramionach młodej kochanki, w zaciszu swego pałacu Saint-Pol. Samotna od tej chwili, wystawiona na złośliwości Izabeli, tym bardziej nieprzyjaznej, że otyłość czyniła ją niemalże kaleką, „mała królowa” wróciła do rodzinnej Burgundii. Natychmiast przyjaźń zbliżyła do siebie tę łagodną młodą kobietę, anioła szalonego króla, i piękną istotę zamieszkującą pałac Champdivers.

Odetta знаła przyczyny, dla których Garin miał poślubić Katarzynę, wiedziała, w jakim celu książę Filip chciał zrobić damę ze zwykłej mieszczki, i współczuła przyjaciółce. Poznała, co to znaczy być oddaną w ręce obcego mężczyzny, choć przynajmniej niebiosy pozwoliły jej pokochać go pomimo jego szaleństwa, i to bardziej, niż mogła się tego spodziewać. Ale czy Katarzyna mogłaby pokochać wyniosłego i zmysłowego Filipa, który nie cofał się przed niczym, aby spełnić swe pragnienia? Odetta w swej mądrości kobiety trzydziestoletniej mocno w to wątpiła.

Msza dobiegała końca. Garin podał żonie zaciśniętą dłoń, na której wsparła swoje palce. Stare, dębowe drzwi otworzyły się ze zgrzytem, ukazując zaśnieżone pola. Podmuch wiatru wdarł się do kościoła i wygiął płomienie świec z żółtego wosku, stojących na ołtarzu, a nieliczni uczestnicy tego smutnego ślubu zadrżeli z zimna. Zwarty tłum wieśniaków o sinych nosach i czerwonych rękach stłoczony u bramy, zaczął wykrzykiwać bez

większego przekonania: „Boże Narodzenie”; każdy z nich myślał o jak najszybszym powrocie do domu. Garin sięgnął wolną ręką do sakiewki, z której wyciągnął garść złotych monet, które rzucił na śnieg. Wieśniacy, z okrzykami radości i rzucili się po nie na czworakach, bijąc się między sobą.

Scena ta sprawiała nierzeczywiste i ponure wrażenie. Wspominając pełne radości wesela, w jakich niekiedy brała udział u kompanów wuja Mateusza lub wieśniaków na Wybrzeżu, Katarzyna stwierdziła, że nigdy nie widziała tak posępnego ślubu. Smutek tej ceremonii pogłębiało jeszcze ponure i szarżółte niebo, ciężkie od mającego niebawem sypnąć śniegu, po którym, kracząc, przelatywały kruki. Katarzyna, której twarz szczypał mróz, zaciskała wargi, aby powstrzymać się od płaczu. Bez dobroci Marii de Champdivers i przyjaźni Odetty czułaby się straszliwie samotna w dniu tak ważnym dla każdej kobiety. Pomimo próśb Katarzyny ani Jacquetta, ani Luiza, ani zacny wuj Mateusz nie dostąpili zaszczytu zaproszenia ich przez pana de Brazeya na ślub.

- To niemożliwe! - wyjaśnił. - Jego Wysokość nie zgodziłby się, chociaż nie może przybyć osobiście. Musisz, pani, spróbować zapomnieć, kim jesteś, a na początek zapomnieć o swoich najbliższych.

- To niemożliwe - odpowiedziała Katarzyna, czerwona ze złości. - Nigdy nie zapomnę mojej matki, siostry, wuja i wszystkich, którzy są mi drodzy. Uprzedzam cię, panie, jeśli nie pozwolisz mi przyjmować ich w domu, o którym mówi się, że będzie moim, żadna siła ludzka, nawet twoja, panie, nie powstrzyma mnie od składania im wizyt!

Garin wzruszył ramionami ze znużoną miną.

- Zrobisz, pani, co będziesz chciała, byle dyskretnie.

Nic na to nie odpowiedziała. Przyszli małżonkowie nie odzywali się do siebie przez osiem dni. Katarzyna dąsała się, ale najwyraźniej fanaberie młodej żony wcale Garinowi nie przeszkadzały; nie zrobił niczego, aby im

zapobiec.

Wysłannicy księcia Filipa, którego obowiązki zatrzymały we Flandrii, nie zrobili na niej większego wrażenia: ani nonszalancki i elegancki Hugo de Lannoy - najbliższy przyjaciel Filipa (jego zuchwały wzrok wprawiał Katarzynę w zakłopotanie), ani młody, ale poważny Mikołaj Rolin, od kilku dni kanclerz Burgundii. Dało się odczuć, że dla obydwu był to obowiązek spełniony bez żadnej przyjemności, tym bardziej że nowy kanclerz jako największy przyjaciel Garina był przeciwny temu małżeństwu.

W głównej sali zamku oczekiwała uczta dla dwunastu zaproszonych gości. Sala, ocieplona dywanami z Arras, które chroniły ją od chłodu, była ciasna, gdyż sam zamek nie należał do największych. Był to raczej dworek, po którego bokach wznosiły się duża wieża i mała wieżyczka. Stół, nakryty jedwabnym adamaszkiem i postawiony przy rozpalonym kominku, był zbyt kownie zastawiony srebrnymi półmiskami. Za nic w świecie, nawet w czasie wymuszonego wesela, wielki skarbnik nie chciał uchybić swej reputacji brakiem przepychu i elegancji.

Po wejściu do sali Katarzyna podeszła natychmiast do kominka, aby ogrzać zmarznięte ręce nad tańczącymi płomieniami. Sara, która awansowała na pierwszą pokojówkę, zabrała jej opończę. Katarzyna chętnie też oddała w ręce wiernej sługi wysokie, srebrzyste nakrycie głowy w kształcie półksiężycy wysadzone szafirami, z którego spływał deszcz koronek. Migrena ścisnęła jej skronie. Była skostniała z zimna aż do głębi duszy i unikała wzroku męża. Zainteresowanie, jakie okazał jej Garin wieczorem, w dniu napadu Barnaby, nie dotrwało nawet do wizyty, którą Katarzyna złożyła mu następnego dnia. Od tego czasu dziewczyna widywała go bardzo rzadko, gdyż towarzyszył księciu w jego kilku wyjazdach, także do Paryża, gdzie Filip bawił w chwili niespodziewanej śmierci króla Anglii, Henryka V, który zszedł z tego świata w końcu sierpnia.

Zwycięzca spod Azincourt zmarł w Vincennes, pozostawiając kilkumiesięczne dziecko: syna, którego mu dała Katarzyna Francuska. Ostrożny Filip Burgundzki odmówił sprawowania regencji i nie czekając na pogrzeb zwycięzcy, wyjechał do Flandrii. Nie ruszył się stamtąd nawet na wiadomość o śmierci Karola VI, by jako francuski książę nie musiał pokłonić się księciu de Bedfordowi obwołanemu regentem królestwa. Garin de Brazey pozostawał u boku Filipa, ale co tydzień przybywał od niego wysłannik, przywożąc narzeczonej jakiś prezent, klejnot, dzieło sztuki, książeczkę do nabożeństwa bogato zdobioną przez Jacquemarta de Hesdina, a nawet parę chartów z Karamanii, które najlepiej dają się układać do polowań. Nigdy jednak przesyłce nie towarzyszył list. Maria de Champdivers otrzymywała regularnie instrukcje dotyczące przygotowań do ślubu i światowych manier, jakie należało wpoić podopiecznej. Garin powrócił dopiero na osiem dni przed ślubem, co jednak wystarczyło, aby zakazał obecności rodziny Katarzyny na uroczystości.

Uczta weselna była smutna pomimo wysiłków Hugona de Lannoya. Siedząc na ławie obok Garina, Katarzyna ledwo co kosztowała podawanych dań, zjadła tylko kilka kawałeczków szczupaka z Saony przyprawionego ziołami i kilka marynowanych śliwek. Z trudnością przełykała strawę i nie wypowiedziała nawet paru słów. Garin nie zwracał na nią uwagi, nie zajmował się też wcale pozostałymi damami, które gawędziły między sobą. Rozprawiał za to o polityce z Mikołajem Rolinem, zapalając się do przyszłej misji kanclerza w Bourgen-Bresse, gdzie - aby przypodobać się księciu Saubaudii, myślącemu szczerze o pokoju - ludzie z Burgundii i zwolennicy Karola VII mieli podjąć próbę ugody.

W miarę upływu czasu Katarzyna czuła się coraz gorzej. Kiedy słudzy, w barwach fioletowych i srebrnych, przynieśli desery: misy z konfiturami, kawałki nugatów i owoce w cukrze, poczuła, że jej nerwy zawodzą, aż

musiała ukryć pod obrusem drżące ręce. Za kilka chwil biesiadnicy wstaną od stołu, a damy zaprowadzą ją do małżeńskiej komnaty, gdzie pozostanie sama, twarzą w twarz z człowiekiem, który miał teraz wszelkie do niej prawa. Na samą myśl o tym ciało Katarzyny pokrywało się pod jedwabną sukienką gęsią skórą. Z całych sił rozpaczliwie próbowała odepchnąć od siebie wspomnienie z oberży we Flandrii, rysunek twarzy tamtego mężczyzny, i zapomnieć brzmienie jego głosu, ciepło dumnych ust. Wspominała Arnolda i serce jej zamierało. Wszystko, co miało się zdarzyć tego wieczora: gesty Garina, słowa, które wypowie, wydawało jej się śmiechu wartą parodią przeżytych ongiś wspaniałych chwil. Katarzyna zdawała sobie sprawę, że otarła się bardzo blisko o miłość swego życia, dla której stworzył ją Bóg.

Pojawił się teraz przed nią minstrel i przygrywając na harfie do tańca kilku pełnym wdzięku tancerkom, śpiewał:

*Moja jedyna miłości, moja radości, moja pani, skoro z dala od ciebie muszę przebywać, nic już nie może rozproszyć mego smutku, oprócz wspomnienia minionych radości...*

Melancholijne słowa wywołały w oczach młodej kobiety łzy. Odpowiadały bowiem tak bardzo smutkowi, jaki z okrutną świadomością gościł w jej sercu! Czuła się tak, jakby minstrel użyczył jej na chwilę swego głosu... Popatrzyła na chłopca zza zasłony łez i stwierdziła, że był bardzo szczupły, jasnowłosy, o dziecięcej twarzy. Szyderczy głos Hugona de Lannoya spowodował, że czar melodii nagle prysnął, i znenawidziła go za to.

- Cóż za posępna pieśń w ten weselny dzień! - krzyknął. - Cóż to, przyjacielu! Nie znasz jakiejś wesołej piosenki, aby ucieszyć uszy nowo poślubionych?

- Ta pieśń jest piękna - stwierdził Garin. - Nie znałem jej. Skąd pochodzi, komediancie?

Miody pieśniarz poczerwieniał jak dziewczyna, ukląkł z pokorą, zdejmując zieloną czapkę, na której chwiała się piórko czapli.

- Przywiózł ją, panie, mój przyjaciel zza morza.

- Ta pieśń pochodzi z Anglii? Nie wierzę - powiedział pogardliwie Garin. - Ci ludzie potrafią śpiewać jedynie o piwie i bijatykach.

- Łaskawy panie, chociaż pieśń pochodzi z Londynu, jest francuska. W swoim angielskim więzieniu Jego Wysokość Karol Orleański komponuje ballady, ody i pieśni, aby zająć się czymś w czasie długich godzin. Ta pieśń wyszła poza mury więzienia i miałem szczęście ją usłyszeć...

Chciał mówić dalej, kiedy Hugo de Lannoy wyciągając sztylet, skoczył ponad stołem i rzucił się z podniesionym orężem na nieszczęsnego pieśniarza.

- Ośmielasz się w burgundzkim kraju wymieniać nazwisko Orleańczyka? Przeklęty łajdaku, zapłacisz za to!

Oszalały z wściekłości, popędliwy przyjaciel Filipa Dobrego miał właśnie zadać cios, kiedy Katarzyna, pod wpływem niepowstrzymanego impulsu, zawołała:

- Dostyc, panie rycerzu! Jesteś w moim domu i to jest moja wieczerza weselna. Zabraniam rozlewu niewinnej krwi w mojej obecności! Trzeba oceniać piękno pieśni, a nie jej pochodzenie.

Jej pełen gniewu głos zabrzmiał jak grom. Zapadła cisza. Zaskoczony Hugo de Lannoy opuścił ramię. Oczy wszystkich biesiadników spoczęły na Katarzynie. Stała wyprostowana, wspierając się czubkami palców o stół, z wysuniętą brodą, cała kipiąca wściekłością, lecz jednocześnie pełna godności, tak że nikomu nie przyszło na myśl, aby się zdziwić. Nigdy jeszcze uroda Katarzyny nie była tak olśniewająca jak w tej chwili. Górowała

nad obecnymi niczym oślepiające objawienie w swej niezaprzeczalnej godności. Chociaż wywodziła się z kramiku sukiennika, było faktem, że dzięki swemu wspaniałemu ciału i pięknej twarzy godna jest zostać królową. Hugo de Lannoy wsunął sztylet do pochwy z dziwnym błyskiem w jasnyniebieskich oczach, zostawił w spokoju śpiewaka i wrócił do stołu. Skłonił się nisko.

- Wybacz, pani, że w twojej przytomności uniosłem się gniewem.

Błagam o wybaczenie i uśmiech...

Pewność Katarzyny trwała tylko chwilę. Zmieszana, uśmiechnęła się do młodego człowieka z zakłopotaniem, a następnie zwróciła się do męża:

- Tobie, panie, należą się przeprosiny. Wybacz, że podniosłam głos w twoim imieniu. Ale zechciej uwzględnić...

Garin wstał i wziął ją za rękę, aby przerwać te przeprosiny i przyjść jej z pomocą.

- Jak słusznie, pani, powiedziałaś, jesteś tutaj u siebie jako moja żona. Cieszę się, że tak postąpiłaś, bo masz całkowitą rację. Ręczę, że nasi przyjaciele to zrozumieją, a teraz pozwolą nam odejść.

Fala krwi, która wraz ze złością buchnęła na policzki Katarzyny, zniknęła natychmiast. Jej dłoń zadrżała w dłoni Garina. Więc już nadeszła ta straszliwa chwila?

Widok obojętnej twarzy męża nie przywodził na myśl słodkich uniesień miłosnych. Jednak Garin z pewnością prowadził w kierunku wspólnej sypialni. W ślad za nimi ruszyli goście tworzący orszak, na którego czele znajdowali się fleciści i grający na wioli. Zagubiona Katarzyna odnalazła wzrok Odetty, która szła za nią prowadzona przez Lannoya. W spojrzeniu przyjaciółki wyczytała gorącą przyjaźń i głębokie współczucie.

- Ciało jest rzeczą bez znaczenia - powiedziała jej młoda kobieta tego samego ranka, pomagając przy ubieraniu. Stosunek jest przykry prawie dla



każdej kobiety, nawet jeśli jest w nim miłość. A kiedy nie ma uczucia, zdarza się, że czasem przychodzi później.

Katarzyna odwróciła się, aby wziąć z rąk służącej nakrycie głowy. Pomimo głębokiej, ale jeszcze zbyt krótkiej przyjaźni, która łączyła ją z Odettą, nie zdecydowała się otworzyć przed nią serca i powierzyć tajemnicy swej miłości do Arnolda de Montsalvy'ego. Wydawało się jej, być może niesłusznie, że jeśli o tym opowie, jeszcze bardziej oddali od siebie młodego człowieka i pryśnie czar trwający między nią a ukochanym.

*... skoro z dala od ciebie przebywać muszę, nic już nie może rozproszyć  
mego smutku, oprócz wspomnienia...*

Słowa śpiewanej skargi odżywały w niej na nowo, a gdy stanęła przed drzwiami, które miały ją pochłonąć, stały się jeszcze bardziej przejmujące. Katarzyna zamknęła oczy, aby powstrzymać napływające łzy. Była na progu małżeńskiej sypialni...

\* \* \*

Ostatnia odeszła Odetta, pozostawiając Katarzynę samą w oczekiwaniu na przybycie męża. Siostrzany pocałunek, ostatni uśmiech przez na wpół uchylone drzwi - i młoda kobieta oddaliła się. Katarzyna wiedziała, że Odetta tego samego wieczoru udaje się do swego zamku w Saint-Jean-de-Losne, gdzie oczekiwała na nią córka. Pomimo chłodu i śniegu niewielu gości pozostało tej nocy w zamku, każdy wolał wrócić do domu. Jedynie Wilhelm i Maria de Champdivers zostali z powodu leciwego wieku. Nie było to dużo, ale ich obecność pod wspólnym dachem była pocieszeniem dla panny młodej. Nie żałowała wcale odjazdu Lannoya i Rolina. Siedząc na ol-

brzymim łożu, którego surowe obicia z tkaniny przedstawiały sceny myśliwskie, nadśluchiwała każdego szmeru, jaki dochodził z zamku. Odgłosy te znikwały kolejno, tłumione przez grube mury.

Wkrótce w posepnej komnacie słychać było jedynie trzask ognia w olbrzymim kamiennym kominku i ziewanie jednego z psów leżących przy łożu. Drugi spał z łbem wspartym na łapach. Za ledwie rano tego samego dnia w tej lodowatej sali o kamiennych ścianach umieszczono obicia z tkaniny. Zasłaniały one ostrołuki wąskich okien i widok na białą równinę pod granatowym niebem. Na posadzkę rzucono dwie olbrzymie skóry z brunatnych niedźwiedzi, które Garin bardzo lubił. W ten sposób ocieplona okrągła sypialnia w wieży nabrała nowego, bardziej przytulnego wyglądu. W kominku płonęły dwa olbrzymie polana, a rozchodzące się zeń ciepło było tak silne, że Katarzyna poczuła, jak strużka potu spływa jej po plecach. Ale jej zaciśnięte dłonie były nadal zimne. Nadśluchiwała kroków w korytarzu. Pokojówki, pod baczynym okiem Odetty, przebrały ją w koszulę nocną z białego jedwabiu, marszczoną przy szyi złotym rulonikiem. Jej długie rękawy zsuwały się aż do ramion, ledwo tylko uniosła lekko ręce. Włosy zostały splecione w grube warkocze i opadały na piersi i pikowaną kapę z czerwonego adamaszku.

Jednakże pomimo intensywnego wpatrywania się w drzwi Katarzyna nie usłyszała ani nie dostrzegła momentu wejścia Garina. Wyłonił się niespodziewanie i cicho z cienia wnęki i przeszedł, bez żadnego szmeru, po ciemnych skórach, jak jakaś zjawa. Przestraszona Katarzyna wydała cichy okrzyk i podciągnęła wyżej przykrycie, przyciskając je do piersi.

- Przestraszyłeś mnie, panie! Nie słyszałam, kiedy wszedłeś...

Nie odpowiedział; zbliżył się do łoża i wszedł na dwa stopnie. Jego ciemne oko zatrzymało się na przestraszonym młodej kobiecie, która na niego patrzyła. Na jego zaciśniętych wargach nie było uśmiechu. Wydawał się

bledszy niż zwykle. Ubrany od stóp do głów w długą szatę z czarnego aksamitu, miał w sobie coś żalobnego, co zupełnie nie przystawało do okoliczności. Przypominał samotną zjawę z zamku lub raczej złego ducha. Katarzyna jęknęła z przerażenia, zamknęła oczy, czekając na to, co miało nastąpić.

Nagle poczuła dotyk dłoni na głowie. Garin zręcznie i lekko rozplatał jej warkocze. Uwolnione włosy przykryły jej ramiona i plecy niczym płaszcz. Ruchy Garina były łagodne i powolne. Katarzyna odważyła się otworzyć oczy i dostrzegła, że mąż spogląda na długi, złoty kosmyk, który trzymał w swej dłoni, połyskujący w czerwonym blasku płomieni.

- Panie... - wyszeptała.

Dał jej znak, aby zamilkła. Nadal na nią nie patrzył, bawiąc się jedwabistym kosmykiem. Nagle powiedział:

- Proszę wstać...

Nie usłuchała natychmiast, nie rozumiejąc, czego od niej chce.

Delikatnie ujął ją za rękę i powtórzył: - Proszę wstać...

- Ależ...

- No, proszę, bądź posłuszna. Czy nie wiesz, pani, że winnaś mi całkowite posłuszeństwo? Nie zrozumiałaś tego, co mówił kapłan?

Jego głos był zimny i beznamiętny. Stwierdzał jedynie fakt. Bez sprzeciwu wyszła z łoża i podeszła do niego bosą, po niedźwiedzich skórkach, lekko unosząc zbyt długą koszulę z białego jedwabiu. Garin ujął ją za rękę i podprowadził przed kominek. Jego twarz była trudna do rozszyfrowania. Serce Katarzyny biło w piersi jak oszalałe. Czego od niej chciał? Dlaczego kazał jej wstać? Nie ośmieliła się zapytać. Kiedy palce Garina dotknęły jej szyi, rozwiązując złoty sznureczek, poczuła, że twarz jej oblewa purpura, i szybko zamknęła oczy, zaciskając mocno powieki i jak gdyby tworząc zaporę ochronną. Ręce przestały ją dotykać. Katarzyna poczuła, że białą

jedwab zsuwa jej się z ramion i miękko układa wokół stóp. Mijały minuty. Pod zaciśniętymi powiekami młodej kobiety jawiły się czerwone plamy jak błyskawice. Żar ognia na brzuchu i pośladkach stawał się trudny do wytrzymania. Garin dotykał jej i nic nie mówił. Nawet nie czuła jego obecności. Świadoma swej nagości, mimo zamkniętych oczu poczuła przypływ wstydu i chciała zasłonić się rękami. Ale jedno słowo zatrzymało ją, a jednocześnie nakazało otworzyć oczy.

- Nie!

Wtedy go zobaczyła. Siedział w wysokim dębowym fotelu, kilka kroków przed nią, z brodą wspartą na dłoniach. Jego jedyne oko spoglądało dziwnie, ze złością i rozpaczą. Spojrzenie to było tak silne, że Katarzyna odwróciła głowę. Zauważyła wówczas swój czarny, wydłużony cień, sięgający aż do kamiennego sklepienia, wzruszający i pełen wdzięku, zarysowany z dużą dokładnością. Ogarnął ją wstyd pod wpływem taksującego spojrzenia mężczyzny. Wyjąkała:

- Litości... ten ogień mnie pali.

- Możesz się trochę odsunąć.

Uśluchała, przekroczyła biały jedwab leżący na ziemi i zbliżyła się do niego, nieświadomie prowokująca, pragnąc nade wszystko, aby zakończył tę straszną i niepokojącą zabawę. Ciepło z kominka rozpałiło jej ciało, wywołując dziwne uczucie. Już kiedyś czuła podobne wzburzenie, głębokie i tajemne, ten zawrót głowy, który kazał jej zapomnieć o wszystkim.

Nieświadomie czekała na pieszczoty i pocałunki, których domagało się jej zdrowe i młode ciało. Siedzący w fotelu Garin de Brazey nie poruszył się, nadal na nią patrząc. Chorą ze wstydu Katarzynę ogarnęła wściekłość.

Chciała odwrócić się i pobiec w kierunku łoża, schronić się pod zasłonkami i przykryciami. Musiał wyczuć jej bunt. Jego mocne, stalowe dłonie zacisnęły się wokół jej nadgarstka, zmuszając do pozostania obok.

- Należysz, pani, do mnie. Mam prawo robić z tobą, co mi się żywnie podoba.

Jego przytłumiony głos był lekko zachrypnięty, ale dłoń, która trzymała Katarzynę, nie drżała. Wydawał się zadziwiająco nieczuły na obnażone, piękne ciało żony.

Uniósł drugą rękę i położył na odwróconej, purpurowej ze wstydu twarzy Katarzyny, a następnie przesunął ją po piersi i wzdłuż pośladka. Nie był to gest miłości, a tylko odruch miłośnika sztuki, który bada dłonią strukturę marmuru lub doskonałą czystość rzeźby. Nie trwało to nawet sekundy, ale Katarzyna zadrżała pod jego ciepłymi palcami. Usłyszała ochryply głos:

- Ciało kobiety może być największym pięknem lub najgorszą brzydotą - powiedział Garin. - Cieszę się, że twoje ciało, pani, jest tak wspaniałe.

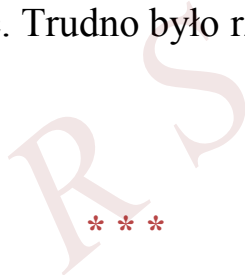
Tym razem powstał, puszczając jej obolały nadgarstek. Zaskoczona Katarzyna patrzyła, z szeroko otwartymi oczyma, jak się oddala i otwiera drzwi.

- Życzę dobrej nocy! - powiedział spokojnie.

Po czym zniknął w mroku równie cicho, jak się pojawił. Katarzyna zobaczyła czarną sylwetkę rozplywającą się w ciemności. Pozostała sama pośrodku olbrzymiej komnaty, zmieszana i trochę rozczarowana, choć sama się przed sobą do tego nie przyznawała. Cień na ścianie przypomniawszy jej, że jest naga, więc pobiegła do łóżka i zanurzyła się w nim z bijącym sercem. Potem, ukryta wśród jedwabnych poduszek i ciepłych nakryć, zaczęła szlochać, wbrew wszelkiej logice, zupełnie nie wiedząc dlaczego. Gdy przestała płakać po upływie dłuższego czasu ogień w kominku dogasał i powróciła jej poprzednia, lecz jeszcze silniejsza migrena. Poszła po koszulę nocną nadal leżącą przy kominku, włożyła ją i umyła twarz w stojącej na kufrze srebrnej miedniczce z wodą pomarańczową.

Świeża woda orzeźwiła ją. Trwała absolutna cisza i głęboka samotność. Nawet psy odeszły, podążając za Garinem; uprzednio nie zwróciła na nie uwagi. Trochę uspokojona powróciła do łóża, ułożyła się wygodnie na poduszkach i zaczęła rozmyślać.

Dzięki zdarzeniom tej dziwnej nocy poślubnej poznała siebie bardziej niż przez ostatnie dziesięć lat. Odkryła, że w przyszłości będzie musiała kontrolować starannie swoje ciało i jego nieprzewidziane reakcje. W chwili zapamiętania w ramionach Arnolda przypisywała swoją słabość sile miłości, jaką wzbudził w niej rycerz. Ale dzisiejszego wieczoru? Nie kochała Garina, nie pociągał jej, a jednak... była gotowa błagać, by wziął ją w ramiona. Jej ciało okazało się wymagające, spragnione, kryło w sobie niepokój, o który nigdy wcześniej się nie podejrzewała. Jeśli chodzi o postawę męża, nie chciała się nad nią zastanawiać. Trudno było rzeczywiście coś z tego zrozumieć.



Nazajutrz była wigilia Bożego Narodzenia. Hałaśliwa muzyka wyrwała Katarzynę ze snu. Rozsunięte zasłony ukazywały za oknem smutny, zimowy dzień. W kominku żywo buzował ogień, przed którym siedział Garin w fotelu, nadal ubrany w czarny strój, jakby dopiero co wstał. U jego stóp leżał chart. Kiedy Katarzyna usiadła w łóżu, Garin uśmiechnął się.

- To są obojści z Aventu, moja przyjaciółko. Zgodnie z tradycją będą grać tutaj cały dzień, aż do północy. Musisz się przygotować na ich przyjęcie. Zawołam służące...

Oszołomiona i wyrwana ze snu Katarzyna zobaczyła, jak wchodzi wesole służące, mówiąc jej dzień dobry. Tryskały radością i wirowały wokół łóża, podając, jedna podszytą futrem dalmatykę, inna pantofle, jeszcze inna

lustro. Ich zaciekawione spojrzenia ześlizgiwały się nieodparcie ku siedzącemu w fotelu Garinowi. Obserwował to radosne poruszenie z pobłażliwą miną, odgrywając w sposób doskonały rolę szczęśliwego pana młodego asystującego przy wstawaniu ukochanej żony... Patrząc na tę komedię, Katarzyna nie wiedziała, śmiać się czy gniewać.

Jedynie Sara zachowywała spokój. Przyszła jako ostatnia, przynosząc suknię, którą Katarzyna miała nosić w dniu po zaślubinach. Strój wierzchni uszyto z sukna koloru miodu haftowanego jedwabiem w kłosa zboża, obszyte złotą nicią. Szerokie rękawy, dekolt i dół sukni oblamowano sobolowym futrem w kolorze ciepłego brązu. Suknia spodnia była z atłasu koloru miodu. Co się tyczy nakrycia głowy, skrywającego całkowicie włosy Katarzyny, składało się ono z podwójnego toczka wykonanego z sobolowego futra i wysokiej konstrukcji z haftowanego sukna, z której spływał krótki, odpowiednio dobrany welon. Szeroki złoty pas podtrzymywał fałdy sukni tuż pod piersiami, a strój uzupełniał naszyjnik ze złota i pięknych okrągłych topazów. Sara, poruszając się jak kapłanka przy ołtarzu, pomagała jej się ubrać. Twarz Cyganki była posepna, kobieta nie odzywała się ani słowem. Garin odszedł, aby zająć się swoją toaletą, i obie kobiety mogłyby porozmawiać, gdyby nie gromada figlarnych młodych służących. Gdy Katarzyna była już gotowa, Sara odesłała je gniewnym gestem, a następnie zwróciła się do młodej mężatki:

- No więc, jesteś szczęśliwa?

Szczerść tego pytania zdziwiła Katarzynę. Wydawało się, że Sara jest w złym humorze. Jej czarne oczy obserwowały twarz nowej pani de Brazey, jakby chciały z niej coś wyczytać. Katarzyna zmarszczyła brwi.

- Dlaczego miałabym nie być szczęśliwa? A raczej dlaczego miałabym być szczęśliwa? Nie wydano mnie za mąż po to, bym była szczęśliwa. Można by sądzić, że o tym nie wiesz!

- Wiem. Chciałam tylko, żebyś mi opowiedziała, jak minęła noc poślubna. Pierwszy intymny kontakt to bardzo ważna rzecz w życiu kobiety!...

- Bardzo dobrze - odpowiedziała zwięźle Katarzyna.

Była zdecydowana nie opowiadać nikomu, nawet Sarze, o poniżającym doświadczeniu z poprzedniego wieczoru. Duma nie pozwalała jej wyznać, nawet swojej starej powiernicy, że mąż po obejrzeniu jej pięknego ciała poszedł spać do swojej komnaty, nie całując jej nawet. Sara nie rezygnowała tak szybko.

- Aż tak dobrze? Nie wyglądasz na zmęczoną, jak przystało młodej żonie. Twoje oczy nie są wcale podkrążone...

Tym razem Katarzynę ogarnęła złość, tupnęła nogą.

- Cóż cię to może obchodzić! Jestem, jaka jestem! Zostaw mnie w spokoju. Muszę iść do męża.

Irytacja młodej kobiety wywołała słaby uśmiech na ustach Sary, która położyła ciemną dłoń na ramieniu Katarzyny. Przyciągnęła ją gwałtownie do siebie i szybko pocałowała w czoło.

- Oby to była prawda, mój aniele, mniej bym się wówczas o ciebie niepokoiła. Oby tak było, żeś naprawdę znalazła męża. Ale wątpię w to.

Nie mówiąc już nic więcej, Sara otworzyła drzwi komnaty, otuliwszy najpierw Katarzynę obszernym płaszczem z brązowego aksamitu, ofiarowanym przez księcia Filipa. Następnie odprowadziła swą panią ku kamiennym, lodowatym schodom wieży. Czekający na nią przed zamkiem Garin podszedł i podał jej ramię. W pobliżu schodów grupka młodych chłopów, ubranych na czerwono i niebiesko, grała z zapalem na obojach. Wydawało się, że widok młodej kobiety zwiększył jeszcze ich gorliwość, bo zadęli mocniej. Białe słońce przedarło się przez chmury.

Przez cały dzień, przy dźwięku obojów z Aventu, Katarzyna odgrywała



sumiennie rolę pani domu. U schyłku dnia ze wszystkimi domownikami i mieszkańcami wioski udała się do małego kościółka w Brazey, aby zapalić pochodnie od oliwnych lampek stojących w chórze. Następnie wszyscy powrócili do domów rozpalić świętym ogniem wygasłe paleniska. Stojąc obok Garina, patrzyła, jak zapalił w kominku dużej sali olbrzymi kawał buku, rytualne polano. Następnie pomógł jej rozdawać wieśniakom prezenty świąteczne: po sztuce materiału, trzech sztukach srebra i dużym chlebie. O północny wysłuchała trzech tradycyjnych mszy w kaplicy zamku, gdzie dzień wcześniej odbył się ślub, a później powróciła na posiłek.

Pod koniec tego długiego dnia czuła się zmęczona. Nadchodząca noc rozbudziła jej niepokoje. Jak będzie wyglądała ta następna? Czy Garin zachowa się równie nieoczekiwanie jak poprzedniej nocy, czy też będzie domagał się swoich małżeńskich praw? Przez cały dzień zachowywał się zwyczajnie, a nawet uprzejmie. Kilka razy uśmiechnął się do niej, wstając od stołu po wieczerzy wigilijnej, podarował jej dwie bransolety z pereł jako prezent na Boże Narodzenie. Jego wzrok spoczywający czasami na postaci Katarzyny był tak dziwny, że młoda dziewczyna czuła się zmrożona do szpiku kości. Przysięgłaby w tych chwilach, że ogarniała go jakaś tajemna wściekłość. Dlaczego? Przeciw komu? Przecież była wobec niego łagodna i uległa, bardziej niż mógł się tego domagać najbardziej wymagający mąż. Serce wielkiego skarbnika Burgundii było trudną do rozszyfrowania zagadką!

Jednakże obawa Katarzyny okazała się płonna. Garin zadowolił się odprowadzeniem jej pod drzwi komnaty. Życzył jej dobrej nocy, kłaniając się lekko, a następnie złożył szybki pocałunek na czole młodej kobiety. Pocałunek był szybki i nieczuły, jego wargi - gorące. Badawczy wzrok Sary obserwował te dziwne przejawy małżeńskiej zażyłości, lecz kobieta powstrzymała się od wszelkich komentarzy.

Nazajutrz, z nieokreślonym wyrazem twarzy, poinformowała Katarzynę, po jej przebudzeniu, że mąż udał się pilnie do Beaune wezwany rozkazem księcia. Prosił o wybaczenie i polecił żonie, aby zechciała udać się w ciągu dnia do Dijon i zainstalować w pałacu przy ulicy Pergaminników. Tam miała oczekiwać jego powrotu, co mogło trochę potrwać, gdyż otrzymał rozkaz towarzyszenia kanclerzowi Mikołajowi Rolinowi w podróży do księcia Sabaudii. Garin zapowiedział też przysłanie z Beaune umyślnego, aby zabrał jego bagaże z Dijon. Katarzyna musiała sama zadomowić się w nowym miejscu.

W pewnym sensie z ulgą i zadowoleniem z powodu tej nieoczekiwanej swobody młoda kobieta wypełniła wszystkie polecenia. W godzinach popołudniowych wsiadły wraz z Sarą do osłoniętej grubymi skórami lektyki i opuściły mały zamek w Brazey, aby udać się do książęcego miasta. Było trochę cieplej i nawet na chwilę błysnęło słońce. Katarzyna pomyślała z radością, że nazajutrz będzie mogła pójść ucałować matkę.

## *Rozdział dziewiąty*

### *Filozofia Abu-al-Khayra*

**W** dniu świętego Wincentego, to jest 22 stycznia, Katarzyna udała się wraz z Odettą de Champdivers na ucztę połączoną z pieczeniem świni. Tradycyjną uroczystość wuj Mateusz urządzał rokrocznie w swojej winnicy w Marsannay. W całej Burgundii organizowano podobne biesiady dla uczczenia hodowców winorośli, którzy uznają świętego Wincentego za

swojego patrona.

Obie kobiety opuściły wcześniej rano zamek w Brazey, gdzie Odetta bawiła od kilku dni, i wyruszyły w drogę, kiedy było jeszcze ciemno. Liczna świta służących otaczała szczelnie zamkniętą lektykę, w której zajęły miejsca obie panie, wesołe jak uczennice na wakacjach. Aby było cieplej, kazały wstawić do wnętrza podgrzewacze: żelazne pojemniki wypełnione rozżarzoną węglą. Katarzyna prawie zapomniała, że jest mężatką, gdyż Garin był nieobecny prawie od miesiąca. Z dziecięcą radością objęła w posiadanie okazały pałac męża i mieszczący się tam, przeznaczony specjalnie dla niej, wspaniały apartament. Spędzała całe dni, oglądając zgromadzone wspaniałości, trochę zdziwiona swym bogactwem i potęgą. Ale nie zapomniała o najbliższych i każdego dnia udawała się na ulicę Griffon, aby uściskać matkę i wuja Mateusza. Wstępowała również na ulicę Tatepoire, aby porozmawiać przez moment z Marią de Champdivers. Wuj Mateusz przyjmował ją zawsze z serdecznością, tym bardziej że Luiza opuściła dom i wstąpiła do klasztoru.

Ślub siostry miał dziwny wpływ na starszą córkę Jacquetty Legoix. Życie wśród bliskich, które do tej pory znosiła jeszcze jako tako, stało się dla niej nieznośne. Nie mogła pogodzić się z faktem, że Katarzyna, od tej chwili we władzy męża, przeszła na drugą stronę barykady, do świata mężczyzn, których ona nienawidziła. Mniej więcej w miesiąc po zabraniu Katarzyny do państwa de Champdivers poinformowała rodzinę o swej chęci rozpoczęcia nowicjatu w surowym zakonie bernardynek z Tartu, podporządkowanym nieugiętej regule z Citeaux. Nikt nie ośmielił się sprzeciwić tej decyzji, gdyż było wiadomo, że jest nieodwołalna. Zresztą poczciwy Mateusz i jego siostra odczuli nawet lekką ulgę. Charakter Luizy pogarszał się z dnia na dzień, a jej zawsze ponury humor stał się uciążliwy. Jacquetta martwiła się, myśląc o smutnej przyszłości czekającej starszą córkę. Klasztor, do którego pragnęła

wstąpić od najmłodszych lat, był jedynym miejscem, gdzie Luiza mogła odnaleźć spokój i zadowolenie. Pozwolono jej więc dołączyć do białej trzódki przyszyłych wybranek Chrystusa.

- Trzeba - mruzczał wuj Mateusz - aby nasz Pan okazał nieskończoną cierpliwość i nieskończoną łagodność... gdyż będzie to wybranka trudna we współżyciu.

W głębi łagodnego serca zacny ten człowiek odetchnął z ulgą, odkąd sztywna postać jego siostrzenicy przestała bywać w Grand Saint Bonaventure. Wiedli wraz z siostrą wygodne życie we dwoje, a on pozwalał jej troszczyć się o siebie.

Kiedy Katarzyna i Odetta przybyły do Marsannay, w wiosce kipiało. Od kilku dni przygotowywano się do święta. Stopniowo usuwano śnieg z ulic głównych i bocznych. Na wszystkich fasadach, nawet tych najbiedniejszych, rozwieszano najpiękniejsze sukna i kolorowe tkaniny, jakie się udało znaleźć w skrzyniach z wyprawą. Zimowa roślinność: srebrzysta jemioła, zerwana z gałęzi starych dębów, i kolczasty ostrokrzew przyozdabiały drzwi i okna. Zabito naj-tłuszciesze sztuki z chlewików. Silny zapach pieczonej wieprzowiny rozchodził się po całej okolicy, gdyż przygotowano zeń tradycyjny posiłek. U wuja Mateusza, najbogatszego w okolicy, nie licząc mnichów z Saint-Benigne, właściciela winnic w Marsannay, stado złożone z dziesięciu świń przyplaciło życiem pantagrueliczną ucztę wydaną przez sukiennika dla wszystkich zbieraczy, którzy z nadejściem pory winobrania przybywali, by zrywać w jego winnicach fioletowe kiście. Wuj Mateusz był człowiekiem bardzo zamożnym, chociaż nie lubił chwalić się swym bogactwem. Aby uświetnić posiłek, kazał wywiercić dziury w sześciu rzędach beczek z winem, przywiezionych z Beaune, Nuits i Romanee.

Biesiadę rozpoczęto w środku dnia. Uroczysta msza zakończyła się późno. Katarzyna z Odettą siedziały przy stole, przy którym honory domu

pełniła jej matka. Jacquetta promieniała radością, ubrana we wspaniałą jedwabną suknię podbitą popielicami - podarunek od córki. Przy innym stole Mateusz, odziany w ciemnobrązowy aksamit i futro z czarnego lisa, z kapturem zwisającym nad jednym uchem, zachęcał do picia, chociaż wcale nie było to potrzebne. Zewsząd dochodziły głośne, frywolne rozmowy rozochoconych dobrym winem biesiadników, a z dali dobiegał dźwięk starej ludowej pieśni. Wszystko to tworzyło atmosferę radości, którą Katarzyna podzielała bez skrupowania. Bawiła się wspaniale; była młoda i piękna, w czym utwierdzały ją płomienne spojrzenia młodych chłopców.

W momencie gdy kuchcikowie, idąc czwórkami, wnieśli na stoły trzy pieczone wieprze, których chrupiąca skórka była lśniąca i złocista, u drzwi dała się słyszeć ogłuszająca wrzawa. Grupa mężczyzn, z pewnością spóźnialskich, zaczęła przepychać się przy wejściu. Słysząc było przekleństwa wykrzykiwane na całe gardło. Ponad zamętem przebił się wysoki, ostry głos Mateusza, który zaprotestował z gniewem:

- A cóż to za rwetes! - krzyknął, uderzając pięścią w stół. - Hej, wy tam! Nie bijcie się! Znajdzie się miejsce dla wszystkich!

Z siłą korka od szampana eksplodującego z butelki grupa mężczyzn wpadła za próg sali. Zdziwiona Katarzyna zauważyła, że ciągnęli za sobą jakiś wierzgający nogami kształt ludzki, który przypominał olbrzymią dynię osadzoną na krótkich nóżkach, piszczącą w obcym języku.

- Popatrzcie, panie Mateuszu, co znaleźliśmy na drodze - krzyknął jeden z nich, olbrzymie chłopisko o twarzy koloru wina. Bez widocznego wysiłku kolos schwycił dziwnego człowieczka i posadził na stole tuż przed Mateuszem. Następnie ujął dynię w obie ręce, odsłaniając oblicze małej postaci. Ukazała się biała broda i twarz Abu-al-Khayra, małego medyka z Kordoby. Ta pierwsza nadal biała, a ta druga purpurowa ze złości i przyduszenia. - Widzieliście już kiedyś taką okropną gębę? - zaśmiał się

hałaśliwie. - Znalazłem go na drodze z dwoma wielkimi diabłami, czarnymi jak sam szatan; wszyscy trzej jechali na mułach, poważni niczym przebierańcy zapustni! Sądziłem, że zechcecie obejrzyć te dziwolągi, zanim wrzucę je do rzeki. Nie zawsze jest okazja, żeby się trochę pośmiać, no nie?

- Ależ - wykrzyknął Mateusz, który rozpoznał mauretańskiego medyka - to mój przyjaciel z oberży Karol Wielki, pan Abu-al-Khayr we własnej osobie. Niegodziwcze! Chciałeś wrzucić do rzeki mojego przyjaciela? Co najlepszego chciałeś zrobić, mój Boże, co chciałeś zrobić!

Pomógł Arabowi zejść ze stołu, podał mu stołek i kubek wina, który mały muzułmanin wypił bez zmrużenia oka. Był wystraszony, ale powróciły mu zwykłe kolory i nie ukrywał radości ze spotkania z Mateuszem ani ulgi w związku z takim obrotem sprawy.

- Sądziłem, że wybiła moja ostatnia godzina, przyjacielu. Niech Allah będzie pochwalony, że oddał mnie w twoje ręce. Może da się jeszcze uratować moich służących, chciałbym bardzo, aby nie wrzucono ich do wody!

Mateusz polecił krewkiemu napastnikowi, zawstydzonemu nieco takim rozwojem sytuacji, zająć się tą sprawą, podczas gdy mały medyk przy pomocy Jacquetty, zdumionej rozpiętością kontaktów brata, doprowadzał do porządku swoje odzienie i poprawiał żółty turban.

Bystre oczy lekarza dostrzegły Katarzynę, która trzymała się na uboczu, bojąc się podejść. Jego niespodziewane przybycie sprawiło, że jej serce zaczęło bić gwałtownie. Czyż Garin nie mówił, że Arab zaopiekował się Arnoldem de Montsalvym? Od niego dowie się z pewnością czegoś o człowieku obecnym wciąż w jej sercu i duszy.

Rozgardiasz spowodowany sensacyjnym pojawieniem się przybysza ucichł. Siedząc w fotelu pełnym poduszek, wyposażony w cynową miszkę i kubek, Abu-al-Khayr przychodził powoli do siebie. Jego spojrzenie,

spoczywające na Katarzynie z krępującą wprost natarczywością, przesunęło się na zastawiony stół i zatrzymało na zawartości olbrzymich półmisek, którymi Mateusz pragnął go uraczyć...

Sukiennik stał obok i właśnie zamierzał zaatakować nożem najtłustszego pieczonego wieprza, kiedy Abu-al-Khayr zerwał się na równe nogi z okrzykiem przerażenia, odpychając fotel, który wywrócił się z olbrzymim hałasem. Skoczył co sił w nogach w kierunku kominka, gdzie przycupnął, bielszy od swej brody, drżąc i pojękując.

- No! No! - powiedział zdziwiony Mateusz. - A cóż mu się znowu dzieje? No, kumie, nie uciekajcie. Chodźcie raczej spróbować z nami pieczystego. Czegóż się tak boicie?

- Wieprzowina! - powiedział Abu trzęsącym się głosem. -  
Wieprzowina! Zwierzę nieczyste! Mięso przeklęte i zakazane!... Prawdziwie wierzący nie może zasiadać do stołu serwującego to nieczyste mięso...

Zbity z tropu Mateusz patrzył zaskoczony na małego medyka drżącego ze strachu i na niewinnego wieprzka, wyglądającego tak smakowicie na półmisku.

- Cóż on chce przez to powiedzieć? Moje wieprze nieczyste? - mruknął obrażony.

Odetta, z trudem zachowując powagę, podeszła do Mateusza.

- Na dworze króla Karola widziałam raz maga tej samej narodowości. Jej Wysokość księżna Orleanu, chociaż dobra chrześcijanka, wierzyła, że jego magia uratuje króla. Ten człowiek nigdy nie chciał jeść wieprzowiny, którą jego religia uważa za nieczystą.

- Prorok rzekł: *Nie będziesz jadł mięsa z nieczystego zwierzęcia* - odezwał się Abu z kąta.

Mateusz westchnął głęboko, odrzucił nóż i widelec i wstał.

- Dobrze - powiedział w kierunku siostry. - Niech nadzieją kapłony na

rozeń i przygotowują jakiś dobry napitek! Pójdziemy z przyjacielem napić się do mej izby, czekając, aż wszystko będzie gotowe. Biesiadujcie dalej w spokoju.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Katarzyny Mateusz i Abu odeszli. A więc kto inny wysłucha zwierzeń, podczas gdy ona paliła się do rozmowy! Obiecała sobie, że nie wyjdzie, dopóki nie porozmawia z Abu, nawet gdyby wzbudziła tym niezadowolenie wuja. Ale nie musiała posuwać się aż tak daleko. Gdy po posiłku obserwowała tańczących w dużej sali, skąd usunięto stoły, nagle poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękaw. Medyk stał obok niej.

- To ciebie szukałem, wybierając się w tę przeklętą drogę! - powiedział półgłosem.

- Wyjeżdżam do domu w Dijon jutro rano - odpowiedziała. - Jedź ze mną, panie, jeśli nie przeraża cię przebywanie pod jednym dachem z kobietą...

Abu-al-Khayr uśmiechnął się, a następnie skłonił głęboko, szepcząc:

- Poeta powiedziałby: *O królowo, pozwól mi ucałować, jak czyni to niebo, pył, który śpi na progu drzwi twoich.* Powiem tylko, o pani, że będę szczęśliwy, mogąc ci towarzyszyć, pod warunkiem że przyjmiesz również moich służących i nie podasz mi wieprzowiny.

\* \* \*

Nazajutrz o świcie wszyscy jeszcze smacznie spali, gdy lektyka Katarzyny wyruszyła w kierunku Dijon, unosząc medyka i dwie kobiety.

Po przyjeździe do Dijon Odetta udała się do matki, gdzie chciała pobyc dwa dni, przed powrotem do Saint-Jean-de-Losne. Katarzyna nie zatrzymywała jej. Dawna faworyta była czymś zafrasowana, a ponadto młoda kobieta wiedziała, że Abu-al-Khayr nie przemówi, dopóki przyja-



ciółka będzie im towarzyszyła. Przez całą drogę nie powiedział ani trzech słów. Ich pojawienie się w pałacu przy ulicy Pergaminników, w asyście dwóch czarnoskórych niewolników, wywołało poruszenie.

Służące Katarzyny zgarniały spódnice i uciekały w popłochu, a lokaje wycofywali się, czyniąc znak krzyża. Groźne spojrzenie Katarzyny zatrzymało ich na miejscu. W ciągu jednego miesiąca nauczyła się narzucać im swoją wolę i zmuszać do respektu, prawie jak sam Garin. Głosem nieznoszącym sprzeciwu poleciła majordomusowi Tiercelinowi, aby przygotował komnatę dla dostojnego gościa i zaniósł sienniki dla służących Araba. Następnie zaprowadziła go tam z całym ceremoniałem, poprzedzana przez nosiciela pochodni, aby podkreślić rangę gościa, i Abu-al-Khayr milczał, obserwując przedmioty i ludzi wokół siebie.

Gdy Katarzyna poinformowała go o porze posiłków, chciała odejść, westchnął głęboko i chwycił ją za rękę.

- Jeśli dobrze rozumiem, twoja sytuacja, pani, uległa zmianie? - zapytał łagodnie. - Jesteś mężatką?

- Ależ tak, od miesiąca.

Mały medyk pokiwał smutno głową.

Katarzyna zjadła obiad sama, gdyż gość, zmęczony podróżą, postanowił spożyć posiłek w swojej komnacie. W rzeczywistości Abu-al-Khayr chciał przemyśleć pewne sprawy przed rozmową z młodą kobietą. W końcu późnym popołudniem znaleźli się sam na sam. Do jej komnaty udał się na specjalne zaproszenie. Przez moment wpatrywał się w płomienie tańczące w wysokim kominku z białego rzeźbionego kamienia. Będąc u kresu wytrzymałości, Katarzyna rzuciła:

- Mów wreszcie, panie, błagam. Twoje milczenie to prawdziwa udręka. Przez litość... mów mi o nim.

Arab wzruszył ramionami ze zniechęceniem. Między nimi nazwiska

nie miały znaczenia, ale zastanawiał się, jaką wymowę mają fakty.

- Ale po co, pani... przecież jesteś zameżna? Cóż cię teraz może obchodzić ten, który został moim przyjacielem? A przecież kiedy widziałem was razem, wydawało mi się, że łączyło was coś niewidzialnego i silnego. Wydaje mi się, że umiem czytać w ludzkich oczach, a w twoich ujrzałem głęboką miłość. Powinienem jednak wiedzieć, że wzrok kobiety jest zwodniczy - dodał z goryczą. - Widać źle go odczytałem.

- Nie, nie pomyliłeś się, panie. Pokochałam go i kocham nadal ponad wszystko, bardziej niż siebie samą, podczas gdy on mnie nienawidzi i mną pogardza.

- To już inna sprawa - uśmiechnął się Abu. - Można by wiele powiedzieć o pogardzie pana de Montsalvy'ego. Jeśli oparzelina wedrze się głęboko w ciało, rana goi się, ale pozostaje ślad, którego żadna siła na świecie nie jest w stanie usunąć. Uwierz medykowi. Jednakże bardzo żałuję, że wzięłaś sobie męża. Wy, kobiety, jesteście bardzo dziwnymi stworzeniami. Przywołujecie niebiosy na świadka wielkiej miłości, jaka was ogarnia, ale ofiarowujecie radośnie ciało innemu mężczyźnie!

Cierpliwość zaczęła opuszczać Katarzynę. Czyż naprawdę musiał snuć rozważania na temat kobiecej duszy, gdy ona płonęła z chęci usłyszenia czegoś o Arnoldzie?

- Czy w twoim kraju, panie, kobiety mogą swobodnie wybierać sobie mężczyznę, z którym mają dzielić łóżko? Tutaj tak nie jest. Jeśli jestem mężatką, to dlatego, że musiałam spełnić rozkaz.

Opowiedziała gościowi historię swojego małżeństwa, choć nie odważyła się wyznać, że mąż jeszcze jej nie tknął. Po co? Wcześniej czy później wielki skarbnik upomni się o swoje prawa.

- Tak więc - powiedział medyk - twoim mężem jest Garin de Brazey, ten, który towarzyszył kanclerzowi Burgundii do Bourgu. Naprawdę to

dziwne, że księżę wybrał właśnie jego. Jest ponury jak noc, twardy jak kamień, a jego charakter jest równie twardy jak jego kręgosłup. Doprawdy nie ma w nim materiału na dobrego męża.

Katarzyna zachnęła się z niecierpliwością na tę uwagę, którą już kiedyś zrobił Barnaba. Przecież nie kazała mu przyjść, aby rozmawiać o Garinie. Na jej usilną prośbę Abu-al-Khayr zaczął wreszcie opowiadać.

Od spotkania w oberży Karol Wielki medyk nie opuścił Arnolda przez cały czas potrzebny do wyleczenia młodego człowieka.

- Po twoim wyjeździe, pani, trawiła go silna gorączka. Majaczył, co było zresztą bardzo pouczające, ale wybacz mi, jeśli robię zbyt wiele dygresji. Kiedy już mogliśmy wyruszyć w drogę, księżę Burgundii właśnie opuścił Flandrię i podążał do Paryża. Nie mogliśmy jechać za nim. Nie udałooby nam się wyjść z tego cało.

Wysłuchując się w piskliwy i sepleniący głos małego medyka, Katarzyna poznała krok po kroku drogę, jaką przebył Arnold, rekonwalescent kłótlivy i trudny, jadąc do swego pana. Arab złożył relację o przyjęciu ich przez delfina, o cudach pałacu Mehunsur-Yevre, tej koronki z kamieni i złota, lekkiej i wspaniałej siedziby feudalnej, którą delfin Karol odziedziczył po swym wuju Janie de Berry, najznamienitszym mecenasie epoki. Mówił o gorącym przyjęciu zgotowanym przez towarzyszy, braterstwie broni, jakie łączyło Arnolda de Montsalvy'ego z innymi rycerzami delfina. Słowa Araba były tak sugestywne, że Katarzynie wydało się, iż po kosztownym dywanie jej komnaty zbliża się do niej młody Jan z Orleanu, najbardziej uwodzicielski i najwaleczniejszy z bastardów. Jeszcze od czasów dzieciństwa łączyła go z delfinem braterska przyjaźń. Następnie lekarz odmalował słowami sękatą postać straszliwego Stefana de Vignolles'a, o duszy z brązu i ciele ze stali, tak gwałtownego w walce, że przydomek Gniewny pasował do niego jak druga skóra, wraz z jego *alter ego*, wesołym i

dzikim Owerniakiem, rudym jak kasztan, noszącym nazwisko Jan de Xaintrilles.

Był tam też inny Owerniak, Piotr de Giac, niespokojny i sprytny - szeptano, że zawdzięcza swoje szczęście paktowi z diabłem, któremu sprzedał prawą rękę - a także pozostali panowie ze słodkiej Turenii, z groźnej Owernii, z niezgłębionej Langwedocji i z wesołej Prowansji; wszyscy, wbrew przeciwnościom losu, wierni królowi i prawu... Z pewną przewrotnością Abu-al-Khayr opisywał również, nie bez ironicznej uprzejmości, czarujące damy, pełne świeżości dziewczęta, którymi Karol VI (kochający kobiety prawie tak samo, jak jego kuzyn z Burgundii) lubił zapelniać dwór. Jeśli wierzyć temu, co mówił, większość tych czarujących istot czekała tylko na znak pana de Montsalvy'ego, aby wpaść w jego ramiona, a zwłaszcza uroczą córkę marszałka de Severaca, wspaniała brunetka o oczach „jak senne marzenie”.

- Dalej, dalej! - ucięła Katarzyna, poirytowana przewrotnym entuzjazmem medyka.

Abu-al-Khayr zdziwił się z dobrze udaną naiwnością.

- To bardzo dobrze, kiedy młody i zdrowy człowiek użytkuje swoje siły i korzysta z przyjemności, gdyż, jak powiedział poeta: *Nie zajmuj się tym, co było, ani tym, co będzie. Ciesz się terażniejszością, w tym główny cel życia...*

- Moim celem nie jest wysłuchiwanie opowiadań o przygodach miłosnych pana de Montsalvy'ego! Co było dalej? - wykrzyknęła młoda kobieta z wściekłością.

Abu-al-Khayr uśmiechnął się do niej uprzejmie i pogładził śnieżnobiałą brodę.

- Dalej delfin został królem, odbyła się koronacja, a potem uroczystości, zapasy. Mogłem je śledzić z gospody, gdzie umieścił mnie mój

przyjaciel. Odwiedzało mnie tak wiele osób. Szczególnie pan de Giac.

Katarzyna była u kresu sił. Napięte nerwy sprawiały jej taki ból, że poczuła napływające do oczu łzy.

- Litości! - poprosiła głosem tak przybitym, że mały medyk zreflektował się.

Nakreślił szybko sceny z ich życia w ostatnich miesiącach. Opowiedział o kilku walkach, w których uczestniczył de Montsalvy wraz ze Stefanem de Vignolles'em, następnie o tym, jak wyznaczono Arnolda do eskortowania do Bourgen-Bresse posłów króla Karola. Na ich czele stał kanclerz Francji, biskup z Clermontu, Marcin Gouge de Charpaignes, krewny Arnolda. Po uroczystym wyjeździe postów w ślad za nimi pojechał Arab. W trudnych negocjacjach pod przewodnictwem księcia Sabaudii uczestniczył także Arnold. Abu widział, jak każdego wieczora Arnold powraca coraz bardziej rozdrażniony. W miarę jak Mikołaj Rolin przedstawiał długą listę żądań strony burgundzkiej, rosła wściekłość młodego człowieka. Według niego warunki pokoju były nie do przyjęcia i każdego dnia powstrzymywał się, aby nie skoczyć do gardła zuchwałemu Burgundczykowi, który ośmielił się zażądać od króla Karola publicznego wyrażenia skruchy za zabójstwo Jana bez Trwogi, zwolnienia Filipa od złożenia hołdu królowi (co było obowiązkiem każdego znacznego wasala, więc dotyczyło również księcia Burgundii), oddania znacznej części ziem, których Anglicy jeszcze nie zajęli. Wykręty i obraźliwa powściągliwość pana Mikołaja doprowadzały do szewskiej pasji krewkiego kapitana... i pogłębiały jego nienawiść do Filipa.

- Nienawidzi go z całego serca - dodał w zamyśleniu Abu - nigdy nie widziałem, aby ktoś mógł tak nie cierpieć swego bliźniego... Przypuszczam, że to częściowo z twojego powodu. Na razie księżę Sabaudii wynegocjował rozejm między przeciwnikami i obietnicę dalszych, ustalonych na dzień

pierwszy maja. W każdym razie, co się tyczy tego rozejmu, znam osobę zdecydowaną na wszystko.

- A cóż ona zamierza?

- Pojechać na dwór księcia Filipa i rzucić mu wyzwanie. Zażądać walki na śmierć i życie.

Z ust Katarzyny wyrwał się okrzyk przerażenia. Gdyby Arnold ośmielił się wyzwąć księcia, nie uszedłby żywy z miasta. Czy ktoś słyszał, by panujący książę stawał w szranki ze zwykłym rycerzem... W dodatku do walki na śmierć i życie! Gwałtownie zarzuciła medykowi, że zostawił przyjaciela w ataku szaleństwa. Trzeba było mu wytłumaczyć, wyjaśnić, że wykonanie takiego projektu równałoby się samobójstwu. Trzeba go powstrzymać, choćby siłą.

Abu-al-Khayr potrząsnął głową.

- Zatrzymać pana Arnolda to jakby zatrzymywać toczący się z góry strumień. Zrobi, jak powiedział. Przyjechałem tutaj pod pretekstem spotkania się ze starym mędrcom żydowskim, który zamieszkuje w tajemnicy niedaleko miasta, dlatego że tylko ty możesz mu jakoś pomóc.

- A cóż ja pocznę sama, bez oręża i władzy?

- Filip cię kocha... przynajmniej tak sądzi Arnold, a o ile dobrze zrozumiałem, wcale się nie myli. Myśli nawet, że jesteś od dłuższego czasu kochanką księcia. Jeśli rzuci to szalone wyzwanie, jedynie twoja ręka będzie dostatecznie silna, aby odwrócić od niego wściekłość Burgundczyka. Nie odmówi niczego ukochanej kobiecie, która jeszcze do niego nie należy.

- Gdzie jest teraz Arnold?

Po raz pierwszy wymieniła na głos to imię, tak często powtarzane po cichu dla samej tylko przyjemności poczucia na wargach tych dwóch sylab.

- Nadal w Bourgu. Posłowie wkrótce się rozjadą. Twój mąż wróci niedługo, a Arnold odwiezie biskupa Clermontu do króla Karola, który

oczekuje go w Bourges. Następnie...

Nie było czasu do stracenia. Arnold był bardzo popędliwy i niecierpliwy. Należał do ludzi, którzy natychmiast po podjęciu jakiejś decyzji przystępowali do czynu, nie patrząc na następstwa. Wiadomość o rychłym przyjeździe Garina zadowoliła Katarzynę. Miała nadzieję, że szybko zostanie przedstawiona na dworze. Musi być blisko księcia, im szybciej, tym lepiej...

Skrzypnięcie drzwi, w których stanęła Sara wraz z Gedeonem siedzącym na świeżo oczyszczonej żerdce, wyrwało Katarzynę z zadumy, Abu-al-Khayr z okrzykiem radości głąskał papugę, zasypując ją deszczem krótkich słów w swoim ojczystym języku. Katarzyna chciała przestrzec gościa przed ostrym dziobem, gdyż Gedeon nie był cierpliwy, ale - ku swemu wielkiemu zdumieniu - zobaczyła, że ptak kręci się na drążku jak adorowana panna. Kiwał głową, kołysał się, pogruchiwał czule jak turkawka, wykonując z małym medykem dziwny duet miłosny. Chcąc się pochwalić zasobem swej wiedzy, Gedeon ogłosił nagle:

- Dobrrry... książę!

Następnie, spoglądając jednym okiem na swoją panią, zaczął wykrzykiwać:

- Garrrin! Okrrrrropny... Garrrin! Okrrrrropny...

- Litości -jęknęła Katarzyna. - Któż go tego nauczył? Jeśli mój mąż to usłyszy, skreśli mu kark!

Abu-al-Khayr śmiał się z całego serca. Wyciągnął dłoń i ptak posłusznie na niej usiadł.

- Daj mi go! Jesteśmy dobrymi kompanami! W mojej komnacie nikt go nie usłyszy. Nauczę go przeklinać po arabsku.

Papuga dała się zabrać bez protestu, nawet z widocznym zadowoleniem, i znowu zaczęła pogruchiwać. Wsparta o kominek

Katarzyna, patrząc, jak wychodzą, stwierdziła, że stanowią bardzo dobraną parę. Turban Abu-al-Khayra i pióra Gedeona miały taki sam ostroczerwony kolor. Kiedy byli już przy drzwiach, zapytała jeszcze:

- Dlaczego uważasz, panie, że moja osoba ma wpływ na uczucia, jakie żywi twój przyjaciel do księcia Filipa?

Kpiący uśmiech zmarszczył ruchliwą twarz małego medyka. Z papugą na dłoni skłonił się lekko i powiedział:

- Rzekł mędrzec: *Wystrzegaj się wiary w to, co widzisz na własne oczy, ale nic nie wspomina na temat uszu. Niektórzy ludzie dużo mówią przez sen, co może być bardzo pouczające dla tych, którzy znajdują się obok. Niech pokój Allacha będzie z tobą, różo wśród róż!*

\* \* \*

Garin powrócił dwa dni później zmęczony, zdenerwowany i w bardzo złym humorze. Powitał Katarzynę z roztargnieniem i ucałował, zaledwie muskając jej skroń. Następnie oświadczył, jakby to była rzecz bez znaczenia, że wkrótce zostanie przedstawiona księżnej wdowie.

- Przyłączysz się pani do dam dworu, co nauczy cię ostatecznie światowych manier.

Jeśli nawet był trochę zdziwiony, że zobaczył u siebie mauretańskiego medyka, który wzbudzał taką ciekawość wśród ludzi z Bourgu w czasie jego misji, to nie dał tego po sobie poznać. Katarzyna przedstawiła Araba jako starego przyjaciela swego wuja i wydawało się, że Garin był zadowolony z tego spotkania. Przyjął Abu-al-Khayra uprzejmie i wspaniałomyślnie, co małego medyka oczarowało.

- W naszych czasach, gdy ludzie rzucają się na siebie jak dzikie zwierzęta, kiedy myśli się wyłącznie o zabijaniu, grabieniu i kradzieży,



niszczeniu ze wszystkich sił, uczony człowiek pochylający się nad niedolą istot ludzkich jest wysłannikiem Boga - powiedział Garin na wstępie. Zaproponował też gościowi dach nad głową, na jak długo zechce, aprobując wybór komnaty dokonany uprzednio przez Katarzynę. - Komnata łączy się z pierwszym piętrem zachodniego skrzydła. Można by tam zainstalować laboratorium, gdybyś się, panie, zdecydował pozostać tutaj przez jakiś czas... lub nawet na stałe.

Abu-al-Khayr rozpląnął się w podziękowaniach i przyjął zaproszenie ku oburzeniu Katarzyny. Sądziła, że jest na stałe związany z Arnoldem. Nieco później czyniła mu wymówki z tego powodu, na co odpowiedział:

- Rzekł mędrzec:

*Będziesz bardziej przydatny przyjacielowi w domu jego wroga, ale musisz płacić za chleb, który będziesz jadł, tak aby nie czyniono ci żadnych wyrzutów!*

Ponieważ Garin już odszedł, on również wycofał się do swoich komnat, by odmówić wieczorną modlitwę. Jego wyjaśnienie zadowoliło młodą kobietę. Co więcej, była szczęśliwa, że zamieszka u niej. Mając Abu-al-Khayra pod swoim dachem, zyskała możliwość rozmawiania o Arnoldzie z kimś, kto go bliżej poznał, bo przez wiele miesięcy nie odstępował go na krok. Cieszyła się, że dzięki mauretańskiemu medykowi będzie mogła lepiej poznać ukochanego. Każdego dnia Arab będzie opowiadał jej o tym, co on lubi, czego nie znosi. Czuli się tak, jakby młody kapitan zamieszkał w pałacu de Brazeya. Przestał być wyłącznie wspomnieniem zatopionym w zakamarkach pamięci, nieosiągalnym i bolesnym obrazem. Obecność Abu przywróciła jej radość życia. Tłumiona od dawna nadzieja, że któregoś dnia spotka Arnolda, stała się żywsza i silniejsza.

Wieczorem, kiedy służące szykowały ją do snu, Katarzyna odkryła przyjemność przyglądania się swemu ciału. Stojąca za nią Sara czesała długo

złote pukle, aż stały się tak lśniące jak kosztowny grzebień, którym to czyniła. Trzy służące obmywały ciało swej pani wodą różaną, namaszczały je przeróżnymi perfumami. Sara, nadzorująca te zabiegi, przygotowała wcześniej mieszankę używaną przez Katarzynę. Długi pobyt u kupca weneckiego, który ją niegdyś kupił, uczynił z Cyganki specjalistkę w sprawach perfumeryjnych. Dziesięć lat spędzonych w sklepiku pigularza i kupca korzennego pozwoliło jej zdobyć dużą wiedzę, ale dopiero niedawno Katarzyna w pełni odkryła jej talent.

Na włosy i oczy służąca nakładała po kilka kropel esencji z fiołków, na twarz i piersi wyciąg z irysa florenckiego, za uszy nieco zapachu majeranku, trochę nardu\* na nogi i stopy, olejek różany na brzuch i pośladki, a w końcu trochę piżma w zgięciu pachwin.

*\* Nard - nazwa wielu gatunków pachnących roślin, zwłaszcza kozłka lekarskiego, lawendy; olejek eteryczny otrzymany z tych roślin (przyp. tłum.).*

Wszystkie pachnidła nałożone były w tak niewielkich ilościach, że Katarzyna przy każdym poruszeniu rozsiewała wokół siebie woń pełną świeżości.

Wielkie, polerowane lustro, oprawione w złoto i emalię z Limoges, odbijało czarujący, różowozłocisty obraz tak triumfalny, że oczy Katarzyny zabłysnęły dumą. Jej obecna sytuacja, jej bogactwo pozwalały przynajmniej na pielęgnację urody, na podnoszenie wspaniałości ciała, przeobrażanie go w nieodparty magnes, bezlitosną i rozkoszną pułapkę, w którą wpadnie ukochany mężczyzna. Pragnęła Arnolda całą mocą swego serca, lecz także całą namiętnością swej rozkwitłej młodości. Wiedziała, że nie cofnie się przed niczym, nawet przed zbrodnią, gdyby okazała się konieczna, aby ukochany wpadł w jej ramiona, pokonany i namiętny jak w noc ich pierwszego spotkania.

Po zakończeniu dzieła młoda służąca Perryna cofnęła się o parę kroków, podziwiając czarujący kształt odbijają się w lustrze w płomieniach woskowych świec.

- Jakże nasz pan mógłby nie zakochać się nieprzytomnie - szepnęła do siebie.

Katarzyna ją usłyszała. Przypomnienie Garina, nieobecnego w tym momencie w jej myślach, sprowadziło ją brutalnie na ziemię i wywołało drżenie. Niecierpliwie chwyciła szlafrok leżący na kufrze, rodzaj długiej dalmatyki o szerokich rękawach, ze złotego materiału haftowanego w fantazyjne, mieniące się różnymi kolorami kwiaty, którą przywiózł z Konstantynopola genueński handlarz. Owinęła się w nią szybko i wsunęła na stopy małe pantofelki wykonane z resztek materiału, a następnie odesłała służące.

- Wyjdźcie stąd wszystkie. Zostawcie mnie samą!

Sara i inne kobiety posłuchały. Przed zamknięciem drzwi Cyganka odwróciła się, szukając wzroku Katarzyny z nadzieją, że może to polecenie jej nie dotyczy. Stojąca pośrodku komnaty i wpatrzona w płomienie dziewczyna nie odwróciła się. Sara wyszła z westchnieniem.

Kiedy Katarzyna została sama, podeszła do okna i odepchnęła ciężkie okiennice z malowanego i pozłacanego drewna, takiego jak wystrój belek stropowych. Skierowała spojrzenie na dziedziniec pałacu. Jak w czeluści studni, nie widać było żadnego światła. U Garina było ciemno. Miała ochotę wezwać Sarę, aby sprawdziła, co porabia mąż, ale miłość własna powstrzymywała ją od tego. Jeśliby wysłała do niego służącą, jeden Bóg wie, co Garin mógłby sobie wyobrazić? Że pragnie jego obecności, podczas gdy ona właśnie obawiała się, czy jej nie odwiedzi. Ale niepotrzebnie się niepokoiła. Ani tej, ani następnych nocy Garin de Brazey nie zastukał do komnaty żony! Wbrew logice, poczuła pewien żal...

W oczekiwaniu na przedstawienie Katarzyny u dworu Garin odkrył szczególną przyjemność odkrywania przed młodą żoną coraz to nowych wspaniałości pałacu. W czasie jego nieobecności poznała dokładnie swoje komnaty oraz sale przyjęć i życia publicznego. Zwiedziła dużą salę o ozdobnym, połączonym suficie, obitą cudownymi dywanami z Arras tkanymi złotą nicią i przedstawiającymi dzieje proroków. Mogła podziwiać wiele innych pomieszczeń, trochę mniejszych, lecz wyposażonych z nadzwyczajnym przepychem. Wszystkie miały obicia w kolorze purpurowo-fioletowym, ulubionym przez pana domu, były udekorowane srebrem i złotem. Zgromadzono tutaj wiele cennych wyrobów złotniczych, rzadkich ksiąg w okładkach zdobionych wykwintnymi kamieniami, emaliowane kufry, figurki ze złota, kości słoniowej i kryształu, grube dywany, w których stopa zanurzała się aż po kostkę, instrumenty muzyczne wykonane z najcenniejszego i najrzadszego drewna. Odwiedziła również olbrzymie kuchnie, zdolne wyżywić tłum ludzi, ogród obsadzony bukszpanem i różami, stajnie i spichrze. Nigdy nie była jednak w lewym skrzydle gmachu, do którego prowadziły dębowe drzwi z olbrzymimi żelaznymi zasuwami, zawsze zamknięte na klucz, ani w komnatach męża. To skrzydło rozpoczynało się długą galerią o różnokolorowych witrażach, opasującą pierwsze piętro pałacu.

Kiedyś Garin, wzięwszy zapalone łuczywo, otworzył tajemnicze drzwi, Katarzyna zrozumiała, dlaczego były zawsze starannie zamknięte. Lewe skrzydło, o bardzo feudalnym wyglądzie, oświetlane jedynie przez szerokie otwory w murze, było w rzeczywistości rozległym skarbcem przechowującym liczne przedmioty z różnych stron świata, które Garin odsprzedawał z olbrzymim zyskiem przy pomocy swych ludzi. Oprócz pełnienia szlacheckich i bardzo zaszczytnych funkcji, zajmował się handlem na wielką skalę. Ten interes, chociaż sekretny i obecnie utrudniony z powodu

wojny, przynosił niemałe zyski.

- Widzisz, pani - powiedział Garin na wpół poważnie, na wpół drwiąco, prowadząc ją przez zapełnione sale - powierzam ci swoje sekrety. Zresztą wyłącznie w jedynym celu, abyś mi uczyniła łaskę i wzięła stąd wszystko, na co będziesz miała ochotę.

Uśmiechnęła się, aby mu podziękować, a następnie chłonęła zawartość składu oczyma szeroko otwartymi z zachwyty.

W jednej z komnat znajdowały się dywany, zwinięte jeden na drugim i wydzielające mocny zapach piżma, przywołujący wspomnienie słońca i odległych krajów. Lichtarz niesiony przez Garina ożywił na moment mieniające się kolory. Dywany z Azji Mniejszej, z Brousse, ze Smyrny lub z Kushu, o ciepłych barwach przytłumionej zieleni, głębokiego błękitu i purpury, dywany z Kaukazu o stonowanych odcieniach, dywany perskie z Heratu, Tebrizu, Meszchedui Kaszanu, ukwiecone jak bajkowe ogrody, wspaniałe dywany z Buchary, połyskujące dywany z Samarkandy, a także dziwne jedwabne dywany przywiezione z mitycznych Chin.

W innych pokojach znajdowały się złociste tkaniny znad Eufratu, kosztowne futra, sobole, gronostaje, lisy i popielice z Mongolii, siodła i uprząż z Kirmanu, jaspisy z Karaszaru, lazuryty z Badakszanu w Afganistanie, kość słoniowa z lasów azjatyckich, biały sandałowiec z Mizory. Następnie przyprawy na wagę złota: imbir z Mekki, goździki z Chin, cynamon z Tybetu, czarny pieprz, gałka muszkatołowa z Jawy, biały pieprz z Japonii, szafran, pistacje z Syrii, wszystko w workach stojących jeden na drugim. Przyprawy te wydzielały upajający zapach, który zamącił w głowie i ścisnął skronie Katarzyny, wywołując początki migreny. To miejsce było jak bajkowa grotka; w jej czeluściach błysnął niekiedy metal, tkanina, kremowobiała kość słoniowa lub przedmiot z jaspisu koloru wody morskiej.

W głębi ostatniej sali, po starannym zamknięciu drzwi galerii, Garin

uniósł draperię z zielonego płótna i odsłonił niskie wejście, które otworzył kluczem odpiętym od pasa. Katarzyna znalazła się w komnacie męża, za olbrzymim fotelem ze srebra i kryształu, gdzie niegdyś przeżyła ciężkie chwile.

- Chcę ci jeszcze pokazać, pani, inne skarby - wyznał Garin. Trochę zaniepokojona dała się podprowadzić do łoża.

Garin okrążył jego zwalistą masę i otworzył inne drzwi, ukryte u wezłowania za aksamitną zasłoną. Ukazało się małe, okrągłe pomieszczenie, znajdujące się w narożnej wieżyczce. Prawie całą jego pojemność wypełniały trzy wielkie, żelazne skrzynie zamknięte na olbrzymie zamki. Garin postawił lichtarz na stoliku przymocowanym do muru i z wysiłkiem, od którego nabrzmiały mu żyły na czole, otworzył jedną z nich. Żółty błysk ułożonych w stos złotych monet rozświetlił mrok.

- Królewski okup, gdyby zaszła taka konieczność! - stwierdził Garin z nieszczerym uśmiechem. - W drugiej skrzyni jest tyle samo. Co się zaś tyczy tej trzeciej...

Ciężkie wieko uniosło się jak kurtyna w teatrze, odkrywając feerię barw; stos szlachetnych kamieni, różnych rozmiarów i odcieni, oprawionych lub nie, rozsiewał blask. Obok stało kilka skrzyneczek starannie ustawionych w rogu i jednakowo nakrytych pokrowcami z fioletowego aksamitu. Turkusy z Kirmanu mieszały się z okrągłymi perłami z Koromandalu, diamentami z Indii, szafirami z Kaszmiru i szmaragdami z Morza Czerwonego; były tu również pomarańczowe korundy, mleczne opale, krwawe almandyny, złociste topazy, ale ani jednego ametystu.

- Ametysty są w skrzyniach - wytłumaczył Garin. - Nikt na świecie nie posiada piękniejszych, nawet książę! Sądzę, że trochę mi ich zazdrości...

Patrzył na kamienie z błyskiem w oku. Wydawało się, że całkowicie zapomniał o istnieniu Katarzyny. Blask płomieni na szlachetnych

kamieniach zabarwił jego twarz w dziwne, różnobarwne plamy, nadając mu złowrogi wygląd demona. Suche dłonie zagłębiły się nagle w połyskującym stosie i wyciągnęły z niego szeroki, barbarzyński naszyjnik z dużych turkusów, niezgrabnie oszlifowanych, ale olbrzymich, oprawionych w rodzaj ciężkiej, złotej siatki, przedstawiającej splecione węże. Zanim Katarzyna zdążyła się zorientować, Garin zarzucił kolię na jej ramiona. Jego dłonie, drżące od niespodziewanej gorączki, zapięły na jej szyi masywny zamek. Naszyjnik był tak ciężki, iż Katarzynie wydało się, że spadła na nią ołowiana pokrywa. Był zbyt szeroki, aby można go było zobaczyć w skromnym wycięciu sukienki ze zwykłego, brązowego aksamitu, obszytej wąskim pasem futra z kuny.

- Nie tak! Nie tak! - wycedził przez zęby.

Miał błędny wzrok. Jego czarne oko płonęło, a głębokie bruzdy wokół ust pogłębiły się jeszcze bardziej. Pozostawiając zapięcie naszyjnika, złapał za wycięcie sukienki i szarpnął brutalnie. Materiał rozerwał się z suchym trzaskiem. Katarzyna krzyknęła. Ale gorączka, która ogarnęła Garina, nagle ustąpiła. Zdjął ręce powoli, lecz zdecydowanie z rozerwanej sukni, odsłaniającej zuchwale ramiona i piersi młodej kobiety. Znowu uśmiechnął się szeroko i fałszywie. Naszyjnik wyglądał teraz bardzo dobrze. Złota siatka przykrywała całkowicie ramiona, schodziła na piersi, zakrywając częściowo ich nagość.

- Tak jest o wiele lepiej - powiedział Garin z zadowoleniem. - No, ale nie można cię prosić, pani, abyś chodziła półnaga, by podkreślić piękno tej rzadkiej ozdoby... chociaż nabiera w ten sposób zadziwiającego blasku. Zachowaj mimo wszystko ten naszyjnik, moja droga, chociażby w zamian za straconą suknię. Proszę o wybaczenie, ale wiesz przecież, że nie znoszę błędów w estetyce.

Długi welurowy szal, zarzucony na potarganą suknię, pozwolił

Katarzynie powrócić, nie wywołując komentarzy wśród służby. W rękach niosła barbarzyński naszyjnik i teraz ona drżała jak liść, wchodząc do swej komnaty, gdzie, na całe szczęście, nie było Sary. To pozwoliło Katarzynie przebrać się szybko i rzucić w kąć zniszczoną sukienkę. Stwierdziła ponownie, że przy nieobliczalnym Garinie nigdy nie wiadomo, co się za chwilę wydarzy.

Wieczorem przy kolacji był bardzo chłodny, mówił niewiele i wyłącznie na mało interesujący temat pogody. Następnie, nie przedłużając wieczerzy, odprowadził żonę do komnaty, pożegnał ją uprzejmie i odszedł.

\* \* \*

- Czemu nie żadasz od niego wyjaśnień - konkludowała Sara, pomagając swej pani przy rozbieraniu. - Masz do tego prawo. Domyślałam się, że wasz związek nie jest całkiem normalny, ale nie do tego stopnia! Jesteś nadal dziewicą, a ślub odbył się ponad miesiąc temu! Twój mąż był nieobecny przez prawie cały ten czas, ale mimo wszystko...

- Odgadłaś coś niecoś, prawda? Przypomnij sobie swoje pytanie, które mi zadałaś dzień po ślubie.

- Wiem, że twój mąż nie został z tobą długo tamtej nocy, ale sądziłam, że od tego czasu odwiedzał cię wielokrotnie. Jak to wytłumaczyć?

Po wydarzeniu z naszyjnikiem i kolacji, która po nim nastąpiła, Katarzyna bardziej rozgoryczona, niż chciała się do tego przyznać, nie mogła powstrzymać złości. Z żalu, że jest wzgardzona w tak oczywisty sposób, wyjawiała w końcu Sarze prawdę na temat swego pożycia małżeńskiego, a na wyznanie to składało się w istocie tak niewiele. Cyganka nie mogła ochłonąć z wrażenia. Z rękami wspartymi na biodrach patrzyła na Katarzynę z komicznym osłupieniem.



- Co? Nic?... Naprawdę nic?

- Prawie nic. W noc poślubną przyszedł do mojej komnaty, kazał mi wyjść z łoża, a następnie rozebrał mnie. Wpatrywał się we mnie długo, bardzo długo... jakbym była jedną z figurek z kości słoniowej lub alabastru, które znajdują się w jego komnacie... Potem odszedł. Nigdy więcej nie powrócił. Może mu się nie podobam?

- Chyba jesteś szalona! - wykrzyknęła Sara, rzucając dzikie spojrzenie.

- Ty mu się nie podobasz? Spójrz nieszczęsna do lustra! Żaden mężczyzna na świecie nie oparłby ci się, gdybyś tylko tego chciała. A ten nie jest ulepiony z innej gliny. Zdjął twoją koszulę, widział cię kompletnie naga... a następnie odszedł spokojnie, aby położyć się spać w drugim końcu zamku? Ależ to czysty obłąd! Całe królestwo pękłoby ze śmiechu.

Mówiąc to, Sara strzepnęła sukienkę, którą zdjęła Katarzyna, i rozpostarła ją na łożu, aby wyszczotkować przed schowaniem. Katarzyna patrzyła na nią rozczarowana.

- Dlaczego? Z pewnością przestrzega umowy narzuconej przez księcia. Poślubił mnie, ale może Filip zobowiązał Garina, aby ten mnie nie tknął.

- Doprawdy? Ależ, nieszczęsna, któryż z mężczyzn, godny tego miana, zgodziłby się na taki warunek, nie tracąc honoru względem samego siebie? Jakże księżę mógłby zniżyć się, aby coś takiego zaproponować? Albo (co jest mało prawdopodobne) nie podobasz się panu Garinowi, albo twój mąż nie jest mężczyzną. Przecież nie wiadomo, czy odwiedzał inne kobiety przed ślubem. Nie słyszano o żadnej jego kochance, o jakiejś przygodzie. Trzeba było formalnego rozkazu, aby się ożenił. Może...

- Może?

- Może nie ma skłonności do kobiet? To ułomność często spotykana w Grecji lub Italii. Jest tam wiele samotnych kobiet, gdyż niektórzy mężczyźni wolą młodych chłopców.

Katarzyna otworzyła szeroko oczy.

- Nie sądzisz chyba, że Garin jest taki?

- Dlaczego nie? Dużo podróżował do krajów Lewantu. Może tam nabawił się tej wstydlivej skłonności. W każdym razie trzeba się upewnić.

- Ale jak? - spytała Katarzyna, wzruszając ramionami. Sara odłożyła szczotkę.

- Powiedziałam ci, że gdybyś tylko chciała, nie oparłby ci się żaden prawdziwy mężczyzna. Musisz zadać sobie ten trud. Bo tak naprawdę nie zrobiłaś niczego, żeby go do siebie przyciągnąć.

- Bo nie mam na to ochoty! - zaprotestowała młoda kobieta. - Nie rozumiem jego postępowania, ale daleka jestem od tego, by mu się zaofiarować...

Sara wzruszyła ramionami i odwróciła się plecami do młodej dziewczyny z tak pogardliwym wyrazem twarzy, że ta stanęła w osłupieniu. Nigdy wcześniej Sara nie potraktowała w ten sposób swej pani.

- Nie jesteś kobietą - skostatowała z obrzydzeniem Cyganka. - Naprawdę pasujecie do siebie. Żadna kobieta, pełnokrwista kobieta, nie zgodziłaby się na takie traktowanie, bez chęci zbadania przyczyny. To sprawa miłości własnej.

- Nie, to po prostu kwestia miłości. Wiesz dobrze...

- Że pragniesz pozostać wierna jakiemuś tam młodzieńcowi, który cię nie chce! Naprawdę uważasz, że ci się to uda? Ty nieszczęsna idiotko, myślisz, że długo zdołasz się opierać księciu Filipowi? Wolisz poczekać, aż mąż (ponieważ taka jest jego rola) dostarczy cię na dwór, wystrojoną i upudrowaną, jak małą, tłustą gąskę. Zgodzisz się na los niewolnicy... ty? Coś ci powiem: gdybyś miała w żyłach choć trochę mojej krwi, prawdziwej, czerwonej krwi, gorącej i dumnej, rzuciłabyś się w ramiona męża, zmusiłabyś go, aby spełnił swój obowiązek... Chociażby po to, by spłatać

Filipowi Burgundzkiemu figła, na jaki zasługuje! Ale w twoich żyłach płynie woda! Pozwól mu więc, biedna głuptasko, podsunąć cię księciu, bo nie zasługujesz na nic lepszego.

Piorun nie poraziłby Katarzyny bardziej niż ten gwałtowny wybuch Sary. Stała pośrodku komnaty z opuszczonymi rękami, bez żadnej reakcji. Sara powstrzymała uśmiech, a następnie dodała z perfidną słodyczą:

- Najgorsze jest to, że umierasz z chęci zażądania od męża wyjaśnień jako stworzona do wszystkiego oprócz życia w cnocie. Dlatego jesteś wściekła jak indyk!

To drugie porównanie, rodem z podwórka, pokonało odrętwienie Katarzyny. Strumień krwi zabarwił jej policzki, zacisnęła pięści.

- A więc zasługuję tylko na to, aby transportowano mnie niczym gęś! Jestem zła jak indyk! No dobrze, sama tego chciałaś! Przyślij służące.

- Co zrobisz?

- Przekonasz się. Chyba masz rację: jestem strasznie poirytowana. Chcę się wykapać, natychmiast!... Proszę też o perfumy. Jeśli nie zdołasz uczynić mnie powabną, to po powrocie wychłoszczę cię batem!

- Jeśli ma to zależeć tylko ode mnie - powiedziała Sara ze śmiechem, biorąc w ręce dzwoneczek - twój mąż będzie w wielkim niebezpieczeństwie.

Niebawem przybiegły służące. Srebrna wanna została napelniona letnią wodą i młoda kobieta zanurzyła się w niej na kilka minut. Po kąpieli poddała się masażowi całego ciała, wypudrowano ją, a następnie perfumiarka Perryna wykonała swą pracę pod kierunkiem Sary, która tymczasem zajęła się włosami. Podczas gdy inne służące krążyły wokół pani, Cyganka szczotkowała tam i z powrotem długie, jedwabiste pukle rozbłyskujące niczym czyste złoto. Następnie zaczesała je do tyłu.

Po wykonaniu pracy Sara odesłała służące, rezerwując sobie dalszy ciąg zadania.

- Co mam włożyć? - zapytała Katarzyna, kiedy odeszły.

- Włóżysz, co ci każe - powiedziała Sara, zajęta upinaniem włosów młodej kobiety.

Spięła je u samej góry złotą klamrą wysadzaną turkusami, a następnie puściła je luźno, formując długi i błyszczący koński ogon. Najwyraźniej praca ta sprawiała jej dużą przyjemność, bo uśmiechała się tajemniczo. Kilka minut później Katarzyna ze świecznikiem w dłoni opuściła swą komnatę. Wiedziała od Perryny, wysłanej na przeszeptanie, że Garina jeszcze nie ma w komnacie. Zasiadł się u Abu-al-Khayra, dyskutując o medycynie.

Otulona w luźną suknię z niebieskozielonej tafty podbitej futrem z zająca, z gołymi stopami w pantofelkach, szła szybko wzdłuż korytarzy. Chciała znaleźć się u Garina przed jego powrotem. Kiedy doszła do olbrzymich dębowych drzwi zamykających komnatę męża, nie sączyło się stamtąd żadne światło. Pchnęła skrzydło drzwi, które otworzyły się, ukazując mroczną komnatę. Katarzyna uniosła świecznik i zrobiła kilka kroków w pustej sali, a następnie zamknęła drzwi za sobą. Wszystko było na najlepszej drodze...

Obeszła komnatę dookoła, zapalając od płomienia swojej świecy świeczniki przygotowane przez lokaja. Wielka i zbytkowna komnata ożywiła się; srebrno-kryształowy fotel błyszczał jak klejnot, ale ona skierowała się ku okazałemu łożu. Powoli, prawie z przestrawieniem, weszła na dwa stopnie pokryte fioletowym aksamitem. Lokaj Germain rozścielił już łoże, więc Katarzyna zaczęła się zastanawiać, czy nie położyć się w pościeli z fioletowego jedwabiu. Przypomniała sobie jednak zalecenia Sary i pozostała na miejscu. W galerii dały się słyszeć szybkie kroki... Garin otworzył drzwi i od razu jego wzrok padł na Katarzynę stojącą obok łoża w płaszczu z opalizującego jedwabiu. Patrzyła na niego z dumnie uniesioną głową. Jego spojrzenie opuściło ją na moment i omiotło rozświetloną komnatę, a

następnie powróciło, nie kryjąc zdumienia.

- Co tutaj robisz, pani?

Nie odpowiadając, wyzywająco opuściła płaszcz i ukazała się naga, w naszyjniku ze złota i turkusów, który podarował jej kilka godzin wcześniej.

Jej smukła sylwetka odcinała się wyraźnie od ciemnego tła łoża, w aureoli złotych, upiętych włosów odsłaniających wiotką szyję. Była niczym barbarzyńska bogini.

Garin pozieleniał, zachwiał się jakby ugodzony strzałą i oparł o mur, zamykając oko.

- Proszę stąd wyjść... - wybełkotał chrapliwie. - Proszę wyjść natychmiast!

- Nie!

Tym razem nie zdołał ukryć głębokiego wstrząsu, ani powściągnąć się. Katarzyna spostrzegła zmieszanie mężczyzny, który zawsze panował nad sobą, i zapomniała o wszelkim wstydzie. Nie czyniąc najmniejszego szmeru, podeszła do niego bosą, uśmiechnięta i zwycięska.

- Nie, nie odejdę - powtórzyła. - Pozostanę tutaj, bo tu jest moje miejsce, jestem przecież twoją żoną, panie. Spójrz na mnie! Czy aż tak się mnie lękasz?

Nie otwierając oka, wyszeptał:

- Tak, boję się ciebie, pani... Nie rozumiesz, że nie mogę cię tknąć, nie mam prawa! Czemu mnie kuisz, wiedząc, że nie mogę ci ulec. Odejdź, Katarzyno, błagam.

Zamiast go usłuchać, zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do jego ciała, spowijając go swym zapachem i zbliżając usta do bladej twarzy. Garin z zamkniętym okiem wyglądał jak męczennik przykuty do pała.

- Nie odejdę, panie, dopóki nie uczynisz mnie żoną, zgodnie z prawem. Kpię sobie z rozkazów Filipa. Są bezbożne i wbrew naturze, nie zgadzam się

z nimi. Jestem twoją żoną i jeśli mnie zechce, będzie musiał pogodzić się z tym, co uczynisz. Popatrz na mnie, Garinie.

Usłyszała, jak jęknął głucho i próbował ją odepchnąć, ale nie mógł się powstrzymać, aby na nią nie spojrzeć. Zobaczył wówczas tuż przy swojej twarzy czarującą twarz, kuszące usta, piękne oczy, wilgotne i obiecujące. Czuł na sobie każdy szczegół jej młodego i wiotkiego ciała. Złota bogini, która wydawała się wytworem wyobraźni, przyszła do niego pełna powabu, ofiarowując swe ciało. Stracił głowę...

Porwał Katarzynę w ramiona, biegnąc, zaniósł do łoża, pchnął na pikowaną kapę i rzucił się na nią. Atak był tak gwałtowny, że z trudem powstrzymała okrzyk. Obezwładnił ją strach, gdyż znalazła się w burzy gwałtownych, brutalnych pieszczot sprawiających ból. Dłonie Garina zamiast pieścić, raniły, jego usta pokrywały ją od stóp do piersi pożądliwymi pocałunkami. Ryczał jak zgłodniałe, dzikie zwierzę, miażdżąc jej delikatne ciało. W ciele młodej kobiety powoli budziła się rozkosz; oddawała się miłosnemu szaleństwu, odnajdując w nim przyjemność. Jęczała cicho, bezwzględnie atakowana, zarazem nabierała coraz większej pewności siebie, naprężyła się w oczekiwaniu na pełniejszą rozkosz, której nadejście przeczuwała. Jej błędzące ręce odpięły kaftan Garina, znajdując chudą, owłosioną pierś, twardą jak wysuszone drewno, i zatrzymały się na moment. Nad jej głową wirował baldachim łoża. Nagle krzyknęła przenikliwie: zęby Garina wbiły się u nasady jej prawej piersi...

Ten krzyk podziałał na męża jak prysznic. Gwałtownie puścił Katarzynę, podniósł się i odsunął na drugą stronę łoża z błędnym wzrokiem. Dyszał, twarz miał bardzo czerwoną, spojrzenie płonące.

- Straciłem głowę. Proszę cię, pani, odejdz. Tak trzeba.

Starając się go uchwycić, rozczarowana i wściekła, że znowu jej się wymyka, zawołała:

- Nie! Wracaj, Garinie!... Na miłość boską, zapomnij o księciu... Wróć do mnie! Czuję, że możemy być razem szczęśliwi!

Łagodnie odepchnął jej rękę, zapinając kaftan drżącymi palcami. Spuścił głowę. Jego twarz pobladła. Katarzyną wstrząsnęła gwałtowna chęć płaczu. Łzy złości trysnęły jej z oczu.

- Ale... dlaczego? Powiedz mi, panie, dlaczego? Podobam ci się, czuję to... Pożądasz mnie, dałeś tego dowód. Więc czemu?...

Garin usiadł powoli na skraju łoża. Jego dłoń pogładziła łagodnie śliczną twarz tonącą we łzach i spoczęła na złocistej głowie.

Katarzyna usłyszała, jak westchnął. Krzyknęła z żalem:

- Odważ się, panie, powiedzieć, że nie cierpisz z powodu tego nieludzkiego przymusu, jaki nałożono na ciebie, no, odważ się! Czuję, że jesteś nieszczęśliwy. A jednak upierasz się, abyśmy wiedli oboje życie śmieszne i nienormalne...

Garin odwrócił wzrok od różowego kształtu spoczywającego na łożu i skierował go gdzieś w mrok komnaty. Westchnął ponownie. Jego głos był pełen dziwnej słodyczy, w której wyczuwało się ukryte i tym bardziej przejmujące cierpienie.

- Mam smutek w sercu - szepnął. - *Niegdyś życie było tak piękne! Taki smutek, że śmiech mój zamienił się w łzy! Tylko leśne ptaki słyszą moje skargi! Mój największy cudzie, straciłem odwagę! Lecz cóż mówię, nieszczęsny, w ogniu mej urazy? Ten, kto szuka radości teraz, stracił ją gdzie indziej, niestety, na zawsze!...*

Zmieszana Katarzyna słuchała, zaskoczona tymi dziwnymi słowami.

- Co to jest? - zapytała. Garin uśmiechnął się słabo.

- Nic... wybacz mi, pani! Kilka wersów niemieckiego poety, który uczestniczył w wyprawach krzyżowych i był protegowanym cesarza Fryderyka II. Nazywał się Walter von der Vogelweide... Widzisz, pani,

jestem podobny do naszego przyjaciela Abu-al-Khayra! Kocham poezję. Teraz cię zostawiam, Katarzyno. Spij tutaj, jeśli takie jest twoje życzenie...

Zanim zdążyła go powstrzymać, przeszedł przez komnatę i zniknął w galerii. Słyszała, jak cichną jego kroki. Ogarnęła ją złość. Ześlizgnęła się z łoża, odnalazła swój płaszcz i pantofle, ubrała się szybko i biegiem wróciła do swojej sypialni. Na dźwięk zatraskujących się drzwi Sara drzemiąca na taborecie obok ognia podskoczyła ku niej.

- No więc?

Katarzyna zerwała z wściekłością barbarzyński naszyjnik i rzuciła go z całą siłą na posadzkę. Następnie podeptała jedwabny płaszcz. Łzy wściekłości trysnęły jej z oczu.

- No więc... nic! - załkała. - Absolutnie nic!

- To nieprawda!

- Ależ tak, skoro ci mówię...

Katarzyna straciła całkowicie panowanie nad sobą. Szlochała nerwowo w ramionach Sary, nie myśląc wcale, aby się ubrać. Cyganka pozwoliła jej uspokoić się trochę. Gdy łkanie ustało, dotknęła lekko palcem piersi Katarzyny, gdzie dostrzegła ślady zębów Garina i kropelkę krwi.

- A to? Co to jest?

Załamana Katarzyna dała się ułożyć jak niemowlę, a kiedy Sara opatrywała jej ranę, opowiedziała o zajściu między nią a mężem. Zakończyła, wzruszając ramionami:

- Jest silniejszy, niż sądziłyśmy, Saro, i straszliwie opanowany. Za nic w świecie nie złamałby słowa danego księciu.

Sara potrząsnęła głową.

- To nie to. Niemal je złamał, byłas bliska zwycięstwa. Czuję, że to coś innego, ale co?...

- Jak się o tym dowiedzieć? Co zrobić?



- Nic! Czekać. Może przyszłość wyjaśni zagadkę.

- W każdym razie - powiedziała Katarzyna, układając się wygodnie na poduszkach - nie licz więcej na to, że dam się namówić na podobną próbę.

Sara pochyliła się, aby ucałować młodą kobietę, zasunęła zasłony łoża i zapytała z uśmiechem:

- Czy mam iść po bicz, abyś mogła mi sprawić obiecane lanie?

Tym razem Katarzyna wybuchnęła śmiechem, i to przyniosło jej olbrzymią ulgę. Wieczorna porażka traciła znaczenie, w miarę jak jej ciało odprężało się i odczuwało spokój. W każdym razie było to interesujące doświadczenie i może dobrze, że tak się skończyło... bo przecież nie kochała Garina. Mimo tych pocieszających myśli przez całą noc miała dziwne sny, w których Garin i jego irytujący sekret były na pierwszym planie.

\* \* \*

Katarzynie przestał się podobać turkusowy naszyjnik. Nie włożyła go zatem w dniu, kiedy wsparta na ramieniu męża weszła do pałacu, gdzie przebywała księżna wdowa Burgundii. Garin znał dobrze Małgorzatę Bawarską, matkę Filipa Dobrego, i poradził żonie, aby włożyła skromny strój z szarego aksamitu. Spodnia suknia ze srebrnego płótna harmonizowała kolorem ze spiczastym nakryciem głowy, tak wysokim, że młoda kobieta zmuszona była pochylić głowę, aby przejść pod kamiennym łukiem drzwi. Jej szyję ozdabiał jedyny, choć wspaniały klejnot, zawieszony na delikatnym, złotym łańcuszku: bardzo piękny ametyst otoczony trzema perłami.

Sala przyjęć, wchodząca w skład prywatnych apartamentów księżnej, była niewielkich rozmiarów. Całe umeblowanie stanowiły skrzynie i kilka stołków ustawionych przy oknie oraz wielki fotel ozdobiony herbami, w

którym siedziała księżna. Poduszki z czarnego aksamitu, przeznaczone dla dwórek, leżały na gołej posadzce. Mimo pięćdziesięciu lat Małgorzata Bawarska zachowała liczne ślady urody, z której ongiś słynęła. Nosiła głowę w sposób trudny do naśladowania, ukazując przy tym długą szyję. Jej policzki utraciły świeżość młodości, a oczy swój błękit, ale spojrzenie pozostawało bezpośrednie i władcze. Zbyt głębokie zmarszczki wokół ust zdradzały jej uparty i energiczny charakter. Nos miała długi, ale ładnie zarysowany, cudowne ręce i dosyć wysoką talię.

Od śmierci męża Małgorzata nie zrezygnowała z żałoby i ubierała się w zupełną, ale zbyt kowną czerń. Jej suknia i nakrycie głowy z czarnego aksamitu były obszyte sobolowym futrem, a wspaniały złoty naszyjnik, tworzący girlandę liści akantu, lśnił pod czarną muślinową woalką, która spływała z nakrycia głowy, otulając szyję. Surowa żałoba u tak wyniosłej damy była spowodowana nie tyle żalem z powodu wdowieństwa, ile niezłomną troską o swoją pozycję. O wiele bardziej pociągający od przykrego Jana bez Trwogi był dla Małgorzaty czarujący książę Ludwik Orleański, którego dwór francuski uważał za jej kochanka. Ludzie dobrze poinformowani szeptali, że to zazdrość, bardziej niż walka o wpływy, popchnęła Jana bez Trwogi do zbrodni. Nigdy jednak z zaciśniętych ust Małgorzaty nie wyrwał się żaden sekret. Była dla syna Filipa doskonałą matką i oddaną współpracownicą. W jej twardych rękach Burgundia miała się dobrze i Filip mógł bez obawy zajmować się prowincjami północnymi.

Wokół matki, w zwartym kręgu, siedziały wśród dwórek cztery z sześciu córek księżnej, pochylone nad robótką. Pokrywały haftem olbrzymi proporzec wojenny, szkarłatnoczerwony, z białym krzyżem świętego Andrzeja. Katarzyna od razu rozpoznała młodą wdowę po księciu Gujeny, Małgorzatę, i odczuła radość, odnajdując tę, która próbowała uratować Michała de Montsalvy'ego w czasie zamieszek w pałacu Saint-Pol. Uznała to

spotkanie za dobrą wróżbę. Młoda księżna, licząca obecnie dwadzieścia dziewięć lat, niewiele się zmieniła. Stała się może trochę ciężkawa, ale jej biała skóra nabrała więcej blasku. Starsza o trzy lata od swego brata Filipa, była najstarsza z rodzeństwa.

Przy jej rozkwitającym uroku siostra Katarzyna wydawała się dziwnie bezbarwna. Była prawie przezroczysta i ubierała się bez wdzięku, jak zakonnica, w ciemne suknie i surowe birety, które ukazywały jedynie jej drobną twarz łasicy o niespokojnych oczach. Katarzyna miała największego pecha z całej rodziny. Zaręczona po raz pierwszy, w wieku dziesięciu lat, z hrabią de Vertus'em, dowiedziała się, sześć lat później, kiedy ślub był już bliski, o zaszczytnej śmierci narzeczonego w błotach Azincourt.

Zaplanowano zatem następny związek, z dziedzicem Anjou, ale gwałtowna śmierć księcia Jana w Montereau rzuciła drugiego z narzeczonych do wrogiego obozu i rozbiła projektowane małżeństwo. Od tego czasu Katarzyna Burgundzka odrzucała wszystkich kandydatów. Dwie pozostałe księżniczki, dziewiętnastoletnia Anna i siedemnastoletnia Agnieszka, były czarujące, pełne świeżości i radości, ale lud Dijon śpiewał już hymny pochwalne na cześć Anny, głosząc, że jest aniołem, który zszedł z nieba.

Obydwie przyjęły ukłon Katarzyny ze szczerym uśmiechem, co ją uradowało.

- Tak więc to twoja żona, panie Garinie - powiedziała poważnym głosem księżna. - Muszę cię pochwalić! Jest prześliczna, a jednak potrafi zachować skromność należną młodej kobiecie. Zbliź się, moja droga...

Z bijącym sercem Katarzyna podeszła do fotela księżnej i uklękła z opuszczoną głową. Małgorzata uśmiechnęła się, spoglądając z aprobatą na jej strój, skromny dekolt i spłonioną twarz. Wiedziała, że dziewczyna podoba się jej synowi, co jej nie oburzało. Nie było nic nadzwyczajnego w tym, że księżę miewa kochanki, a jeśli nawet duma księżnej buntowała się z powodu

wyniesienia dziewczyny z gminu, przyznawała uczciwie, że ta mieszczka ma wygląd wielkiej damy i niezrównaną urodę.

- Będziemy szczęśliwi, mogąc przyjąć cię od tej chwili do grona naszych dam dworu - powiedziała uprzejmie. - Nasza ochmistrzyni, pani de Chateauvillain, do której udasz się później, wytłumaczy ci, na czym będą polegały twoje obowiązki. Przywitaj teraz nasze córki i usiądź na poduszce u naszych stóp, obok panny de Vaugrigneuse...

Wskazała dziewczynę o brzydkiej twarzy, lecz wspaniale ubraną. Błękitnosrebrny brokat podkreślał niekorzystnie jej żółtą cerę. Dziewczyna odsunęła się gwałtownie od poduszki przeznaczonej dla Katarzyny, z pogardliwym ruchem warg, który nie uszedł uwagi bystrych oczu księżnej.

- Chcemy, aby było wiadomo - powiedziała, nie podnosząc głosu, ale tonem tak ostrym, że dwórka momentalnie spurpurowiała - że pochodzenie nie jest najważniejsze na tym marnym świecie i nasza łaska zdoła je łatwo zastąpić. Wola książąt może wynieść skromność tak wysoko, jak się jej podoba, i ugiąć bardzo nisko zbyt zuchwałe czoła...

Maria de Vaugrigneuse przyjęła uwagę do wiadomości i nawet odwzajemniła nieśmiały uśmiech Katarzyny. Księżna, zadowolona, że sprawa została uregulowana, zwróciła się do Garina:

- Zostaw nas teraz, panie. Pragniemy porozmawiać z twoją młodą żoną na temat spraw kobiecych i gospodarskich, nieciekawych dla męskich uszu.

Księżna urodziła się i spędziła młodość w Holandii, posiadała więc zalety dobrej gospodyni. Kochała porządek i dobrze utrzymany dom. Zajmowała się chętnie sprawami pałacu, kontrolowała wydatki, czuwała nad kuchnią, a nawet nad drobiem. Znała, prawie co do jednego, zarówno liczbę swych prześcieradeł, jak i indyków, wiedziała, czy kwota przyznana na zakup świec jest właściwa, czy też zbyt duża. Lubiła rzadkie zwierzęta. W

basenie założonym pośrodku ogrodu hodowała świnłę morską, czule zajmowała się jeżozwierzem, któremu kazała wybudować budę przy schodach wieży Nowej\*. Miała również wspaniałą białą papugę kakadu z różowym czubkiem, przywiezioną przez weneckiego podróżnika z Moluków.

*\* Obecnie wieża nazywa się Bar (przyp. tłum.).*

Ponieważ paż przyniósł właśnie dostojnego ptaka, siedzącego na złotej żerdce, natychmiast znalazł się temat do rozmowy. Katarzyna podziwiała połyskujące upierzenie ptaka ze szczerością, która ujęła Małgorzatę za serce. Dziewczyna opowiadała o swoim Gedeonie, na którego temat księżna zadała jej wiele pytań, nie kryjąc swego zainteresowania. Papuga księżnej nazywała się Cambrai, jak miasto, w którym odbył się jej ślub z księciem Janem. Bardzo rozweseliły ją występki Gedeona i jego wygnanie do komnaty małego mauretańskiego medyka.

- Niech ptak i jego strażnik przybędą tu kiedyś - wyraziła życzenie Małgorzata. - Jesteśmy ciekawi poznać jednego i drugiego. Może ten arabski medyk będzie mógł jakoś zaradzić naszym licznym dolegliwościom.

Księżna była tak zachwycona nową damą dworu, że kiedy kuchmistrze wnieśli przekąskę, kazała obsłużyć Katarzynę jako pierwszą. Do picia podano galanta - gotowane i silnie aromatyzowane wino. Stało się ono modne dzięki Katarzynie Flandryjskiej, która sama je robiła. Na lekki posiłek składały się ciastka, a głównie piernik sporządzony z mąki i miodu\*\*.

*\*\* Przodek słynnego piernika z Dijon (przyp. tłum.).*

W atmosferze życzliwości i sympatii Katarzynę opuściła nieśmiałość.

Czuła, że podoba się w tym gronie, jeśli nawet dwie lub trzy ze szlachetnie urodzonych dam, jak na przykład Maria de Vaugrigneuse, krzywiły się na jej widok. Zjadła dwa ciastka i z przyjemnością wypła kubek wina. Garin powiedział jej, że księżna, zgodnie z tradycją swego kraju, lubi ludzi mających dobry apetyt. Przekąska dobiegała końca i lokaje wynosili resztki, kiedy paż przybył z wiadomością, że jeździec z Wielkiej Stajni księcia przyjechał z Arras z pilną wiadomością dla księżnej.

- Przyrowadźcie go tutaj! - rozkazała Małgorzata.

Kilka minut później dały się słyszeć w korytarzu szybkie kroki. Niewielki, ale silnie zbudowany mężczyzna, w mundurze z zielonego płótna ozdobionym stalowymi łuskami, jakie nosili jeźdźcy księcia, wszedł i prowadzony przez paza ukląkł u stóp księżnej. Zdjął zakurzony hełm i trzymając go pod pachą, wyciągnął z haftowanej sakwy zwój pergaminu; podał go, kłaniając się z szacunkiem. Katarzyna patrzyła na głowę o gęstych, czarnych włosach przyciętych w kwadrat, z pełnym niepewności zaskoczeniem. Jej zdumienie, w miarę jak nabierała pewności, było coraz większe i radosne. Czy naprawdę mógł to być on? Czy to nie była iluzja? Ostry profil tak bardzo przypominał jej utrwaloną w pamięci fizjonomię.

- Przyjeżdżasz prosto z Arras? - zapytała księżna.

- Prosto z Arras, pani, i na rozkazy Waszej Łaskawości. Książę pan osobiście zechciał mi to polecić. Wiadomości, które przywożę, są ważne.

Człowiek mówił odważnie, ale bez zuchwałości, a dźwięk jego głosu, trochę niższy niż dawniej, lecz tak znajomy, pozbawił Katarzynę ostatnich wątpliwości. Jeźdźcem Filipa Burgundzkiego był Landry Pigasse, jej przyjaciel z dzieciństwa. Nie patrzył na nią, nie odwrócił nawet głowy w stronę jedwabistej, szepczącej grupy dwórek. Klęcząc, oczekiwał na rozkazy. Katarzyna musiała sobie przypomnieć o zasadach dobrego wychowania, aby się nie przepchnąć przez tłumek i nie rzucić na szyję towarzysza dziecięcych

zabaw. Niestety, co wypadło Katarzynie Legoix, nie było dozwolone pani de Brazey, szczególnie w obecności księżnej.

Małgorzata dzierżyła pergamin opatrzony olbrzymią pieczęcią z czerwonego wosku i rozwijała go, trzymając w obu dłoniach. Marszcząc brwi, przebiegła oczami tekst, dosyć zresztą krótki. Jej twarz zachmurzyła się trochę, usta zacisnęły, a ciekawość dworu zamieniła się w zaniepokojenie. Czyżby wieści okazały się złe? Jednym ruchem księżna odesłała Landry'ego, który wstał z klęczek i oddalił się tyłem, ścigany natarczywym wzrokiem Katarzyny. Stłumiła westchnienie żalu, ale obiecała sobie, że go odszuka, gdy tylko to będzie możliwe... Małgorzata Bawarska milczała, z łokciem wspartym o poręcz fotela i brodą wspartą na dłoni. Po chwili wstała, spojrzała na krąg otaczających ją kobiet i zatrzymała spojrzenie na córkach.

- Wiadomości, które przesyła nam nasz pan i syn, są rzeczywiście ważne. Nie jest zbyt wcześnie, aby o nich mówić. Natychmiast musimy się przygotować, aby towarzyszyć w podróży tym z sióstr Jego Wysokości Filipa, które wzywa do siebie...

Podniósł się lekki szmer, a księżna zwróciła się do najstarszej córki, patrząc na nią z powagą.

- Małgorzato - powiedziała. - Twój brat postanowił oddać cię znowu we władanie męża. Właśnie przyrzekł twoją rękę wielmożnemu i potężnemu panu o świetnym nazwisku, wywodzącemu się ze starej szlachty.

- Komóż, moja matko? - zapytała Małgorzata, blednąc nieco.

- Poślubisz wkrótce Artura z Bretanii, księcia Richemontu. Co się zaś ciebie tyczy, Anno... - księżna zwróciła się do jednej z najmłodszych córek ze wzruszeniem, którego nie zdołała ukryć.

- Mnie, matko?

- Tak, moje dziecko. Dla ciebie również brat wybrał małżonka.

Pragnie, by równocześnie z zaręczynami siostry odbyły się i twoje, z

regentem Francji, księciem de Bedfordem... - Głos księżnej przycichł przy ostatnich słowach, na które nałożył się okrzyk młodej dziewczyny.

- Anglik dla mnie?

- Jest sprzymierzeńcem twojego brata - powiedziała księżna z widocznym wysiłkiem. - Polityka wymaga zacieśnienia więzów naszej rodziny z rodziną króla Henryka.

Z głębi sali dobiegł mocny głos protestu:

- Nie ma we Francji innego króla niż Jego Wysokość Karol, Anglik jest tylko złodziejem. Gdyby nie ta przeklęta dziewczka Izabela, która przeczy królewskiemu pochodzeniu swego syna, nie byłoby na ten temat żadnych wątpliwości!

Wysoka i potężna dama, której barczyste ramiona żołnierza okrywał szkarłat, a twarz okalał delikatny, biały muślin, nie łagodząc jednak grubych rysów, stanęła w drzwiach jak osoba przyzwyczajona, że otwierają się przed nią same. Nie wyrażając cienia irytacji z powodu hałaśliwego wejścia, księżna popatrzyła na nią z uśmiechem. Wszyscy na dworze wiedzieli, że szlachetna pani Ermengarda de Chateauvillain, ochmistrzyni dworu księżnej, była jawną i nieprzejednaną przeciwniczką angielskiego sojuszu i że powiedziała by to przed całym dworem z Westminsteru, gdyby okazało się to konieczne. Nienawidziła Anglika, nikt w to nie wątpił, a siłę jej gniewu poznał niejeden waleczny rycerz.

- Moja przyjaciółko - powiedziała uprzejmie księżna. - Na nieszczęście istnieją pewne wątpliwości.

- Nie dla mnie, gdyż jestem równie dobrą Francuzką, jak i Burgundką! Więc mamy oddać to jagniątko angielskiemu rzeźnikowi - powiedziała, wyciągając w kierunku Anny dłoń wielką jak półmisek, lecz wielce urodziwą; księżniczka straciła kontenans i zapominając o protokole, zaczęła cicho płakać.



- Chce tego księżę, moja dobra Ermengardo. Ponieważ jesteś dobrą Burgundką, wiesz, że nikt nie może sprzeciwić się jego woli.

- I to właśnie mnie złości! - ripostowała pani Ermengarda, siadając wygodnie w fotelu Anny Burgundzkiej, która go opuściła, aby uklęknąć w pobliżu matki.

Nagle jej spojrzenie spoczęło na Katarzynie asystującej z niemałym zdziwieniem hałaśliwej scenie. Piękna i olbrzymia dłoń skierowała się teraz w jej stronę.

- Czy to nasza nowa dama dworu? - zapytała.

- Tak, to pani Katarzyna de Brazey - odpowiedziała księżna, a ta skłoniła się z szacunkiem przed hrabiną de Chateauvillain, która spojrzała na nią i odpowiedziała skinieniem głowy, a następnie oznajmiła wesoło:

- Ładniutka! Do licha, moja piękna, gdybym była na miejscu twego męża, otoczyłabym cię dobrymi strażnikami. Wkrótce nie będzie tutaj żadnego pana, który nie chciałby cię wziąć do swego łóża.

- Ermengardo! - powiedziała z wyrzutem księżna. - Zawstydzasz tę małą.

- No - powiedziała pani Ermengarda z szerokim uśmiechem, ukazując rząd mocnych, białych zębów - komplement jeszcze nigdy nikogo nie zabił, a przypuszczam, że pani Katarzyna słyszała już wiele innych...

Poczciwa dama z pewnością rozprawiałaby jeszcze dłuższą chwilę na ten temat, gdyż uwielbiała swawolne opowieści i nieprzyzwoite historie. Ale księżna ucięła rozmowy, informując swe damy, że powinny pakować kufry przed podróżą do Flandrii, i prosząc o pozostawienie jej sam na sam „z drogą przyjaciółką de Chateauvillain, z którą chciałaby omówić bardzo ważne sprawy”.

Katarzyna pokłoniła się wraz z innymi i opuściła salę z nadzieją odszukania Landry'ego. W galerii chwyciła ją za rękaw Maria de

Vaugrigneuse.

- Bardzo mi się podoba aksamit, który masz na sobie, moja droga. Czy dostarcza go twój szacowny wuj?

- Nie, pani - odpowiedziała Katarzyna z wdziękiem, pamiętając o wskazówkach Garina. - To osły twego szacownego dziada przywożą go z Genui...

## *Rozdział dziesiąty*

### *Arnold de Montsalvy*

Gdy tylko została uwolniona od dworskich obowiązków, Katarzyna spróbowała odszukać Landry'ego. Pomieszczenia dla jeźdźców książęcych znajdowały się w pobliżu stajni, gdzie dama dworu nie mogła pojawić się bez zezwolenia. Co więcej, koniuszy, do którego zwróciła się z prośbą o pomoc, powiedział jej, że Landry Pigasse będzie krótko przebywał w Dijon. Odpoczywa, i wyjedzie tego samego wieczoru, wioząc listy, które kanclerz Rolin przysłał z Beaune w ciągu dnia. Kurier musi opuścić bramy miasta przed ich zamknięciem...

Nie mając odwagi nalegać, Katarzyna wróciła do siebie. Pomyślała, że jeśli znajdzie się w orszaku księżniczek, odnajdzie we Flandrii przyjaciela z dzieciństwa. Jego widok sprawił jej radość, gdyż stanowił jakiś związek z przeszłością, ze sklepikiem przy Pont-au-Change, z ulicami Paryża i straszliwym dniem rozruchów.

W tygodniach, które nastąpiły, nie miała czasu na rozmyślanie o

przeszłości. Prawie każdego dnia udawała się do pałacu księżnej wdowy, która była jej życzliwa, i chętnie korzystała z jej usług. Wraz z Marią de Vaugrigneuse, córką chrzestną księżnej, była odpowiedzialna za garderobę swej pani. Nie obyło się bez docinków i ostrych krytyk, gdyż młode kobiety nie darzyły się sympatią. Katarzyna zrezygnowałaby chętnie z tej wojny podjazdowej, gdyż odczuwała wobec Marii jedynie pogardliwą obojętność, ale jej charakter nie pozwalał na cierpliwe znoszenie ciągłych uszczypliwości, którymi zasypywała ją przeciwniczka. Tematu do złośliwej wymiany zdań dostarczały, w większości wypadków, kramik wuja Mateusza z materiałami i osły dziadka Vaugrigneuse'a. Szlachectwo tego ostatniego było dość świeżej daty, zdobył on fortunę na potajemnym, ale bardzo opłacalnym handlu sympatycznymi, choć upartymi zwierzętami. Ponadto Katarzyna przygotowywała się do mającego wkrótce nastąpić wyjazdu do Flandrii i załatwiała sprawy związane z podwójnym ślubem księżniczek.

Odpowiedzialna za garderobę, zajmowała się wyprawą narzeczonych, pomagała im w wybieraniu materiałów i kroju sukni, zadręczając przy tym szwaczkę, panią Gaubertę, w czym dzielnie sekundowała jej Ermengarda de Chateauvillain. Dzięki dyskretnemu, ale miłemu presentowi w postaci wspaniałej sztuki złocistoczerwonego aksamitu z Genui, ofiarowanemu groźnej ochmistrzyni, zyskała w niej sprzymierzeńca. Dama ta lubiła ze wszech miar żywe, ostre kolory, osobliwie jaskrawoczerwony, który - jej zdaniem - podkreślał wrodzony majestat. Sztuka aksamitu i czarujący uśmiech Katarzyny, połączone z niepodważalnymi kompetencjami w dziedzinie elegancji i spraw gospodarskich, przekonały ją ostatecznie do żony wielkiego skarbnika.

Co się zaś tyczy życia prywatnego nowej damy dworu, nie było w nim żadnych zmian. Dni upływały spokojnie i bez żadnych niespodzianek ze strony Garina. Mążonek przyjmował niewielu gości, nie lubił afiszować się

swoim bogactwem, gdyż wiedział, że wielka fortuna wywołuje zazdrość. Otaczał się pewnym zbytkiem w domu tylko dla własnej radości i osobistej satysfakcji. Nad hałaśliwe uroczystości i wielkie bankiety przedkładał partie szachów przy kominku, dobrą książkę, przeglądanie zbiorów rzadkich przedmiotów i - od pewnego czasu - towarzystwo Abu-al-Khayra, którego wiedzę i wschodnią mądrość bardzo cenił. Obydwaj mężczyźni prowadzili długie rozmowy. Katarzyna często uczestniczyła w dysputach, chociaż ziewała z nudów, gdyż nie interesowały jej ani tajniki medycyny, ani tajemna i subtelna wiedza o truciznach. Mauretański medyk był znamienitym jak na owe czasy praktykiem, ale jeszcze lepiej znał naukę o truciznach.

Nadszedł wreszcie czas wyjazdu z Dijon księżniczek Małgorzaty i Anny wraz ze świtą. Długi rząd koni, wozów i mułów załadowanych kufkami, który silna eskorta chroniła przed pożądlivością złodziejasków, przekroczył bramę Wilhelma w ostatnich dniach marca. Otoczone murami miasto, wieże i dzwonnice, z daleka upodabniające Dijon do lasu włóczni, zniknęły za horyzontem. Radość, która zwykle towarzyszyła takim wyjazdom, tym razem była nieobecna, lecz Katarzyna przyjęła to bez zdziwienia. Zdrowie księżnej Małgorzaty pogorszyło się w ciągu dwóch ostatnich tygodni i mimo wielkiego rozczarowania musiała zrezygnować z towarzyszenia córkom. Zastąpiła ją księżna Ermengarda mająca za zadanie nadzorować obie księżniczki.

Siedząc wygodnie w siodle, otulona obszerną pelisą w kolorze wina, podbitą futrem z rudego lisa, Ermengarda de Chateauvillain jechała na koniu obok Katarzyny. Nie rozmawiały ze sobą, rozkoszując się świeżym powietrzem i zielenią drzew, ciesząc się widokiem słońca. To samo słońce z takim trudem docierało do krętych, wąskich i śmierdzących uliczek miasta. Katarzyna zawsze lubiła wojaże, nawet bardzo krótkie, a ta wyprawa przypomniała jej podróż z ubiegłego roku i jej wydarzenia.

Księżę Burgundii oczekiwał na siostry w Amiens, gdzie miały się odbyć podwójne zaręczyny, owoc wielomiesięcznych negocjacji prowadzonych z angielskim regentem i księciem Bretanii. Wybrał miasta z siedzibą episkopatu, w zasadzie neutralne, aby nie martwić księcia Sabaudii, ponieważ negocjacje, którym patronował ten ostatni, nie były zerwane. W gruncie rzeczy biskup Amiens był mu bardzo oddany i czuł się u niego jak u siebie w domu.

W miarę jak orszak obu księżniczek zbliżał się do Sommy, przejechawszy bez kłopotów przez zniszczoną Szampanię, dawała się wyczuć coraz większa niechęć ze strony miejscowej ludności. Na całej trasie przejazdu zbytkownego orszaku spotykano wyłącznie wynędzniałych mężczyzn oraz odziane w szmaty kobiety i dzieci, z twarzami wychudzonymi z głodu, o płonących wilczych wejrzeniach. Wszędzie dali się we znaki Anglicy lub rabusie, wszędzie panowały nędza, głód, strach i nienawiść! Koniec zimy był straszny. Głód, spowodowany rozkradzionymi lub spalonymi zbiorami, ogarnął olbrzymie połacie kraju, niszcząc wiele istnień ludzkich. Wioski opustoszały, pozostały tylko na wpół spalone pola. Podróż, którą Katarzyna rozpoczęła z taką wielką przyjemnością, dopóki znajdowali się w Burgundii, zamieniła się powoli w niekończący się koszmar. Młoda kobieta częstokroć zamykała oczy, ze ściśniętym sercem, gdy uzbrojeni mężczyźni z eskorty odpychali brutalnie włóczęgami grupy nędzarzy zebrzących o jałmużnę. Zawsze w takich razach interweniowała księżniczka Anna, z oburzeniem protestując przeciwko postępowaniu żołnierzy. Jej szlachetne serce przepelniało się litością na widok ogromu biedy. Niestrudzenie też rozdawała wszystko, czym mogła dysponować, pozostawiając po sobie świetlisty ślad, pełen dobroci i współczucia. Gdyby Garin nie sprzeciwił się jej, z całym szacunkiem, lecz stanowczo, rozdałaby w czasie podróży około trzydziestu ze stu tysięcy talarów, przeznaczonych

dla angielskiego księcia, które stanowiły część posagu. Ten posag wywoływał u pani Ermengardy skrywaną wściekłość.

- Czegóż by jeszcze chciała ta bestia? - szepnęła do Katarzyny, kiedy ukazały się mury Amiens. - Gnębi, jak mu się tylko podoba, francuski kraj, zajmując go wbrew wszelkim prawom, bierze za żonę najśłodsza, najpiękniejszą, najlepszą z naszych cór i jeszcze domaga się złota, on, który powinien spędzić życie na kolanach i całować pył, dziękując niebu za taki zaszczyt! Po prawdzie, umieram z wściekłości, pani Katarzyno, kiedy widzę, jak nasz książę podaje dłoń odwiecznemu wrogowi naszego królestwa i oddaje mu swoją siostrę.

- Sądzę, że przede wszystkim pragnie zemścić się na królu Karolu. Tak bardzo go nienawidzi.

- Chce się zemścić, ale najbardziej pragnie zająć jego miejsce - mruknęła księżna. - To brak lojalności ze strony poddanego, nawet jeśli jest on księciem i chce zapomnieć o swoim poddaństwie. Są to prawa honorowe, niepodlegające dyskusji.

Na wargach Katarzyny, wysuszonych przez lodowaty wiatr, który zerwał się i rozpędził chmury nad wieżami Amiens, pojawił się przez chwilę uśmiech.

- Niebezpiecznie jest wygłaszać takie słowa, księżno, byłoby jeszcze bardziej niebezpiecznie, gdyby książę dowiedział się o nich - powiedziała uszczypliwie.

Potężna dama spojrzała na nią z taką dumą, a zarazem szczerością, że Katarzyna poczuła rumieńce na policzkach.

- On dobrze zna mój sposób myślenia, pani Katarzyno. Kobieta mojej rangi nie zniża się do ukrywania spraw, nawet przed księciem Burgundii. To, co mówię tobie, pani, mogę powiedzieć również i jemu.

Katarzyna nie mogła ukryć swego dla niej podziwu. Ermengarda,

krzykliwa, otyła, nawet trochę śmieszna, była z pewnością wielką damą i ani pokrywający ją tłuszcz, ani ekscentryczne ubiory nie były w stanie tego zmienić. Jej wielkość i godność były spontaniczne i zaćmiewały drobne ludzkie przywary.

Kiedy orszak przybył do Amiens, obie siostry w towarzystwie Ermengardy udały się do brata oczekującego na nie w pałacu biskupim. Świta zajęła pomieszczenia przeznaczone do tego celu. Katarzyna z mężem rozgościła się w usytuowanym w pobliżu olbrzymiej białej katedry domu, którego okna wychodziły na spokojny kanał. Domek ten, mały, ale wygodny, należał do jednego z najznamienitszych w mieście sukienników, z którym wielki skarbnik utrzymywał szerokie kontakty handlowe. Garin wysłał do niego wcześniej swego majordomusa Tiercelina, sługę, sekretarza i służące Katarzyny z Sarą na czele. Zabrali oni ze sobą, pod dobrą eskortą, największe bagaże, więc po przybyciu do domu sukiennika Katarzyna stwierdziła, że wszystko jest przygotowane na jej przyjęcie. Ogień płonął w kominkach, jej pokój był przytulny i obity haftowanym płótnem, łoże zaścielone, a na stole, w garnuszku z malowanego fajansu, stały fiołki. W największej izbie czekał przygotowany posiłek. Ten dom, chociaż dość skromny, stanowił rzadki przywilej w tym przeludnionym mieście, gdzie najgorsze łóżko było na wagę złota.

Świty księcia Burgundii, Bedforda, książąt de Richemont, de Salisbury i de Suffolk pozajmowały wszystkie kwatery. Wielu mieszczan z Amiens musiało gnieździć się z całymi rodzinami i służbą w jednej tylko izbie, aby zrobić miejsce gościom, w większości przypadków grubiańskim i zarozumiałym panom przybyłym na spotkanie z księciem Filipem. W oknach wszystkich domów wywieszono tarcze herbowe, proporce i chorągwie łopoczące na wieczornym wietrze.

Herb Bretanii: ogony gronostajów na srebrnym polu, znajdował się na

domach położonych na wschód od pałacu biskupiego, podczas gdy krwawe pale księcia de Foix zajmowały dzielnicę zachodnią. Południe należało do szkarłatnych róz Lancastera księcia de Bedforda. Sam regent angielski, z pomocą książąt Salisbury'ego i Suffolka, zajmował połowę miasta. Burgundczycy zgromadzili się na północy, a służba biskupa Amiens - gdziekolwiek znalazła jakieś miejsca.

Tego wieczoru Katarzyna nie mogła zasnąć pomimo zmęczenia. Przez całą noc rozlegały się w mieście śpiewy, pokrzykiwania i hałaśliwy głos trąbek, od którego drżały domy. Wszyscy przygotowywali się do wspaniałych zabaw, zapowiedzianych przez księcia Filipa. Do hałasu z zewnątrz dochodziło jeszcze zdenerwowanie. Wieczorem Garin udał się do pałacu biskupiego, wezwany przez swego pana. Po powrocie wszedł do izby żony szykującej się do spania. Rozmawiała z Sarą, która szcztkowała i składała ubrania noszone przez panią w ciągu dnia.

- Jutro wieczór - powiedział tylko - zostaniesz, pani, przedstawiona Jego Wysokości w czasie balu zaręczynowego. Życzę ci dobrej nocy...

\* \* \*

Następnego dnia wieczorem pałac biskupi rozświetlał miasto niczym pożar. Naczynia z ogniem, poustawiane na blankach, strumień czerwonożłocistego światła przenikający przez okna, odbijały się na olbrzymiej, białej ścianie katedry, oświetlając kamienne figury nienaturalną łuną. Z każdej wnęki spływała kaskada jedwabiu pokrytego herbami, na każdej kolumnie znajdowała się jedwabna chorągiew. Na placu, gdzie z trudem powstrzymywano tłum miejscowych gapiów, roztaczał przepych malowniczy i kolorowy fresk tworzony przez nadchodzących gości. Panowie w kaftanach błyszczących od szlachetnych kamieni, których długie rozcięte



rękawy spływały aż do ziemi, stawiający ostrożnie stopy obute w niedorzeczne ciżmy z długimi zakręconymi nosami, niekiedy uniesionymi do góry za pomocą złotych łańcuszków zamocowanych u pasa, z haftowanymi kapturami na głowach; damy w sukniach jak z sennych marzeń, na dziwacznych stelażach, błyszczące od klejnotów, ciągnące za sobą łokcie brokatu, atlasu, aksamitu lub lamy swoich odświeżonych kreacji, wszystkie w koronkach i muślinach, niosące na głowach dziwaczne konstrukcje w kształcie półksiężyca, spiczaste, z podwójnym lub pojedynczym toczkiem. Wielmoże, chronieni przed napierającym tłumem przez podwójny szpaler straży, szli niedbałym krokiem ku zabawie, niczym dziwaczne gwiazdy, iskrzące się przez moment w świetle pochodni rozjaśniających mrok przedśionka. Okna domów wokół pałacu pełne były gapiów, a otoczenie widoczne jak w pełnym słońcu, gdyż książę nie żałował pochodni i świec.

Katarzyna patrzyła z okien pałacu na różnokolorową rzekę zaproszonych gości. Przybyła tutaj po południu wraz ze służącymi i kuframi, w których znajdowały się stroje, gdyż ochmistrzyni dworu nie zezwoliła nikomu innemu na przygotowanie toalety przeznaczonej do prezentacji. Aby mieć pewność, że Katarzyna, wiedzona ciekawością, nie pokaże się gościom przed ustaloną porą, Ermengarda zamknęła ją w pokoju, podczas gdy sama nadzorowała stroje księżniczek.

Przygotowana i siedząca beczynn timer Katarzyna obserwowała tłum.

- Ciekawa jestem, czy księżniczki Małgorzata i Anna wybaczą ci dzisiaj wieczór twoją piękność, pani. Naprawdę, zaćmiewasz je urodą jak słońce gaszące gwiazdy o świtaniu. Nie wolno być tak piękną, moja droga, to nieprzyzwoite, a nawet skandaliczne!

Ermengarda wyglądała na zagniewaną, ale pochwały były szczere. Tym razem nie sprawiło to Katarzynie żadnej radości. Nie wiedząc dlaczego, była smutna, zmęczona i chętnie zdjęłaby tę suknię, aby ułożyć się wygodnie

w łożu, w izbie nad zielonym kanałem. Nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna.

Wkrótce przyjedzie po nią Garin. Weźmie ją za rękę i poprowadzi do wielkiej sali, gdzie zgromadził się tłum gości. Tam pokłoni się księciu Filipowi, księżniczkom i ich przyszłym małżonkom. Wiedziała, że napotka owo szare spojrzenie, którego spokój zakłóciła kiedyś na chwilę. Wiedziała, że Filip czeka na nią, że znalazła się tutaj dzięki jego potężnej i silnej woli, ale to również nie sprawiało jej żadnej radości. Jeśli wszechwładny ksiązę pragnął jej, jeśli nawet ją kochał, o ile był do tego zdolny, nie wywoływało to tej chwili wzruszenia. Wśród par wchodzących do pałacu dostrzegła dwoje bardzo jeszcze młodych ludzi. Rycerz był jasnowłosy jak Michał de Montsalvy, wesoły i bez zarostu, ubrany w strój z ciemnoniebieskiego atłasu. Podawał dłoń pięknej dziewczynie, dziecku jeszcze, jasnowłosej jak on sam, w diademie ze świeżych róż i sukni z różowej mory. Od czasu do czasu nachylał się, szepcząc coś swej towarzysze, co wywoływało jej uśmiech i rumieniec, a Katarzyna odgadywała, że ściska dłoń dziewczęcia, mówi czułe słówka i sposobi się do pocałunku. Tych dwoje widziało tylko siebie. On nie spoglądał na inne kobiety, często bardzo piękne i olśniewające, które ich otaczały. Ona nie odwracała słodkiego wzroku od twarzy towarzysza. Kochali się z namiętnością bardzo młodych istot i nawet nie przyszłoby im na myśl, aby ukrywać chociaż trochę swoje uczucie. Byli szczęśliwi...

Patrząc na to beztroskie szczęście, Katarzyna odczuła pustkę własnej egzystencji. Serce wygłodzone i samotne, nieprawdziwy mąż, który przygotowuje ją do rzucenia w ramiona innego, niespełnione pragnienia pomimo gorączki niektórych nocy, kiedy krew wrzała w jej żyłach, pogarda ze strony jedyne go, kochanego mężczyzny... Smutny bilans!

- Twój mąż jest tutaj, pani - powiedziała księżna Ermengarda, wszedłszy niepostrzeżenie.

Stała tuż obok, połyskująca i wspaniała, w sukni z czerwonego i złotego aksamitu, w nakryciu głowy tak wysokim, jak iglica wieży katedralnej. Zajmowała prawie całą przestrzeń, zasłaniając Garina, którego czarna sylwetka ukazała się w drzwiach. Przeszedł parę kroków, popatrzył przez chwilę na Katarzynę, a następnie oznajmił:

- Dobrze!

- Lepiej niż dobrze! - zbuntowała się Ermengarda. - Wspaniale!

Słowo było właściwe. Rzeczywiście tego wieczoru, dzięki prostocie stroju, Katarzyna wyglądała cudownie. Suknia z czarnego aksamitu, zebrana pod piersią szerokim pasem z tego samego materiału, nie miała żadnych ozdób oprócz złotej podszewki przy rękawach opadających aż do ziemi. Suknia była bardzo skromna, lecz śmiały dekolt odsłaniał zwycięsko wspaniałe kształty; z przodu kwadratowy, ledwie zasłaniał krągłość ramion, odkrywając piersi niemal do połowy, a z tyłu, poniżej łopatek, przechodził w szpic. Natomiast bardzo długie rękawy przykrywały prawie całą rękę. Tego wieczoru wiele kobiet będzie miało podobne dekolty, ale żadna nie wyda się tak obnażona jak Katarzyna, za sprawą ciemnej, matowej sukni. Wyobraźnia podpowiedziała księżnej de Chateauvillain jeszcze jeden pomysł: Katarzyna była bez nakrycia głowy. Wspaniałe włosy spływały luźno po ramionach. Jeden, ale za to wspaniały klejnot, czarny diament, fascynujący jak złowroga gwiazda, błyszczał na czole młodej kobiety podtrzymywany cienkim, złotym kółkiem, które ginęło we włosach. Ten kamień o niespotykanym blasku był najcenniejszym skarbem Garina, najrzadszą gemmą w jego kolekcji. Kupił go w Wenecji, parę lat wcześniej, od kapitana karaweli, która powróciła z Kalkuty, i zapłacił za niego bardzo dużo, ale nie tyle, ile w rzeczywistości był wart. Wydawało się, że marynarz chce się go pozbyć za wszelką cenę. Był to człowiek chory, a jego statek wiele ucierpiał w czasie podróży.

- Wszystkie burze świata zmówiły się, aby mnie ścigać, od kiedy mam

ten przeklęty kamień! - powiedział Garinowi. - Jestem szczęśliwy, że mogę się go pozbyć, bo przynosi mi pecha. Spotykały mnie jedno po drugim nieszczęścia, jakie tylko mogą dotknąć statek, łącznie z dżumą na pełnym morzu przy Malabarze. Jako dobry chrześcijanin muszę wyznać, że ten kamień jest równie złowrogi, co piękny. Może zachowałbym go, bo dla mnie nic nie jest już ważne, gdyż wkrótce umrę, ale za pieniądze sprawię córce posag...

Garin zapłacił i wziął diament. Nie był wcale przesądny i nie wierzył w zły los, co w tej epoce należało do rzadkości. Przywiązał się do tego pięknego nabytku, ongiś skradzionego (jak wyznał wenecki kapitan) z czoła bogini w świątyni zagubionej w dżungli. Katarzyna знаła historię diamentu, ale nosiła go bez obawy. Co więcej, fascynował ją, a kiedy Sara umieściła go na jej czole, zaczęła myśleć o pogańskiej figurce, której oblicze zdobił dawno temu.

- Najwyższy czas, abyście się udali do Wielkiej Sali - powiedziała ochmistrzyni. - Jego Wysokość właśnie przybył, a księżniczki nadejdą wkrótce. Właśnie się do nich udaję. Odwagi!...

Rzeczywiście, z głębi pałacu dobiegał głos fanfar ogłaszający przybycie księcia Filipa.

- Idziemy! - powiedział krótko Garin, podając jej ramię.

\* \* \*

Wielka Sala wyglądała tak olśniewająco, że nikt nie zwracał uwagi na wspaniałe gobeliny z Arras przedstawiające dwanaście prac Herkulesa, które Filip przywiózł ze sobą, aby przyozdobić mury. Panowie i panie tłoczyli się na czarno-białej posadzce lśniącej jak tafla wodna, w której odbijały się ich połyskujące sylwetki. Wchodząc, Katarzyna dostrzegła tylko księcia, może

dlatego, że odcinał się wyraźnie od barwnego tłumu. Podobnie jak ona ubrany był na czarno, gdyż nosił wyniośle nieustającą żalobę, którą poprzysiął na ciało zamordowanego ojca w kaplicy klasztoru Champmol. Stał na podwyższeniu, gdzie ustawiono trzy fotele dla książąt panujących. Fotel księcia Burgundii znajdował się oczywiście pośrodku, Anglika po prawej, a Bretończyka po lewej stronie. Na wysokich oparciach foteli wyhaftowano błyszczącym jedwabiem herby trzech książąt, a podium przykryto złotym płótnem. Na takim tle Filip wydawał się drobny i posepny. Na piersi zawiesił wspaniały, podkreślający surowość stroju, łańcuch ze złota i rubinów.

Kiedy Katarzyna weszła do sali, wszystkie rozmowy umilkły. Zapadła cisza tak niespodziewana i głęboka, że muzycy znajdujący się na trybunie ponad wejściem odłożyli instrumenty i wychylili się, aby zobaczyć, co się stało. Zaskoczona Katarzyna zawahała się przez moment, ale ręka Garina podtrzymywała ją, jednocześnie popychając. Posuwała się więc ze spuszczonym wzrokiem i zdawała się nie dostrzegać wpatrzonych w nią oczu: zdziwionych i płomiennych u mężczyzn, równie zdziwionych, lecz zazdrosnych u kobiet. Szepty, które słyszała, były dostatecznie krepujące. Ermengarda miała rację. Tego wieczoru jej piękność wywołała zgorszenie, ponieważ żadna z kobiet nie mogła się z nią porównać...

Katarzyna miała wrażenie, iż przechodzi między dwoma krwiożerczymi i niechętnymi murami, które nie wybaczą jej żadnego fałszywego kroku. W momencie wahania mury rosły, by ją zgnieść i unicestwić. Zamknęła na chwilę oczy, gdyż zakreśliło się jej w głowie. Usłyszała chłodny i wyważony głos Garina:

- Pozwól, Wasza Wysokość, że przedstawię ci moją żonę, panią Katarzynę de Brazey, oddaną i wierną sługę.

Otworzyła oczy, popatrzyła prosto przed siebie i zobaczyła długie,

czarne nogi Filipa i jego stopy odziane w ciżmy z haftowanego aksamitu. Stanowcza dłoń Garina zatrzymała ją u stóp podium i dyktowała nadal, co ma robić. Ugięła kolano, opuściła głowę, a suknia rozpostarła się wokół niej. Ukłon był pełen szarmu. Prostując się, młoda kobieta podniosła wzrok. Zobaczyła, że Filip zstępuje z tronu, uśmiecha się i ujmuje jej dłoń.

- Tylko Wenus, pani, ma prawo do takiego wdzięku i takiej urody. Nasz dwór, pełen już pięknych dam, nie znajdzie równego sobie w świecie dzięki twojej obecności - powiedział Filip na tyle głośno, aby usłyszeli go wszyscy zgromadzeni goście. - Dziękujemy twemu szlachetnemu małżonkowi, że przyprowadził cię, pani, przed nasze oblicze. Wiemy już, jakim szacunkiem darzy cię nasza dostojna matka, i cieszymy się, że urok twój idzie w parze ze skromnością i mądrością...

Szmer podniósł się w tłumie. Imię księżnej wdowy wywołało efekt, którego oczekiwał Filip. Stworzyło barierę ochronną między Katarzyną a zazdrością, jaką wywołuje każda rodząca się gwiazda. Każdy zrobiłby wszystko, aby upokorzyć przyszłą kochankę księcia, lecz jeśli znajdowała się pod ochroną groźnej Małgorzaty, atak stawał się trudniejszy. Błade policzki Filipa trochę się zaróżowiły, a jego oczy błyszczały niczym lód w słońcu, kiedy spoglądał z widocznym oczarowaniem na twarz Katarzyny. Jego dłoń o szczupłych palcach drżała lekko z emocji i - ku wielkiemu zdziwieniu młodej kobiety - pod powieką księcia na krótką chwilę błysnęła łza. Zawsze bardzo szybko się wzruszał. Najmniejsze przeżycie artystyczne, uczuciowe lub inne wywoływało jego łzy, a gdy serce ścisnął mu ból, wylewał ich prawdziwe potoki. Ale Katarzyna nie wiedziała jeszcze o tej dziwnej osobliwości księcia.

Dziesiątka heroldów niosących długie, srebrne fanfary, na których powiewały chorągiewki z purpurowego jedwabiu, przekroczyła próg sali, ustawiła się w jednym szeregu i zadęła. Rozległ się hałaśliwy dźwięk, który

odbił się od sklepienia i powrócił wśród zgromadzonych radosną nutą. Filip z zalem wypuścił dłoń Katarzyny. Przybyli zaproszeni książęta...

Próg przekroczyli trzej mężczyźni. Na czele maszerowali Jan de Lancaster, książę Bedfordu, i Jan z Bretanii. Anglik miał trzydzieści cztery lata; rudy i szczupły, był piękny jak wszyscy Lancasterowie, ale wyraz wielkiej dumy i wrodzonego okrucieństwa rysujący się na jego twarzy odbierał mu wszelki urok. Miał kamienny wzrok, w którym dało się łatwo wyczytać inteligencję i głęboką umiejętność dowodzenia. Jan z Bretanii był barczysty i równie szeroki, jak wysoki; miał wygląd gbura pomimo wspaniałego stroju podbitego futrem z gronostajów i inteligentnej twarzy. Trzeci mężczyzna był bez wątpienia najbardziej interesujący. Tak samo barczysty, ale atletycznej budowy i ponadprzeciętnego wzrostu, wydawał się stworzony od urodzenia do noszenia zbroi. Jego jasne, krótko obcięte włosy okalały twarz pokrytą świeżymi ranami i przeciętą głęboką szramą, natomiast oczy, przenikliwe i głęboko osadzone, były niebieskie i naiwne jak oczy dziecka; kiedy na tej zniszczonej twarzy pojawił się uśmiech, nabierała ona dziwnego uroku. Artur z Bretanii, książę Richemontu, z pewnością nie był piękny, choć miał zaledwie trzydzieści lat. Straszliwy dzień bitwy pod Azincourt zapisał się na jego poranionej twarzy, a przecież jeszcze miesiąc wcześniej siedział w angielskich lochach, będąc więźniem w Londynie. Był kimś więcej niż dzielnym żołnierzem: człowiekiem walecznym, którego lojalność łatwo było odgadnąć. Richemont był bratem księcia Bretanii i jeśli godził się zostać szwagrem Anglika, to z dwóch przyczyn: po pierwsze, zakochał się w Małgorzacie z Gujeny, po drugie, ślub ten był korzystny dla polityki jego brata, całkowicie skierowanej w tej chwili w stronę Burgundii.

Katarzyna patrzyła z zainteresowaniem na bretońskiego księcia, sama nie wiedząc dlaczego. Był człowiekiem, którego od pierwszego wejrzenia chciało się mieć za przyjaciela, gdyż jego uczucia wydawały się głębokie i

prawdziwe. Spojrzała natomiast obojętnie na Anglika i członków jego świty. Trzej książęta, uściskawszy się wylewnie, zajęli miejsca na podium; trupa tancerzy, ubrana we wspaniałe, czerwone i złote stroje, naśladujące ubiory Saracenów, wykonała taniec wojenny, wywijając zakrzywionymi szablami i lancami. W tym samym czasie służący roznosili kubki z winem i smażone owoce, aby zaproszeni goście mogli doczekać uczy, która miała odbyć się trochę później.

Przedstawienie właściwie nie interesowało Katarzyny. Była zmęczona, a w miejscu, gdzie na jej czole spoczywał diament, odczuwała nieokreślony ból, jak gdyby kamień wbijał się jej w ciało. Chciała odejść, jak tylko przybędą księżniczki, co miało nastąpić wkrótce. Siedzący na tronie książę ciągle odwracał ku niej spojrzenie, rozmawiając z Bedfordem, ale złościło ją to bardziej, niż jej pochlebiało. Liczne spojrzenia, nadal kierujące się ku niej, też były uciążliwe. Ponowny dźwięk fanfar ogłosił przybycie księżniczek. Nadeszły razem, ubrane w identyczne srebrne suknie z długimi trenami z niebieskiego aksamitu i białego jedwabiu, niesionymi przez paziów. Za nimi szła Ermengarda, purpurowa i zadowolona. Wielka ochmistrzyni obrzuciła zgromadzonych majestatycznym spojrzeniem; gdy spoczęło ono na Katarzynie, młoda kobieta wyczytała w nim porozumiewawczy uśmiech, który odwzajemniła. W czasie hucznych uroczystości pani Ermengarda ceniła sobie przede wszystkim biesiady i Katarzyna wiedziała, że cieszy się z góry, jak tłusta kotka na posiłek. Książę przedstawił swoje siostry ich przyszłym małżonkom, a mistrz ceremonii zamierzał właśnie utworzyć orszak w kierunku sali biesiadnej, kiedy na progu sali pojawił się herold, zagrał na fanfarze, a następnie oznajmił pogodnym głosem:

- Nieznany rycerz, który nie chce wyjawić swego nazwiska, prosi o natychmiastowe przyjęcie przez Jego Wysokość.

Rozmowy ucichły. Dał się słyszeć głos Filipa Dobrego:



- Czegóż chce ten rycerz? Czemu przybywa o tej porze i w trakcie uroczystości?

- Nie wiem, panie, ale nalega na rozmowę z tobą i to właśnie w trakcie uroczystości. Przysięga na honor, że jest szlacheckiej krwi, godny wysłuchania.

Sprawa była co najmniej dziwna i stanowiła wyłom w protokole, ale książę lubił zmiany. To było coś dziwnego, nieoczekiwanego, w samym środku balu. Bez wątpienia jakaś miła niespodzianka ze strony poddanego, który chciałby dodatkowo uświetnić uroczystość. Upór, z jakim zatajał tożsamość, krył z pewnością coś przyjemnego. Podniósł dłoń i rozkazał z uśmiechem:

- Proszę więc wprowadzić tego tajemniczego rycerza... Idę o zakład, że chodzi tu o uprzejmość ze strony wiernego poddanego, który przygotował przyjemną niespodziankę damom i mnie samemu.

Szmer zadowolenia przywitał ten rozkaz. Tajemniczy przybysz wzbudził żywą ciekawość. Z pewnością ukaże się wspaniały kawaler w zbytkownym stroju, w masce błędnego rycerza, aby zadeklamować miłosne wiersze lub powiedzieć księciu wytworny komplement...

Ale kiedy pojawił się nieznajomy, wrzawa natychmiast ucichła. W obramowaniu otwartych drzwi, w zbroi z czarnej stali, wznosił się niczym posąg żałobny. Czarny był krogulec bijący skrzydłem na jego hełmie, czarna zbroja, którą miał na sobie, a nie była to z pewnością zbroja do zabaw, lecz na wojnę. Z opuszczoną przyłbicą, milczący i złowrogi, spoglądał na zgromadzonych. Podał strażnikowi ciężki miecz, następnie, wolnym krokiem, pośród ogólnego osłupienia, skierował się do tronu. W panującej ciszy żelazne ciężmy zazgrzytały na płytach jak po lodzie. Z warg Filipa znikł uśmiech i wszyscy wstrzymali oddech. Czarny rycerz zbliżał się nadal ciężkim, nieubłaganym jak przeznaczenie krokiem. Zatrzymał się u stóp

tronu. Gest, jaki wówczas wykonał, był równie gwałtowny, co nieprzewidziany. Zrywając prawą rękawicę, rzucił ją gwałtownie do stóp Filipa, który zadrzał nagle poblady ze złości. Zgromadzeni wydali okrzyk trwogi.

- Jak śmiesz? Kim jesteś? Straże, odsłońcie mu twarz! - warknął Filip.

- To niepotrzebne!

Nie spiesząc się, rycerz uniósł dłonie do hełmu. Serce Katarzyny zaczęło bić głośno, chociaż nie wiedziała dlaczego. Krew zaczęła powoli odpływać z jej twarzy i rąk. Ogarniała ją coraz większa trwoga, powodując ucisk w gardle przechodzący w okrzyk, który dziewczyna stłumiła, zaciskając usta dłońmi. Rycerz zdjął hełm. Był to Arnold de Montsalvy.

Z wyniosłą i pełną pogardy miną stał u stóp tronu, trzymając hełm pod lewym ramieniem. Jego posepny wzrok podniósł się zuchwale na Filipa i zatrzymał na nim.

- Ja, Arnold de Montsalvy, pan Lasu Kasztanowego i kapitan króla Karola, niech Bóg ma go w swej opiece, siódmy z rodu, przybyłem do ciebie, księcia Burgundii, aby rzucić ci w twarz tę rękawicę. Jako zdrajcę i wiarołomcę wyzywam cię na pojedynek w dniu i o godzinie wedle twojej woli; sam też wybierz oręż, jakim przyjdzie nam walczyć. Domagam się walki na śmierć i życie!

Posepną wypowiedź Arnolda przywitała prawdziwa wrzawa. Tuż za plecami młodego człowieka utworzył się groźny krąg. Panowie wyciągnęli z pochew lekkie sztylety, z pewnością jednak mało skuteczne przeciwko zbroi. Serce Katarzyny omdlało z przestachu. Jednym ruchem wzniesionej ręki Filip Burgundzki rozkazał dworzanom zamilknąć. Złość powoli znikła z jego oblicza, ustępując miejsca ciekawości. Usiadł ponownie i pochylił się do przodu.

- Nie brak ci zuchwałości, panie de Montsalvy. Czemu uważasz mnie

za zdrajcę i wiarołomcę. Skąd to wyzwanie?

Arnold wzruszył ramionami, zarozumiały jak kogut bojowy.

- Odpowiedź na te pytania wyryta jest na herbie twego głównego gościa, pana Filipa de Valois. Ta czerwona róża Lancasterów tutaj, u Anglika, którego traktujesz jak brata i oddajesz mu siostrę. I ty, francuski książę, pytasz, dlaczego uważam, że zdradzasz swój kraj, goszcząc nieprzyjaciela pod swoim dachem?

- Nie dyskutuję o mojej polityce z pierwszym lepszym.

- Tutaj nie chodzi o politykę, lecz o honor. Jesteś poddanym króla Francji, wiesz o tym dobrze! Rzuciłem ci wyzwanie, przyjmujesz je, czy mam potraktować *cię* jak tchórza?

Młody człowiek pochylił się, aby podnieść rękawicę. Książę zatrzymał go jednym ruchem.

- Zostaw! Rękawica została rzucona, więc nie masz prawa jej podnieść.

Na ustach Arnolda błysnął przez chwilę zły uśmiech. Ale książę ciągnął dalej:

- Wiesz jednak, że książę panujący nie może stawać w szranki ze zwykłym rycerzem. Mój rycerz podniesie rzuconą rękawicę.

Zuchwały śmiech przerwał jego słowa. Katarzyna spostrzegła, że palce Filipa zaciskają się na poręczy fotela. Wstał.

- Wiesz, że mógłbym polecić moim ludziom, aby cię pojмали i wtrącili do lochów.

Arnold przestał zwracać się do księcia po imieniu:

- Mógłbyś również, panie, skierować przeciw mnie wszystkie swoje oddziały. Ale czy tak postępuje rycerz? Na polu bitwy pod Azincourt, gdzie cała szlachta Francji, oprócz ciebie, panie, i twego szlachetnie urodzonego ojca, czuła się zaszczycona, mogąc zmierzyć się z nieprzyjacielem, niejedyn książę skrzyżował szablę z jeszcze mniej znacznym niż ja szlachcicem.

Pod wpływem złości głos Filipa stał się bardzo wysoki, co należało do rzadkości, i bardziej niż słowa zdradzał jego wściekłość.

- Nikt nie wątpi w mój wielki żal, że nie mogłem uczestniczyć w tym zaszczytnym i bolesnym dniu.

- Każdy może tak powiedzieć w osiem lat później! - powiedział Arnold kpiąco. - Ja tam byłem, panie, i może to pozwala mi odzywać się w ten sposób. Nieważne! Jeśli wolisz pić, bawić się i bratać z nieprzyjacielem, wolna wola. Zabieram rękawicę i...

- Ja ją podniosę...

Olbrzymi rycerz, odziany w dziwaczny, niebiesko-czerwony strój, który przylegał ściśle do jego piersi, potężnej niczym tułów niedźwiedzia, zbliżył się do tronu. Zgiął się szybko ze zręcznością, o którą trudno było go podejrzewać, i podniósł rękawicę. Następnie zwrócił się do czarnego rycerza.

- Chcesz zmierzyć się z księciem, panie Lasu Kasztanowego, więc zadowolisz się chyba krwią świętego Ludwika, chociaż z domieszką krwi bastarda. Jestem Lionel de Bourbon, bastard de Vendome, i mówię ci, że zapłacisz gardłem za swój postęp.

Katarzyna z trudem utrzymywała się na nogach; bliska omdlenia, szukała instynktownie jakiegoś oparcia. Natrafiła na mocne ramię stojącej obok Ermengardy. Z rozszerzonymi źrenicami i drgającymi nozdrzami, wielka ochmistrzyni przebierała nogami niczym koń sposobiący się do walki, który oczekuje na znak, Rozgrywająca się przed jej oczyma scena przykuwała bez reszty jej uwagę i najwyraźniej ją radowała. Spoglądała z błyskiem w oku na odważną, czarną postać kapitana de Montsalvy'ego, a jej obfita pierś kołysała się jak wzburzona fala.

Rycerz popatrzył z zimną krwią na olbrzymią postać przeciwnika. Egzamin musiał wypaść pomyślnie, gdyż wzruszył tylko szerokimi ramionami osłoniętymi stalą.

- Zgadzam się na krew dobrego króla Ludwika, chociaż dziwię się, że bronisz, panie, niesłusznej sprawy. Będę miał więc zaszczyt, panie bastardzie, uciąć uszy tobie zamiast twemu panu. Zapamiętaj, wzywam cię na Sąd Ostateczny. Zdecydowałeś się bronić sprawy Filipa Burgundzkiego, a ja występuję przeciw niej w imieniu mego pana. Nie będzie to walka dla rozrywki dam. Będziemy walczyć, aż jeden z nas zginie lub poprosi o łaskę.

Katarzyna wydała głuchy jęk, który usłyszał Garin. Spojrzał na żonę z ukosa, ale nic nie powiedział. Pani Ermengarda również go usłyszała. Wzruszyła ramionami.

- Nie bądź taka wrażliwa, moje dziecko. Sąd boży to pasjonująca sprawa! Mam nadzieję, że Bóg odda sprawiedliwość temu młodemu rycerzowi. Na honor, jest wspaniały! Jak on się nazywa? Montsalvy. Sądzę, że to stare, dobre nazwisko!

Miłe słowa pocieszyły trochę Katarzynę. Pośród nienawiści otaczającej Arnolda te przyjacielskie tony trochę ją uspokoiły.

Dał się słyszeć głos księcia, który zapytał chłodno rycerza, czy ma sekundanta.

- Do licha - wykrzyknął Artur de Richemont. - Jeśli go nie ma, jestem gotów ofiarować moją szpadę. To dzielny kompan, widziałem, jak walczył pod Azincourt. Nie czuj się urażony, panie mój i bracie, robię to tylko w imię dawnego braterstwa broni.

- Zezwalam na to, panie - powiedziała jego narzeczona, Małgorzata, wzruszonym głosem. - Ten rycerz jest młodszym bratem giermka przebywającego niegdyś w moim domu w Gujennie, szlachetnego pana, którego paryski motłoch pozbawił życia w czasie straszliwych dni rewolty Caboche'a. Błagałam o łaskę dla niego, ale ojciec mi odmówił. Walcząc u boku Arnolda de Montsalvy'ego, będziesz nosił podwójnie me barwy, drogi Arturze. Nie pochwalam mego brata.

Wzruszony Richemont ujął dłoń swej jasnowłosej narzeczonej i ucałował ją czule.

- Słodka pani, wybierając cię moje serce się nie myliło. Arnold, skłoniwszy się Bretończykowi, wskazał dumnie na innego rycerza w zbroi, który stanął w progu sali.

- Pan de Xaintrilles pomoże mi w walce, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Przybysz stał z odsłoniętą głową; miał rudą niczym marchewka czuprynę i drwiący uśmiech na ustach. On również był wielki i dobrze zbudowany. Wezwany, podszedł kilka kroków i uklonił się.

Filip Burgundzki wstał z wysiłkiem ze swego fotela, wspierając się nadal jedną dłonią o poręcz.

- Panowie - powiedział. - Aby nie zbrukać ziemi naszego gospodarza, biskupa Amiens, wasz pojedynek, który rozsądzi Bóg, odbędzie się za trzy dni u mnie w Arras. Daję wam moje słowo, iż zostaniecie przyjęci uprzejmie i będzie wam zapewnione bezpieczeństwo. A teraz, ponieważ jest to wieczór uciech, zapomnij, panie, o pojedynku i przyłącz się do zabawy.

Duma w końcu przyszła Filipowi w sukurs, zapanował nad sobą, tak że nikt nie był w stanie odgadnąć, jakie burzliwe uczucia nim miotają po tej publicznej obrazie. Jak przystało na księcia panującego, miał olbrzymie poczucie godności. Co więcej, ufając wielkiej sile bastarda de Vendome, mógł małym kosztem ofiarować sobie luksus bycia szlachetnym i okazać gościnność wobec najbardziej zdeklarowanego wroga. Ale Arnold de Montsalvy obojętnie nałożył hełm i jednym ruchem podniósł przyłbicę. Ponure spojrzenie ponownie rzuciło wyzwanie w szare oczy księcia Filipa.

- Wielkie dzięki, książę. Jeśli chodzi o ścisłość, moi nieprzyjaciele pozostają nimi nadal, a piję tylko z przyjaciółmi. Spotkamy się za trzy dni na polu walki. Teraz wracamy do Guise. Z drogi!

Skłaniając szybko głowę, rycerz odwrócił się i ruszył wolno do drzwi.

Zanim to uczynił, jego wzrok prześlizgnął się po zebranych. Przez moment zatrzymał się na Katarzynie, a młoda kobieta, bliska łez, zobaczyła błysk w jego czarnych oczach. Wyciągnęła nieznacznie ręce w jego kierunku, ale Arnold de Montsalvy był już daleko. Wkrótce za dwoma rycerzami zatrzasnęły się bramy. Kiedy postać czarnego rycerza była już niewidoczna, Katarzynie wydało się, że wszystkie światła zgasły jednocześnie, a rozległa sala stała się ciemna i zimna. W tym momencie fanfary obwieściły początek wieczery.

## *Rozdział jedenasty*

### *Pole walki*

**B**iesiada była dla Katarzyny prawdziwą udręką. Pragnęła znaleźć się sama w zaciszu swojej komnaty, żeby wspominać do woli tego, który pojawił się tak niespodzianie w jej życiu. Widok Arnolda wywołał omdlenie jej serca; po odejściu rycerza zaczęło bić coraz uporczywiej. Kiedy czarna postać zniknęła za dębowymi drzwiami, Katarzyna musiała przywołać cały zdrowy rozsądek, aby za nim nie pobiec, tak gwałtowna była siła popychająca ją ku niemu. Wiedziała dobrze, jak by ją potraktował, ale za samą tylko możliwość porozmawiania z nim, dotknięcia go, poczucia na sobie ciężaru mrocznego spojrzenia, oddałaby wszystkie skarby świata. Gdyby mogła znaleźć się chociaż na mgnienie oka w jego ramionach, z radością sprzedałaby duszę diabłu. Przez cały wieczór rozmawiała, uśmiechała się, przyjmowała hołdy dla swej urody, ale jej usta i oczy reagowały machinalnie. W rzeczywistości była nieobecna duchem w pałacu w Amiens. Wraz z Arnoldem de Montsalvym i panem de Xaintrilles'em pędziła drogą

do Guise, ku obozowi stronników króla Karola. Oczami pełnymi miłości, które nigdy się nie mylą, widziała postać z czarnej stali, pochyloną nad końskim karkiem, twarz o mocnym profilu, zaciśnięte usta, słyszała ciężki galop koni, szcęk zbroi, a nawet bicie serca Arnolda pod stalowym pancerzem... Była razem z nim, tak blisko, że wydawało się, iż tworzą jedno ciało. Nie zwróciła uwagi na suchy ton głosu Garina, gdy zarządził:

- Wracamy!

Wszystko straciło znaczenie od momentu zjawienia się Arnolda: Garin i jego bogactwo, Filip i jego miłość. Chociaż we wzroku, jakim ją obrzucił Arnold, opuszczając salę, nie było żadnej zachęty, lecz tylko złość i pogarda, wydało jej się, że błysnął w nim też pewien rodzaj podziwu. Tym nikłym płomykiem rozświetlała swoje marzenie. Bez wątpienia czuł do niej nienawiść, pogardzał nią, ale Abu-al-Khayr powiedział, że Arnold jej pragnie. W czasie powrotu z Garinem do domu nad zielonym kanałem poczuła, że wracają jej siły do walki. Cel jej życia znalazł się tuż obok. Nie był już tak niedostępny, gdyż dumny hrabia de Montsalvy mógł patrzeć z pogardą na siostrzenicę sukiennika, ale jako pani de Brazey stała się mu równa. Katarzyna zrozumiała, że zawdzięcza to małżeństwu z Garinem. Teraz stanowiła integralną część jego świata dumy i splendoru, czy tego chciał, czy też nie, a tego wieczoru przekonała się o blasku i sile swej urody. Ileż to razy wzrok Filipa spoczął na niej, a ilu innych mężczyzn na nią spoglądało! Wszyscy do siebie podobni, a każdy z wyrazem pożądania na twarzy. Tego wieczoru Katarzyna poczuła w sobie siłę, aby usunąć wszelkie przeszkody stojące między nią i jej miłością i przysięgła sobie, że zniweczy nienawiść Arnolda do rodziny Legoix. Czy będzie mógł winić ją za śmierć Michała, jeśli dowie się, że o mało nie zginęła, chcąc go ratować, że Gaucher, jej ojciec, został powieszony, a ich dom zniszczony?

Katarzyna zdała sobie sprawę, że pragnie ze wszystkich sił tego do



dzisiaj tak odległego człowieka i nie spocznie, dopóki nie stanie się jego na zawsze. Tak rozmyślając, powróciła do domu i udała się do swojej izby. Wówczas przypomniała sobie o mężu, gdyż spostrzegła, że po raz pierwszy towarzyszył jej do sypialni. Oparty łokciem o kominek, spoglądał na nią z ciekawością, ale z jego nieruchomego oblicza niczego nie mogła wyczytać. Posłała mu przelotny uśmiech, podając Sarze długi, aksamitny płaszcz, który miała narzucony na suknię.

- Nie jesteś, panie, zmęczony? - zapytała. - Ja jestem wyczerpana. Tylu ludzi, taki upał.

To mówiąc, skierowała się do toaletki. Lustro odbiło olśniewający obraz, ożywiony jeszcze bardziej blaskiem czarnego diamentu na czole. Sądząc, że Garin przyszedł za nią, aby odebrać cenny kamień, szybko odpięła złoty łańcuszek i podała mu klejnot.

- Proszę, oddaję ci, panie, twój cenny skarb. Widzę, że chcesz go szybko schować w jakimś bezpiecznym miejscu.

Ale Garin odepchnął wyciągniętą dłoń. Na jego wąskich wargach pojawił się pogardliwy uśmiech.

- Zatrzymaj go, pani! Przyszedłem tutaj za tobą, gdyż chcę ci zadać jedno pytanie: od jak dawna znasz pana de Montsalvy'ego?

Te słowa zbiły Katarzynę z tropu; z przyzwyczajenia zaczęła szukać wzrokiem Sary. Ale Cyganka usunęła się po cichu, widząc, że jej pan pragnie pozostać u żony. Katarzyna odwróciła głowę, wzięła grzebień z kości słoniowej i zaczęła wolno rozczesywać włosy.

- Czemu sądzisz, panie, że go znam?

- Twoje wzruszenie było zbyt widoczne. Nie drżałabyś tak mocno, nie znając go. Więc zadam jeszcze raz pytanie: skąd go znasz, pani?

Ton Garina był bardzo grzeczny, a jego głos nie wzniósł się ponad zwyczajne, niskie tony. Żądał odpowiedzi i musiał ją otrzymać. Najlepiej

byłoby powiedzieć mu prawdę lub przynajmniej jej część. W kilku słowach przedstawiła mu wydarzenie, jakie miało miejsce na drodze do Tournai, kiedy wraz z Mateuszem znaleźli rannego rycerza. Opowiedziała, jak zawieźli go do obozu i jak Abu-al-Khayr opatrzył młodzieńca.

- Jak widzisz, panie - powiedziała z uśmiechem - to dawna i luźna znajomość. Wzruszyłam się, kiedy pojawił się niespodziewanie tego wieczoru, i to w tak tragicznych okolicznościach.

- Tragicznych, to rzeczywiście właściwe słowo. Możliwe, moja droga, że już wkrótce będziesz musiała opłakiwać tę „starą znajomość”. Bastard de Vendome jest niebezpiecznym przeciwnikiem; przebiegłość i zręczność węża łączy z siłą byka. Walka będzie na śmierć i życie. Jeśli jesteś, pani, tak wrażliwa, może wolisz jej nie oglądać?

- Cóż za pomysł? Przeciwnie, zależy mi bardzo, aby zobaczyć walkę. Czyż książę Filip nas nie zaprosił?

- To prawda. No więc dobrze, udamy się tam, skoro sądzisz, że wytrzymasz to widowisko. Życzę ci dobrej nocy, Katarzyno.

Przez moment dziewczyna miała ochotę go zatrzymać. Jego postawa wydawała się jej dziwna. Chciała, aby powiedział coś więcej, co pomogłoby zorientować się, czy ufa jej wyjaśnieniom. Ale pragnienie pozostania sam na sam ze wspomnieniem o Arnoldzie było silniejsze. Pozwoliła Garinowi odejść, odesłała nawet Sarę, gdy ta przyszła pomóc jej w rozbieraniu. Nie miała ochoty dzielić z nikim przepelniającej ją nadziei, ciepłej i tajemnej, jak obietnica macierzyństwa, którą chciała nosić, aż przerodzi się w plon szczęścia. W chwili obecnej cel zamykał się w jednym słowie: Arras. Chciała zapomnieć, że Arnold znajdzie się tam w niebezpieczeństwie, że będzie narażał swe życie. Za dwa dni otoczą ich te same mury tego samego miasta pod tym samym niebem. Katarzyna przysięgła sobie, że nie pozwoli odejść Arnoldowi bez próby odzyskania go, niezależnie od następstw, jakie

to przyniesie.

\* \* \*

Znalezienie mieszkania w Arras było o wiele trudniejsze niż w Amiens. Filip Burgundzki dobrze traktował tamtejszych mieszczan i nie chciał ich zmuszać do udzielenia gościny, tak jak to zrobił biskup Amiens. Tak więc Katarzyna musiała tłoczyć się wraz z Ermengardą de Chateauvillain, Marią de Vaugrigneuse i dwiema innymi damami dworu księżniczek w dwóch izbach, które odstąpił im dobrowolnie pewien handlarz wełną mieszkający w górnej części miasta. Garin zamieszkał z Mikołajem Rolinem i Lambertem de Saulx w zwykłej oberży. Taki rozwój sytuacji spodobał się Katarzynie i tę chwilową separację potraktowała jako dobrą wróżbę dla swych planów.

Wiadomość o pojedynku, który miał się odbyć następnego dnia, ściągnęła do miasta tłumy. Ludzie przybywali zewsząd, ze wszystkich sąsiednich zamków, a nawet z odległych miast. Stawiano namioty, jeden obok drugiego, aż do murów miasta. Arras przypominało wielki kwietnik porośły olbrzymimi kwiatami. Na placach i ulicach rozmawiano wyłącznie o walce i robiono zakłady. Katarzynę doprowadzał do wściekłości fakt, że wszyscy przepowiadają zwycięstwo bastardowi de Vendome. Nie ceniono wysoko skóry Arnolda de Montsalvy'ego i nikt się nie krępował głosić wyniośle, że nie wybrałby losu, który jest z góry wiadomy.

- Od kiedy to brutalna siła warta jest więcej od odwagi! -wykrzyknęła, pomagając pani Ermengardzie rozpakować kufry i wygładzić zmięte suknie, przygotowując je na wieczorny bankiet i na jutrzejszy pojedynek. - Ten bastard jest silny jak niedźwiedź, ale to wcale nie znaczy, że musi wygrać...

- Do licha, moja droga - powiedziała Ermengarda, zabierając jej

zwinnie z rąk kosztowną suknię z genueńskiego aksamitu, którą zirytowana Katarzyna tak źle potraktowała. - Wydaje się, że ten młody zarozumialec ma w tobie zagorzałego obrońcę! A przecież powinnaś życzyć wszystkiego najlepszego bastardowi, który będzie bronił honoru naszego księcia. Czy przypadkiem nie jesteś złą Burgundką? Pod badawczym spojrzeniem grubej damy Katarzyna poczuła, że się rumieni, i nic nie odpowiedziała. Zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, ale wolałaby raczej uciąć sobie język, niż zmienić zdanie. Nie wydawało się jednak, aby Ermengarda była obrażona. Wybuchnęła śmiechem i klepnęła dziewczynę w plecy tak mocno, że ta o mało nie wpadła do otwartego kufra.

- Nie obrażaj się, Katarzyno! Jesteśmy same, więc mogę ci wyznać, że ja również chciałabym, aby zwyciężył ten młody zuchwalec. Poza tym, że uważam króla Karola za naszego prawowitego władcę, zawsze podobali mi się ładni chłopcy, szczególnie trochę szaleni. Do licha, ten brytan jest piękny! Wiem, że gdybym miała z dwadzieścia lat mniej...

- Cóż byś zrobiła, pani?

- Nie umiem ci powiedzieć dokładnie, jak bym się do tego zabrała, ale kiedy by wchodził do łóżka, zawsze czekałabym na niego w pościeli. I, do licha, gdyby mnie chciał wyciągnąć z łóżka, miecz by nie wystarczył! Jeśli się nie mylę, on ma nie tylko wygląd mężczyzny, ale i duszę, widać to w jego spojrzeniu. Co więcej, przysięgłabym, że jest mistrzem w miłości. Czuję to, bo znam się na tym.

Katarzyna z zapalem szczytkowała purpurową suknię, a następnie rozłożyła ją na olbrzymim łóżu, które miała dzielić z wielką ochmistrzynią. To pozwoliło jej ukryć rumieńce na policzkach wywołane rubasznymi uwagami Ermengardy. Ale oczy księżnej były bardzo przenikliwe.

- No, zostaw już tę suknię - krzyknęła wesoło - i nie ukrywaj rumieńca, abym uwierzyła, że te słowa wprawiają cię w zakłopotanie. Powiedziałam ci,

co bym zrobiła, gdybym miała dwadzieścia lat mniej i gdybym była na przykład na twoim miejscu...

- Och! - wykrzyknęła zgorzona Katarzyna.

- Powiedziała ci, żebyś nie udawała niewiniątka, i dodam: nie uważaj mnie za idiotkę, Katarzyno de Brazey. Jestem stara, umiem czytać z twarzy, na której widnieją miłość i pożądanie. Bardzo dobrze się składa, że twój mąż widzi tylko na jedno oko, gdyż na wczorajszym balu każdy rys twej twarzy wyrażał miłość do tego człowieka.

A więc tajemnica, którą Katarzyna uważała za bezpieczną w głębi serca, daje się tak łatwo wyczytać z jej twarzy? Któż więcej, w takim razie, spośród uczestników uroczystości poznał ten sekret? Ile osób dostrzegło niewidoczną i tajemną nić łączącą czarnego rycerza i damę z mrocznym diamentem? Może Garin, który od tamtego czasu był bardzo małomówny, albo może książę Filip. Bez wątpienia inne kobiety czyhające zawsze na słabostki swoich rywalek, aby uczynić z nich śmiercionośną broń.

- Nie przejmuj się - ciągnęła dalej Ermengarda, dla której najwidoczniej twarz Katarzyny nie miała tajemnic. - Twój mąż jest jednooki, a co się tyczy Jego Wysokości, miał zbyt dużo kłopotu z twoim pięknym rycerzem, by zwracać uwagę na ciebie. Czy ci się to podoba, czy nie, jeśli w gronie kobiet pojawi się taki zuch jak Arnold, patrzą tylko na niego i nie tracą czasu na obserwowanie rywalek. No, no, nie przejmuj się tak. Nie wszyscy czytają z twarzy tak jak ja. Poza tym, jestem twoją przyjaciółką i tajemnica będzie dobrze strzeżona.

W miarę jak dama mówiła, napięcie Katarzyny malało, a prawdziwa ulga zastąpiła poprzedni niepokój. Była szczęśliwa, odkrywając obok siebie tę nieoczekiwaną i z pewnością szczerą przyjaźń. Ermengarda de Chateauvillain, znana ze swobody, z jaką wyrażała swe uczucia, nigdy, przenigdy nie zniżyłaby się do udawania, choćby od tego zależało jej życie.

Mimo swej pozycji była jednakże bardzo ciekawska, jak każda kobieta. Jednym ruchem wzięła Katarzynę pod rękę i posadziła obok siebie na wielkim łożu, a następnie uśmiechnęła się promiennie.

- Teraz, kiedy odgadłam połowę sekretu, opowiedz mi resztę, moja droga. Prócz tego, że się palę, aby ci pomóc w tej przygodzie, niczego nie lubię bardziej od pięknych historii miłosnych.

- Boję się, że będziesz, pani, rozczarowana - westchnęła Katarzyna. - Nie mam wiele do opowiadania.

Dawno już nie czuła się tak bezpiecznie. Siedząc obok masywnej kobiety, w tej wielkiej izbie o niskim stropie, oświetlonej wyłącznie płomieniami kominka, wiedziała, że nadeszła chwila szczerości i będzie mogła otworzyć przed nią serce. Za murami było niespokojne miasto, pełne ludzi, którzy jutro przybędą popatrzeć, jak zabijają się ich bliźni.

Katarzyna przeczuwała niejasno, że czas odpoczynku należy już do przeszłości, a przyszłość będzie trudna, że zedrze sobie skórę z kolan i rąk na bolesnej drodze usianej ostrymi kamieniami, na której pojawił się dopiero pierwszy zakręt. Jak brzmiało zdanie, które kiedyś szeptał Abu-al-Khayr?

*Droga miłości jest wybrukowana ciałami i krwią.*

Była gotowa zostawić swe ciało, strzęp po strzepie, swą krew, kropla po kropli, na ciernistej drodze, aby zdobyć tę miłość, chociażby tylko na godzinę, gdyż w tej jedynej godzinie potrafiłaby zamknąć tchnienie swego życia i całą swą miłość. Pytanie Ermengardy sprowadziło ją brutalnie na ziemię.

- A jeśli jutro bastard de Vendome zabije Arnolda?

Katarzynę ogarnęła fala strachu, wypełniła jej usta goryczą, pojawiła się w wystraszonym spojrzeniu. Myśl, że ukochany mógłby umrzeć, nawet nie powstała w jej głowie. Było w nim coś niezniszczalnego. Był samym życiem i wydawało się, że jego ciało jest równie wytrzymałe jak stal jego

zbroi. Katarzyna odrzucała z całych sił obraz Arnolda leżącego na piasku areny w pękniętej zbroi, z której wypływa purpurowa krew. Śmierć nie mogła go zabrać, gdyż należał do niej, Katarzyny! Ale słowa Ermengardy wydrażyły w murze pewności małą szczelinę, przez którą zaczęła przenikać trwoga. Jednym skokiem zerwała się na nogi, chwyciła opończę i otuliła się nią.

- Gdzie idziesz? - zdziwiła się Ermengarda.

- Idę zobaczyć się z nim! Muszę z nim porozmawiać, muszę mu powiedzieć...

- Co?

- Nie wiem! Że go kocham! Nie mogę pozwolić, aby zginął w walce, zanim powiem, ile dla mnie znaczy.

Na pół szalona, rzuciła się w kierunku drzwi. Ermengarda chwyciła w locie połę jej płaszcza, złapała ją za ramiona i zmusiła, aby siadła na skrzyni.

- Czyś zwariowała? Ludzie króla rozbili obóz poza miastem, w pobliżu pola walki, a bastard de Vendome wzniósł swój namiot z drugiej strony. Po raz pierwszy strażę księcia Filipa otaczają pole walki wspólnie ze Szkotami króla Francji, którymi dowodzi Buchan\*. Nie tylko nie będziesz mogła przekroczyć bram miasta, chyba że opuścisz się po linie wzdłuż muru, ale i tak nie dostaniesz się do obozu. Zakładając nawet, że ci się powiedzie, nie pozwolę ci tam pójść.

*\* Jan Stuart, książę Buchan, wielki konetabl Francji. Nie jest powszechnie wiadomo, że w czasie wojny stuletniej Szkocja walczyła u boku Francji.*

- A dlaczegoż to? - krzyknęła Katarzyna bliska płaczu.

Silne palce Ermengardy gniotły jej ramię. Ale nie miała do niej żalu,

gdyż pod szorstkością Burgundki kryła się czułość. Jej czerwona twarz przybrała nagle niespotykany wyraz godności.

- Kiedy mężczyzna idzie się bić, nie potrzebuje pocałunków i łez kobiety: one osłabiają jego odwagę i rozmiękczają stanowczość. Arnold de Montsalvy uważa cię za kochankę księcia Filipa. Z tego powodu będzie walczył z większą pasją, z większym zapałem. Jeśli wyjdzie z tego żywy, będzie czas, aby wyprowadzić go z błędu i nęcić rozkoszami miłości.

Katarzyna wyrwała się gwałtownie z rąk przyjaciółki. - A jeśli zginie? Jeśli jutro zabiją mi go?

- Wtedy -wykrzyknęła Ermengarda - nie pozostanie ci nic innego, jak zachowywać się z godnością, pokazać, że chociaż urodzona w mieszczańskiej rodzinie, naprawdę zasługujesz na obecną pozycję! Będziesz miała do wyboru: zadać sobie śmierć, jeśli nie boisz się Boga, lub pójść do klasztoru, gdzie zagrzebują się żywcem te, których rany nie chcą się zabiżnić. To, co możesz zrobić dla mężczyzny, którego kochasz, Katarzyno de Brazey, to uklęknąć tutaj, obok mnie, i modlić się, modlić i jeszcze raz modlić! Może Pan Jezus i Matka Boska ochronią go i zwrócą nam żywego.

\* \* \*

Pole walki wytyczone było za murami miasta, na obszernym, pustym terenie, wzdłuż którego płynęła rzeka Scarpe. Na wprost rzeki wybudowano w dwóch rzędach prowizoryczne, przypominające wieże trybuny suto zdobione dywanami, tarczami herbowymi, proporcami i jedwabnymi chorągwiemi, otaczające wielką lożę dla księcia, jego sióstr i książęcych gości. Na każdym końcu ogrodzenia, wzdłuż którego tłoczył się już tłum, ustawiono dla każdego z przeciwników duży namiot, pilnowany przez żołnierzy.



Kiedy Katarzyna przybyła na pole walki w towarzystwie Ermengardy, rzuciła obojętne spojrzenie na dekorację, popatrzyła bez zainteresowania na wielki namiot z purpurowego jedwabiu, nad którym powiewała chorągiew z herbem bastarda de Vendome. Przedstawiał wizerunek lwa przekreślonego czerwoną wstęgą, na znak, że jego właściciel pochodzi z nieprawego łoża. Jej wielkie, fiołkowe oczy spoczęły na drugim namiocie, gdzie zgrupowali się Szkoci konetabla w srebrnych zbrojach, z zatkniętymi piórami białej czapli, podczas gdy straż Filipa w czarnych kolczugach otaczała namiot bastarda. Wstrząśnięta Katarzyna odgadywała obecność Arnolda za delikatnymi ścianami z niebieskiego jedwabiu z większą pewnością, niż gdyby popatrzyła na srebrną tarczę z czarnym krogulcem zawieszoną u wejścia. Serce popychało ją ku niemu. Odczuwała ból, wyobrażając sobie duchową samotność tego, który w środku przygotowywał się na śmierć. Podczas gdy w namiocie de Vendome'a wrzało jak w mrowisku, gdyż panowie i paziowie chodzili tam i z powrotem ruchliwą i wielobarwną falą, niebieskie ściany namiotu Arnolda nie poruszały się wcale. Wszedł tylko kapitan!

- Gdybym nie był pewien, że nasz młody zarozumialec jest w środku - powiedział tuż za Katarzyną nosowy głos -przypuszczałbym, że ten namiot jest pusty.

Ermengarda de Chateauvillain, trudząca się wyborem poduszki, na której chciała usadowić swoje szerokie siedzenie, podniosła oczy, tak jak i Katarzyna, i zobaczyła mężczyznę dwudziestosiedmio- lub dwudziestoośmioletniego, jasnowłosego, szczupłego i eleganckiego, lecz pełnego próżności. Młody człowiek był z pewnością przystojny, ale Katarzyna miała wrażenie, że zbyt jest tego świadom. Jednakże Ermengarda wzruszyła tylko ramionami i zaczęła gderać:

- Nie wygaduj głupot, panie de Saint-Remy. Młody de Montsalvy z

pewnością nie należy do osób, które uciekają w ostatniej chwili.

Jan de Saint-Remy uśmiechnął się do niej drwiąco, przekroczył bezceremonialnie ławkę, na której obie damy zamierzały usiąść, i znalazł się w ich rzędzie.

- Wiem o tym lepiej niż ty, pani. Pamiętaj, że byłem pod Azincourt. Podziwiałem tam waleczność chłopca, który nie miał więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Mój Boże, cóż za lew! Wywijał cepem w walce wręcz niczym chłop na polu żyta. Tak naprawdę powiedziałem to wyłącznie, aby zwrócić na siebie uwagę i zostać w końcu przedstawiony tej czarującej istocie, którą podziwiam z oddali od trzech dni - damie z czarnym diamentem!

Posłał Katarzynie tak promienny uśmiech, że ta wybaczyła mu jego próżność, tym bardziej że tak gorąco chwalił Arnolda! Teraz młody człowiek wydał się jej o wiele bardziej sympatyczny i mniej pyszałkowaty. Miał na sobie wspaniałe zielone kaftan z naszytymi cienkimi, złotymi wstążkami przypominającymi jasną czuprynę targaną przez wiatr. Zawadiackie, sterczące nad głową pióro umocowane było na bereciku w kształcie dzbanka na kwiaty, jakiego nikt inny tutaj nie nosił. Ermengarda wybuchnęła śmiechem.

- Czemu tego nie powiedziałeś od razu, tylko owijasz w bawełnę! Moja droga Katarzyno, stoi przed tobą pan Jan Lefebvre de Saint-Remy, rodem z Abbeville, prywatny doradca Jego Wysokości księcia, wielki specjalista w sprawach heraldyki i znawca dworskiej mody. Co do ciebie, drogi przyjacielu, stoisz przed panią Katarzyną de Brazey, żoną naszego wielkiego skarbnika i damą dworu księżnej wdowy.

Saint-Remy skłonił się Katarzynie z oznaką niekłamanej podziwu, spoglądając okiem znawcy na jej strój i klejnoty.

- Patrząc na tę panią, nie można nie odczuć przyjemności. Te wspaniałe ametysty doskonale pasują do skromnego, eleganckiego ubioru.

Odkąd przybyłem, patrzę tylko na nią i rozkoszuję się. Tak, to właściwe słowo, rozkoszuję!

W istocie, Katarzyna miała na szyi ametysty, które Garin ofiarował jej w dniu zaręczyn, i aby podkreślić piękno kamieni, włożyła suknię z białego atlasu. Wspaniały, lejący się atlas spowijał jej ciało aż do bioder niczym wilgotne płótno. Nakrycie głowy wykonane było z tego samego atlasu, pokrytego delikatną, białą koronką, która opadała jak obłok na odkryte ramiona. Ubrała się ze szczególną i pełną determinacji starannością. Patrząc na Arnolda ryzykującego życie, chciała wyglądać piękniej niż zwykle. Musiał ją dostrzec wśród innych widzów!

Przybyła wraz z Ermengardą wcześniej, gdyż chciały znaleźć dobre miejsce na trybunie przeznaczonej dla dworu księżniczek. Od kilku chwil krucha i połyskująca budowla zaczęła wypełniać się szlachtą: paniami i pannami w mieniących się strojach, młodymi panami, gadatliwymi i podnieconymi, poważnymi doradcami i kilkoma starymi rycerzami, którzy przyszli, by odświeżyć wspomnienia o wyczynach bliźnich. Katarzyna zobaczyła, że Maria de Vaugrigneuse zacisnęła wargi, widząc ją w pierwszym rzędzie. Saint-Remy usiadł obok i mówił bez przerwy, krytykując stroje i anonsując z werwą przybywających. Trzeba przyznać, że czynił to z uszczypliwym, lecz zabawnym dowcipem. Ermengarda odpowiadała mu ponad głową Katarzyny siedzącej pośrodku, a wymiana zdań rozpraszała nieco niepokój młodej kobiety. Katarzyna nie mogła powstrzymać się od zapytania:

- Widziałeś już, panie de Saint-Remy, walczącego w pojedynku Arnolda de Montsalvy'ego? Czy uważasz, podobnie jak wszyscy, że nie ma żadnych szans?

Ermengarda westchnęła głośno z wyrozumiałością, a zarazem ze znużeniem, a Saint-Remy wyprostował długie nogi i wybuchnął śmiechem.

Nachylił się poufale ku sąsiadce:

- Nie powtarzaj tego, pani, gdyż byłbym zhańbiony, ale sądzę, że to bastard będzie miał duży kłopot. Lionel jest silny jak byk, ale Montsalvy mocno się trzyma... i, co więcej, ma najgorszy charakter w całym królestwie francuskim. Będzie się dobrze pilnował, aby nie zginąć, chyba że zdecyduje coś innego. I tylko po to, aby zrobić na złość przeciwnikowi...

Zaczął śmiać się z niedbałym i trochę głupawym wyrazem twarzy, po którym trudno było coś powiedzieć o jego umyśle. Katarzyna mu wtórowała, jej humor się poprawił. Czuła, jakby kamień spadł jej z serca, wróciła wiara. Ku swemu wielkiemu żalowi nie mogła kontynuować rozmowy, bo w głównej loży, pokrytej purpurowym aksamitem ze złotymi frędzlami, pojawił się książę Filip i księżniczki. Przywitała ich olbrzymia owacja. Filip był ubrany jak zwykle na czarno, na głowie miał obszerny kaptur, a na szyi kolię z diamentów wielkości orzecha. Był blady i obojętny. Katarzyna spostrzegła, iż zerknął przelotnie na pole walki, gdzie słyhać było wiwaty ludzi zgromadzonych przy ogrodzeniu, ale nie uśmiechnął się. Wraz z nim pojawiły się dwie pary narzeczonych: Bedford, zimny i bardzo angielski, prowadzący uroczyście Annę, a następnie Richemont i Małgorzata, uśmiechnięci i zajęci sobą. Książę Bretanii przyszedł wraz z nimi i wszyscy zajęli miejsca w fotelach z herbami. W cieniu, za fotelem Filipa, Katarzyna spostrzegła męża i Mikołaja Rolina. Mężczyźni dyskutowali i nie patrzyli na arenę.

Książę Filip usiadł i dał znak ręką. Dwudziestu trębaczy ustawiło się przed trybunami, śląc w stronę pochmurnego nieba przenikliwe wezwanie fanfar. Katarzyna poczuła, że jej ręce stają się lodowate, policzki zapadają się, a lekki dreszcz przesuwają się wzdłuż kręgosłupa: nadszedł moment walki.

Między sznurami, które przecinały pole potyczki, tworząc wąski korytarz, zbliżał się herold Beaumont z białą buławą w dłoni. Za nim

ustawiło się sześciu giermków w krótkich płaszczach ozdobionych herbami. Jan de Saint-Remy podał cicho Katarzynie ich nazwiska. Byli to: Fusil, Germales, Montreal, Pelerin, Talant i Noyers. Młody doradca zdawał się nadzwyczajnie podniecony.

- Jego Wysokość obiecał mi, że jeśli kiedyś stworzy zakon rycerski, o czym marzy jako o symbolu swej chwały, mianuje mnie królem oręża! - zwierzył się Katarzynie.

- To wspaniale - odpowiedziała automatycznie z całkowitą obojętnością.

Cała jej uwaga zwrócona była na Beaumonta. W ciszy, jaka nastąpiła, gdy zamilkły fanfary, ogłaszał reguły walki. Od dwudziestu czterech godzin heroldzi obu stron przemierzali miasto, powtarzając na każdym skrzyżowaniu te reguły. Katarzyna znała je na pamięć. W myśli powtarzała wraz z Beaumontem: „Do walki wybrano kopie i topory. Każda ze stron może skorzystać z sześciu kopii”. Słowa te docierały do niej, lecz nie przenikały do uszu i pamięci. Podczas gdy obwieszczenie dobiegło końca, ona modliła się z całego serca do Czarnej Madonny z Dijon, do Najświętszej Marii Dobrej Nadziei.

- Miej go w swej opiece - błagała żarliwie. - Miej go w swej opiece, Matko Zbawiciela! Spraw, aby nie dotknęło go żadne zło. Ocal go, ocal, nawet gdybym miała stracić go na zawsze! Żebym przynajmniej wiedziała, że żyje gdzieś pod tym samym niebem, co ja. Uratuj go, Najświętsza Panno, uratuj go!

Nagle poczuła, jak wysycha jej gardło. Na wezwanie herolda bastard de Vendome, na koniu i w pełnej zbroi, podjechał drobnym klusem i zatrzymał się przed księciem. Katarzyna popatrzyła z przestachem na olbrzymiego rycerza, na jego zbroję z błękitnej stali, na rudego konia, prawie niewidocznego pod jedwabnym nakryciem i purpurowym czaprakiem.

Rycerz nosił hełm z dwoma byczymi rogami, między którymi umieszczony był jego herb: złoty lew. Przypominał czerwono-szary mur! Był nadzwyczajny!

Zafascynowana Katarzyna nie mogła oderwać od niego oczu, ale okrzyk zdumienia, jaki wyrwał się z tysiąca piersi, spowodował, że poderwała się na równe nogi.

- Och! - wykrzyknął Saint-Remy z podziwem i zarazem ze zgorszeniem - cóż za zuchwałość! Cóż za insygnia!

Ermengarda straciła głos. Katarzyna zobaczyła jak we śnie Arnolda na koniu wyjeżdżającego z namiotu w pełnej zbroi. W zupełnej ciszy wolno podjechał pod książęcą trybunę. Olbrzymi Lionel de Vendome przyglądał mu się z wielkim szacunkiem. Ten, który się zbliżał, nie był już rycerzem sprzed paru dni. Arnold de Montsalvy miał na sobie barwy króla Francji! Pod zbroję włożył tunikę z niebieskiego jedwabiu, ozdobioną złotymi kwiatami lilii, takiego jak jedwab czapra, który przykrywał konia. Skórzane lambrekiny osłaniające kark wierzchowca były niebieskie i złote. Na hełmie, zamiast czarnego krogulca i książęcej korony, znajdował się kwiat lilii wysadzany szafirami. Koński łeb był również przyozdobiony kwiatem lilii. Tylko jeden szczegół pozwalał odgadnąć, że nie jest to sam król; królewska korona na hełmie została zastąpiona prostą niebiesko-złotą heraldyczną koroną barona. Z podniesioną przyłbicą, tak że widać było nieruchomą twarz, Arnold zbliżał się w królewskich barwach, niczym jaśniejący i wzbudzający szacunek symbol feudalny.

- Jest wspaniały! - powiedziała ochryłym głosem Ermengarda. - To archanioł Michał we własnej osobie!

Saint-Remy potrząsnął głową z odrobiną smutku i sceptycyzmu.

- Byłoby dobrze, gdyby był nim naprawdę! Kwiat lilii nie może przegrać, gdyż król będzie zhańbiony! Popatrzcie, Jego Wysokość jest

bardzo blady!

W istocie była to prawda. Kierując wzrok w kierunku Filipa, Katarzyna zobaczyła, że wyglądem przypominał widmo. Na tle czerni kaptura i kaftana wydłużona twarz wydawała się szarzielona. Zaciskając zęby, patrzył na symbole władcy, którego chciał się wyrzec. Szarymi, szeroko otwartymi oczyma spoglądał na lilię, taką samą jak ta, która przyozdabiała hełm jego własnej zbroi. Był to wielce wymowny zarzut wobec zbratanego z Anglikami księcia de Valois'a. Książę musiał się opanować. Obaj rycerze, stojąc ramię w ramię, ale oddzieleni sznurami, opuścili kopie w kierunku trybuny. Katarzyna drżała i zaciskała ręce aż do bólu, co zwykle robiła, będąc wzruszona. Zobaczyła, że młoda kobieta siedząca obok Filipa, piękna i wspaniale ubrana, pochyliła się i przywiązała różową, haftowaną złotem wstęgę do kopii bastarda, posyłając księciu zwycięski uśmiech. Jan de Saint-Remy szepnął:

- Pani de Presles! Najnowsza faworyta Jego Wysokości! Daje w ten sposób do zrozumienia, że życzy jak najlepiej sprawie kochanka, ofiarowując swe barwy jego rycerzowi. Urodziła Filipowi syna i już uważa się za księżnę!

Katarzyna oddałaby wszystko na świecie za możliwość przywiązania do kopii Arnolda delikatnej muślinowej chusteczki, którą trzymała w dłoniach.

W książęcej łoży powstało jakieś zamieszanie. Księżniczka Małgorzata wstała, odwróciła się do Artura de Richemonta i zapytała:

- Czy pozwolisz mi, panie?

Wszyscy usłyszeli jej jasny głos. Richemont skinął głową z uśmiechem, który zmarszczył jego pokrytą bliznami twarz. Katarzyna, pamiętając żarliwe prośby księżniczki w pałacu Saint-Pol, zobaczyła ze łzami w oczach, jak Małgorzata pochyliła się i przywiązuje swój niebieski we-

lon, w kolorze czapra rycerza, do kopii królewskiego obrońcy.

- Niech Pan Bóg da ci odwagę, Arnoldzie de Montsalvy! Twój brat był moim przyjacielem, a ty walczysz w szlachetnej sprawie. Będę się za ciebie modliła.

Arnold skłonił się, prawie dotykając końskiego karku.

- Wielkie dzięki, szlachetna pani! Będę się więc również bił za miłość twoją i tego dzielnego rycerza, który zostanie twym szczęśliwym mężem. Jestem z tego dumny i prędzej umrę, niż cię zawiodę. Niech Bóg da ci szczęście tak wielkie, jak wielkie jest twoje szlachetne serce!

Twarz Filipa Burgundzkiego zadrżała; w jednej chwili postarzał się o dziesięć lat. Nie patrząc na brata, Małgorzata powróciła na swoje miejsce. Teraz obaj przeciwnicy odwrócili się tyłem do siebie i udali w przeciwległe rogi pola, gdzie giermkowie szykowali kopie z jesionowego drzewa i żelaza, nie zaś turniejowe kopie z lekkiego drewna. Tuż obok giermka Arnolda Katarzyna dostrzegła rudą czuprynę pana de Xaintrailles'a, który miał potykać się w następnej kolejności z panem de Rebecque'em, sekundantem de Vendome'a. Znowu zagrały fanfary. Herold Beaumont krzyknął mocnym głosem:

- Przetnijcie sznury i rozpoczynajcie walkę!

Pod nożami giermków sznury opadły na ziemię. Pole było puste. Walka mogła się rozpocząć. Walczący rzucili się ku sobie z podniesionymi kopiami i tarczami na ramieniu. Katarzyna zamknęła na chwilę oczy. Wydawało jej się, że ciężki galop koni obciążonych stałą, pod którym drżała ziemia, dudni w jej sercu. Wszyscy na trybunach wstrzymali oddech. Ermengarda położyła rękę na dłoni młodej kobiety.

- Przyglądaj się. Widowisko jest tego warte, a szlachetna dama musi umieć spojrzeć prawdzie w oczy. No patrzże, do licha! Twój mąż ci się przygląda.



Katarzyna natychmiast otworzyła oczy. Nastąpiło gwałtowne uderzenie i głośny okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi. Kopie uderzyły w sam środek tarcz. Ciosy były bardzo mocne. Przeciwnicy zgięli się w siodłach, ale żaden nie spadł z konia. Udali się klusem w przeciwległe rogi areny, aby odebrać z rąk giermków nowe kopie.

- Sądzę, że zobaczymy wspaniałą walkę - powiedział spokojnie Saint-Remy nienaturalnym głosem. - To było znakomite!

Katarzyna spojrzała na niego krzywo. Ten sportowy entuzjizm szokował ją, wydawał się nie na miejscu, gdy w grę wchodziło życie ludzkie. Powiedziała uszczypliwie:

- Jakże to możliwe, że chociaż urodzony w Abbeville, nie jesteś panie po stronie króla Francji?

- Byłem - powiedział spokojnie. - Ale dwór Izabeli jest zepsuty i nie wiadomo, czy ten, który podaje się za Karola VII, jest prawdziwym synem Francji. Wolę księcia Burgundii.

- Wydaje się, że dobrze życzysz panu Arnoldowi de Montsalvy'emu.

- Bardzo go lubię. Gdyby był Karolem VII, nie miałbym przyjemności być w twoim, pani, towarzystwie, gdyż pozostawałbym przy Majestacie.

- Fakt, że służy królowi, powinien ci wystarczyć! - powiedziała Katarzyna surowo.

Ermengarda dała jej znak, by zamilkła. Rycerze ponownie ruszyli ku sobie z wielkim zapalem. Entuzjizm był chyba zbyt wielki, gdyż tym razem nic się nie wydarzyło. Koń bastarda uskoczył w momencie, gdy miał wyminąć się z koniem Arnolda. Kopie nie trafiły w cel, a rycerze z rozpędu przejechali jeszcze kilka sążni, zanim zawrócili i udali się do swoich obozów. Ruszając do namiotu, Arnold podniósł na chwilę przyłbicę hełmu, aby odetchnąć świeżym powietrzem.

Kiedy przejeżdżał drobnym klusem przed trybunami, Katarzyna

uchwyciła jego spojrzenie. Zobaczyła, że piękna, surowa twarz młodego człowieka skurczyła się lekko. Wtedy uśmiechnęła się do niego z całego serca, a miłość rozświetliła jej twarz z taką mocą, że Arnold zdrzął. Opuścił głowę i udawał, że zaciska mocniej na ramieniu niebieską szarfę. Zatrzymał się przed trybuną tylko na chwilę, ale Katarzyna była pełna radości. Tym razem spojrzenie Arnolda, które skrzyżowało się z jej spojrzeniem, nie było pogardliwe. Było w nim ciepło, jakiego się nie spodziewała. Ale cenna minuta już upłynęła.

I znowu walka porwała rycerza w piekielny taniec. Przeciwnicy złamali jeszcze po dwie kopie, bez widocznych wyników. Atakowany przez bastarda Arnold zginał się niekiedy, lecz pozostawał w siodle. Przy piątym natarciu kopia Lionela uderzyła w hełm młodego człowieka. Katarzynie wydało się, że głowa rycerza została urwana. Ale głowa i hełm były na swoim miejscu. Tylko przyłbica urwała się z jednej strony, odsłaniając twarz młodzieńca, po której spływały dwie strużki krwi.

- Jest ranny! - krzyknęła Katarzyna, unosząc się z miejsca. - Boże wszechmogący!

Czuła, że się dusi. Słaby okrzyk wyrwał się z jej warg tak białych jak sukienka.

Ermengarda chwyciła ją za ramię i zmusiła do zajęcia miejsca.

- Do licha, nie rób takiego widowiska. Zachowaj spokój, przyjaciółko! Patrz na siebie!

- To nic poważnego - powiedział Saint-Remy, spoglądając na rannego. - Nit z hełmu rozciął mu twarz.

- Ale niedawno był ranny w głowę! - jęknęła Katarzyna z tak wielkim bólem i trwogą, że sąsiad popatrzył na nią uważnie. Uśmiechnął się przelotnie.

- Wydaje mi się, że nie jestem jedynym Burgundczykiem, który dobrze

życzy rycerzowi króla Karola - powiedział uprzejmie. - Powiem ci więc, pani, tak jak księżna Ermengarda, abys się nie niepokoila. Ten zuch jest wytrzymały. Walczył już z niejednym.

Arnold z niecierpliwością zerwał ręką zwisającą przyłbicę, drugą zaś uchwycił kubek z wodą, który mu podał Xaintrilles, i pospiesznie, długimi łykami, gasił pragnienie. Katarzyna spostrzegła, że bastard robi to samo. Obydwaj chwycili w tym samym ułamku sekundy szóstą i ostatnią kopię. Jeśli obaj utrzymaliby się w siodle, walka będzie kontynuowana na koniach, ale na topory. Arnold z odsłoniętą twarzą był w niekorzystnym położeniu. Lionel de Vendome, jak gdyby chcąc to podkreślić, zatrzasnął gwałtownie swój hełm. Rumaki skoczyły ku sobie, wrywając kopytami kłęby trawy. Katarzyna przeżegnała się. Uderzenie kopii było straszliwe. Bastard włożył całą swoją siłę w ten ostatni cios. Trafiony w naramiennik Arnold został dosłownie wyrwany z siodła. Wyrzucony w powietrze spadł na barierkę, pięć kroków od swego konia, który uciekł wystraszony. Ale siła uderzenia spowodowała, że i Lionel stracił równowagę. Cios kopii Arnolda, chociaż niezbyt celny, dokonał reszty. Bastard wypadł ze strzemion i zsunął się ciężko na ziemię ze szczękiem zbroi.

- Cóż to za upadek bez odrobiny wdzięku! - stwierdził Saint-Remy szyderczo na użytek Katarzyny. - Dzięki temu szanse będą wyrównane.

Upadek de Vendome'a bardzo się przydał przeciwnikowi. Zwinny jak kot, pomimo ciężaru pięćdziesięciu funtów stali na plecach i nowej rany, która wkrótce stała się widoczna, kiedy plama krwi zaczęła się powiększać na haftowanej w lilie tunice, zerwał się na równe nogi. Ponieważ czubki stalowych cizem przeszkadzały mu, pozbył się ich gwałtownie, a następnie złapał za topór wbity już obok. W tym momencie znajdował się przed Katarzyną i młoda kobieta zobaczyła, jak drobnymi krokami posuwa się w kierunku przeciwnika, ze zwężonymi źrenicami, z tarczą na lewym ramieniu

i podniesionym toporem. Lionel de Vendome powstał również. Gdy tak stali twarzą w twarz, uwidoczniła się różnica wzrostu. Arnold mierzył ponad metr osiemdziesiąt, ale w porównaniu z przeszło dwumetrowym bastardenm wydawał się mały. Topór w pięści Lionela wyglądał jak pień drzewa oprawiony w szarą stal. Nie łapiąc tchu i nie pozostawiając bastardowi czasu, Arnold skoczył ku niemu. Chciał zwyciężyć szybko. Rany i krew, którą tracił, pozostawiały mu tylko ten wybór; Katarzyna czuła to całym ciałem. Cierpiała fizycznie razem z nim. Topór uderzył w zbroję de Vendome'a, który przygotowywał się do ataku. Szybkim ruchem Arnold uskoczył na bok, unikając śmiertelnego ciosu, powrócił na poprzednie miejsce i uderzył jeszcze raz...

Uderzenia toporów o stal zabrzmiały jak dźwięk dzwonów, sypnęły iskry. Wówczas rycerz króla uderzył, wywołując wiwaty wśród widzów. Topór Arnolda spadł na górną część hełmu Lionela, przecinając złotego lwa, który potoczył się w piach. Wszyscy usłyszeli ryk wściekłości bastarda. Wyprostował się, uchwycił topór w obie dłonie, aby zabić zuchwalca, który pozbawił go herbu, Ale stalowe ciżmy przeszkadzały mu. Potknął się, o mało nie upadł i Arnold bez wysiłku odparował uderzenie. Katarzyna zobaczyła, że de Vendome'a ogarnęła ślepa wściekłość. Chciał zabić, i to szybko! Szybkie, ale mało dokładne ciosy wyczerpywały go, nie przynosząc oczekiwanego skutku. Ogarnięty wściekłością, uderzał na oślep. Natomiast wydawało się, że Arnold staje się coraz bardziej opanowany. Wybrał właściwy moment i uderzył kilkakrotnie, rozcinając przyłbicę Lionela, która odpadła, odkrywając czerwoną i spoconą twarz nieprzyjaciela. Bastard wyciągnął dłoń, aby złapać topór młodzieńca, ale ów odrzucił go daleko od siebie i zaatakował olbrzyma stalowymi szponami rękawic. Czując, że szpony rycerza orzą mu twarz, Vendome cofnął się, poślizgnął i upadł na ziemię. Arnold rzucił się na niego, z zapalem obdzierając go ze skóry.

Pozbawiony sił i na wpół oślepiiony bastard ryczał jak wół w rzeźni. Wszyscy usłyszeli, że błaga o łaskę! Klęcząc jednym kolaniem na piersi nieprzyjaciela, Arnold wykonał ruch, jakby chciał wyciągnąć sztylet, ale rozmyślił się. Wstał, wstrząsnął rękawicami spływającymi krwią, a następnie wykrzyknął z pogardą:

- Bóg rozsądził! Wstawaj! Rycerz króla Francji nie podcina gardła pokonanemu nieprzyjacielowi. Błagałeś o łaskę. Przebaczam ci... książę Burgundii.

Nie mówiąc nic więcej, odwrócił się przy dźwięku wiwatów zgromadzonego wzdłuż barier tłumu. Wstrząśnięta Katarzyna czuła, że młodzieniec słabnie, jakby to jego krew spływała na ziemię. Zataczał się jak pijany. Giermek i Xaintrailles przybiegli w samą porę, aby chwycić go pod rękę w momencie, kiedy stracił przytomność i miał runąć na ziemię.

- Francuska lilia zwyciężyła - powiedział poważnie Saint-Remy. - Może to dobra wróżba.

Katarzyna popatrzyła na niego, ale tym razem wyraz jego twarzy był trudny do rozszyfrowania. Nie można było odgadnąć, czy szlachcic jest zadowolony, czy też nie z takiego obrotu sprawy. Być może nie miał odwagi okazać radości, kiedy twarz Filipa, po której płynęły łzy wściekłości, skurczyła złość.

Wzruszyła ramionami z pogardą, podniosła się, przygarnęła suknię i skierowała się ku wyjściu z trybuny. Ermengarda ją zatrzymała.

- Dokąd idziesz?

- Przecież wiesz, pani! I wiesz także, że tym razem nie zdołasz mnie powstrzymać. Nikt nie ma takiej władzy, nawet książę!

- Kto ci powiedział, że chcę cię powstrzymać? - powiedziała księżna, wzruszając ramionami. - Leć, śliczny motyłu, leć poparzyć sobie skrzydła. Kiedy wrócisz, zobaczę, co da się zrobić, aby ugasić pożar.

Ale Katarzyna była już daleko.

## *Rozdział dwunasty*

### *Pod dachem z błękitnego jedwabiu*

Katarzyna miała trochę trudności z utorowaniem sobie drogi wśród podnieconego tłumu, płynącego ze wszystkich stron, którego nawet straż nie mogły zahamować. Ale wszyscy ustępowali z drogi pięknej, wspaniale ubranej damie. Nie zdając sobie z tego sprawy, uśmiechała się w kierunku wielkiego, błękitnego namiotu, który ponad głowami zdawał się ją przyciągać. Kiedy znalazła się w pobliżu wejścia, szkocki strażnik zawahał się przez sekundę, lecz na widok klejnotów i stroju świadczących o pozycji damy, nie ośmielił się jej zatrzymać. Cofnął się, kłaniając grzecznie i przewracając pełnymi zachwyty oczyma, wyłaniającymi się z nad rudych wąsów. W swej uprzejmości posunął się tak daleko, że sam wzniosł połę z błękitnego jedwabiu zasłaniającą wejście do namiotu. Wtedy Katarzyna zobaczyła Arnolda...

Leżał wyciągnięty na niskim łożu, a przy nim krzątał się giermek. Katarzyna widziała tylko jego czarne włosy i głowę wspartą na poduszce. Fragmenty zbroi, którą zdejmowano mu w pośpiechu, leżały na ziemi, z wyjątkiem hełmu z kwiatem lilii i zakrwawionych rękawic rzuconych na skrzyni. Po raz pierwszy znajdowała się w namiocie rycerskim jego rozmiary zdziwiły ją. Wnętrze namiotu tworzyło rozległe, ośmiokątne pomieszczenie, całkowicie obwieszane dywanami i jedwabnymi zasłonami.

Było dużo mebli, skrzyń, foteli, kufrów, na których stały puchary i naczynia, wszędzie leżała broń i panował olbrzymi nieład. Tuż obok łoża giermek otworzył wielką skrzynię z lekami. Wydobywał się z niej jednocześnie ostry i mdły zapach balsamu. Katarzyna rozpoznała natychmiast tę woń, znaną z jej obozu Karol Wielki, gdy Abu-al-Khayr leczył Arnolda.

Z początku nikt nie zauważył gościa. Giermek odwrócony był tyłem, a Arnold ukryty za jego plecami. W kącie namiotu Jan de Xaintrilles przygotowywał się do walki z panem de Rebecque'em, wkładając zbroję przy pomocy osobistego giermka i nucąc pieśń miłosną, której słowa odcisnęły się w pamięci dziewczyny:

*O czym myślisz, moja piękna pani,  
Czy ci się podobam? Nie musisz tego przede mną taić,  
Gdyż za całe złoto nie zbliżę się do ciebie, bez twojej ochoty.*

Katarzyna usłyszała, że Arnold, któremu zabiegi musiały sprawiać ból, zaklął przez zęby, a następnie burknął:

- Falszujesz...

Rudowłosy rycerz odwrócił się, aby coś odpowiedzieć. Czyniąc to, ujrzał Katarzynę i słowa piosenki zamieniły się w jego ustach w gwizd zachwyty. Odepchnął giermka kuksańcem i zbliżył się z szerokim uśmiechem.

- Piękna pani - powiedział, kłaniając się uprzejmie, na ile pozwalał na to stalowy pancerz. - Wizyta tak czarującej osoby tuż przed walką jest dla rycerza, godnego tego miana, największą pociechą. Nie sądziłem, iż moje zasługi są już tak znane, że najpiękniejsza kobieta odwiedza mnie jeszcze przed zakończeniem walki. Czy uczynisz mi łaskę i powiesz, kim jesteś?

Katarzyna uśmiechnęła się do niego mile i wyprowadziła go z błędu.

- Wybacz mi, panie, nie przychodzę do ciebie, lecz do niego - powiedziała, wskazując na Arnolda, który na dźwięk jej głosu wyrwał się z rąk giermka i siadając, spoglądał na nią ze zdziwieniem i gniewem.

- To znowu ty, pani! - wykrzyknął niezbyt uprzejmie. - Czy uważasz za swój obowiązek przybiegać do mego wezglowia za każdym razem, kiedy dostaję szturchańca? W takim razie będziesz miała, moja droga, dużo do roboty...

Głos był twardy, ton ironiczny, ale Katarzyna obiecała sobie, że nie wpadnie w złość. Uśmiechnęła się do niego z bezwiedną czułością.

- Widziałam, jak straciłeś przytomność, panie. Obawiałam się, że twoja rana na głowie może się otworzyć. Straciłeś przedtem dużo krwi.

- Prosiłem cię już, pani, abyś nie troszczyła się o mnie - powiedział. - O ile wiem, masz męża, a jeśli chcesz okazywać komuś litość, daruj ją raczej swemu kochankowi. Książę Filip bardzo jej teraz potrzebuje!

Xaintrilles, którego żywe, brązowe oczy spoczywały na przemian to na jednym, to na drugim z rozmówców, włączył się do konwersacji.

- Ten niedźwiedź owerniacki nie jest godny twojej troski, pani. Powinnaś przelać ją na kogoś, kto jest tego wart o wiele bardziej. Na honor, mam ochotę pozwolić Rebecque'owi, aby nabił mi parę guzów, jeśli bym mógł mieć nadzieję, że te delikatne rączki będą mnie pielęgnować.

Arnold odepchnął giermka jednym ruchem ręki. Od dołu do pasa miał jeszcze na sobie części zbroi, od góry ubrany był w koszulę z białego lnu. Szeroko rozwarta na piersi pozwalała dojrzeć opatrunek.

- Nic mi nie jest, to tylko zadraśnięcie - powiedział, wstając z wysiłkiem. - Idź bić się, Janie, Rebecque czeka na ciebie. Pamiętaj, jeśli ja jestem owerniackim niedźwiedziem, to ty też nim jesteś...

Xaintrilles zgiął ze dwa, trzy razy kolana, aby sprawdzić, czy złącza pancerza są dobrze nasmarowane, nałożył na zbroję jedwabną tunikę, wziął z



rak pazia hełm zwieńczony wieżą i przystrojony kolorowymi lambrekinami.

- Idę, zabiję Rebecque'a i wracam - powiedział wesoło. - Na miłość boską, nie bierz sobie pani do serca wstrętnego charakteru tego chłopaka i nie odchodź z namiotu przed moim powrotem, abym mógł jeszcze cieszyć się twoim widokiem. Niektórzy ludzie mają więcej szczęścia, niż na to zasługują.

Kłaniając się znowu, wyszedł i rozpoczął piosenkę w miejscu, gdzie wcześniej przerwał:

*Trudno, jeśli odmówisz mi swej miłości...*

Arnold i Katarzyna pozostali sami, gdyż obaj giermkowie i paż poszli oglądać walkę. Stali twarzą w twarz, rozdzieleni skrzyneczką z balsamem postawioną na ziemi, lecz może również niewidzialnym antagonizmem, który wyrósł między nimi i rzucił do wrogich obozów. Katarzyna nie wiedziała, co powiedzieć. Tak długo czekała na tę chwilę, tak bardzo chciała znaleźć się z nim sam na sam, że kiedy marzenie spełniło się - była bez sił, jak wyczerpany burzą pływak dobijający do brzegu. Patrząc na Arnolda, nie zdawała sobie sprawy, że wargi jej drżą, a oczy są wilgotne. Całe jej ciało było jednym błaganem, prośbą, aby nie czynił jej krzywdy. On również spoglądał na nią, tym razem bez złości, z pewnym zainteresowaniem. Z głową lekko opuszczoną kontemplował promienną twarz spowitą delikatną koronką, cudowne różowe usta, krótki zgrabny nos, wielkie oczy, których zewnętrzne kąci wznosiły się lekko ku skroniom.

- Masz fiołkowe oczy, pani - powiedział łagodnie, jak gdyby do siebie. - Najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem, i największe. Jan ma rację, jesteś cudownie piękna, budzisz pożądanie... jesteś godna księcia! - dodał z goryczą. Jego twarz zmieniła się gwałtownie, wzrok stał się twardy. - Teraz powiedz mi, pani, po co tutaj przyszłaś...a potem odejść! Sądziłem, że

zrozumiałaś, iż nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Katarzynie powróciły mowa i odwaga. Jego uśmiech, słowa, które wypowiedział, wystarczały, aby wyruszyć na podbój niemożliwego. Nie bała się już ani jego, ani innych. Istniało między nimi coś niewidzialnego, czego być może młodzieniec nie odbierał, ale co ona czuła całą swoją istotą. Cokolwiek by Arnold mówił i robił, nie mógł przeszkodzić temu, że należała do niego na zawsze i całkowicie, jakby uczynił ją swoją w obeerzy na rozstaju dróg. Łagodnie, bez przestraszenia ani wahania, powiedziała:

- Przyszłam powiedzieć, że cię kocham.

Wymówiwszy te słowa, poczuła się wolna. Jakież to było łatwe i proste! Arnold nie zaprotestował, nie obrzucił jej obelgami, czego się spodziewała. Cofnął się tylko o krok, podnosząc dłoń do oczu, jak gdyby poraził go zbyt silny blask, i po dłuższej chwili wyszeptał głucho:

- Nie wolno! To stracona miłość! Ja również mógłbym pokochać cię, pani, bo jesteś piękna i pragnę cię. Ale jest między nami zbyt wielka przepaść. Nic jej wypełnić nie zdoła i nie umiałbym jej przekroczyć bez odrazy, nawet gdybym przez chwilę pozwolił gorącej krwi zapanować nad mą wolą. Odejdź...

Zamiast usłuchać, Katarzyna zbliżyła się, spowijając go zapachem perfum, zdecydowanym i cudownym, które Sara tak umiejętnie przygotowywała. Słodki zapach płynący z jej ubioru zwyciężył zapach krwi i balsamu, wypełniający olbrzymi namiot. Zrobiła w jego stronę jeszcze jeden krok, pewna siebie i swej mocy. Jak mógłby od niej uciec, skoro widziała jego drżące ręce i wzrok, unikający jej spojrzenia?

- Kocham cię - powtórzyła głosem niskim i namiętym. - Zawsze cię kochałam, od chwili kiedy cię zobaczyłam. Przypomnij sobie... ten świt, kiedy po przebudzeniu znalazłeś mnie obok siebie. Nic innego nie zaprzętało twego umysłu... prócz tego, że ci się podobam. A ja przyjmowałam twoje

pieszczoty i byłam bliska całkowitego oddania, bez wstydu i żalu! W głębi duszy bowiem jestem twoja. Odwracasz głowę? Czemu na mnie nie patrzysz? Czy boisz się mnie, Arnoldzie?

Po raz pierwszy nazwała go po imieniu, ale nie zaprotestował. Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Bać się? Nie. Nie boję się ciebie, pani, ani twoich czarów. Może boję się siebie... nie wiem! Czemu przychodzisz mówić mi o miłości? Sądzisz, że dam się nabrać na twoje słowa? Przychodzą ci z taką łatwością, moja śliczna, że musiałbym być szalony, aby w nie uwierzyć.

W miarę jak mówił, ożywił się, podsycając złość, będącą najlepszą formą obrony.

- Nie wierzysz w moją miłość? - powiedziała z przygnębieniem Katarzyna. - Ale... dlaczego?

- Dlatego, że często powtarzane słowa nie mają żadnej wartości! Ot i wszystko! Chcesz, policzymy wspólnie. Sądzę, że mówiłaś je swemu powabnemu małżonkowi... i księciu Filipowi, ponieważ jest twoim kochankiem? Komu jeszcze? Och! Może temu młodemu i czarującemu oficerowi, który uganiał się za tobą w drodze do Flandrii? To już trzech, dodaj do tego jeszcze tych, o których nie wiem.

Pomimo danej sobie obietnicy, że nie będzie się gniewać, Katarzyna nie wytrzymała. Jego szyderczy ton był nie do przyjęcia, gdy ona przybywała do niego ze słowami miłości. Zaczerwieniła się gwałtownie, tupnęła nogą.

- Przestań mówić, panie, o sprawach, których nie znasz. Powiedziałam, że cię kocham, i powtarzam to. Jestem dziewicą pomimo ślubu, bo mąż nawet mnie nie tknął!

- Ani książę? - zapytał Arnold wyniośle.

- Ani książę! Ubiega się o mnie, ale nie należę do niego ani do nikogo

prócz ciebie... jeśli tego chcesz!

- Jak możesz udowodnić, że mówisz prawdę?

Gniew Katarzyny zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Uśmiechnęła się promiennie do młodzieńca.

- Och... mój słodki panie, wydaje mi się, że łatwo można to udowodnić!

Nie powiedziała nic więcej. Zrobił krok w jej kierunku, przyciągany tą twarzą, jaśniejącą łagodnie w błękitnym cieniu namiotu. Na skurczonym obliczu rycerza Katarzyna wyczytała nieprzeparte, takie jak w dniu poznania, pożądanie. Intuicyjnie przeczuwała, że w tej chwili zapomni o wszystkim oprócz cudownych kobiecych kształtów, które miał przed sobą. Wiedziała, że zwyciężyła. Patrząc mu w oczy, przekroczyła skrzynkę z balsamem, oparła się o pierś Arnolda; stojąc na czubkach palców, zarzuciła mu ręce na szyję i podała usta. Zesztywniał. Poczowała, że jego mięśnie napinają się, jakby ciało usiłowało ją instynktownie odepchnąć. Śmiechu warta obrona! Czar wiotkiego przytulonego ciała podziałał na młodzieńca jak czarodziejski napój. Stracił panowanie nad sobą w tej samej chwili, kiedy Katarzyna pozwoliła nieść się namiętności i burzy zmysłów. Wszystko zniknęło! Błękitne ściany namiotu, godzina, miejsce, nawet hałas dobiegający z pola walki, gdzie tysiąc gardzieli krzychało z zapalem.

Arnold przycisnął Katarzynę do piersi z dziką brutalnością. Przepelniony od wielu miesięcy głębokim pragnieniem, którego nie udało mu się zaspokoić, zawładnął świeżymi, różowymi ustami i pokrył je pełnymi pasji pocałunkami. Przyciskał ją tak mocno, że Katarzyna, przepelniona szczęściem, czuła przy swojej piersi szalone bicie jego serca. Dwa oddechy tworzyły teraz jeden i młodej kobiecie wydawało się, że umrze pod tymi wymagającymi ustami, wysysającymi z niej życie. Zagubieni w miłosnym uniesieniu chwiali się na niepewnych nogach, spleceni w uścisku, jak dwa

samotne krzewy wstrząsane wichrami pośrodku wrzosowiska.

Nie usłyszeli powrotu Xaintrailles'a, czerwonego i dyszącego jak kowal, z rozciętą wargą. Rycerz zatrzymał się przy wejściu, z hełmem pod pachą. Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy. Nie spiesząc się i nie spuszczać wzroku z obejmującej się pary, nalał sobie pełną szklanicę wina i wypił za jednym zamachem. Następnie, nakazawszy giermkom, aby pozostali na zewnątrz, zaczął, nie spiesząc się, zdejmować części zbroi. Był przy prawym naramienniku, gdy Arnold uniósł lekko głowę, spostrzegł go... i puścił Katarzynę tak gwałtownie, że musiała złapać go za ramię, aby nie upaść.

- Nie mogłeś powiedzieć, że jesteś tutaj?

- Nie chciałem wam przeszkadzać - powiedział Xaintrailles. - Nie zwracajcie na mnie uwagi. Ściągam to i wychodzę.

Mówiąc to, zdejmował nadal zbroję; był już przy nagolennikach, podczas gdy jego przyjaciel nie zdążył jeszcze zdjąć swoich. Katarzyna, przytulona do piersi Arnolda, patrzyła na niego z uśmiechem. Nie czuła wstydu i zażenowania, że została zaskoczona w ramionach ukochanego mężczyzny. Arnold należał do niej, ona należała do Arnolda; nawet wejście Garina nie zmieniłoby tego! Młodzieniec obejmował ją ramieniem, jakby bał się, że mu umknie, lecz nadal obserwował rozbierającego się de Xaintrailles'a.

- A co z Rebecque'em? - zapytał. - Co z nim zrobiłeś?

- Będzie miał kłopot z siadaniem przez jakiś miesiąc, a na głowie nabiłem mu olbrzymiego guza, ale jest cały.

- Zostawiłeś go przy życiu?

- Dalibóg! Na nic lepszego nie zasługiwał ten żółtodziób. Gdybyś go widział: trzymał topór jak kościelną świecę. Na Boga, wrzusiłem się...

Xaintrailles zakończył ściąganie pancerza. W koszuli i pludrach

dokonywał pospiesznej toalety za pomocą perfum, których obfitą strugę wylał na swe rude włosy. Następnie wyjął ze skrzyni krótki kaftan z zielonego aksamitu haftowanego srebrem i włożył długie ciżmy z tego samego materiału. Uczyniwszy to, złożył przed Katarzyną niski i ceremonialny ukłon.

- Padam do nóg, piękna pani! Odchodzę, aby opłakiwać mą złą gwiazdę... i twój, pani, brak gustu. Chciałbym też odnowić znajomość z dobrym winem z Beaune. Ci przekłęci Burgundczycy mają przynajmniej dobre wino!

Wspaniały i majestatyczny wyszedł, wzdychając z głębi duszy. Arnold zaczął się śmiać, a Katarzyna wraz z nim. Ogromne szczęście, jakie odczuwała w tej chwili, powodowało, że każda istota lub rzecz z otoczenia ukochanego była jej droga. Podobał się jej rudowłosy Xaintrilles. Nawet poczuła do niego pewną sympatię.

Arnold zajął się nią znowu. Łagodnie posadził ją na polowym łożu i ujął czarującą, wzruszoną twarz w obie dłonie, aby lepiej się jej przyjrzeć. Pochylił się nad nią.

- Jak odgadłaś, że cię przywoływałem - szepnął - że rozpaczliwie cię potrzebowałem? Wtedy, kiedy śmierć była blisko mnie, miałem ochotę skoczyć na trybunę i skraść ci pocałunek, aby przynajmniej opuścić ten świat, zaznawszy smaku twoich ust.

Obsypał znowu jej twarz szybkimi, czułymi pocałunkami; Katarzyna patrzyła na niego z uwielbieniem.

- Więc nie zapomniałeś mnie? - zapytała.

- Zapomnieć o tobie! O nie! Przeklinałem cię, nienawidziłem, ale zapomnieć o tobie? Jakiż mężczyzna, który choć przez chwilę trzymał w ramionach uosobienie piękna, mógłby o nim zapomnieć? Nie wiesz, ile razy śniłem o tobie, ilekroć przytulałem cię do siebie, pieściłem, kochałem. Ale -

dodał z westchnieniem - to zawsze był tylko sen, po którym następowało przebudzenie.

- Teraz to nie będzie sen - wykrzyknęła Katarzyna namiętnie - ponieważ jestem prawdziwa i wiesz, że należę do ciebie...

Nie odpowiedział, uśmiechnął się do niej, a dziewczyna nie wytrzymała i ucałowała uśmiechnięte usta. Nikt nie uśmiechał się tak jak on, młodzieńczo i ciepło. Jego wspaniałe zęby rozjaśniały opaloną skórę twarzy. Nagle Arnold wstał.

- Pozwól mi to zrobić - szepnął.

Zręcznym ruchem wyciągnął jedną ze szpilek, które przytrzymały nakrycie głowy Katarzyny, zdjął delikatną konstrukcję z jedwabiu i koronek i położył obok swego hełmu. Potem oswobodził włosy dziewczyny, które spłynęły na jej ramiona wspaniałą, złocistą lawą.

- Cóż za cudo! - zachwycił się z dłońmi zatopionymi w strumieniu żywego złota. - Żadna kobieta nie może pochwalić się podobną ozdobą!

Zbliżył się, zamykając ją znowu w ramionach, szukając jej warg, szyi, piersi. Ciężki, wspaniały naszyjnik z purpurowych ametystów przeszkadzał mu. Zdjął go i rzucił na ziemię jak bezwartościową rzecz, następnie zajął się złoconym pasem sukni.

Nagle u wejścia stanął ponownie de Xaintrilles. Już się nie uśmiechał.

- To znowu ty? - wykrzyknął Arnold wściekły, że mu przeszkadza. - Czegóż w końcu chcesz?

- Wybaczcie, ale wydaje mi się, że wybraliście zły moment na miłosne igraszki. Coś jest nie w porządku, Arnoldzie.

- Co?

- Szkoci zniknęli. Nie ma już nikogo z naszych wokół namiotu, podobnie zresztą jak na polu walki!

Arnold poderwał się jednym skokiem, chociaż Katarzyna próbowała go

zatrzymać przy sobie. Wyczuwała, że dzieje się coś niedobrego. Jej miłość była zagrożona, czuła to wyraźnie jak fizyczny ból.

- Jeśli to żart... - zaczął mówić młodzieniec.

- Czy wyglądam na żartownisia?

Była to prawda. Xaintrilles był blady, a na jego twarzy malował się niepokój. Arnold, chcąc pozbyć się go jak najszybciej, wzruszył ramionami.

- Piją pewnie z ludźmi Burgundczyka. Nie sądzisz chyba, że odjechali bez nas?

- Nic sobie nie wyobrażam, stwierdzam tylko fakt. Naszych ludzi też już tutaj nie ma...Arnold skierował się z żalem ku wyjściu, ale zanim do niego dotarł, zasłona podniosła się i w progu stanął człowiek z zarozumiałą miną. Katarzyna spostrzegła, że za jego plecami połyskują oręż i pancerze grupy żołnierzy. Nowo przybyły, w wieku około trzydziestu lat, nosił wspaniałą zbroję ze złoconej stali damasceńskiej oraz tunikę z czerwonego brokatu, ale nie spodobał się Katarzynie. Przypomniała sobie, że już go widziała w otoczeniu księcia, ale nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Odstępowały jego wąskie wargi, zaciśnięte nad energicznym podbródkiem, pozbawione uśmiechu. Gdy pojawiał się na nich uśmiech, to zawsze triumfalny i okrutny. Jego wylupiaste oczy były chłodne i bez wyrazu. Wszyscy w Burgundii wiedzieli, jak bezlitosnym panem był Jan de Luxemburg, dowódca armii burgundzkiej. Patrzył na obu rycerzy z miną kota, który przygotowuje się do schrupania myszy. Chociaż wyraz jego twarzy był niepokojący, nie wydawało się, aby to wzruszyło Arnolda i Xaintrilles'a. Ten ostatni zwrócił się szyderczo do Burgundczyka:

- Pan de Luxemburg? Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

De Luxemburg porzucił niedbałą pozę i podszedł parę kroków w asyście swoich ludzi. Jeden za drugim przekraczali próg i ustawiali się w namiocie, groźnie potrząsając orężem, otaczając obu mężczyzn i młodą



kobietę, na której spoczęło spojrzenie przywódcy.

- Wydaje mi się, panowie, że jesteście nieco spóźnieni - powiedział z mocnym północnym akcentem. - Pan de Buchan i jego ludzie galopują już od dłuższego czasu drogą do Guise.

- To kłamstwo! - rzucił Arnold z mocą. - Konetabl nie pozostawiłby nas w ten sposób...

Luksemburczyk zaczął się śmiać i śmiech ten zmroził krew w żyłach Katarzyny.

- Prawdę powiedziawszy... sądzi, że podąża waszym śladem, gdyż powiedzieliśmy mu, że pojechaliście przodem, aby dogonić pewną damę. Co się zaś tyczy tych, którzy pilnowali namiotu, poradziliśmy sobie z nimi bez kłopotu.

- Co to znaczy? - zapytał Arnold wyniośle.

- Jesteście moimi więźniami i nauczę was szacunku należnego księciu. Byłoby zbyt łatwe obrzucać ludzi zniewagami w ich domu, a następnie odjechać sobie spokojnie.

Oszalały z wściekłości Arnold skoczył do swego miecza, grożąc Burgundczykowi, ale czterech ludzi rzuciło się na niego i szybko obezwładniło, podczas gdy czterech innych skoczyło na Xaintrailles'a, który pozwolił im na to ze wspaniałą obojętnością.

- To w ten sposób - wykrztusił Arnold - przestrzegacie praw rycerskich i praw gościnności. Tyle tylko warte jest słowo i ochrona waszego pana.

- Zostaw - powiedział Xaintrailles z pogardą. - Jego pan niczym jaka baba spędza czas na opłakiwaniu niedoli rycerzy. Uważa, że jest ich największą podporą, ale wydaje swoją siostrę za Anglika. Jest Burgundczykiem, to mówi samo za siebie! Postąpiliśmy jak głupcy, ufając takim ludziom.

Jan de Luxemburg zbladł i już podniósł rękę, by uderzyć Xaintrailles'a,

ale Katarzyna go zasłoniła.

- Panie - wykrzyknęła - czy wiesz, co czynisz?

- Wiem, pani, i dziwię się, że jeszcze jesteś z tymi ludźmi, ty, którą nasz książę zaszczyca swą miłością. Nie musisz jednak obawiać się, nic mu nie powiem o twojej obecności w tym miejscu. Nie należy go martwić. Co więcej, muszę ci podziękować za zatrzymanie obu panów...

Rozwścieczony Arnold przerwał mu w pół słowa.

- A więc o to chodziło? Dlatego przyszedłeś tutaj z wilgotnymi oczyma i słowami miłości, podła dziewczko! Na honor, niemal ci uwierzyłem! O mało nie zapomniałem o moim zamordowanym bracie, o zemście i nienawiści, jakie poprzysiąłem... i wszystko to z twojego powodu...

- To nieprawda. Przysięgam ci, że to nieprawda! - wykrzyknęła zrozpaczona Katarzyna, skoczywszy ku młodzieńcowi, którego łucznicy trzymali pod ręce. - Zaklinam cię, nie wierz w to, nie jestem kochanką Filipa, nie wiedziałam, że szykują na ciebie pułapkę. Nie wierzysz mi? Kocham cię, Arnoldzie!

Chciała otoczyć ramionami szyję młodzieńca, ale odsunął się od niej, podnosząc wyżej głowę, aby nie mogła dosięgnąć jego twarzy. Wzrok rycerza, ponad głową dziewczyny, spoczął na Janie de Luxemburgu.

- Panie dowódcu - powiedział chłodno - jeśli drzemie w tobie chociaż cień szacunku, do jakiego jesteś zobowiązany wobec równych sobie rycerzy, wyprowadź nas stąd jak najszybciej lub zabierz tę zabawkę waszego księcia, której właściwe miejsce jest w burdelu. Proszę, usuńcie ją sprzed moich oczu, bo sam nie mogę tego zrobić.

- Bardzo dobrze! - odpowiedział Luksemburczyk. - Zabierzcie stąd tę kobietę i zaprowadźcie więźniów do zamku...

Dwaj łucznicy zbliżyli się do Katarzyny, która usiłowała jeszcze uczeplić się Arnolda, oderwali ją od młodzieńca i rzucili brutalnie na łożo.

- Rzeczywiście - powiedział burgundzki dowódca. - Ten biedny Garin de Brazey nie zasługuje na los, jaki zgotował mu książę: musiał poślubić na rozkaz kobietę z nizin i jeszcze raz po raz zostaje rogiaczem, to zbyt wiele jak na jednego człowieka!

Katarzyna oszalała z rozpaczy, wstrząsana konwulsyjnym szlochem, zobaczyła, jak strażę wyprowadzają Arnolda. Z kamienną twarzą, nie patrząc na nią, przekroczył próg. Xaintrailles szedł w ślad za nim, nie tracąc dobrego nastroju. Znowu podśpiewywał swoją poprzednią piosenkę:

*O czym myślisz, moja piękna, czy ci się podobam?*

Katarzyna pozostała sama w namiocie z błękitnego jedwabiu, wśród porzuconej zbroi i innych przedmiotów, które wkrótce padły łupem ludzi Jana de Luxemburga. Ale ona nie rozglądała się wokół siebie. Leżąc na łożu, z twarzą ukrytą w dłoniach, szlochała z powodu straconej nadziei i wyszydzonej, odrzuconej i zbrukanej miłości... Jak szybko odwrócił się od niej, jakże pośpiesznie ją oskarżył, wierząc bez żadnych zastrzeżeń słowom oszczercy, bo ten, chociaż nieprzyjaciel, był równym mu szlachcicem i rycerzem. Mając do wyboru słowa rycerza i zaklęcia dziewczyny z ludu, chociaż tak głęboko zakochanej, Arnold de Montsalvy nawet się nie zawahał! Po raz drugi odtrącił ją, i to z jaką brutalnością i pogardą! Zniewagi rzucone jej w twarz raniły jej serce bardziej niż policzek. Nawet łzy nie mogły złagodzić ostrego cierpienia, uspokajały trochę napięte nerwy, ale nie mogły pomóc, gdyż rana była zbyt świeża. Pozostawała pogrążona w rozpaczy, zapominając, gdzie się znajduje. Nic więcej nie miało znaczenia, ponieważ Arnold odtrącił ją i zniechęcił. W końcu jednak nadeszła chwila, kiedy łzy przestały płynąć i jakaś odrobina rozsądku wynurzyła się z tego oceanu rozpaczy. Nieszczęsna dziewczyna zdała sobie sprawę, że powinna

działać, a nie płakać. Należała do istot porywczych i unoszących się gwałtownymi uczuciami. Gniew takich ludzi bywa straszliwy, a rozpacz bezdenna, ale potrafią swą porywczosć łatwo zużytkować. Człowiek młody, piękny i zdrowy nie poddaje się tak łatwo. Po dłuższej chwili podniosła głowę. Poczerwieniałe oczy bolały, wzrok miała zamglony. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła, było jej własne nakrycie głowy z białego jedwabiu i hełm z kwiatem lilii. W tych leżących obok siebie przedmiotach był jakiś symbol; jakby Arnolda przyozdabiały jeszcze królewskie barwy, a ona dźwigała niedorzeczną, choć czarującą konstrukcję.

Podniosła się z trudem i podeszła do zwierciadła zawieszonego na jedwabnej ścianie nad cynową miedniczką. Dojrzała w nim przygnębiający widok: czerwoną, nabrzmiałą twarz i zapuchnięte powieki. Stwierdziła, że jest brzydka i trudna do rozpoznania. Miała zresztą rację. Łzy rzadko dodają kobiecie uroku. Zdecydowanym ruchem napełniła miedniczkę wodą o zapachu kwiatu pomarańczy, zanurzyła w niej na dłuższą chwilę twarz, podnosząc głowę tylko od czasu do czasu, aby złapać oddech. Świeża woda przyniosła jej ulgę. Woda pomarańczowa miała wiele cennych właściwości. Mózg zaczął pracować lepiej i ból przeobrażał się powoli w wolę walki. Kiedy podniosła twarz ociekającą wodą i wycierała ją w jedwabny ręcznik pozostawiony przez Xaintrilles'a, postanowiła, że będzie walczyć. Najlepszym sposobem udowodnienia Arnoldowi, że nie brała udziału w zasadzce zastawionej przez Luksemburczyka, było jak najszybsze wyciągnięcie go z więzienia. Mogła to zrobić tylko jedna osoba: księżę Filip.

Chcąc doprowadzić twarz do normalnego stanu, Katarzyna wyciągnęła się przez chwilę na łóżku z mokrym ręcznikiem na oczach. Następnie uczesała się, zaplotła starannie warkocze i poprawiła nakrycie głowy. Rozglądając się wokół siebie, zaczęła szukać ametystowego naszyjnika, który Arnold odrzucił gdzieś z pogardą. Zobaczyła, że leży przy fotelu,

podniosła go i założyła na szyję. Był ciężki i zimny, ciążył jej tak samo jak niewola, na którą skazał ją Filip Burgundzki, czyniąc z niej żonę Garina de Brazeya, aby doprowadzić ją do swego łoża.

Tym razem w lustrze pojawił się obraz czarującej, młodej kobiety, pełnej wytwornej elegancji, lecz o twarzy przepełnionej rozpaczą. Zmusiła się do uśmiechu, o mało co nie zaczęła znowu płakać i odwróciła głowę od lustra. Już miała wychodzić, gdy spostrzegła hełm Arnolda pozostawiony na stole. Nasunęła się jej myśl, że młodzieniec cierpiałby, gdyby królewski herb znalazł się w nieprzyjacielskich rękach. Nie mogła pozwolić, by Jan de Luxemburg dotykał z szyderczym uśmiechem królewskich barw, w których Arnold tak chlubnie zwyciężył. Zaczęła szukać wokół siebie czegoś, w co mogłaby owinąć hełm. Zobaczyła czarną chorągiew ze srebrnym krogulcem, należąca do rodziny de Montsalvy, zerwała ją z drzewca, owinęła hełm i stanowczym ruchem włożyła go pod pachę; wyszła z namiotu z zamiarem udania się do Arras.

Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, gdy przechodziła obok trybun, kierując się do wyjścia, zobaczyła Jana de Saint-Remy'ego. Spacerował tam i z powrotem, z rękami splecionymi na plecach; najwyraźniej czekał na kogoś. Zobaczywszy ją, zbliżył się pośpiesznie.

- Zastanawiałem się, czy wyjdiesz pani kiedykolwiek z tego przeklętego namiotu. Spostrzegłem, że coś się tam wydarzyło, i zastanawiałem się, co się z panią dzieje - powiedział z niezwykajnym u niego gadulstwem.

- Czy na mnie czekasz, panie?

- A na kogóż innego, piękna damo? Człowiek o dobrych manierach nie pozostawia kobiety, kiedy ta odwiedza nieprzyjaciela. Nie ośmieliłem się podejść, widząc, jak eskorta wyprowadza z namiotu naszych dzielnych przeciwników.

- Pomówmy o tym! - wykrzyknęła Katarzyna, zadowolona, że może na kimś wyładować złość. - Ten twój książę, to ładny numer...

- Twój książę, moja droga! - przerwał oburzony Saint-Remy.

- Zabraniam ci, panie, mówić w ten sposób. Nie będę służyła władcy postępującemu niehonorowo, wrzucającemu do lochu rycerzy, którym wcześniej obiecał ochronę, dlatego tylko, że okazali się lepsi. To jest niegodziwe! Nie wiem nawet, jak to nazwać.

Saint-Remy obdarzył ją pobłażliwym uśmiechem, jakim niania obdarza kapryśne dziecko, które tupie i krzyczy.

- Całkiem się z tym zgadzam. To niegodziwe! Ale czy jesteś pewna, piękna damo, że Jego Wysokość maczał palce w uwięzieniu królewskich rycerzy?

- Co chcesz, panie, przez to powiedzieć?

Jan de Saint-Remy wzruszył ramionami i poprawił na głowie swoją dziwną czapeczkę.

- Że pan Jan de Luxemburg mógł to zrobić na własną rękę. To do niego podobne. Czy pójdziesz ze mną, pani?

- Dokąd?

- Ależ... do Jego Wysokości, naturalnie! Przecież chyba taki miałaś zamiar? Nieopodal czeka na nas lektyka. Będzie ci wygodniej dostać się do pałacu. Małe, śliczne nóżki nie powinny się trudzić, tym bardziej że dźwigasz hełm. Daj, poniosę ten ciężar.

Po chwili zdziwienia Katarzyna wybuchnęła śmiechem. Saint-Remy okazał się zaskakującym mężczyzną! Pod uśpioną i zarozumiałą powłoką krył się umysł szczególnie żywy. Był w tej chwili cennym sojusznikiem. Z czarującym uśmiechem wyciągnęła do niego rękę.

- Bardzo dobrze odgadłeś moje chęci, panie de Saint-Remy. Chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

Młody człowiek zdjął czapeczkę i zamiótł ziemię długim piórem, zginając się wpół przed dziewczyną.

- Już jestem twoim niewolnikiem, pani... i z wielką radością przyjmuję tę propozycję. Proszę podać mi dłoń i chodźmy do lektyki.

Podał ramię Katarzynie, pod drugie wsunął hełm Arnolda i poszli w kierunku lektyki, która oczekiwała trochę dalej.

## *Rozdział trzynasty*

### *Dziwna noc*

Zapadał już zmrok, kiedy lektyka wioząca Katarzynę przybyła przed pałac miejski, gdzie książę Filip miał swoje apartamenty. Wcześniej pojechała do siebie, aby przebrać się w prostą, czarną suknię z aksamitu, gdyż suknia z białego jedwabiu była nieco zmięta. Na głowie miała toczek z tego samego materiału, nałożony na złotą siatkę podtrzymującą włosy. Izba, którą dzieliła z panią Ermengardą, była pusta. Księżna z pewnością przebywała u księżniczek, pełniąc obowiązki wielkiej ochmistrzyni. Katarzyna nie chciała czekać na jej powrót. W lektyce niecierpliwił się Jan de Saint-Remy.

Gdy młoda kobieta i jej towarzysz zjawili się przed strażnikami pilnującymi wejścia do pałacu, łucznik stojący na warcie nie chciał ich przepuścić. Ale Saint-Remy tonem nieznoszącym sprzeciwu rozkazał mu pójść po dowódcę straży. Posłano żołnierza, aby go odszukał. W tym czasie Saint-Remy podał Katarzynie hełm.

- Weź go, pani, gdyż przekażę cię dowódcy i pójdziesz dalej sama. W

tej sprawie nie mogę zrobić nic więcej. Moja obecność wprawiałaby Jego Wysokość w zakłopotanie i uważałby, że musi okazać surowość. Sam na sam z nim ładna kobieta zawsze sobie poradzi...

Katarzyna chciała mu podziękować, lecz już powrócił żołnierz z dowódcą. Szczęście uśmiechnęło się tego wieczoru do Katarzyny, ponieważ dowódcą straży był Jakub de Roussay. Rozpoznał ją, przyspieszył kroku i podszedł z szerokim uśmiechem na twarzy:

- Chciałaś mnie, pani, zobaczyć? Cóż za niespodzianka. W czym mogę pomóc?

- Czy mógłbyś, panie, powiedzieć Jego Wysokości, że chciałabym porozmawiać z nim przez chwilę bez świadków? Chodzi o sprawę najwyższej wagi...

Szczerza twarz młodego oficera spochmurniała. Wyraźnie coś było nie tak, a ponieważ Saint-Remy pożegnał się dyskretnie i odszedł, Jakub odprowadził Katarzynę na stronę.

- Jego Wysokość jest akurat zajęty toaletą. Przygotowuje się do uczy, którą wydaje dzisiaj wieczór dla ławników i dam z Cite. Co więcej, nie będę ukrywał, że jest w złym humorze... Zbił nawet pejczem, z powodu drobności, swojego ulubionego psa Briqueta. Nigdy jeszcze nie był w takim stanie. Muszę przyznać, że ma po temu powody. Szczerze mówiąc, pani Katarzyno, radziłbym odłożyć wizytę na jutro. Nawet ty możesz zostać przyjęta nieuprzejmie.

Od czasu strasznej sceny, jaką jej zrobił Arnold, w Katarzynie dokonała się zmiana. Nic nie było w stanie jej przestraszyć. Poszłaby do samego diabła, gdyby to było potrzebne. Spojrzała groźnie na Jakuba de Roussaya.

- Panie - powiedziała wyniośle - humor Jego Wysokości jest mi obojętny! To, co mu chcę powiedzieć, dotyczy jego dobrego imienia, a jeśli



boisz się, panie, mnie zaanonsować, zrobię to sama, ot i wszystko, życzę ci dobrej nocy!

Przechodząc do czynu, uniosła rąbek spódnicy i skierowała się z lekkością ku wejściu. Roussay poczerwieniał ze złości i zatrzymał ją.

- Nie boję się, pani, i na dowód tego zaraz cię zaanonsuję. Jeśliby coś się wydarzyło, będziesz sama sobie winna, gdyż cię uprzedzałem.

- Proszę iść, resztą zajmę się sama.

Kilka chwil później Katarzyna weszła do komnaty księcia.

Zobaczywszy go, zrozumiała, że Jakub de Roussay nie przesadzał. Książę nie odwrócił się nawet na jej pokłon.

Stał tyłem do drzwi, z rękami splecionymi na plecach, z odkrytą głową, ubrany w luźny szlafrok z purpurowego aksamitu i spoglądał przez okno na Wielki Plac oświetlony pochodniami.

- Twoja natarczywość i chęć przeszkodzenia mi są dziwne, pani. Racz przyjąć do wiadomości, że nikt nie ma takiego prawa. Kiedy chcę kogoś zobaczyć, wzywam go.

Jeszcze wczoraj Katarzyna schowałaby się pod ziemię, słysząc takie słowa, ale teraz nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia.

- Dobrze, panie, odchodzę. Tak naprawdę, cóż mnie może obchodzić, że od dzisiaj będziesz uważany za najmniej honorowego księcia w całym chrześcijańskim świecie!

Filip drgnął i odwrócił się gwałtownie. Miał lodowaty wyraz twarzy jak wówczas na trybunie, ale na jego blade policzki wypełzły dwie czerwone plamy.

- Miarkuj się, pani, w słowach - powiedział szorstko - i nie wykorzystuj tego, że okazałem ci pobłażliwość...

- A nawet coś więcej! Lecz jeśli moja obecność przeszkadza Jego Wysokości, odchodzę.

Odwracała się już, gdy głos Filipa przygwoździł ją do miejsca.

- Proszę zostać i wytłumaczyć swoje słowa! Cóż to za sprawa honoru, którą zawracasz mi głowę? Mój honor czuje się bardzo dobrze. To, że mój rycerz został pobity, nie przynosi mi hańby, gdyż zwycięzca był bardzo dzielny...

- Doprawdy? - powiedziała Katarzyna z zamierzoną bezczelnością. - Rzeczywiście nie byłoby w tym nic złego, gdybyś sam się nie zhańbił, rozkazując wtrącić zwycięzcę do lochu.

Na twarzy Filipa pojawiło się szczere zdziwienie i Katarzyna poczuła w sobie przypływ odwagi. Saint-Remy miał rację. Księżę nie brał chyba w tym udziału.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Cóż to za historia? O jakim lochu mówisz?

- O tym, do którego pan de Luxemburg wtrącił panów de Montsalvy'ego i de Xaintrailles'a, odesławszy konetabla de Buchana pod fałszywym pretekstem. Jak to się nazywa, panie, w języku rycerzy? Ja, wywodząc się z klasy plebejskiej, nazywam to wiarołomstwem. Ale nie jestem księżniczką. Gdyby jeszcze chodziło o prostego rycerza! Zwycięzca bastarda de Vendome'a miał na sobie to... Szacunek wymagał, aby go nie tknąć!

Filip zbladł jak trup. Jego szare oczy, skierowane na hełm z kwiatem lili, który Katarzyna odsłoniła, pozostawały szeroko otwarte. Wydawało się, że zamienił się w figurkę z soli. Młoda kobieta zaśmiała się lekko, co wyrwało go z osłupienia.

- Zechciej, pani, dać mi ten hełm i poczekaj tutaj. Przysięgam na krew mojego ojca, że jeśli skłamałaś, spędzisz noc w lochu, o którym opowiadasz.

Katarzyna skłoniła się głęboko.

- Idź, panie. Poczekam tutaj... bez żadnej obawy.

Wziąwszy hełm, Filip wyszedł z pokoju wielkimi krokami. Katarzyna usłyszała, jak rozkazał dowódcy straży, aby pod żadnym pozorem nie pozwolił odejść pani de Brazey. Usiadła spokojnie w fotelu przy kominku, gdzie palił się ogień, gdyż wieczór był chłodny. Wiedziała, że nie ma czego się obawiać, i oczekiwała na powrót Filipa. Wrócił zresztą bardzo szybko. W ręce trzymał hełm, który położył na stole. Katarzyna wstała pospiesznie i czekała na jego słowa. Książę stał nieruchomo, z rękami skrzyżowanymi na piersi i opuszczoną głową. Nie mówił nic. Nagle, jak ktoś, kto podjął ważną decyzję, skierował kroki ku młodej kobiecie. Zobaczyła, że jego wzrok pozostał chłodny.

- Miałaś rację, pani. Jeden z moich przyjaciół, myśląc, że służy dobrej sprawie, wykazał niepotrzebną gorliwość. Obaj rycerze zostaną wypuszczeni... jutro rano.

- Dlaczego jutro? - zaprotestowała natychmiast Katarzyna. - Po cóż skazywać ich na ciężką noc w lochu po tak trudnej walce?

- Bo tak mi się podoba - powiedział książę z wyższością. - Również po to, by cię ukarać. Dowiedziałem się, że bardzo żywo interesujesz się tymi panami. Książę Jan de Luxemburg znalazł cię w ich namiocie, chociaż jesteś jedną z moich poddanych. Czy możesz powiedzieć, pani, co tam robiłaś?

Katarzyna miała wielką ochotę rzucić Filipowi prawdę w twarz, gdyż w tym momencie nienawidziła go z całego serca, a w jego słowach wyczuła ukrytą zazdrość. Rozumiała jednak, że wyjawiając mu swą miłość do Arnolda, wystawiałaby na niebezpieczeństwo życie młodego człowieka.

Przyjmując beztroski wyraz twarzy, wzruszyła ramionami:

- Jeszcze jako dziecko poznałam w Paryżu pana de Montsalvy'ego. Mój ojciec był złotnikiem i pracował dla jego rodziny. Kiedy zobaczyłam, jak upadł, przestraszyłam się i poszłam zapytać o jego zdrowie. Ot i wszystko. Czy mam zapomnieć, aby sprawić ci, panie, przyjemność, o moich

przyjaciołach z dzieciństwa?

Ze spojrzenia Filipa wywnioskowała, że ten waha się, czy jej uwierzyć. Po swoim ojcu odziedziczył instynktowną nieufność wobec wszystkiego i wszystkich. Patrząc na nią, spytał surowo:

- Jesteś pewna, że nie chodzi o historię miłosną? Nie zniósłbym tego, dobrze o tym wiesz!...

Gwałtownym ruchem objął ją wpół i przycisnął do siebie, jednak spojrzenie miał zimne.

- Należysz tylko do mnie, wiesz o tym, tylko do mnie. Pomyśl o wysiłku, jaki włożyłem, abyś stała się mnie godna. Poślubiłaś jednego z moich dostojników, należysz do dworu, jesteś dwórką mojej matki... Zwykle dla kobiet nie zadaję sobie tyle trudu... Nie są tego warte! Ale ty różnisz się od innych. Byłoby niesprawiedliwe zostawić cię wśród pospółstwa z taką urodą, która zasługuje na tron. Mam nadzieję, że to docenisz.

Katarzyna odchyliła się do tyłu, ponad obejmującym ją ramieniem Filipa, aby uniknąć dotyku warg, które nagle wywołały w niej wstręt. Nie ośmieliła się odepchnąć go stanowczo z powodu jego miazdząco nieruchomego spojrzenia, którego obawiała się jedynie ze względu na Arnolda. Nachylał się coraz bardziej nad jej ustami. Zamknęła oczy, aby tego nie widzieć. Ale nie pocałował jej. Usłyszała przy uchu szept Filipa:

- W przyległym gabinecie znajdziesz wszystko, co trzeba. Zdejmij tę suknię i przyjdź tutaj, nie chcę już dłużej czekać.

Ogarnął ją przestach. Nie była przygotowana na taką brutalną szczerłość. Przecież jest późno, w pałacu trwa zabawa... Garin też na pewno niepokoi się o nią. Nie mogła zostać u Filipa, nie dzisiaj wieczoru!

- Panie - powiedziała, starając się ukryć drżenie głosu - jest już późno... i mąż na mnie czeka.

- Garin będzie pracował przez całą noc z Mikołajem Rolinem. Nie

będzie się o ciebie niepokoił. Ponieważ przyszedł do mnie, tutaj zostaniesz.

Puścił ją i podprowadził do małych drzwiczek, znajdujących się tuż obok kominka. Przestraszona Katarzyna szukała bezskutecznie jakiegoś wykrętu, aby móc odejść.

- Powiedziano mi, że nie masz, panie, czasu.

- Dla ciebie mam go zawsze. Pospiesz się. W przeciwnym razie pomyślę, że przychodząc tutaj, miałaś na myśli coś innego niż mój honor... i że ten rycerz jest ci droższy, niż chcesz to wyznać.

Młoda kobieta poczuła, że drży. Znalazła się w pułapce. Moment, którego obawiała się od dnia zaręczyn, nadszedł, i to w najgorszych okolicznościach. Tak bardzo chciała być teraz u siebie, aby trochę się uspokoić i zapłakać, rozpamiętując straszną scenę spod błękitnego namiotu. Tymczasem musiała oddać się mężczyźnie, którego nie kochała, a co więcej - znenawidziła go. Zmuszona była to uczynić, żeby ocalić życie Arnolda. Płaciła za jego wolność najwyższą cenę. Zrozumiała, dlaczego Filip zgodził się zwolnić więźniów dopiero następnego dnia. Tę noc potraktował jako zastaw.

Kiedy książę zamknął za nią małe drzwi, rozejrzała się po niewielkiej komnacie bez okien, oświetlonej świecami w złotych świecznikach. Na niskim kredensie stały flakoniki perfum, pudełeczka z pomadami i pachnidłami. Wszystkie przybory toaletowe wykonano ze złota emaliowanego w żywe kolory. Pośrodku królowało duże lustro, odbijając łagodne światło świec i małe pomieszczenie o wyglądzie szkatułki całkowicie wyłożone purpurowym aksamitem. Na taborecie pokrytym identycznym materiałem przygotowano suknię z błękitnego muślinu i dobrane w tym samym kolorze małe, jedwabne pantofelki.

Katarzyna westchnęła, ogarnawszy komnatę ponurym wejrzeniem. Z pomieszczenia nie było innego wyjścia, a nawet gdyby się znalazło, nic by to

nie zmieniło w jej sytuacji. Takie było jej przeznaczenie i próba uniknięcia go była beznadziejna. Wcześniej lub później Filip będzie miał ostatnie słowo. Zmęczonym ruchem zdjęła z głowy aksamitny toczek, rzuciła go w kąt wraz z siateczką. Kiedy jej włosy osunęły się luźno na ramiona, zagryzła wargi, aby się nie rozplakać. Minęło tak niewiele godzin od chwili, gdy Arnold zrobił to samo z czułą niecierpliwością. Katarzyna próbowała z całych sił odsunąć to zbyt dokładne i bliskie wspomnienie. Ze złością i pośpiechem zaczęła się rozbierać. Suknia spadła jej do stóp, taki sam los spotkał spodnią koszulę. Nerwowym ruchem chwyciła muslinową suknię, włożyła ją przez głowę, zdjęła buciki z aksamitu i pończochy, a nagie stopy wsunęła w małe pantofelki. Rzucając obojętne spojrzenie w kierunku lustra, stwierdziła, że materiał, z którego wykonano nocną toaletę, jest dosyć gęsty i ukazuje tylko zarysy ciała, kryjąc jego szczegóły. Następnie ruchem pełnym wyzwania odrzuciła do tyłu włosy, przełknęła ślinę i skierowała się zdecydowanym krokiem w kierunku drzwi.

Okazało się, że komnata Filipa jest pusta.

W pierwszym odruchu, widząc, że jest sama, podbiegła do drzwi, którymi ją tutaj wprowadzono. Spróbowała je otworzyć, ale daremnie. Były zamknięte na klucz. Z westchnieniem rezygnacji podeszła do kominka. Pomimo palącego się ognia drżała w zbyt lekkim odzieniu. Wkrótce jednak ciepło ogarnęło ją całą i dodało ducha. Po pięciu minutach poczuła, że potrafi znieść to, co ją czeka. Filip musiał odejść na chwilę, ale z pewnością zaraz wróci.

Jakby na potwierdzenie tych myśli w zamku obrócił się klucz. Otwierane drzwi zaskrzypiały lekko. Katarzyna zacisnęła zęby, odwróciła się... i stanęła twarzą w twarz z pokojówką w czepku i fartuchu z białego lnu, składającą ceremonialny ukłon:

- Pościeliłam łóżko - powiedziała nowo przybyła. Katarzyna nie

zareagowała na te słowa, a służąca kontynuowała:

- Jego Wysokość księżę prosi cię, pani, abys zechciała zjeść wieczerzę i położyć się spać, nie czekając na niego. Jego Wysokość będzie prawdopodobnie zajęty i prosi o wybaczenie. Zaraz przyniosę wieczerzę.

Stojąc przy stopniu łoża, pokojówka uniosła róg przykrycia, jakby namawiając, aby kobieta wślizgnęła się do pościeli. Katarzyna przyjęła to nieme zaproszenie. Zdjęła pantofelki i położyła się. Dzień był niezmiernie wyczerpujący, a ponieważ dzięki uczcie wydawanej dla ławników uzyskała odroczenie, należało z tego skorzystać i odpocząć.

Na dworze zrobiło się ciemno i zerwał się wiatr. Słyszała, jak wicher zawodzi w kominku, aż płomień chwilami przygasał. Wygodnie usadowiona wśród wielu jedwabnych poduszek, poczuła się dobrze. Komnata Filipa dała jej upragnioną samotność. Nie doznała jej, zakwaterowana w dwóch małych izbach dzielonych z Ermengardą i trzema innymi dwórkami. Myśląc o swej przyjaciółce, młoda kobieta uśmiechnęła się. Bóg jeden wie, co gruba księżna mogła sobie teraz wyobrażać. Być może, że Katarzyna dała się porwać Arnoldowi i że galopuje teraz w kierunku Guise na grzbiecie rumaka? Ten obraz o mało co nie zniszczył całej odwagi, którą z takim trudem gromadziła od kilku godzin. Nie mogła myśleć o Arnoldzie, jeśli chciała zachować jasność myśli. Później tak, kiedy oczekująca ją próba będzie już za nią. Wówczas będzie miała dużo czasu do zastanowienia.

Młoda pokojówka wniosła na tacy wieczerzę i Katarzyna posiliła się z wielkim apetytem. Nie miała nic w ustach od poprzedniego dnia. Opuszczając dom późnym przedpołudniem, nie była w stanie zjeść czegokolwiek pomimo wymówek ze strony Ermengardy. Teraz jej młode i zdrowe ciało domagało się jedzenia. Wypiła kubek bulionu z żółtkami, zjadła połowę pieczonej kury, plaster pasztetu z zająca, kilka marynowanych śliwek, popijając wszystko winem z Sancerre. Następnie odsunęła tacę, którą zabrała

pokojówka, i ułożyła się wygodnie na poduszkach. Poczowała się znacznie lepiej. Ponieważ służąca zapytała unieżenie, czy życzy sobie jeszcze czegoś, Katarzyna zapytała, gdzie podział się książę. Ta odpowiedziała, że udał się do sali bankietowej, bo właśnie rozpoczęto ucztę.

- Proszę więc zasunąć zasłony i zostawić mnie samą - powiedziała młoda kobieta. - Już niczego nie potrzebuję.

Pokojówka zaciągnęła zasłony przy łożu, skłoniła się ponownie i wyszła na czubkach palców. Ułożona wygodnie Katarzyna próbowała zastanowić się nad zaistniałą sytuacją i przygotować na przyjście księcia, który zażąda zapłaty za to, co uważał za zaciągnięty dług.

Zmęczenie i ciężki żołądek, a także ciepło i wygoda łoża zwyciężyły. Katarzyna szybko zapadła w głęboki sen.

\* \* \*

Po przebudzeniu się stwierdziła ze zdziwieniem, że zasłony łoża są rozsunięte i jest biały dzień. Jeśli nawet Filip znajdował się w komnacie, nie było go obok niej. Spostrzegła, że stoi obok okna, ubrany w ten sam szlafrok, co poprzedniego wieczoru, pisząc coś na wielkim pulpicie z kutego żelaza, pełnym zwojów pergaminu. Skrzypienie długiego gęsiego pióra i odległe pianie koguta wypełniały ciszę pomieszczenia. Usłyszał ruch, jaki uczyniła Katarzyna, siadając na łożku, i, odwróciwszy głowę w jej kierunku, uśmiechnął się.

- Czy dobrze spałaś, pani?

Odłożywszy pióro, skierował się w stronę łoża, wszedł na dwa stopnie i oparł o jedną z kolumn, górując nad nią sylwetką. Katarzyna popatrzyła na księcia i na łoże, które było w takim porządku, jak gdyby wślizgnęła się doń przed minutą. Wyraz jej twarzy rozbawił Filipa.



- Nie... nie tknąłem cię, pani. Wróciłem wczesnym rankiem, gdyż przyjęcie trwało długo w noc, a ty spałaś tak smacznie, że nie chciałem cię budzić... choć miałem na to wielką ochotę. Nie lubię uprawiać miłości z zaspaną partnerką. Ależ jesteś piękna i świeża tego ranka, moje serce! Twoje oczy błyszczą jak almandyny, a twoje usta...

Rezygnując z niedbałej pozy, usiadł na brzegu łoża, otaczając ją bardzo delikatnie ramieniem i nie ściskając ani trochę. Powoli i z pewną zadumą pocałował ją, przymykając oczy. Myśl absurdalna i śmieszna przemknęła przez głowę Katarzyny. Przypominał jej wuja Mateusza w piwnicach w Marsannay, smakującego z beczki wyśmienite wino. Usta Filipa były niebywale zręczne i w niczym nie przypominały zachłannej brutalności ust Arnolda. Jego pocałunek był prawdziwą pieśczętą, kontrolowaną i przemyślaną, sprawiającą przyjemność. Dotyk był bardzo lekki, lecz Katarzyna czuła, że słabnie. Miała wrażenie, że znajduje się na śliskim zboczu, które ją porywa, szybko, coraz szybciej, w kierunku czegoś nieznanego. Nie mogła się zatrzymać... Był to zawrót głowy, cudowny i straszliwy, nieidący w parze z sercem. Ale ciało upajało się tym w skrytości. Kiedy nie odrywając się od jej ust, Filip położył ją, westchnęła lekko i znieruchomiała w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić. Ale nic się nie wydarzyło.

- Cóż za szkoda, że teraz wzywają mnie obowiązki, moja przyjaciółko. Czułbym się wspaniale, gdybym mógł zapomnieć przy tobie o całym świecie.

Pomimo tych słów wydawało się, że panuje nad sobą po mistrzowsku. Uśmiechał się, ale jego oczy pozostały chłodne. Katarzyna poczuła się nieswojo, gdyż odniosła wrażenie, że książkę ją obserwuje. Nie przestając na nią spoglądać, podszedł do pulpitu, wziął z niego mały dzwoneczek i zadzwonił. Wszedł paż, kłaniając się nisko.

- Powiedz kapitanowi de Roussay'owi, że czekam na niego. Wie, kogo ma przyprowadzić...

Następnie, kiedy chłopak wyszedł, kłaniając się znowu, powrócił do Katarzyny i wyjaśnił:

- Wybacz mi, pani, że w twojej obecności zajmuję się sprawami stanu - powiedział z uprzejmym uśmiechem - ale chcę zakończyć sprawę w twojej obecności, aby cię w pełni zadowolić i uspokoić. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa...

Zanim Katarzyna, niczego nie rozumiejąc z tej krótkiej przemowy, zdążyła odpowiedzieć, drzwi do komnaty otworzyły się pod ręką pazia. Weszło trzech mężczyzn. Pierwszym był Jakub de Roussay; rozpoznając dwóch pozostałych, Katarzyna zagryzła wargi, aby nie krzyknąć: byli to Arnold i jego przyjaciel Xaintrilles.

Ściśnięta bólem tak gwałtownym, jak uderzenie sztyletu, poczuła, że uchodzi z niej życie. Krew odpłynęła z jej twarzy i dłoni w kierunku serca, które na moment przestało bić. Zrozumiała teraz, w jaką pułapkę schwytał ją Filip, aby upewnić się, że nie skłamała, mówiąc, iż z Arnoldem łączy ją tylko zwykła znajomość z lat dziecięcych. W łożu oświetlonym przez słońce, w tej przezroczystej szacie, pozwalającej odgadnąć kształt jej ciała, obok Filipa ubranego w szlafrok, była jak postawiona pod pręgierzem. Czyż Arnold mógł jeszcze wątpić w jej związek z księciem? Widziała tylko jego kamienny profil. Nie patrzył na nią, ale kiedy wchodził, spojrzał jej w twarz z pogardą.

Katarzyna cierpiała jak nigdy, poszukując beznadziejnie duchowej podpory, jakiegokolwiek pomocy. Czując na sobie ostre spojrzenie Filipa, robiła nadludzkie wysiłki, aby ukryć rozpacz i powstrzymać napływające łzy. Bardzo chciałaby wyskoczyć z łoża, podbiec do Arnolda i krzyknąć, że to nieprawda, żeby nie wierzył w tę ohydną komedię przygotowaną dla

niego, potwierdzić, że jest godna jego miłości i że do niego należy. Nie mogła nawet opuścić powiek, pozwolić płynąć łzom zbierającym się i zaciskającym jej gardło. Gdyby tylko cokolwiek dała po sobie poznać, Filip skierowałby swój gniew przeciw Arnoldowi. Nietrudno było odgadnąć, jak wielka byłaby wściekłość księcia, którego nazywano już, tu i ówdzie, Wielkim Księciem Zachodu!

Oznaczałoby to śmierć dla Arnolda, prawdopodobnie też dla Xaintrilles'a... podczas gdy ona nie dostąpiłaby najwyższej radości wspólnej z nimi śmierci.

Z rękami splecionymi na kolanach pozostawała nieruchoma i zrezygnowana, błagając w duchu niebios o rychłe zakończenie męki. Cisza, która wydawała się jej śmiertelnie długa, w rzeczywistości trwała tylko kilka sekund. Usłyszała niedbały i uprzejmy głos Filipa. Z pewnością był zadowolony z reakcji zgromadzonych przez siebie aktorów.

- Winien wam jestem przeprosiny, panowie, i przywołałem was tutaj, aby to uczynić, i to jak najszczerzej! Obawiam się, że pan de Luxemburg dał się porwać zbyt gwałtownym uczuciom do naszej korony. Zapomniał, że jesteście moimi gośćmi i chroni was święte prawo. Wybaczcie mi więc, że spędziliście tę noc w niewygodzie. Konie na was czekają, jesteście wolni...

Przerywając przemowę, podszedł do pulpitu, wziął pergamin, na którym wcześniej coś napisał, i podał Xaintrilles'owi.

- Ten list żelazny pozwoli wam dojechać bezpiecznie do Guise. Co do ciebie, panie... - Zwrócił się teraz do Arnolda, wyciągnął ze skrzyni hełm ze znakiem lilii i podał go: - Z radością oddaję twój hełm, który tak dzielnie i chlubnie nosiłeś. Na honor, panie, żałuję, żeś tak oddany memu kuzynowi Karolowi. Chciałbym życzyć ci szczęścia...

- Mam je, panie - odpowiedział chłodno Arnold - gdyż jestem w służbie mego pana, króla Francji. Ale dziękuję Jego Wysokości za

uprzejmość. Proszę również o wybaczenie pewnych moich słów, wypowiedzianych w twojej obecności... Może były zbyt ostre...

Skłonił się teraz uprzejmie, ale sztywno, a następnie uczynił to samo Xaintrilles. Księżę powiedział do nich jeszcze parę uprzejmych słów, po czym zezwolił na odejście. Podczas gdy z ukłonami cofali się w kierunku drzwi, Filip ich powstrzymał.

- Podziękujcie również mojej słodkiej, obecnej tu przyjaciółce. Pani Katarzynie zawdzięczacie wasze uwolnienie, gdyż to ona, cała poruszona, przysłała do mnie tej nocy, aby opowiedzieć, co z wami zrobiono. O ile wiem, znacie ją od dawna...

Tym razem musiała na nich spojrzeć. Jej zaniepokojone i przestraszone oczy spoczęły na Arnoldzie, ale poczuła się tak nieszczyśliwa, że odwróciła wzrok na Xaintrilles'a. Ten patrzył na nią z szyderczym uśmiechem, taksując zuchwale jej urodę.

- Rzeczywiście, od dawna... - powiedział Arnold, nie patrząc na nią.

Jego twarz przypominała mur bez bram i okien. Jeszcze nigdy Katarzyna nie czuła się tak od niego oddalona. Nie dodał nic więcej. To Xaintrilles podziękował „pani Katarzynie” w imieniu obu przyjaciół. Usłyszała swój głos odpowiadający uprzejmie. Poczwała, że jej wargi składają się do sztucznego uśmiechu...

Rycerze wyszli, a znużona dziewczyna opadła na poduszki. Był najwyższy czas, aby ta pożałowania godna scena się zakończyła. Katarzyna znalazła się u kresu wytrzymałości, a przecież ta komedia trwała dalej. Filip podszedł do niej, pochylił się nad łóżem i okrył pocałunkami jej lodowate dłonie.

- Jesteś, pani, szczęśliwa? Czy zrobiłem to, o co prosiłaś?

- Wszystko, panie, o co prosiłam - odpowiedziała zgaszonym głosem. -

Byłeś bardzo wspaniałomyślny.

- To ty, pani, jesteś wspaniałomyślna. Wybaczysz mi, że w ciebie zwątpiłem, nieprawdaż? Wczoraj, kiedy przyszłaś prosić o łaskę dla tych ludzi, a zwłaszcza gdy de Luxemburg powiedział mi, że spotkał cię w ich namiocie, byłem zazdrosny jak nigdy.

- A teraz - rzekła Katarzyna z nikłym uśmiechem - wierzysz mi, panie?

- Całkowicie, mój aniele...

Wszedł paż i przypomniał nieśmiało swojemu panu, że zbiera się rada i że kanclerz Rolin prosi go o przybycie. Filip zaklął przez zęby.

- Muszę cię znów zostawić, piękna Katarzyno... Powstałyby plotki, gdybyś nie wróciła do domu. Ale przysięgam na honor, po raz ostatni opuszczasz mnie w ten sposób. Dzisiaj wieczór poślę po ciebie... nikt i nic nie zdoła nam już przeszkodzić.

Pocałował ją lekko w usta i odszedł z żalem, dodając, że przyśle służące, aby pomogły jej się ubrać.

Katarzyna pozostała sama. Jej samotność przypominała samotność więźnia, za którym zamykają się bramy, szczękają zamki i skrzypią łańcuchy! Uwolniony Arnold pędził drogą do Guise! Ona musiała pozostać...

**CDN.**